

NORA ROBERTS

pisząca jako

**J.D.
ROBB**

WYRACHOWANIE I ŚMIERĆ



NORA ROBERTS

pisząca jako

**J.D.
ROBB**

WYRACHOWANIE I ŚMIERĆ



Prószyński i S-ka

Polecamy w serii

Dotyk śmierci

Sława i śmierć

Skarby przeszłości

Kwiat Nieśmiertelności

Śmiertelna ekstaza

Czarna ceremonia

Anioł śmierci

Święta ze śmiercią

Rozłączy ich śmierć

Wizje śmierci

O włos od śmierci

Naznaczone śmiercią

Śmierć o tobie pamięta

Zrodzone ze śmierci

Słodka śmierć

Pieśń śmierci

Śmierć o północy

Śmierć z obcej ręki

Śmierć w mroku

Śmierć cię zbawi

Obietnica śmierci

Śmierć cię pokocha

Śmiertelna fantazja

Fałszywa śmierć

Pociąg do śmierci

Zdrada i śmierć

Śmierć w Dallas

Celebryci i śmierć

Psychoza i śmierć

NORA ROBERTS

piszczą jako

**J.D.
ROBB**

WYRACHOWANIE I ŚMIERĆ

Przełożyła:
Bogumiła Nawrot

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
CALCULATED IN DEATH

Copyright © 2013 by Nora Roberts
All rights reserved

Projekt okładki
Elżbieta Chojna

Zdjęcie na okładce
© Holger Winkler/A.B./Corbis/FotoChannels

Redaktor prowadzący
Katarzyna Rudzka

Redakcja
Ewa Witan

Korekta
Mariola Będkowska

ISBN 978-83-7961-656-5

Warszawa 2014

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Ubóstwu mało co brak, łakomstwu wszystkiego.

Publiusz Syrus

Pieniądz bez honoru to choroba.

Balzac

Rozdział 1

Przejmujący wiatr targał przenikliwie zimnym, listopadowym powietrzem, które kąsało kości niczym małe, ząbkowane nożyki. Porucznik Dallas znowu zapomniała rękawiczek, ale może to i lepiej, bo zniszczyłaby ich kolejną drogą parę sprayem do zabezpieczania dłoni.

Eve wsunęła więc tylko przemarznięte ręce do kieszeni płaszcza, gdy przyglądała się denatce.

Kobieta leżała u podnóża kilku stopni, prowadzących do czegoś, co wyglądało jak mieszkanie w suterenie. Widząc, pod jakim kątem w stosunku do ciała spoczywa głowa ofiary, Dallas nie musiała czekać na lekarza sądowego, by jej powiedział, że denatka skrzyła kark.

Eve oceniła jej wiek na czterdzieści kilka lat. Kobieta nie miała na sobie płaszcza, lecz teraz już porywisty wiatr był jej obojętny. Ubrana była jak do pracy – miała na sobie żakiet, golf, spodnie i eleganckie pantofle na niskim obcasie. Przypuszczalnie wszystko modne, ale Eve wołała zostawić ocenę tego swojej partnerce, gdy tylko detektyw Delia Peabody dotrze na miejsce zbrodni.

Nie dostrzegła żadnej biżuterii. Nawet zegarka na rękę.

Brak torebki, teczki, aktówki.

Na schodach nie walały się śmieci, murów nie zdobiły graffiti. Jedyne dysonans stanowiły zwłoki.

W końcu Eve odwróciła się do funkcjonariuszki, która pojawiła się tu, kiedy ktoś zadzwonił pod dziewięćset jedenaście.

– Co wiadomo?

– Powiadomiono policję o drugiej dwanaście. Razem ze swoim partnerem byliśmy zaledwie dwie przecznice stąd, w sklepie całodobowym. Dotarliśmy tutaj o drugiej czternaście. Właściciel lokalu, Bradley Whitestone, ze znajomą Alvą Moonie, stali przed budynkiem. Whitestone oświadczył, że zamierzali wejść do mieszkania, w którym właśnie trwa remont, więc stoi puste. Znaleźli ciało, kiedy przyprowadził tu Moonie, żeby jej pokazać, gdzie już wkrótce się przeprowadzi.

– O drugiej w nocy.

– Tak jest. Oświadczyli, że dziś wieczorem wybrali się na miasto, zjedli kolację, potem poszli do baru. Są niezupełnie trzeźwi, pani porucznik.

– Rozumiem.

– Siedzą teraz w wozie razem z moim partnerem.

– Porozmawiam z nimi później.

– Ustaliśmy, że ofiara nie żyje. Nie ma przy sobie żadnego dokumentu tożsamości. Brak torebki, biżuterii, płaszcza. Doznała złamania kręgow szyjnych. Widać też inne obrażenia – siniak na policzku, rozciętą wargę. Na pierwszy rzut oka wygląda to na napad rabunkowy, ale... – Policjantka lekko się zarumieniła. – Coś mi tu nie pasuje.

Zaintrygowana Eve skinęła głową, by policjantka mówiła dalej.

– Dlaczego?

– Brak płaszcza świadczy, że nie była to zwykła kradzież na wydrę. Zdjęcie płaszcza wymaga trochę czasu. A jeśli spadła ze schodów albo ktoś ją popchnął, dlaczego leży

pod murem, a nie u podnóża stopni? Tak, że nie widać jej z chodnika? Bardziej mi to wygląda na chęć pozbycia się zwłok, pani porucznik.

– Przymawiacie się o pracę w wydziale zabójstw, Turney?

– Nie chciałam nikogo urazić, pani porucznik.

– Nie czuję się urażona. Może potknęła się na schodach, nieszczęśliwie upadła i skręciła sobie kark. Jakiś bandzior ją zobaczył, przeciągnął pod ścianę, żeby ukryć przed wzrokiem przechodniów, a potem zabrał jej płaszcz i pozostałe rzeczy.

– Tak jest.

– Nie wygląda mi jednak na to. Ale potrzebujemy czegoś więcej niż przypuszczeń. Zaczekajcie tu, Turney. Detektyw Peabody już jest w drodze. – Mówiąc to, Eve otworzyła zestaw podręczny, by wyjąć puszkę Seal-It.

Zabezpieczyła sprayem dłonie i buty, uważnie rozglądając się wkoło.

W tej części nowojorskiego East Side 'u panowała cisza i spokój – przynajmniej o tej porze. Większość okien mieszkań i wystaw była ciemna, wszystko pozamykane, nawet bary. Może kilka lokali nadal działało, ale znajdowały się za daleko od tego miejsca, by szukać w nich świadków wydarzenia.

Wypytała okolicznych mieszkańców, chociaż mało prawdopodobne, by znaleźli kogoś, kto widział, co się tutaj stało. Z uwagi na przenikliwy ziąb, bo rok dwa tysiące sześćdziesiąty najwyraźniej postanowił wziąć świat w lodowaty uścisk, większość ludzi wolała siedzieć w domowych pieleszach, rozkoszując się ciepłkiem.

Tak, jak ona. Spała, tuląc się do męża, kiedy otrzymała wezwanie.

Ale taki już los gliniarzy, pomyślała, a w przypadku Roarke'a – tych, którzy poślubili funkcjonariusza policji.

Zabezpieczywszy dłonie i buty, zeszła po schodkach, najpierw uważnie obejrzała drzwi do mieszkania, a potem przykucnęła obok zwłok.

Tak, czterdzieści kilka lat, jasnobrązowe włosy zebrane do tyłu i spięte. Niewielki siniak na prawym policzku, odrobina zaschniętej krwi na rozciętej wardze. Uszy miała przekłute, więc jeśli nosiła kolczyki, zabójca ich nie wyrwał, tylko zdjął, choć wymagało to nieco zachodu.

Uniósłszy rękę denatki, Dallas zobaczyła otartą skórę na dłoni. Jakby uprawiała seks na szorstkim dywanie, pomyślała Eve, nim przytknęła prawy kciuk ofiary do urządzenia, ustalającego tożsamość.

Marta Dickenson, odczytała. Kobieta rasy mieszanej, lat czterdzieści sześć. Zameżna, mąż Denzel Dickenson, dwoje dzieci, mieszkanka Upper East Side. Zatrudniona w biurze księgowym Brewer, Kyle i Martini, mieszczącym się osiem przecznic stąd.

Kiedy wyjmowała przyrządy pomiarowe, jej krótkie, brązowe włosy zatrzepotały na wietrze. Nie pomyślała, by wcisnąć czapkę na głowę. Oczy Eve, prawie tego samego koloru co włosy, pozostały zimne i obojętne. Nie myślała o mężu, dzieciach, przyjaciółach denatki. Jeszcze nie. Na razie skupiła się na zwłokach, ich ułożeniu, miejscu wydarzenia, godzinie zgonu, który nastąpił o dwudziestą drugą pięćdziesiąt.

Co robiłaś, Marto, kilka przecznic od biura i od domu w lodowatą, listopadową noc?

Eve oświetliła latarką spodnie kobiety i dostrzegła na czarnej tkaninie niebieskie włókna. Ostrożnie ujęła pęsetą dwie nitki, umieściła je w torebce i zostawiła znacznik dla techników kryminalnych, by zbadali spodnie.

Usłyszawszy nad głową głos Peabody i odpowiedź policjantki, Eve się wyprostowała. Jej skórzany płaszcz załopotał, kiedy odwróciła się, żeby popatrzeć na swoją partnerkę, która okutana po czubek nosa ciężkim krokiem schodziła ze schodów.

Delia pomyślała o nakryciu głowy i nie zapomniała rękawiczek. Różowa – landrynkowo różowa – czapka narciarska z małym, subtelnym pomponem zakrywała jej ciemne włosy i całe czoło, aż po brwi. Szyję kilkakrotnie owinęła kolobrowym szalikiem. Do tego śliwkowy puchowy płaszcz i różowe kowbojki. Eve zaczynała podejrzewać, że Peabody nie zdejmuje ich, nawet kiedy kładzie się spać.

– Jak możesz w ogóle się poruszać taka okutana?

– Jakoś dotarłam do stacji metra, a potem ze stacji metra tutaj, ale przynajmniej nie zmarłam. Jezu – powiedziała ze współczuciem. – Nie ma nawet płaszcza!

– Raczej nie narzeka. Marta Dickenson – zaczęła Eve i zapoznała Delię z istotnymi faktami.

– Kawał drogi od jej biura i miejsca zamieszkania. Może wracała z pracy do domu, ale dlaczego nie skorzystała z metra, szczególnie w taki wieczór?

– Oto jest pytanie. W lokalu trwa remont. Nikt tu nie mieszka. Bardzo na rękę, prawda? Jeśli dodać do tego, że leży wciśnięta w kącie, nikt nie powinien jej znaleźć do rana.

– Dlaczego bandzirowi miałyby na tym zależeć?

– To kolejne pytanie. Jeśli mu na tym zależało, to skąd wiedział, że mieszkanie stoi puste?

– Mieszka w okolicy? – odpowiedziała Peabody, myśląc na głos. – Należy do ekipy remontowej?

– Być może. Obejrzymy sobie mieszkanie, ale najpierw porozmawiamy z tymi, którzy zadzwonili pod dziewięćset jedenaście. Wezwij lekarza sądowego.

– I techników?

– Na razie jeszcze nie.

Eve weszła na schody i skierowała się do radiowozu. Kiedy dawała znak gliniarzowi, siedzącemu przy kierownicy, ze środka wysiadł mężczyzna, zajmujący miejsce na tylnym siedzeniu.

– Pani tu dowodzi? – spytał szybko, wyraźnie zdenerwowany.

– Porucznik Dallas. Czy pan Whitestone?

– Tak, to ja.

– To pan zawiadomił policję.

– Tak. Tak. Jak tylko znaleźliśmy... Ją. Była... Byliśmy...

– Pan jest właścicielem tego mieszkania?

– Tak. – Przystojny trzydziestolatek wziął głęboki oddech. Kiedy znów się odezwał, był bardziej opanowany, nie mówił już tak szybko. – Budynek należy do mnie i moich dwóch współników. Na drugim i trzecim piętrze jest osiem mieszkań.

Spojrzał w górę. Też był z gołą głową, stwierdziła Eve, miał na sobie czarny, wełniany płaszcz i szalik w czerwono-czarne pasy.

– Jestem też wyłącznym właścicielem lokalu na dole – ciągnął Whitestone. – Przeprowadzamy remont, chcemy na parterze i pierwszym piętrze urządzić siedzibę firmy.

– Czym się zajmuje pańska firma?

– Doradztwem finansowym. WIN Group. Whitestone, Ingersol i Newton. W-I-N.

– Rozumiem.

– Zamierzałem zamieszkać na dole. Przynajmniej taki miałem plan. Nie...

– Może mi pan powie, jak pan spędził dzisiejszy wieczór – poprosiła go Eve.

– Brad?

– Zostań w samochodzie, Alvo.

– Nie mogę dłużej siedzieć. – Z radiowozu wysiadła szczupła blondynka owinięta w naturalne futro, na nogach miała skórzane, sięgające ud botki na wysokich, cienkich obcasach. Uczepiła się ramienia Whitestone'a.

Ładna z nich para, pomyślała Eve. Oboje urodziwi, eleganccy, wyraźnie wstrząśnięci.

– Porucznik Dallas. – Alva wyciągnęła rękę. – Nie pamięta mnie pani?

– Nie.

– Wiosną spotkałyśmy się na bankiecie. Jestem jedną z członkiń komitetu Big Apple Gala. Nieważne – rzuciła, kręcąc głową. Wiatr rozwiewał długie włosy Alvy. – To straszne. Biedaczka. Nawet zabrali jej płaszcz. Nie wiem, dlaczego tak bardzo się tym przejmuję, ale według mnie to okrucieństwo.

– Czy któreś z państwa dotykało zwłok?

– Nie – zaprzeczył Whitestone. – Zjedliśmy kolację, a potem poszliśmy się czegoś napić do Key Club, dwie przecznicę stąd. Opowiadałem Alvie o naszym nowym przedsięwzięciu, zainteresowała się, więc przyszliśmy tu, żebyśmy mógł ją oprowadzić. Moje mieszkanie jest prawie gotowe, więc... Wyjmowałem klucz, już miałem wstukać kod, kiedy Alva krzyknęła. Nawet nie zauważyłem tej kobiety, pani porucznik. Nie widziałem jej, póki Alva nie krzyknęła.

– Leżała w kącie – dopowiedziała jego towarzyszka. – W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakaś bezdomna. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że... Dopiero później oboje się zorientowaliśmy.

Przytuliła się do Whitestone'a, a ten objął ją w pasie.

– Nie dotykaliśmy jej – dodał. – Podszedłem bliżej, ale widziałem... Wiedziałem, że nie żyje.

– Brad chciał, żebyśmy weszła do środka, bo tam ciepło, ale nie mogłam. Nie mogłabym czekać w środku, wiedząc, że ona tu leży na zimnie. Policja przyjechała bardzo szybko.

– Pani Whitestone, potrzebna mi będzie lista nazwisk pańskich współników i osób zatrudnionych przy remoncie budynku.

– Naturalnie.

– Jak tylko przekaże pan mojej partnerce te informacje oraz poda, jak można się z panem kontaktować, mogą państwo wrócić do domu.

– Jesteśmy wolni? – spytała ją Alva.

– Na razie tak. Potrzebna mi pańska zgoda na wejście do mieszkania i do budynku.

– Jasne. Daję pani wolną rękę. Mam klucze i kody... – zaczął.

– Mam klucz uniwersalny. Jeśli będą jakieś problemy, powiadomię pana.

– Pani porucznik? – zawołała za nią Alva, gdy Eve się odwróciła, zamierzając odejść.

– Kiedy panią poznałam, myślałam, że pani zawód jest na swój sposób fascynujący. Weźmy chociażby sprawę Icové'ów. To będzie prawdziwy hit filmowy. Uważałam, że ma pani bardzo ciekawą pracę. Ale się myliłam. – Alva spojrzała w kierunku schodów. – To ciężkie i przynębiające zajęcie.

– Praca jak każda inna – odparła Eve i skierowała się do schodów. – Zaczekamy do rana z przepytaniem okolicznych mieszkańców – zwróciła się do Turney. – Ludzie zbyt wiele nam nie powiedzą, kiedy ich wyrwiemy ze snu o takiej porze. Nie tylko mieszkanie, ale cały budynek jest pusty. Dopilnujcie, żeby świadkowie dotarli tam, dokąd chcą się udać. Z jakiego jesteście posterunku, Turney?

– Ze sto trzydziestego szóstego.

– A kto jest waszym przełożonym?

– Sierżant Gonzales, pani porucznik.

– Jeśli chcecie wziąć udział w przepytywaniu okolicznych mieszkańców, załatwię to z waszym szefem. Bądźcie tu o siódmej trzydzieści.

– Tak jest! – Tamta niemal zasalutowała.

Lekko rozbawiona Eve zbiegła po schodach, wstukała kod, otworzyła drzwi i weszła do mieszkania w suterenie.

– Włączyć światła na pełną moc – poleciała i ucieszyła się, kiedy się zapaliły.

Pomieszczenie dzienne, jak się domyślała, bo brakowało jeszcze mebli, było bardzo przestronne. Ściany – tam, gdzie je pomalowano – błyszcząły jak świeżo opieczona grzanka, podłoga – tam, gdzie nie przykrywał jej brezent – połyskiwała, polakierowana na ciemno. Materiały budowlane i całą resztę rzeczy ustawiono starannie w kątach pomieszczenia, co świadczyło, że prace remontowe jeszcze trwały.

Prowadzono je schludnie i sprawnie, przypuszczalnie zwracano uwagę na najdrobniejsze szczegóły.

Dlaczego więc jedna płachta brezentu, w przeciwieństwie do pozostałych, leżała pofałdowana, ukazując szeroki pas błyszczącej podłogi?

– Jakby ktoś się na niej poślizgnął albo z kimś szarpał – powiedziała Eve, kierując się w tamtą stronę. Zaczekała, aż kamera zarejestruje szerokość i długość odsłoniętego fragmentu podłogi, a potem się pochyliła, żeby naciągnąć brezent.

– Dużo plam farby, ale...

Ukucnęła, wyciągnęła latarkę i oświetliła brezent.

– To mi wygląda na krew. Kilka kropli krwi.

Otworzyła torbę, pobrała małą próbkę, a potem zaznaczyła to miejsce do zbadania przez techników.

Przeszła do kuchni, przypominającej kambuz, lśniącej i błyszczącej pod płachtami brezentu.

Akurat kiedy skończyła pierwsze oględziny głównej sypialni i łazienki oraz drugiej sypialni lub gabinetu i łazienki, pojawiła się Peabody.

– Zebrałam wstępne informacje o świadkach – zameldowała. – Kobieta jest dziana. Nie tak, jak Roarke, ale stać ją na takie futro i te naprawdę odlotowe kozaki.

– Taa... to widać.

– Jemu też nieźle się powodzi. Odziedziczył majątek po rodzicach i nadal go pomnaża. Dziesięć lat temu zatrzymany za zakłócanie porządku publicznego pod wpływem alkoholu. Jej największym grzechem jest przekraczanie dozwolonej prędkości. Ma na swoim koncie masę mandatów za zbyt szybką jazdę, głównie na trasie do swojego domu w Hamptons.

– Wiesz, jak to jest, kiedy chce się dotrzeć do Hamptons. Co tu widzisz, Peabody?

– Naprawdę dobra robota, przywiązywanie uwagi do wszystkich szczegółów, dobrze wydane pieniądze i wystarczająco zasobne kieszenie, by móc wynagrodzić dobrą robotę i przywiązywanie uwagi do wszystkich szczegółów. I... – Uwalniając się częściowo od długąsnego szala, Peabody podeszła do miejsca zaznaczonego przez Eve. – Coś, co mi wygląda na krew na brezencie.

– Brezent był pofałdowany, jak dywan, kiedy ktoś się na nim poślizgnie. Pozostałe płachty leżą równiutko.

– Na placu budowy dochodzi do wypadków. Może się połać krew. Ale...

– Tak, ale. Krew na brezencie i trup za drzwiami. Ofiara ma przeciętą wargę

i zaschniętą krew. Nie jest jej dużo, więc ktoś mógł nawet nie zauważyć, że kilka kropli skapnęło na brezent. Szczególnie kiedy płachta była pofałdowana.

– Zaciągnęli ją tutaj? – Peabody zmarszczyła czoło i spojrzała na drzwi. – Nie widziałam żadnych śladów włamania, ale przyjrzę się jeszcze raz.

– Nie włamali się. Może posłużyli się wytrychem, ale to wymaga czasu. Bardziej prawdopodobne, że znali kod albo mieli cholernie dobry czytnik.

– Jeśli to wszystko uwzględnić, nie był to zwykły napad rabunkowy.

– No właśnie. Zabójca nie wydaje się zbyt rozgarnięty. Skoro był na tyle silny, by skrócić jej kark, dlaczego ją uderzył? Ofiara ma siniak na prawym policzku i rozciętą wargę.

– Wymierzył jej lewy prosty.

– Nie wydaje mi się, że to lewy prosty. To byłby naprawdę szczyt głupoty. Raczej cios na odlew. Facet policzkuje kobietę tylko wtedy, kiedy chce ją upokorzyć. Uderza pięścią, jak jest wkurzony, pijany albo ma w nosie, że może jej zrobić krzywdę, doprowadzić do rozlewu krwi. Wali na odlew, kiedy chce sprawić ból i zastraszyć. A to mi wygląda na cios na odlew – uderzył kłykciami w kość policzkową.

Eve oberwała wystarczająco wiele razy, by to wiedzieć.

– Sprawca jest wystarczająco rozgarnięty i opanowany, żeby jej nie okładać pięściami, nie zmasakrować – ciągnęła – ale niewystarczająco rozgarnięty, by nie zostawić żadnych śladów. Niewystarczająco rozgarnięty, żeby zabrać ze sobą brezent. Ofiara ma otartą skórę prawej dłoni, a na spodniach niebieskie włókna. Może pochodzą z dywanika w samochodzie?

– Uważasz, że ktoś ją złapał i wciągnął do samochodu.

– To całkiem możliwe. Trzeba ją było jakoś ściągnąć do tego pustego mieszkania, by móc zrobić to, co zostało zaplanowane. Jest wystarczająco cwany, żeby zabrać jej kosztowności oraz płaszcz, pozorując napad na tle rabunkowym. Ale zostawił jej buty. Porządne, wyglądają na prawie nowe. Jaki bandzior zdejmuje ofierze płaszcz, a zostawia jej buty?

– Jeśli ściągnął ją tutaj, zależało mu, żeby nikt im nie przeszkodził – zauważyła Peabody. – I chciał mieć dużo czasu. Nie wygląda mi to na gwałt. Bo dlaczego miałyby ją potem ubrać?

– Szła do pracy albo właśnie wracała.

– Wracała – potwierdziła Peabody. – Kiedy ją sprawdzałam, ustaliłam, że mąż zadzwonił na policję. Nie wróciła do domu. Pracowała do późna, ale nie wróciła do domu. Tuż przed wyjściem z biura, czyli tuż po dwudziestej drugiej, zadzwoniła do męża.

– Zaalarmował policję, bo żona nie wróciła po pracy do domu?

– Też wydało mi się to trochę dziwne, więc go sprawdziłam. To szanowny pan Denzel Dickenson, młodszy brat sędzi Gennifer Yung.

– Wystarczy. – Eve wzięła głęboki oddech. – Niezły pasztet.

– Też tak uważam.

– Wezwij techników, Peabody, powiedz, że to pilne. Nie zaszkodzi postarać się o dupokrytki, kiedy ma się do czynienia z martwą bratową pani sędzi.

Przeciągnęła dłonią po włosach, zastanawiając się. Zamierzała pojechać do biurowca, w którym pracowała ofiara, pokonać tę samą trasę, co ona, poznać okolicę. A potem wrócić tu przed udaniem się do domu ofiary, by dokładnie obejrzyć miejsce zbrodni, spróbować określić czas i kolejność wydarzeń. Ale w tej sytuacji...

- Pewnie mąż od wielu godzin krąży tam i z powrotem po mieszkaniu. Złożymy mu wizytę i przekazemy złą wiadomość.
- Nienawidzę tego – mruknęła Peabody.
- To może pora, żebyś sobie poszukała innego zajęcia.

*

Dickensonowie zajmowali jeden z czterech apartamentów z ogrodem na dachu na ostatnim piętrze jednego z dostojnych budynków w Upper East Side. Elegancki dom z szarego kamienia i szkła górował nad okolicą, gdzie nianie i osoby, wyprowadzające psy na spacer, niepodzielnie rządziły na chodnikach i w parkach.

Automatyczny nocny strażnik kazał im się przedstawić, co według Eve było równoznaczne z szykanowaniem.

- Porucznik Eve Dallas i detektyw Delia Peabody. – Przysunęła swoją odznakę do ekranu. – Musimy porozmawiać z Denzelem Dickensonem, mieszkającym w apartamencie B.

- Proszę podać, w jakiej sprawie – rozległ się beznamiętny, komputerowo generowany głos.

- To nie twój interes. Zeskanuj odznaki i wpuść nas.

- Przykro mi, ale apartament B jest zabezpieczony na noc. Wejście do budynku i do wszystkich w nim pomieszczeń wymaga zgody administratora bądź lokatora. Chyba, że to nadzwyczajna sytuacja.

- Posłuchaj mnie, ty nedorobiony, mikroprocesorowy mądralo, jesteśmy tu oficjalnie, z ramienia policji. Zeskanuj odznaki i wpuść nas. W przeciwnym razie każę natychmiast sporządzić nakazy aresztowania administratora budynku, szefa zabezpieczeń oraz właścicieli za utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. A ty jeszcze przed wschodem słońca trafisz na złomowisko.

- Nieodpowiedni język stanowi pogwałcenie...

- Nieodpowiedni język? Och, zaraz usłyszysz bardziej nieodpowiedni język. Peabody, skontaktuj się z zastępcą prokuratora Cher Reo i rozpocznij procedurę wystawiania nakazów aresztowania tych, których należy. Przekonamy się, jakie będą mieli miny, kiedy zostaną wywleczeni z łóżek o tej porze, skuci i przewiezieni do komendy głównej, ponieważ ten skomputeryzowany, blaszany bożek nie wpuścił do środka funkcjonariuszy policji.

- Z największą przyjemnością, pani porucznik.

- Proszę przedstawić odznaki do zeskanowania i położyć dłoń na czytniku w celu weryfikacji.

Eve jedną rękę z odznaką uniosła w górę, a drugą położyła na czytniku.

- Otwieraj. Natychmiast.

- Tożsamość zweryfikowana. Zezwalam na wejście na teren budynku.

Eve wpadła do środka, przemaszerowała po czarnej, marmurowej posadzce do wind o błyszczących, białych drzwiach, których po obu stronach strzegły wazy wysokości człowieka, wypełnione po brzegi czerwonymi, ostro zakończonymi kwiatami.

- Proszę zaczekać w holu, aż poinformujemy pana i/lub panią Dickenson o wizycie pań.

- Zamknij się, komputerowy cymbale. – Wsiadła do windy, a Peabody za nią. –

Apartament B – poleciała. – Zrób jakąś uwagę, a przysięgam na Boga, że potraktuję paralizatorem twoją płytę główną.

Kiedy winda bezszelestnie ruszyła w górę, Delia westchnęła, wyraźnie zadowolona.

– Miałam niezły ubaw.

– Nienawidzę, jak urządzenia elektroniczne mnie opierniczają.

– Cóż, prawdę mówiąc, opierniczał cię programista.

– Masz rację. – Eve zmrużyła oczy. – Masz całkowitą rację. Zapisz sobie, żeby to sprawdzić. Chcę wiedzieć, kto zaprogramował tego nadgorliwego robota.

– To może być jeszcze zabawniejsze. – Z twarzy Peabody zniknął wesoły uśmiech, kiedy winda się zatrzymała. – W przeciwieństwie do tego.

Podeszły do drzwi do apartamentu B. Kolejne zabezpieczenia, zauważyła Eve, do tego cholernie dobre. Skaner dłoni, wizjer, kamera. Naciśnęła guzik, żeby uaktywnić system.

– Cześć!

Dzieciak, pomyślała Eve, na chwilę zbита z tropu.

– Tu rodzina Dickensonów.

Rozległy się głosy mężczyzny, kobiety, dziewczynki i chłopca, kiedy wszyscy po kolei się przedstawiali. „ Denzel, Marta, Annabelle, Zack” . A potem szczekanie psa.

– A to Cody – poinformował chłopięcy głos. – Kto tam?

– Ach... – Eve, nie wiedząc, co powiedzieć, machnęła odznaką przed kamerą.

Przysłuchiwała się czerwonemu promieniowi skanera. W chwilę później rozległ się komputerowo generowany głos.

Tożsamość zweryfikowana. Proszę zaczekać chwilę.

I Eve zobaczyła, jak kolor diody zmienia się z czerwonego na zielony.

Otworzył im mężczyzna w granatowych spodniach od dresu, szarej bluzie i znoszonych adidasach. Miał krótko ostrzyżone, lekko kręcone włosy, ciemną, zmęczoną twarz. Oczy koloru gorzkiej czekolady na moment zrobiły się okrągłe, a potem pojawił się w nich strach. Zanim Eve przemówiła, strach zastąpiła rozpacz.

– Nie. Nie. Nie. – Padł na kolana i złapał się za brzuch, jakby mu wymierzyła kopniaka.

Peabody natychmiast pochyliła się nad nim.

– Panie Dickenson.

– Nie – powtórzył, kiedy wbiegł pies wielkości kuca szetlandzkiego. Pies spojrzał na Eve. Przez sekundę rozważała, czy wyciągnąć paralizator. Ale pies tylko zaskowyczał i położył się obok Dickensona.

– Panie Dickenson – powtórzyła Peabody niemal śpiewnym głosem. – Proszę mi pozwolić pomóc panu wstać. Proszę mi pozwolić pomóc panu usiąść na krześle.

– Marta! Nie! Wiem, kim pani jest. Znam panią. Porucznik Dallas. Policjantka od zabójstw. Nie!

Ponieważ współczucie okazało się większe od braku zaufania do wielgachnego psa, Eve przykucnęła.

– Panie Dickenson, musimy porozmawiać.

– Proszę tego nie mówić. Proszę. – Uniósł głowę i z rozpaczą spojrzał Eve w oczy. – Proszę tego nie mówić.

– Bardzo mi przykro.

Rozplakał się. Objął psa ramionami i płakał, kołyszając się i bujając.

Trzeba to było powiedzieć. Nawet kiedy to oczywiste, trzeba powiedzieć, by zostało

zarejestrowane. I, o czym Eve wiedziała, żeby ten człowiek to usłyszał.

– Panie Dickenson, z przykrością zawiadamiam pana, że pańska żona nie żyje. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Marta... Marta... Marta... – powtarzał śpiewnie jak modlitwę.

– Czy chce pan, żebyśmy do kogoś zadzwonili w pana imieniu? – spytała go delikatnie Peabody. – Do siostry? Do sąsiada?

– Jak to się stało? Jak?

– Usiądźmy – powiedziała Eve i wyciągnęła do niego rękę.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, a potem chwycił się jej drżącą dłonią. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. We dwie z trudem pomogły mu wstać. Zatokczył się jak pijany.

– Nie mogę... Co...

– Usiądźmy – powiedziała Peabody, prowadząc go do przestronnego, wygodnie urządzonego pomieszczenia dziennego, pełnego kolorów pokoju, w którym niewątpliwie lubiła przesiadywać rodzina z dziećmi i wielgachnym psem. – Przyniosę panu trochę wody, dobrze? – ciągnęła. – Czy chce pan, żebym zadzwoniła do pańskiej siostry?

– Do Genny? Tak. Proszę zadzwonić do Genny.

– Dobrze. A pan niech tu usiądzie.

Usiadł, a pies natychmiast położył mu na nogach swoje potężne łapy i oparł na kolanach wielki łeb. Kiedy Peabody poszła poszukać kuchni, Dickenson odwrócił się w stronę Eve. Nadal z oczu leciały mu ciurkiem łzy, ale płacz sprawił, że pierwszy szok minął.

– Marta. Gdzie jest Marta?

– Bada ją teraz lekarz sądowy. – Widziała, jak drgnął, lecz mówiła dalej: – Zajmie się nią. Wszyscy się nią zajmimy. Wiem, że panu ciężko, panie Dickenson, ale muszę panu zadać kilka pytań.

– Proszę mi powiedzieć, jak to się stało. Musi mi pani powiedzieć, co się stało. Nie wróciła do domu. Dlaczego nie wróciła do domu?

– Chcę to ustalić. Kiedy po raz ostatni kontaktował się pan z żoną?

– Rozmawialiśmy koło dziesiątej. Została dłużej w pracy, zadzwoniła przed wyjściem z biura. Powiedziałem, żeby skorzystała z samochodu, zadzwoniła po samochód, ale odparła, że niepotrzebnie się martwię. Nie chciałem, żeby szła na stację metra czy też próbowała złapać taksówkę. Dziś wieczorem taki ziąb.

– Czy zadzwoniła po samochód?

– Nie. Tylko się roześmiała. Powiedziała, że spacer do stacji metra dobrze jej zrobi. Prawie przez cały dzień siedziała przy komputerze, poza tym chciała... Chciała... Chciała rzucić dwa kilogramy. O, mój Boże. O, Boże. Co się stało? Czy doszło do nieszczęśliwego wypadku? Nie – odpowiedział sam sobie, kręcąc głową. – Zajmuje się pani zabójstwami. Jest pani z wydziału zabójstw. Ktoś zabił Martę. Ktoś zabił moją żonę, moją Martę. Dlaczego? Dlaczego?

– Czy zna pan kogoś, kto pragnąłby jej śmierci?

– Nie. Nie ma nikogo takiego. Nie ma. Na całym świecie nie miała ani jednego wroga.

Wróciła Delia ze szklanką wody.

– Pańska siostra razem z mężem już tu jadą.

– Dziękuję. Czy to był napad rabunkowy? Nie rozumiem. Jeśli ktoś chciałby jej zabrać torebkę, biżuterię, oddałaby wszystko. Kiedy postanowiliśmy zostać w Nowym

Jorku, obiecałiśmy sobie nawzajem, że nie będziemy głupio ryzykować. Mamy dzieci. – Ręka, w której trzymał szklanke, znów zaczęła mu drżeć. – Dzieci. Co ja powiem dzieciom? Jak można coś takiego powiedzieć dzieciom?

– Czy państwa dzieci są w domu? – spytała go Eve.

– Naturalnie. Śpią. Spodziewają się, że kiedy rano wstaną, żeby pójść do szkoły, zobaczą mamę.

– Panie Dickenson, muszę panu zadać to pytanie. Czy przechodzili państwo kryzys małżeński?

– Nie. Jestem prawnikiem, moja siostra jest sędzią wydziału karnego. Wiem, że musi mi się pani dokładnie przyjrzeć. Proszę to zrobić – powiedział, a do oczu znów mu napłynęły łzy. – Proszę mnie sprawdzić. Ale proszę mi powiedzieć, co spotkało moją żonę. Proszę mi powiedzieć, co spotkało Martę.

Eve wiedziała, że nie ma co tego odwlekać. Ani zbytnio się rozwodzić.

– Zwłoki pańskiej żony znaleziono dziś w nocy kilka minut po drugiej u podnóża zewnętrznych schodów w budynku, odległym od jej biura o jakieś osiem przecznic. Doznała złamania kręgow szyjnych.

Wypuścił powietrze z płuc i znów wziął oddech.

– Nie poszłaby tak daleko, nie w nocy, nie sama. I nie spadła, bo nie byłoby tu pani. Czy... Czy została zgwałcona?

– Wstępne oględziny nie wskazują, że był to napad o podłożu seksualnym. Panie Dickenson, czy próbował się pan skontaktować z żoną po waszej ostatniej rozmowie i przed naszym pojawieniem się tutaj?

– Co kilka minut do niej dzwoniłem. Chyba poczynając od wpół do jedenastej. Ale nie odbierała. Nigdy nie pozwalała, żebym tak się martwił, do tego tyle czasu. Wiedziałem... Przepraszam na minutkę. – Niepewnie wstał. – Przepraszam na minutkę – powtórzył i wybiegł z pokoju.

Cody popatrzył za nim, a potem ostrożnie podszedł do Peabody i położył łapę na jej kolanie.

– Czasami jest gorzej niż normalnie – mruknęła i spróbowała go pocieszyć, jak umiała.

Rozdział 2

Eve wstała i przeszła się po pokoju nie tylko, żeby zmniejszyć napięcie, ale również lepiej się wczuć w atmosferę, panującą w mieszkaniu Dickensonów.

Wszędzie stały zdjęcia – głównie całej rodziny – na których widać było ofiarę z mężem, z dziećmi. I same dzieci – ładną, wciąż niewinną dziewczynkę w okresie dojrzewania i pełnego wdzięku chłopca, do którego pasował głos, przedstawiający lokatorów mieszkania.

Wśród dzieł sztuki przeważały pejzaże, widoki morza, wszystkie utrzymane w delikatnych, stonowanych kolorach. Obrazy zrozumiałe dla ludzi, pomyślała Eve. Nic krzykliwego czy nاپuszonego ani wśród dzieł sztuki, ani wśród mebli. Wybrali wygodę i – jak przypuszczała Eve – wystrój przyjazny dzieciom. Może też przyjazny psu. Lub po prostu przyjazny rodzinie.

Ale ze wszystkiego tu biło bogactwo. Samo mieszkanie, chociaż urządzone bez ekstrawagancji, tradycyjnie, warte było majątek.

W kominku – widocznym na jednym ze zdjęć ze skarpetami na prezenty, dziećmi i dużymi, czerwonymi kwiatami, które wszyscy koniecznie chcą mieć na Boże Narodzenie – nadal żarzyły się drwa. Prawdziwy kominek z prawdziwym ogniem. Mąż pilnował, żeby w kominku ogień nie zgasł, pomyślała Eve, i ogarnęła ją kolejna fala współczucia. Z całą ostrością uzmysłowiła sobie, że ani ofierze, ani temu, kto nadal żył, niczego dobrego to nie przyniosło.

– Dużo tu miejsca – powiedziała, żeby przerwać panującą ciszę.

– Potrzebują go przy dwojce dzieci i tym wielkim psisku.

– Tak. Nie zamieszkali na przedmieściu, więc urządzili sobie dom w mieście. Jest radcą prawnym, o ile dobrze pamiętam? – Przypomniała sobie, czego się o nim dowiedziała.

– Tak, jednym ze wspólników w kancelarii Grimes, Dickenson, Harley i Schmidt.

– Dlaczego nadają kancelariom prawniczym właśnie takie nazwy? Czym konkretnie się zajmuje?

Peabody oparła palmtop na wielkim łbie psa.

– Specjalizuje się w nieruchomościach i prawie podatkowym. Tam, gdzie w grę wchodzi duże pieniądze.

– Jak nasz świadek. Ciekawe. Sprawdź, czy istnieje jakieś powiązanie między Dickensonem i jego firmą a Whitestone'em i jego firmą.

– Kancelaria Dickensona zajmuje dwa piętra w... budynku, należącym do Roarke'a. Tym samym, w którym mieści się siedziba główna jego imperium.

– Jeszcze droższa nieruchomość.

– Nie widzę żadnych powiązań między nim a świadkiem, ale może mają wspólnych klientów.

– Założę się, że tak. – Urwała, słysząc, jak otwierają się drzwi frontowe. Odwróciła się.

Do pokoju wpadła sędzia Gennifer Yung. Na widok Eve przystanęła na chwilę i na ułamek sekundy się zgarbiła. Ale zaraz wyprostowała ramiona i przybrała obojętną minę. Podeszła do Eve, wyprzedzając drobnego Azjatę.

– Witam, pani porucznik.

– Pani sędzio Yung, proszę przyjąć wyrazy współczucia.

– Dziękuję. Gdzie mój brat?

– Musiał wyjść na chwilkę.

Sędzia Yung skinęła głową.

– Danielu, przedstawiam ci porucznik Dallas i detektyw Peabody. Mój mąż, doktor Yung.

– Dzieci – odezwał się doktor Yung. – Czy już wiedzą?

– Śpią. Nie sądzę, by się domyślały, że stało się coś złego.

Pies zapomniał o Peabody i merdając ogonem, biegał wokół pani sędzi i jej męża.

– Dobrze już, dobrze, Cody. Grzeczny piesek. Siad. Siad.

Sędzia Yung, uderzająco piękna kobieta o gładkiej, brązowej cerze i ciemnych, wyrazistych oczach, znana z tego, że w sali sądowej jest groźna i nieustraszona, położyła dłoń na łbie Cody'ego i go pogłaskała.

– Porozmawiam z Denzelem. Wiem, że ma pani do niego pytania, wiem, że czas jest na wagę złota, ale muszę spędzić kilka chwil z... – Urwała, kiedy pojawił się Dickenson, kompletnie załamany.

– Genny. O, Boże, Genny! Marta!

– Wiem. Wiem, mój drogi. – Podeszła do brata, by go objąć.

– Ktoś skręcił jej kark.

– Słucham? – Sędzia cofnęła się i ujęła jego twarz w obie ręce. – Słucham?

– Powiedziały, że doznała złamania... Dlaczego nie zmusiłem jej, żeby zadzwoniła do firmy przewozowej? Dlaczego sam do nich nie zatelefonowałem i nie kazałem jej przywieźć do domu?

– Ciii... Chodź ze mną. Wyjdziemy na chwilę do drugiego pokoju. Oprzyj się na mnie. Danielu?

– Tak, naturalnie. – Yung odwrócił się w stronę Eve. – Czy napije się pani kawy?

Pomyślała, że dałaby wszystko za filiżankę kawy, ale nie chciała tracić czasu.

– Nie, dziękujemy. Czy był pan w domu, kiedy pański szwagier zadzwonił do pana żony?

– Tak. Dochodziła północ, szalał z niepokoju. Marta nie odbierała telefonu, prawie dwie godziny temu powinna była wrócić do domu. Już się skontaktował z ochroną w jej biurze. Zdaje się, że zarejestrowano, iż opuściła budynek koło dziesiątej. Powiadomił policję, ale jak pani sama wie, niewiele można zrobić, kiedy ktoś nie wróci do domu na czas. Więc zadzwonił do Genny po pomoc.

– Rozumiem, że pani Dickenson nie miała zwyczaju się spóźniać.

– Nigdy się nie spóźniała. Znaczy się, o ile nie uprzedziła Denzela, że będzie później. Nie lubiła go niepotrzebnie martwić, podobnie, jak on jej. Wiedzieliśmy, że musiało się stać coś złego, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że... że coś takiego.

– Jak dobrze pan znał panią Dickenson?

– Przepraszam, czy moglibyśmy usiąść? Bardzo mi ciężko. Nie czuję się... – Opadł na fotel. – Nie czuję się najlepiej.

– Może przynieść panu trochę wody, doktorze Yung?

Rzucił Peabody lekki uśmiech.

– Nie, ale dziękuję, że pani zaproponowała. Zapytała pani, jak dobrze znałem Martę – powiedział, zwracając się do Eve. – Bardzo dobrze. Jesteśmy rodziną, a dla Genny, Denzela... I Marty... Rodzina jest wszystkim. Moja żona zawsze była bardzo blisko związana ze swoim bratem. Dzieci... – Spojrzał na kręte schody. – Martwię się o dzieci.

Są za małe, by stawić czoło czemuś takiemu. Dziś stracą wiele ze swojej niewinności.

Na chwilę zamknął oczy.

– Z pewnością interesuje panią, jak wyglądało małżeństwo Marty i Denzela. Sam jestem mężem prawnika... I sędzi... Od trzydziestu sześciu lat – dodał, a potem westchnął głęboko i złożył ręce. – Wiem, że musi to pani sprawdzić. Mogę powiedzieć, że bardzo się kochali. Dobrze im się żyło, tworzyli szczęśliwą rodzinę. Czy czasami się nie zgadzali ze sobą, a nawet kłócili? Naturalnie, że tak. Ale pracowali razem, pasowali do siebie, tworzyli całość, jeśli można tak powiedzieć. Czasami człowiek ma wielkie szczęście, dokonując wyborów w życiu, spotyka na swej drodze odpowiednich ludzi. Oni mieli wyjątkowe szczęście.

– Zna pan kogoś, komu zależało na jej śmierci albo na sprawieniu cierpienia Denzelowi?

– Nie. – Pokręcił głową. – Naprawdę nikt mi nie przychodzi na myśl. Oboje są szczęśliwi, odnoszą sukcesy w pracy, mają grono oddanych przyjaciół.

– Prawnicy często miewają wrogów – przypomniała mu Eve.

– Podobnie jak sędziowie. Doskonale to rozumiem. Ale Denzel głównie ma do czynienia z prawem majątkowym, podatkowym, finansowym. Nie procesuje się, nie zajmuje prawem karnym ani rodzinnym, co czasem może wywoływać emocje. Ma do czynienia z cyferkami.

– A Marta była księgową.

– Mówili tym samym językiem – powiedział, uśmiechając się lekko.

– Mieli wspólnych klientów?

– Owszem, czasami. – Wstał, kiedy pojawił się Dickenson.

– Genny parzy kawę. Spytała... Spytała, czy nie zechciałaby pani porozmawiać z nią przez chwilę, pani porucznik.

– Dobrze. – Eve spojrzała na Delię, która dyskretnie skinęła głową.

– Panie Dickenson, czy mogłabym panu zadać jeszcze kilka pytań – odezwała się Peabody, kiedy Dallas ich opuściła.

Eve przeszła przez jeszcze jedno pomieszczenie. Też pełne było kobrowych, wygodnych mebli, skupionych wokół ogromnego ekranu telewizora. Na półkach stały zdjęcia, różne pamiątki, pudełka z pokrywkami.

Dalej znajdował się spory pokój jadalny, na ciemnym stole stał duży, niebieski wazon białych kwiatów, a potem otwarta kuchnia. Szafki z ciemnego drewna, szare blaty, wnęka okienna z miękkimi ławami wokół stołu, gdzie, jak przypuszczała, zwykle siadali do posiłków.

Ładne, małe doniczki tego samego koloru, co wazon, zdobiły parapet drugiego okna. Rosły w nich zioła.

Sędzia Yung stała obok centralnej wyspy, szykując na tacy niebieskie kubki z grubego szkła.

– Mój brat nigdy się z tego nie otrząśnie. Poznali się na studiach. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Początkowo nie pochwalałam ich znajomości. Chciałam, żeby najpierw skończył prawo, zdał egzamin adwokacki, zdobył pozycję, zanim na poważnie z kimś się zwiąże.

Otworzyła szafkę, wyjęła z niej dzbanuszek do śmietanki.

– Jestem dziesięć lat starsza od Denzela i zawsze mu matkowałam, czy tego chciał, czy nie. – Uśmiechnęła się lekko. To jeszcze bardziej podkreśliło jej zaczerwionione oczy. – Ale Marta szybko mnie sobie zjednała. Bardzo ją kochałam. Traktowałam jak

młodszą siostrę.

Do zaczerwienionych oczu znów napłynęły jej łzy, zanim zdążyła się odwrócić. Otworzyła błyszczącą, białą lodówkę, wyjęła z niej pojemniczki śmietanki. Zapanowała nad swoimi emocjami.

– Wstrzymali się z dziećmi i skupili na swoim małżeństwie, karierach, ale kiedy na świat przyszli Annabelle i Zach, myśleli tylko o nich. Postanowili nie pracować razem. Obydwoje kochali to, co robili, więc są spełnieni zawodowo, a czas wolny poświęcają sobie nawzajem i rodzinie. To godna pozazdrosczenia równowaga. Denzel już nigdy jej nie odzyska.

Postawiła na tacy dzbanuszek ze śmietanką, a obok niego miseczkę wypełnioną kostkami cukru.

– Nie mówię pani tego bez powodu – ciągnęła, kiedy Eve powstrzymała się od komentarza. – Wiem, że musi pani dokładnie się przyjrzeć mojemu bratu. Małżonek zawsze jest pierwszym podejrzanym. Przekażę pani listę ich przyjaciół, sąsiadów, współpracowników i przełożonych. Niani, ekipy sprzątającej. Wszystkich, których pani musi czy zechce przesłuchać.

– Dziękuję. Potrzebny nam będzie telefon, z którego kontaktował się z żoną, chcemy też rzucić okiem na pozostały sprzęt elektroniczny i telekomunikacyjny. Zyskamy na czasie, jeśli otrzymamy zgodę na przeszukanie mieszkania, samochodów, a także biura pana Dickensona.

– Da wam zgodę. Zrobi wszystko, o co go poprosicie. Ale żeby sprawa była absolutnie czysta, nie mogę sama wydać nakazu. Zwrócę się do innego sędziego, żeby go sporządził i podpisał. To nie powinno wyjść ode mnie. Mam tylko jedną prośbę: żeby przeszukała pani mieszkanie pod nieobecność dzieci. Poproszę Denzela, by przywiózł je do mnie na cały dzień.

– Nie ma sprawy.

– Proszę mi powiedzieć, co pani wie.

– Wie pani, że w tej chwili nie mogę ujawnić żadnych szczegółów. Mogę jedynie powiedzieć, że wygląda to na napad rabunkowy. Przypuszczam, że miała przy sobie torebkę, może również teczkę.

– Najprawdopodobniej jedno i drugie. Torbę na ramię, z brązowej skóry, ze srebrnym wykończeniem. Prezent od Denzela, kiedy pięć lat temu awansowała. Zawsze nosiła na palcu obrączkę ślubną. A także bransoletkę z białego złota z wygrawerowanymi sercami. I zegarek na rękę, który dostała ode mnie i Denzela na czterdzieste urodziny. I bransoletka, i zegarek są ubezpieczone. Możemy pani przedstawić ich zdjęcia i dokładny opis.

– To nam bardzo pomoże.

– Zechce pani zapoznać się z ich sytuacją finansową. Mają osobne konta bankowe, lecz większość majątku jest wspólna. Przekażemy pani wszystkie informacje na ten temat. Wie pani, że Denzel nie zabił Marty.

– Pani sędzio...

– Musi pani zrobić, co do pani należy, musi pani dokładnie sprawdzić Denzela, zanim go pani skreśli z listy podejrzanych. Ale wie pani, że jest niewinny. Jest pani inteligentna, podejrzliwa i według mnie obdarzona dużą intuicją. Nie muszę pani prosić, żeby zrobiła pani dla Marty wszystko, bo i bez tego robi to pani.

Kiedy głos jej zadrzał, umilkła na chwilę, przycisnęła palce do powiek i wzięła kilka głębokich oddechów.

– Nie tak dawno temu – odezwała się – powiedziałam w żartach Danielowi, że robiąc to, co robimy, czasami musimy bagatelizować ryzyko, grożące tym, których kochamy i o których się martwimy. Zażartowałam sobie, że gdyby któryś z łobuzów, skazanych przeze mnie, spełnił swoją groźbę i mnie zabił, Daniel ma się postarać, żeby to pani kierowała śledztwem w sprawie mojej śmierci. „Załatw mi Eve Dallas”, poprosiłam go. I oświadczam teraz pani, że gdyby nie przydzielono pani sprawy Marty, pociągnęłabym za wszystkie sznurki, żeby wyznaczono panią do kierowania tym dochodzeniem. Chcę, żeby razem z detektyw Peabody odnalazła pani tego, kto to zrobił, kto zabił tę cudowną kobietę, kto odebrał ją mojemu bratu i dzieciom. Nam. O, Boże.

Na chwilę się załamała, ukryła twarz w dłoniach, jej ciałem wstrząsały dreszcze.

– O, Boże. Muszę zrobić to, co trzeba, po kolei, jak długo będzie trzeba. To wszystko.

Opuściła ręce, z wyraźnym trudem zapanowawszy nad uczuciami.

– Jeśli Morris nie przeprowadza sekcji jej... zwłok, co zwykle robi w sprawach, które pani prowadzi, proszę, żeby pani zleciła to właśnie jemu. Zrobi to pani?

– Tak. Dopilnuję tego.

– W takim razie Marta znajdzie się w najlepszych rękach. To na razie wszystko, o co proszę.

– Wie pani, jaki płaszcz miała na sobie bratowa?

– Słucham?

– Znaleźliśmy ją bez płaszcza. Uwzględniając temperaturę...

– Dobry Boże. – Sędzia Yung wzięła głęboki oddech i potarła skronie. – W taki dzień włożyłaby długi, szary płaszcz z wełny z czarnymi mankietami i guzikami. I szalik. Zawsze wkłada szalik, ma ich całkiem sporo. Nie jestem pewna, czy wiedziałabym, jaki, nawet gdybym sprawdziła, które są w szafie. Może Denzel pamięta.

– Później go o to zapytamy.

– Muszę teraz wrócić do brata. Dzieci.. – Urwała i westchnęła ciężko. – Dzieci wkrótce się obudzą.

– Zostawimy państwa samych.

– Dziękuję. Przekażę pani wszystko, czego pani potrzebuje, najszybciej, jak to tylko możliwe. Jeśli będzie pani potrzebowała jeszcze czegoś, proszę się ze mną skontaktować.

*

Kiedy znów się znalazły na ulicy, Peabody przycisnęła palce do powiek tak, jak to zrobiła sędzia Yung.

– Było prawie tak okropnie, jak należało się spodziewać.

– Będzie jeszcze gorzej, jak się obudzą dzieciaki. – Eve wręczyła Peabody torbę na dowody, w której był telefon Denzela. – Podrzucę cię do komendy. Zadzwoni do McNaba i powiedz mu, żeby natychmiast stawił się w pracy. Chcę, żeby zbadał ten aparat telefoniczny.

Mówiąc to, otworzyła drzwiczki samochodu i usiadła za kierownicą.

– Poprosiłam, żeby Harpo – samozwańcza królowa od analizy włosów i włókien – zbadała nitki, znalezione na spodniach ofiary. Spytałam, co ustaliła. Sędzia Yung postara się o nakaz rewizji mieszkania, samochodów, biur. Niech zajmą się tym detektywi Carmichael i Santiago, jak tylko otrzymamy nakazy. Ale mają się upewnić, że nikogo

z rodziny nie ma w domu. Pan Dickenson ma pojechać z dziećmi do siostry.

Ruszyła, kierując się do centrum.

– Chcę, żeby Carmichael zebrała ekipę, która wypyta okolicznych mieszkańców. O siódmej trzydzieści Turney zamelduje się na miejscu zabójstwa. Skontaktuj się z sierżantem Gonzalesem z komisariatu sto trzydzieści sześć i powiedz mu, że chcę, by przydzielił Turney do śledztwa.

– Chcesz pracować ze zwykłą policjantką?

– Chcę pracować z Turney. Odznacza się dobrą intuicją. Ma w sobie coś z Peabody.

– Naprawdę? – Delia nadeła się jak paw, ale po chwili się nadała. – Czy jest...

– Nawet nie myśl o tym, by spytać, czy ma mniejszy tyłek, ładniejszą buzię, silniejszy cios czy co tam jeszcze ci przyjdzie do głowy. Wykonać polecenie!

– Wcale nie myślałam o jej tyłku – mruknęła Peabody. – Dopiero teraz zaczęłam o tym myśleć.

– Chcę, żeby informatycy zajęli się sprzętem elektronicznym. Jak tylko otrzymamy informacje z firmy ubezpieczeniowej, trzeba przystąpić do szukania tego, co miała przy sobie – obrączki ślubnej, zegarka, płaszcz, bransoletki. Później porozmawiamy jeszcze raz z mężem, przekonamy się, czy pamięta, jakie miała kolczyki i szal, który według Yung zawsze wkładała. Podczas pierwszej rozmowy nie powiedziałby nam dużo więcej. Przystąp do sprawdzania ich miejsc pracy. Szukaj wszystkiego, co łączy je ze sobą, a także z firmą Whitestone'a. Z pewnością coś znajdziesz. Jeśli to przypadkowe zabójstwo, to jestem siostrą Świętego Mikołaja

– Wujkiem.

– Co?

– Wujkiem Świętego Mikołaja. I zanim zapytasz: nie, nie wiem, dlaczego akurat wujkiem, bo właściwie, uwzględniając płeć, mogłabyś być i ciotką.

– A co mnie to obchodzi?

– No właśnie.

Eve rzuciła Peabody zdziwione spojrzenie i zakreśliła, przejeżdżając przez miasto. Gładko i szybko pokonywała kolejne skrzyżowania – było za wcześnie, by piosi tłoczyli się na chodnikach i przejściach, za późno na taksówki, odwożące do domu miłośników imprez i nocnych klubów.

Ominęła Times Square, gdzie o każdej porze można się natknąć na amatorów zabaw, a potem wyprzedziła autobus, pełen zaspanych pasażerów jadących do pracy albo z niej wracających.

– Ktoś ją porwał, i to w pobliżu jej miejsca pracy. Albo czekali w taksówce, a potem podjechali i wciągnęli ofiarę do środka. Zabrali ją do tego pustego mieszkania, bo wiedzieli, że jest puste. Albo mieli kody, albo są cholernie dobrzy w ich łamaniu. Trochę jej przyłożyli.

– Według ciebie prawy prosty i na odlew.

– Tak, na to mi wygląda. Mocny cios w policzek jest bardzo bolesny. Upadła, śmiertelnie się przestraszyła. Zbyt duże obrażenia jak na spoliczkowanie, za słabe, jak na solidne manto.

Przypomniała sobie wygląd twarzy ofiary.

– Prawdopodobnie uderzono ją kilka razy. Morris nam powie, czy została potraktowana paralizatorem albo uspiona, ale założę się, że nie. Chcieli, żeby wyglądało to na napad rabunkowy. Wiedzieli, że jeśli ją ogłuszą albo uspią, zaczniemy głębiej kopać. Wciągnęli ją do samochodu, zawieźli do mieszkania, gdzie mieli pewność, że nikt

im nie przeszkodzi.

– Ale dlaczego? Jeśli w taki sposób chcieli się zemścić na Yung, to wybrali sobie dość okrutną drogę. Owszem, są spokrewnieni, ale obraliby sobie na cel samą Yung, jej męża, jedno z jej dzieci czy wnuków. Skoro o tym mowa, ma dwie córki. I obie urodziły jej po wnuku.

– To nie zemsta na sędzi. – Eve rozważała tę teorię, analizowała i odrzuciła. – Wtedy spuściliby jej porządne manto, żeby było wiadomo, że chodzi o zemstę. I zgadzam się, obraliby sobie na cel kogoś bliższego niż bratową. Może chcą wyrzucić presję na jej mężu, ale jeśli dopadli ją, prawdopodobnie mogliby dopaść i jego. I wywieraliby większą presję, gdyby pozostawili ją przy życiu. Może chodzi o jakąś informację o kliencie. Znała wiele poufnych danych na temat finansów, podatków i tym podobnych. Wiedzieli, że pracowała do późna, czyli że ją śledzili albo mieli wtyczkę w biurze... Bądź pracują razem z nią.

Zatrzymała się przed komendą.

– Jadę się spotkać z Morrisem. Jak tylko biuro, które ją zatrudniało, rozpocznie pracę, porozmawiamy z jej przełożonymi, współpracownikami. Chcę dostać listę jej klientów, akta bieżących spraw. Jej i jej męża.

– Czyli w grę wchodzi pieniądze.

– Nigdy nie można tego wykluczyć. Bierz się do roboty.

– Tak jest.

Eve ruszyła, spojrzała na zegarek, a potem skorzystała z telefonu w aucie, by zadzwonić do Roarke'a. Mimo bardzo wczesnej pory wiedziała, że jest na nogach od co najmniej godziny i prawdopodobnie zdążył już kupić jakiś mniejszy układ słoneczny.

– Witam moją panią porucznik.

Na wyświetlaczu na desce rozdzielczej zobaczyła jego oszałamiająco niebieskie, czujne oczy, osadzone w twarzy, którą stworzył Bóg, kiedy był w wyjątkowo dobrym humorze. Ponieważ związał z tyłu jedwabiste, czarne włosy, wiedziała, że pracował.

– Pomyślałam sobie, że powinnam cię poinformować, że nie wrócę do domu.

– Domyśliłem się tego – powiedział głosem, w którym można było usłyszeć irlandzki akcent. – Zjedz coś.

– Chyba wstrzymam się z jedzeniem, aż wrócę z kostnicy. W ich automatach nie można kupić nic porządnego.

– Widzę, że sprawa jest poważna.

– Zabójstwo nigdy nie jest przyjemne, chociaż tym razem nie było zbyt wiele krwi. Ale... Ofiarą jest matka dwojga dzieci; mąż kompletnie się załamał, kiedy mu powiedziałam, co się stało. Dobrze sytuowana rodzina z Upper East Side, oboje zajmują się finansami, mieszkają w dużym apartamencie. Ale bez żadnych fajerwerków. Przytulnie, wszędzie zdjęcia dzieci. Była bratową sędzi Yung.

– Sędzi Yung?

– Z wydziału karnego. Jednej z najlepszych, jakie znam. – Przy nim mogła sobie pozwolić na okazanie odrobiny współczucia. – Trudno było oddychać w ich mieszkaniu, powietrze przepełniała miłość i rozpacz.

– Trudno być kimś, kto nie ma wyboru, tylko musi przynosić złe wieści.

– To należy do moich obowiązków, ale jak powiedziała Peabody, czasami bywa to trudniejsze niż zwykle. To był ten raz, kiedy było trudniej. Yung chce mi maksymalnie ułatwić śledztwo, załatwi nakazy rewizji, otrzymam wszystkie informacje, dostęp do wszystkiego.

– A jednak...

– Nie zmienia to faktu, że nie żyje matka dwojga dzieci, która miała naprawdę szczęśliwą rodzinę. Mniejsza o to. Co wiesz o firmie Brewer, Kyle i Martini?

– Ach... Głównie zajmują się rachunkowością firm albo służą tym, którzy mają tyle pieniędzy, co przeciętna firma.

– Ale ty nie korzystasz z ich usług?

– Nie. Lecz gdybym postanowił coś zmienić w tym względzie, poważnie rozważyłbym ich kandydaturę. Od lat cieszą się dobrą opinią. To miejsce pracy ofiary czy jej męża?

– Ofiary. Mąż jest prawnikiem w kancelarii Grimes, Dickenson, Harley i Schmidt. Jest tym Dickensonem. Specjalizuje się w prawie majątkowym i finansowym.

– Nie znam ich, ale mogę spróbować czegoś się dowiedzieć.

– Nie powinno to być trudne. Mają swoje biura w budynku, w którym mieści się główna siedziba Roarke Industries.

– To rzeczywiście bardzo ułatwia zadanie.

– Jeśli znajdziesz chwilę... Jak dobrze mieć pod ręką kogoś, kto zna się na finansach. Jeszcze jedno. WIN Group – inwestycje, zarządzanie finansami i tym podobne.

– Nic mi się nie kojarzy, ale z łatwością mogę zdobyć informacje. Jaki mają związek ze sprawą?

– Bradley Whitestone – od W w nazwie firmy – znalazł zwłoki przed swoim właśnie remontowanym mieszkaniem dziś nad ranem, kiedy pojawił się tam z kobietą, którą miał nadzieję przelecieć. Twierdzi, że poznaliśmy się na jakiejś gali. Alva Moonie.

– Z nowojorskich Moonie. Długi rodowód, od zawsze mieli pieniądze. Działają w żegludze, to znaczy budują statki, przewożą nimi towary i ludzi. Nie znam jej osobiście, ale mogę ci powiedzieć, że jeszcze kilka lat temu była znana z tego, że oddawała się wyłącznie balangom, długim podróżom, zakupom, pijaństwu, narkotynom i seksowi.

– Wyglądała na bogatą – przypomniała sobie Eve. – Ale nie na kogoś, kto prowadzi hulaszczę życie.

– Zdaje mi się, że obecnie projektuje albo pomaga projektować wystrój statków wycieczkowych i zajmuje się działalnością, nienastawioną na zysk. Czy jest podejrzana?

– W tej chwili znajduje się na samym dole listy podejrzanych, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Ty to wiesz – poprawił ją. – Albo się dowiesz. Jak zginęła ta twoja matka dwojga dzieci?

– Ktoś skrzył jej kark. Chyba że Morris ustali coś innego – dodała Eve, zatrzymując się przed kostnicą. – Zamierzam z nim porozmawiać. Do zobaczenia wieczorem.

– Zjedz coś – przypomniał jej.

– Dobra, dobra. – Ale uśmiechnęła się do niego szeroko, zanim się rozłączyła.

Czasami człowiek ma szczęście, pomyślała, przypomniawszy sobie słowa Daniela Yunga. Ona miała wyjątkowy fart, kiedy poznała Roarke'a, mężczyznę, który ją rozumiał, a przy tym tak bardzo kochał.

Ale czasami, pomyślała, idąc długim, białym tunelem do kostnicy, szczęście nie trwa wiecznie, jak w przypadku Marty i Denzela Dickensonów.

Zbyt wcześnie na nową zmianę, myślała, kiedy jej kroki odbijały się echem w tunelu. Pracownicy na dyżurze albo zajmowali się ofiarami, przywiezionymi w nocy, albo pracą papierkową, siedząc przy biurkach, albo robili w laboratoriach z częściami ciała to, o czym Dallas nie miała specjalnej ochoty myśleć.

Zatrzymała się przed automatem z napojami, ale odrzuciła pomysł wzięcia tego, co tu uchodziło za kawę. Kupiła sobie puszkę pepsi i zapewniwszy organizmowi dawkę kofeiny, skierowała się tam, gdzie pracował Morris.

Jeśli go nie powiadomiono i nie ściągnięto do kostnicy, zadzwoni do niego i przekaże mu prośbę sędzi Yung.

Ale kiedy weszła przez podwójne drzwi, dobiegły ją dźwięki muzyki – płaczliwy saksofon, łzawa gitara basowa. Na stole prosektoryjnym leżały zwłoki Marty Dickenson, rozcięte na kształt litery Y. Morris ostrożnie wyjął jej serce, by je zważyć. Spojrzał na Eve, jego ciemne oczy wydawały się wielkie za mikrogoglami.

– Nasz dzień się zaczął, kiedy jej się zakończył.

– Pracowała po godzinach w biurze. Jej dzień nie zakończył się najlepiej.

– Ma dzieci. Sprawdziłem, czy jej nie zgwałcono. Nie stwierdziłem śladów napaści na tle seksualnym, ale wiem, że urodziła przynajmniej jedno dziecko.

– Dwoje.

Skinął głową, nie przestając pracować. Pod ochronnym fartuchem miał idealnie skrojony, czekoladowobrązowy garnitur i kremową koszulę. Długie, czarne włosy misternie zaplótł w warkocz.

– Zamierzałam cię tu ściągnąć, gdybyś się nią nie zajmował.

– W tym tygodniu pracuję na nocną zmianę. Nie mogę spać. – Znów spojrzał na Eve. – Jest jakiś szczególny powód, dlaczego chciałaś, żebym to ja przeprowadził jej sekcję zwłok?

– To bratowa sędzi Gennifer Yung.

– Genny?

Eve uniosła brwi.

– Jesteście po imieniu?

– Lubimy ten sam rodzaj muzyki. To żona jej brata? Żona Denzela? Spotkałem go raz, kiedy Genny urządziła u siebie wieczorek muzyczny. Nie znałem jej, ale Genny zawsze bardzo ciepło o niej mówiła.

– Pani sędzia usuwa wszelkie przeszkody z naszej drogi, chce, żebyśmy jak najszybciej mieli dostęp do wszystkiego, co nas może zainteresować.

– Nie podejrzewasz męża?

– Nie, ale trzeba to sprawdzić. Przyczyną śmierci jest złamanie kręków szyjnych?

– Tak. Zrobił to ktoś bardzo silny i z dużą praktyką. Nie doznała złamania w wyniku upadku. W raporcie wyczytałem, że znaleziono ją u podnóża schodów.

– Miały tylko kilka stopni i nie, nie spadła ze schodów. Zostawili tam jej zwłoki, kiedy z nią skończyli, starali się to upozorować na napad rabunkowy, ale im się nie udało.

– Ma kilka drobnych obrażeń. Siniak na twarzy, przeciętą wargę, jedno i drugie od uderzenia ręką, nie pięścią. Niewielkie otarcia wokół ust, na prawym nadgarstku, na obu kolanach i lewym łokciu, na prawej dłoni.

– Kolana i dłonie. Jakby poślizgnęła się na jakimś dywanie lub wykładzinie? – Eve uniosła rękę i zrobiła dłonią ruch przed siebie.

– Skłaniam się ku takiemu wnioskowi. Znalazłem włókna w miejscu otarć. Przekazałem je do laboratorium.

– Niebieskie?

– Tak, takiego samego koloru jak te, które znalazłaś na jej spodniach, jak to zapisałaś w raporcie. Przekazałaś je Harpo, więc te, które wyciągnąłem z otarcia na dłoni, też wysłałem do niej.

– To dobrze.

– Dopiero zacząłem, jeszcze niewiele ustaliłem.

– Są jakieś ślady, że potraktowano ją paralizatorem? Podano środki usypiające?

– Bardzo lekkie ślady od paralizatora tuż nad lewą łopatką.

– Myślałam, że nic takiego nie znajdziesz – mruknęła Eve, wsuwając kciuki w kieszenie spodni, i podeszła bliżej do zwłok. – Jeśli się chce, żeby coś takiego wyglądało na napad rabunkowy, pozostawienie śladów po paralizatorze to naprawdę głupota. Zwykły bandzior nie ma dostępu do paralizatorów, posługuje się pałką. Nad łopatką... – ciągnęła. – Czyli zaatakował ją od tyłu.

– Tak. I sądzę, że siła rażenia była bardzo niewielka. Chciał ją tylko na chwilę unieszkodliwić. Bardzo dokładnie ją zbadam. Wysłałem próbkę krwi do analizy na obecność toksyn. Mogę poprosić, żeby zrobili to na „cito”.

– Nie zaszkodzi. – Eve okrążyła zwłoki, przyglądając im się uważnie. – Zaatakował ją, kiedy wyszła z biurowca, nie w środku, bo mógł się włączyć alarm. Zresztą czemu to robić w środku, po co zostawiać ślady? Można było zasłonić jej usta dłonią, wepchnąć ofiarę do furgonetki. Jeśli posłużono się paralizatorem, może zabójcą jest kobieta albo niski mężczyzna? Bał się, że mu się wyrwie i ucieknie.

– Niewielkie otarcia na kolanach i dłoni sugerują, że przewróciła się na dywanie. W jakimś mieszkaniu?

– Nie było tam wykładziny ani dywanów. Tylko brezent. Beżowy, nie niebieski. Ale może wrzucono ją do pojazdu z dywanikami na podłodze. Ponieważ była oszołomiona paralizatorem, poślizgnęła się i upadła. Może otarcia na kolanach i włókna na spodniach pochodzą z samochodu. Nie prowadzili jej pieszo do odległego o osiem przecznic miejsca, gdzie ją zabil, czyli musieli dysponować jakimś środkiem transportu.

– Harpo powinna ustalić rodzaj wykładziny, jej producenta, numer serii.

– Inaczej straci swoją koronę. Czyli napastnik mógł być jeden – myślała na głos Eve, chodząc wokół stołu. – Ogłuszył ją, wepchnął do furgonetki albo na tylne siedzenie samochodu. Ale ofiara dość szybko odzyskała przytomność. Należało zadbać o to, żeby była cicho, dojechać na miejsce, wyciągnąć ją, otworzyć drzwi. Czyli raczej były dwie osoby, jedna prowadziła auto, druga pilnowała ofiary.

– Duże dłonie – powiedział Morris. – Nie sądzę, żeby ten, kto ją napadł, był mały. Obrażenia na twarzy świadczą, że napastnik miał duże dłonie.

– Dobra. Dobra. – Ogłuszenie Dickenson paralizatorem wydawało się teraz pozbawione sensu, ale nie warto dyskutować z faktami. – Czyli wolał uniknąć ryzyka. Może w ostatniej chwili postanowiono to upozorować na napad rabunkowy. Tak czy owak, zabrali ją do pustego mieszkania w suterenie, z wejściem bezpośrednio z ulicy, brak śladów włamania. Chcieli ją zastraszyć na tyle, by chciała z nimi współpracować, dała im to, czego od niej chcieli, powiedziała wszystko, co wie. Cios na odlew. – Eve zademonstrowała to. – Upada. Stąd siniak na twarzy. Łokciem uderza w podłogę. Kiedy z nią skończyli, a nie trwało to długo, jeden z nich skrzył jej kark. Gołymi rękami?

– Tak, niemal z pewnością, z lewej strony na prawą. Sądząc po otarciach i złamaniu kręgow, z lewej strony na prawą i od tyłu.

– Znowu od tyłu. Jest praworęczny. Silny, ma praktykę. Nie tak łatwo skrzyć człowiekowi kark. Ma doświadczenie, wystarczająco panuje nad sobą, żeby zbytnio jej nie poturbować, ale nie do końca jest zawodowcem. Może wojskowy albo z organizacji paramilitarnej, przyzwyczajony do zabijania na polu walki, gdzie nie trzeba zacierać śladów przed przybyciem gliniarzy. Znalazłam trochę krwi na brezencie

zabezpieczającym podłogę przed pochłapaniem farbą. W mieszkaniu trwa remont. To będzie jej krew.

– Nie stwierdziłem ran obronnych. – Morris delikatnie uniósł rękę ofiary. – Nic pod paznokciami, między zębami. Więc owszem, uważam, że to będzie jej krew.

– Wszystko przebiegło zgodnie z planem, tylko przeoczyli tę krew. No i właściciel mieszkania miał ochotę na małe bara-bara i w nocy przyprowadził tam swoją towarzyszkę, więc zwłoki znaleziono szybciej. Ale zastanawiam się, czy dostali to, na czym im zależało. Czy miała to przy sobie? Czy znała te informacje?

– Nie mogę ci tego powiedzieć, ale fakt, że się nie broniła, że jej nie związano, nie torturowano, że odniosła tylko stosunkowo niewielkie obrażenia... Wszystko to zdaje się świadczyć, że dała im to, czego chcieli, jeśli miała to coś przy sobie.

Eve znów przypomniała sobie mieszkanie przyjazne rodzinie. Zdjęcia szczęśliwych dzieci, dużego psa.

Tak, dałaby im to, czego chcieli. Jeśli miała to przy sobie.

– Początkowo potraktowali ją dość brutalnie, by ją nastraszyć, a potem oświadczyli, że jeśli im powie to, czego się chcą dowiedzieć, albo da to, na czym im zależy, nie zrobią jej nic złego. Zabili ją od tyłu. Nie potrzebował kopa, jaki daje znalezienie się oko w oko z ofiarą. Dla niego to tylko praca, zadanie, zlecenie. I prawdopodobnie nie odczuwał potrzeby przeciągania tego, znęcania się nad nią albo zastraszania jej.

– To nie było nic osobistego.

Chociaż Morris skinął głową, dotknął dłonią ramienia Marty.

– Obawiam się, że nie zgodziłaby się z tobą.

Rozdział 3

Eve przeciskała się przez tłum w komendzie. Akurat kończyła się pierwsza zmiana, zaczynała druga. Jedni wracali do domów, inni właśnie stawiali się w pracy, byli też tacy, jak ona, którym zlecono nową sprawę, i starali się ją popchnąć do przodu.

Przystanąła przed automatem ze słodyczami, by sprawdzić, co oferuje, uznała, że wszystko jest równie kiepskie, w końcu jednak zdecydowała się na coś, co szumnie nazwano babeczką z jagodami.

Wstukała swój kod i zamówiła babeczkę. Automat tylko zazgrzytał i zamigotał.

– No dalej, ty draniu. – Powtórzyła procedurę, lecz tym razem usłyszała tylko kilka słabych bipnięć. – Kurde, wiedziałam, że tak to się skończy.

Zawsze bała się wszelkiego rodzaju automatów, teraz jednak uznała za punkt honoru wydobyć z maszyny tej anemicznie wyglądającej namiastki babeczki.

Z całej siły kopnęła urządzenie.

– Wandalizm albo użycie siły fizycznej wobec tego i innych automatów na terenie komendy może zostać ukarane cofnięciem prawa do dokonywania zakupów na okres od trzydziestu do dziewięćdziesięciu dni. Proszę wrzucić monetę, żeton albo wprowadzić kod i zamówić wybrany produkt.

– Właśnie to zrobiłam, ty bezużyteczny gracie. – Cofnęła się, by znów kopnąć maszynę.

– Ej, Dallas. – Podeszedł do niej Baxter, największy elegant w jej wydziale. – Jakiś problem?

– Ten żaloszny rzęch nie chce mi sprzedać psiej kupy, udającej babeczkę z owocami.

– Pozwól, że ci pomogę. – Pogwizdując, Baxter wstukał swój kod i wybrał babeczkę.

Automat wypluł ją bezszelestnie. Eve podejrzliwie przyglądała się babeczce, słuchając, jak głos w maszynie radośnie wymienia składniki o długąsznych nazwach i wątpliwe wartości odżywcze.

– Bardzo proszę, pani porucznik. – Baxter wyciągnął babeczkę i jej podał. – Ja stawiam.

– Skąd wiedzą, że to ja? Dlaczego sprawia im to różnicę?

– Może to kwestia chemii albo ma coś wspólnego z energią.

– Chrzanisz.

– Cóż, masz swoją babeczkę.

– Dzięki.

– Razem z Trueheartem zamknęliśmy śledztwo w sprawie podwójnego morderstwa, popełnionego przez byłą przyjaciółkę, której nie odpowiadała rola byłej przyjaciółki.

Eve poszperała w pamięci.

– Krwawe porachunki w Chelsea?

– Tak – potwierdził, kiedy odeszli od automatu. – Zatlukła ich na śmierć łyżką do opon. Przypuszczałem, że przyjaciółka, której nie odpowiadała rola byłej przyjaciółki, wynajęła kogoś do tej roboty. Rzadko się podejrzewa kobietę o to, że własnoręcznie kogoś zatlukła.

– Dlaczego?

– No cóż, pani porucznik, kobiety zwykle wybierają truciznę albo coś mniej

drastycznego. Szczególnie jeśli mają niewiele więcej niż metr pięćdziesiąt i ważą czterdzieści pięć kilogramów. Uznałem, że nie dałaby rady. Ale Trueheart ją złamał.

– Trueheart? – Eve pomyślała o schludnym chłopcu o gołębim sercu, którego przydzieliła Baxterowi, by go wyszkolił.

– Od samego początku uważał, że „nie zna piekło straszliwszej furii”. Uczepił się tego i umiejętnie rozegrał sprawę, Dallas, podczas przesłuchania.

Dosłyszała dumę w jego głosie.

– Muszę powiedzieć, że to był majstersztyk. Był taki współczujący i pełen zrozumienia, mówił, że serce mu pęka z żalu. – Uśmiechając się szeroko, Baxter położył rękę na piersi. – Okazał jej tyle sympatii, powtarzał, jak ją tamten drań skrzywdził i tak dalej.

– Dobrze to rozegrał – pochwaliła Eve Truehearta.

– O, tak. Ale to nie wszystko. Zaczął mówić, że z pewnością poczuła się do głębi urażona, kiedy zobaczyła nową miłość swego byłego chłopaka w seksownej koszulce nocnej w lamparcie cętki. A ta głupia geś nie mogła się powstrzymać, by go nie poprawić, że to były nie lamparcie cętki, tylko tygrysie pasy, a ta dziwka jest płaska jak deska. Trueheart wiedział, że ofiara kupiła koszulę w tygrysie pasy tamtego popołudnia, więc była dziewczyna jej przyjaciela nie mogła jej w niej widzieć. Chyba że była w ich sypialni. No i w ten sposób wyciągnął od niej wszystko. Weszła po schodach pożarowych – jej były chłopak zawsze zostawiał lekko uchylone okno w sypialni, bo był maniakiem świeżego powietrza. Najpierw walnęła jego, a potem poszła do miasta, by odszukać nową przyjaciółeczkę swojego eks. Wróciła i jeszcze kilka razy mu przyłożyła. Potem zeszła do pralni w piwnicy. Okazało się, że nie zmienił kodu dostępu. Uprała swoje ciuchy, umyła się, opuściła budynek jak gdyby nigdy nic. Wrzuciła łyżkę do opon do rzeki.

– Dobra robota. Czy ubranie trafiło do laboratorium?

– Tak. Zostawiam młodemu dokończenie sprawy. Obaj uważaliśmy, że maczała w tym palce, ale to on ją zobaczył, wymachując łyżką do opon.

Urwał na chwilę. Wiedząc, że to jeszcze nie wszystko, Eve czekała.

– Już nie jest żółtodziobem, Dallas. Owszem, należy do tych, którzy prawdopodobnie na zawsze zachowują „niewinność”, ale wiesz, co mam na myśli. Zasłużył sobie na awans na detektywa.

Obiecała, że się nad tym wnioskiem zastanowi, i chociaż Baxter nieco się pospieszył ze swoją propozycją, niczego nie mogła zarzucić jego logice.

– Jeśli będzie chciał, może podejść do pierwszego egzaminu w przyszłym roku. W ten sposób zyska trochę czasu na zdobycie więcej doświadczenia i przygotowanie się. Poinformuj go o tym. Okazałeś się dobrym nauczycielem, Baxter.

– To prawdziwy talent, szefowo. Kiedy kazała mi pani się nim zaopiekować, uważałem, że tylko mi będzie przeszkadzał, ale myliłem się. Dopiero później odkryłem, jaki jest zdolny.

– Przygotuj go – poleciła Baxterowi. – Egzamin nie jest dla mazgajów.

– Słodki z niego chłopak, ale nie jest mazgajem.

Kiedy weszli do sali wydziału, praca już się toczyła w najlepsze. Eve skinęła na Peabody i ruszyła do swojego gabinetu, gdzie skierowała się prosto do autokucharza, by zaprogramować kawę.

– Morris potwierdził, że przyczyną śmierci Dickenson jest złamanie kręgow szyjnych. Brak ran obronnych. obrażenia, jakich doznała, najprawdopodobniej powstały

podczas porwania z ulicy, ciosu na odlew. Potem ktoś skręcił jej kark.

– Mało przyjemne.

– Najpierw ją ogłuszył paralizatorem, przytkniętym do łopatki... Może na wszelki wypadek.

– Podstępnie, od tyłu.

– Tak, i założę się, że włókna na spodniach i te, które Morris znalazł na jej otartej dłoni, pochodzą z samochodu, którym ją wieziono. Zaraz rozstawię tablicę i założę teczkę sprawy. Co masz?

– McNab już jest w pracy i przystąpił do sprawdzania telefonu. Informatycy czekają na polecenie, by zająć się pozostałymi urządzeniami elektronicznymi. Carmichael i Santiago szykują się do przeprowadzenia rewizji, a Carmichael kieruje przesłuchaniami osób, mieszkających w pobliżu miejsca wydarzenia. Poinformowałam o kradzieży obrączki ślubnej, bransoletki i zegarka na rękę, skontaktowałam się z mężem ofiary w sprawie kolczyków, żeby móc je też dołączyć do listy skradzionych przedmiotów. Tego dnia włożyła złote kolczyki w kształcie serca, które dostała od dzieci na Dzień Matki. Naprawdę mam nadzieję, że uda nam się je odzyskać. Coś takiego... Tak czy owak, może nam się poszczęści i zabójca postanowi zastawić lub sprzedać łupy.

– Nie mamy do czynienia z zawodowcami, więc niewykluczone.

– Przystąpiłam do sprawdzania finansów ofiary i jej męża. Obydwoje mają polisy na życie, i to na pokaźne kwoty, ale generalnie nie mogą narzekać na brak pieniędzy. On zarabia znacznie więcej od niej, ale ona też nieźle sobie radziła. Ulokowali oszczędności w papierach długookresowych, które cechuje niski stopień ryzyka, i już utworzyli fundusze na kształcenie dzieci.

Wyciągnęła notes i zerknęła do niego, by odświeżyć sobie pamięć.

– Są właścicielami mieszkania, kupili na kredyt dom w Oyster Bay na Long Island. Mają jeden samochód – rodzinny, nowy model, ale bez żadnych bajerów. Trochę dzieł sztuki i biżuterii. Dickenson i Grimes założyli swoją firmę jedenaście lat temu, później dokooptowali kolejnych wspólników. Cieszą się dobrą opinią. Ofiara pracowała dla Brewera i jego partnerów mniej więcej tyle samo lat, systematycznie awansując. Po urodzeniu dzieci wzięła przysługujący matkom urlop wychowawczy. Od pojawienia się na świecie pierworodnego zatrudniają nianię. Mam jej dane.

– Dobrze, porozmawiamy z nią, z osobami, pracującymi razem z ofiarą, z partnerami kancelarii prawnej.

– Znalazłam kilku klientów, korzystających z usług obu firm, oraz na razie dwie firmy, które były w przeszłości bądź są obecnie klientami firmy świadka.

– Szukaj dalej, potem przyjrzymy się tym, które się powtarzają. – Eve spojrzała na komputer, rozległ się sygnał, informujący o odebraniu wiadomości.

– Jest nakaz rewizji. – Wydrukowała dokument i przeczytała załącznik. – Yung pisze, że brat z dziećmi jadą do niej. Przekaż Carmichael nakaz i niech się biorą do pracy. Powiadom informatyków, żeby zajęli się sprzętem elektronicznym. Bądź gotowa do... Witam, panie komendancie.

Wyprostowała się, kiedy na progu jej gabinetu pojawił się komendant Whitney. Przypuszczała, że się z nią skontaktuje, i to już wkrótce, ale żałowała, że nie wezwał jej do siebie, nie dał jej czasu na przygotowanie się do rozmowy.

– Poinformowano mnie, że zamordowano bratową sędzi Yung.

– Zgadza się, panie komendancie. Właśnie wróciłam z terenu. Jeszcze nie sporządziłam raportu wstępnego, czekam na wyniki z laboratorium.

– Proszę powiedzieć, co już wiadomo.

– Peabody, idź i powiadom ludzi, co mają robić. Panie komendancie – Eve zwróciła się do przełożonego i złożyła mu ustny raport.

W jej małym gabinecie Whitney wydawał się jeszcze potężniej zbudowany niż w rzeczywistości. Z zaszępiłą miną słuchał jej raportu. Podeszedł do małego okna, by wyjrzeć na ponury ranek.

– Nie podejrzewacie męża?

– Uważam, że jest niewinny – odpowiedziała mu Eve. – Ale sprawdzimy go zgodnie z obowiązującą procedurą. I on, i pani sędzia okazali nam daleko idącą pomoc. Carmichael i Santiago już jadą do mieszkania ofiary, by je przeszukać, a nasi komputerowcy zbadają sprzęt elektroniczny. McNab już sprawdza telefon męża denatki. Przypuszczamy, że została porwana przez nieznaną osobę bądź osoby z nieustalonych na razie powodów. Ale nie była przypadkową ofiarą, nie chodziło o napad rabunkowy. Na tym etapie śledztwa brak dowodów, że ma to jakiś związek z sędzią Yung. Bliżej przyjrzę się świadkowi i jego współnikom, ustalę, nad czym pracowała zamordowana, kim są jej aktualni klienci.

Whitney skinął głową, odwrócił się w stronę Eve.

– Media to roztrąbią. Chodzi o żonę brata znanej sędzi. Zlecę rzecznikowi wydanie oświadczenia, żeby oszczędzić wam czasu.

Alleluja.

– Dziękuję, panie komendancie.

– Znam sędzię Yung, jak większość z nas. Powinniście wiedzieć, że ona i jej mąż przyjaźnią się z Tibble'em i jego żoną.

– Rozumiem.

– Informujcie mnie na bieżąco.

– Tak jest, panie komendancie.

Gdy tylko została sama, założyła teczkę sprawy, a potem rozstawiła tablicę. Na samym jej środku umieściła zdjęcie Marty Dickenson. Jeszcze raz prześledziła kolejność wydarzeń, przejrzała wstępne przesłuchania świadków i małżonka ofiary. Przez kilka chwil przyglądała się wydrukowi zapisów z miejsca zbrodni.

Krople krwi na brezencie, przypomniała sobie. Niechlujnie posprzątano mieszkanie. Porwanie na ulicy – dobrze obrana pora. Szybkie i brutalne zabójstwo. Dzieło kogoś wyszkolonego, znów pomyślała, lecz nie zawodowca.

A więc kto wynajął albo opłaca parę przeszkolonych oprychów, wiedzących, jak skrócić komuś kark ochroniarzy czy wykidajłów, gotowych do zabicia bezbronnej kobiety?

Zacznij od pytania „dlaczego”, powiedziała sobie, i zabrała swoje rzeczy.

Znów brzęczało jej łącze.

– Dallas.

– Pani porucznik. – Na wyświetlaczu pojawiła się Harpo, ze sterczącymi rudymi włosami. – Pomyślałam, że jest pani ciekawa, co ustaliłam w kwestii tych włókien.

– Udało ci się je zidentyfikować?

– Następnym razem poproszę o coś naprawdę trudnego. Wewnętrzna wykładzina maximy cargo, mini zipa lub 4X land cruisera. Kolor – stalowobłękitny, standardowy dla wozów o karoserii barwy indygo, ale można też taką zamówić do aut innego koloru. GM wprowadził tę kolorystykę w zeszłym roku, czyli samochód jest albo z pięćdziesiątego dziewiątego albo z sześćdziesiątego. Ale włókna nadal mają fabryczne zabezpieczenie,

czyli wóz nie jest zbyt intensywnie eksploatowany.

– Dobra i szybka robota, Harpo.

– Jak powiedziałam, nie było to trudne. Te, które dostałam z kostnicy, pochodzą z tego samego źródła, są na nich ślady krwi. Sprawdziłam z chłopakami, analizującymi próbki krwi, więc mogę pani powiedzieć, że krew na brezencie i na włóknach należy do ofiary.

– Naprawdę dobra i szybka robota.

– Wielu z nas zeznawało w procesach, prowadzonych przez sędzię Yung, więc...

Zaraz wyszę raport.

– Dziękuję, Harpo.

– Robimy, co do nas należy – powiedziała. – Ja robię to najlepiej.

W tej chwili Eve nie mogła temu zaprzeczyć.

– Peabody! – zawołała, idąc szybkim krokiem przez salę wydziału.

Delia złapała płaszcz i pobiegła za Dallas.

– McNab skończył sprawdzanie telefonu. Wszystko się zgadza z tym, co nam powiedział Dickenson. Ofiara zadzwoniła i powiedziała mężowi, że będzie pracowała do późna, porozmawiali o jedzeniu, dzieciach, sprawach domowych. Skontaktowała się z nim ponownie tuż po dziesiątej, żeby go poinformować, że wychodzi z biura. Namawiał ją na skorzystanie z samochodu służbowego z kierowcą, ale odrzuciła jego prośbę, tak jak nam powiedział. Poinformowała go również, że bierze ze sobą pracę do domu, jednak zamierza się tym zająć rano. Upредиła przełożonego, że do południa będzie pracowała w domu.

– Dickenson zapomniał nam o tym powiedzieć.

– McNab przyśle nam kopie wszystkich rozmów. Mówi, że wyraźnie widać, jak ofiara wkłada płaszcz, szalik, nawet kapelusz i rękawiczki, rozmawiając z mężem. Połączyła się z nim z aparatu stacjonarnego na swoim biurku. McNab mówi, że miała teczkę, opisaną przez Yung, i czerwoną torebkę na ramię. I biżuterię: obrączkę ślubną, zegarek na rękę, bransoletkę, kolczyki w kształcie serc.

– Dobrze. – McNab był miłością życia Peabody, ale to nie przeszkadzało mu dobrze pracować.

– Rozmawiali przez trzy minuty. Poprosiła go, by nalał dla niej duży kieliszek wina, że może dziś będzie miał szczęście. Odpowiedział żartobliwie, że może to ona będzie miała szczęście. Słuchając tego, człowiekowi robi się jeszcze smutniej.

– W tej chwili nie możemy sobie pozwolić na takie luksusy – powiedziała Eve, kiedy wysiadły z windy na poziomie garażu. – To, co zarejestrował telefon, potwierdza zeznania męża, świadczy również, jakie panowały między nimi stosunki. Jeśli dodać jeszcze jego zachowanie, stan ich finansów, ten facet wydaje się poza wszelkimi podejrzeniami. O ile nie stwierdzimy, że ma kogoś na boku, nie widzę powodu, by chciał się jej pozbyć.

Usiadła za kierownicą.

– Odezwała się Harpo. Trzeba będzie poszukać maxim cargo, mini zipów i 4X land cruiserów z wykładziną w kolorze stalowoniebieskim. Rocznik dwa tysiące pięćdziesiąty dziewięć albo dwa tysiące sześćdziesiąty.

– Czyli jest się czego uchwycić.

– Zgadza się. Krew na brezencie i na włóknach należy do ofiary. Czyli potwierdza się, że porwano ją, wepchnięto do samochodu, zawieziono do pustego mieszkania i tam zabito. Sprawcy zabrali płaszcz, kapelusz, rękawiczki, szalik, biżuterię, a zwłoki zostawili

na ulicy.

– Zaczę sprawdzić samochody, przekonamy się, czy ktoś z naszej listy jest właścicielem takiego pojazdu.

– Dowiedzmy się, nad czym chciała popracować w domu, i sprawdzmy, czy uda się ustalić, dlaczego.

Znając swoje obowiązki, Peabody wyciągnęła palmtop, a Eve na pełnym gazie wyjechała z garażu. Wszystko po kolei.

– Jej bezpośrednim przełożonym był Sylvester Gibbons. O ile dobrze rozumiem, pracuje w dziale, wykonującym niezależne audyty. Firm, korporacji, funduszy powierniczych.

– Audyty. Zlecają je, kiedy szukają czegoś podejrzanego.

– Chyba tak. Albo chcą się upewnić, że wszystko jest w porządku.

– Coś podejrzanego – powtórzyła Eve. – Jednym ze sposobów uniemożliwienia wykonania audytu albo przynajmniej jego opóźnienia jest zabicie audytora.

– To dość brutalne rozwiązanie. Zresztą jeśli w księgach coś się nie zgadza, tak czy owak wyjdzie to na jaw, no nie?

– Może potrzebują nieco czasu, żeby zatuszować sprawę. Porywają audytorę, ustalają, co wie, co umieściła w raporcie, z kim rozmawiała. Wyciągają z niej informacje, a potem ją zabijają, pozorując napad rabunkowy. Zyskują nieco czasu na wyprostowanie zapisów, a jeśli podbierali pieniądze z kasy, na ich zwrot. Jeśli wszystko pójdzie gładko, śledczy pomyślą, że Marta miała wyjątkowego pecha. Nie zaczną od razu węszyć w jej miejscu pracy. Może ich uprzedzimy. Skontaktuj się z sędzią Yung.

– Teraz?

– Wyprzedzające uderzenie. Nikt, kto się zajmuje finansami, nie będzie chciał przekazać gliniarzom dokumentów, dotyczących klienta. Potrzebny nam nakaz, by zapewnić sobie dostęp do wszystkiego, nad czym pracowała ofiara w ciągu ostatniego miesiąca. Yung nam to załatwi, oszczędzając czasu.

– Zupełnie jakbyśmy mieli sędziego na każde skinienie ręki. Oczywiście nie chodzi mi o przekupionego sędziego.

– Uhm. Nie tłumacz jej więcej niż to absolutnie konieczne. Jesteśmy dokładni, chcemy sprawdzić każdy trop. Zresztą sama wiesz, co mówić.

– Nigdy wcześniej nie wydawałam poleceń sędzi. Trochę to dwuznaczne. Albo ma podtekst erotyczny.

– Peabody, po prostu załatw nakaz.

Eve przypomniała sobie, że ma na skinienie ręki jeszcze kogoś. Tak się złożyło, że poślubiła specę od wielkich pieniędzy. Był w tej dziedzinie wyjątkowo biegły.

Zaczęła się rozglądać, gdzie zaparkować, i uznała, że to jej szczęśliwy dzień, kiedy znalazła wolne miejsce przy krawężniku tylko półtora kwartału od biura, w którym pracowała ofiara.

– Sędzia Yung powiedziała, że postara się o wydanie nakazu – poinformowała ją Peabody – ale trochę to potrwa. Poufne dokumenty, w grę wchodzi kwestia dyskrecji. Jeśli przedstawimy dowody, że śmierć ofiary ma związek z jej pracą, znacznie to ułatwi całą procedurę.

– Możemy przedstawić dowody, jak się dowiemy, nad czym pracowała. – Ale spodziewała się takiej odpowiedzi. Przynajmniej machina została puszczona w ruch.

Zaczął padać nieprzyjemny deszcz ze śniegiem, przechodnie przyspieszyli kroku.

W ciągu kilku sekund jakiś przedsiębiorczy sprzedawca uliczny wytoczył stragan i go otworzył, oferując parasolki za trzykrotnie wyższą cenę niż normalna.

Kilka sekund później obstał go tłum.

– Nie miałabym nic przeciwko parasolce – mruknęła Peabody.

– Nie pieść się.

– Dlaczego nie może padać sam śnieg? Śnieg przynajmniej ładnie wygląda.

– Póki się nie przemieni w brudne, czarne sterty wzdłuż krawężników. – Eve wcisnęła ręce do kieszeni i szybkim krokiem pokonała ostatnie pół kwartału. Weszła do holu, potrząsnęła głową jak pies, by się pozbyć lodowatych kropli.

Pokazała swoją odznakę ochroniarzowi.

– Brewer, Kyle i Martini.

– Piąte piętro. W związku z panią Dickenson? Przed przyjściem do pracy służyłem wiadomości.

– Tak, w związku z panią Dickenson.

– Czyli to prawda. – Zaciśnięła usta i pokręciła głową. – Miałem nadzieję, że to jakaś pomyłka. Była wyjątkowo sympatyczna, zawsze nas pozdrowiała, kiedy przychodziła do pracy.

– Nie pracował pan wczoraj wieczorem?

– Zakończyłem zmianę o wpół do piątej. Odbiła kartę o dziesiątej osiem, sprawdziłem dzisiaj po przyjściu z uwagi na to, co usłyszałem w wiadomościach.

– Czy zwykle pracowała do późna?

– Nie powiedziałbym, że zwykle, ale czasami tak. Jak oni wszyscy, zwłaszcza w okresie rozliczania podatków. – Wymownie machnął ręką. – Równie dobrze mogliby się tu przeprowadzić.

– Czy ktoś tu przychodził, wypytywał o nią?

– Mnie nie. Znaczący się, przychodzą do niej ludzie, klienci, pytają o nią i jej firmę.

Wszyscy muszą się wpisać do księgi.

– Czy mogłabym rzucić okiem na wpisy z, powiedzmy, ostatniego tygodnia?

– Nie widzę przeszkód, żeby je pani pokazać.

– A czy mogę dostać kopię do akt?

Przestąpił z nogi na nogę.

– Wolałbym uzyskać na to zgodę szefa. Kiedy skończy pani na górze, proszę podejść do nas. Uważam, że w tych okolicznościach szef nie będzie miał nic przeciwko temu.

– W porządku. Dziękuję.

– Była naprawdę wyjątkowo sympatyczna – powtórzył. – Poznałem też jej męża i dzieci. Od czasu do czasu przychodzili tu do niej po pracy. Sympatyczna rodzinka. To straszne, co ją spotkało. Naprawdę straszne. Pierwsze windy po prawej. Porozmawiam z szefem.

– Jeszcze raz dziękuję. Skontaktuj się z funkcjonariuszką Carmichael – zwróciła się do Peabody. – Spytaj, czy już coś wie.

– Jeśli wie ochroniarz, to wiedzą i w biurze – zauważyła Peabody.

– Tak, czyli nie będzie efektu zaskoczenia.

– I nie będzie tak niezręcznie, jak zwykle.

Niekoniecznie, pomyślała Eve, kiedy drzwi windy się rozsunęły. Usłyszała, że ktoś płacze, zza zamkniętych drzwi dobiegały jakieś przytłumione odgłosy. Mężczyzna i kobieta stali, obejmując się, za biurkiem recepcji.

Nikt nie siedział w dostojnej – i nudnej – kremowo-brązowej poczekalni.

Kobieta odsunęła się od mężczyzny; widać było, że stara się opanować.

– Bardzo mi przykro, ale wszystkie dzisiejsze spotkania są odwołane z powodu śmierci naszego pracownika.

– Wiem o tym. – Eve wyjęła odznakę.

– Przyszły tu panie w związku z Martą.

– Porucznik Dallas i detektyw Peabody. Prowadzimy śledztwo w sprawie jej śmierci. Chciałyśmy porozmawiać z panem Sylwestrem Gibbonsem.

– Naturalnie. – Wyciągnęła z pojemnika kilka papierowych chusteczek. – Marcusie?

– Już po niego idę. – Mężczyzna zniknął.

– Może panie usiądą? Kawy? Znaczą się, czy napiją się panie kawy?

– Nie, dziękujemy. Jak dobrze znała pani panią Dickenson?

– Bardzo dobrze. Tak przynajmniej uważam. – Recepcjonistka wytarła oczy. – Razem... Razem ćwiczyłyśmy dwa razy w tygodniu. I codziennie rozmawiałyśmy. Znaczą się, w dni powszednie. Nie mogę uwierzyć, że to się wydarzyło naprawdę! Jest ostrożna, a to bezpieczne okolice. Nie stawiałaby oporu bandycie ani by z nim nie dyskutowała. – Znów oczy wypełniły jej łzy. – Nie musieli jej zabijać.

– Czy ktoś o nią wypytywał?

– Nie.

– Czy były jakieś napięcia między nią a kimś w firmie?

– Nie. Wiedziałabym o tym, do recepcji dociera wszystko. To dobra firma. Panują między nami przyjazne stosunki.

Nie zawsze jest się w dobrych stosunkach ze wszystkimi, pomyślała Eve, ale nie skomentowała słów kobiety.

– A jeśli chodzi o klientów, czy były jakieś skargi, narzekania?

– Nie wiem. Być może, ale nic mi o tym nie wiadomo.

– Ludzie nie lubią audytów. Czy ktoś sprawiał jakieś kłopoty w związku z pracą wykonywaną przez panią Dickenson?

– Dział prawny zajmuje się tego typu sprawami. Nie rozumiem. Napadnięto ją, czyli...

– To rutynowe postępowanie – przerwała jej Eve. – Musimy wszystko dokładnie sprawdzić.

– Naturalnie. Naturalnie. Przepraszam. Jestem taka roztrzęsiona – powiedziała zdławionym głosem, sięgając po świeże chusteczki. – Zaprzyjaźniłyśmy się dzięki tym wspólnym zajęciom gimnastycznym.

– Czy rozmawiała z panią o swojej pracy, o prowadzonych audytach?

– Marta nie plotkowała na tematy służbowe. To nieprofesjonalne. Ale gdyby plotkowała, to prawdopodobnie tylko ze mną. Kiedy człowiek poci się razem z kimś, staje się bardziej rozmowny. Czasami później szłyśmy na drinka, traktując to jak nagrodę. Rozmawiałyśmy o dzieciach, ciuchach i tym podobnych. O mężczyznach... Mężach. – Uśmiechnęła się słabo. – Żadna z nas nie miała ochoty rozmawiać poza biurem o pracy.

– Rozumiem.

– Ja... Och, Sły! – powiedziała płacząco, a potem osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

– Nat. – Żyłasty mężczyzna o cienkich blond włosach i jasnoniebieskich oczach wszedł za biurko i poklepał kobietę po plecach. – Może pójdziesz do domu?

– Chcę tu zostać, pomagać. Nie udało nam się skontaktować ze wszystkimi, którzy

byli umówieni na dziś. Potrzebuję tylko... Kilku minut. – Wstała i wybiegła.

– To potrwa dłużej niż kilka minut. – Przesunął dłonią po twarzy, zwrócił się do Eve i Peabody. – Porucznik Dallas?

– Pan Gibbons?

– Tak. Cóż, dziś rano nikt z nas nie jest sobą. Marta... – Pokręcił głową. – Chodźmy do mojego gabinetu. – Niezgrabnie, jakby nie potrafił sobie poradzić z długimi rękami i nogami, poprowadził je przez salę z boksami – więcej łez, więcej zażawionych oczu – a potem krótkim korytarzem z drzwiami, prowadzącymi do gabinetów.

– Pokój Marty... – Przystanął, wpatrując się w zamknięte drzwi. – Czy będą panie chciały go obejrzyć?

– Tak, ale najpierw chciałabym porozmawiać z panem. Czy nikt nie ma dostępu do jej pokoju?

– Zgodnie z zasadami, wychodząc, zamknęła drzwi na klucz. Otworzyłem je, kiedy przyszedłem do biura, po tym, jak usłyszałem... Żeby sprawdzić, czy jest tam coś... Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Ponownie zamknąłem drzwi na klucz.

Minęli pomieszczenie socjalne, gdzie siedziało kilka osób, rozmawiając przyciszonymi głosami, i dotarli do końca korytarza.

Gibbons miał narożny gabinet, jak inni szefowie. Eve uderzył jego minimalistyczny, racjonalny wystrój. Na biurku stały dwa komputery, dwa ekrany dotykowe, kilka teczek tworzyło równiutki stos, leżało także mnóstwo ostro zatemperowanych ołówków w zdecydowanych kolorach. W ramce na trzy fotografie było zdjęcie pulchnej, uśmiechniętej kobiety, roześmianego od ucha do ucha chłopca i wyjątkowo szkaradnego psa.

– Proszę usiąść. Przyniosę kawę.

– Nie trzeba. Dziękujemy.

– To żaden kłopot. Właśnie sam piłem – powiedział z roztargnieniem. – Byłem w pokoju socjalnym, próbując... Chyba pocieszać. Jesteśmy małym wydziałem, częścią zwartej firmy. Wszyscy się nawzajem znają, można powiedzieć, że ze sobą współpracują. Mamy... Mamy drużynę softballu, obchodzimy urodziny w pracy. Marta miała urodziny w zeszłym miesiącu. Był tort. O, mój Boże. To moja wina. To wszystko moja wina.

– Jak to?

– Poprosiłem ją, żeby została po godzinach. W tym tygodniu brakuje nam pracowników, bo dwóch naszych audytorów wyjechało na kongres. Powinni już wrócić, ale mieli wypadek samochodowy... Jeden złamał nogę, drugi leży w śpiączce. Właśnie się dowiedziałem, że się obudził, lecz z jakiegoś powodu znów go uśpili. Nie doszło do uszkodzenia mózgu, ale ma połamane żebra, wymaga dalszych badań i.. Przepraszam. Przepraszam. Nie dlatego panie tu przyszły.

– Kiedy poprosił pan Martę, żeby dłużej popracowała?

– Wczoraj. Wczoraj rano po rozmowie z Jimem, tym ze złamaną nogą. Nie mogą wrócić do Nowego Jorku. Byli w Vegas na kongresie. Już to powiedziałem. Przepraszam. Jeszcze przez przynajmniej kilka dni nie będą mogli wrócić do pracy, a mamy do wykonania audyty. Poprosiłem Martę, żeby przejęła część ich spraw. Sam pracowałem do ósmej, a potem pojechałem do domu. Marta jeszcze została w biurze. Podziękowała mi za kolację. Koło szóstej zamówiłem dla nas coś do jedzenia. Dla siebie, Marty i Lorraine.

– Lorraine?

– Lorraine Wilkie. Obie pracowały po godzinach. Wyszedłem razem z Lorraine, ale najwięcej spraw przekazałem Marcie. Jest z nas najlepsza. Nie wiedziałem, że zostanie tak długo. Powinienem był ją poprosić, żeby wyszła razem z nami. Powinienem był wsadzić ją do taksówki. Gdybym to zrobił, nic by się jej nie stało.

– Nad czym pracowała?

– Miała kilka spraw.

Wyjął z kieszeni dzwoniący telefon, spojrzął na wyświetlacz i się rozłączył.

– Przepraszam, tamto może zaczekać. Marta kończyła swój audyt, właśnie zaczęła kolejny. A ja ją obarczyłem jeszcze trzema – jednym, rozpoczętym przez Jima, i dwoma Chaza. Poprosiłem też, żeby rzuciła okiem na to, co zrobił stażysta.

– Czy Marta mogła powiedzieć komuś o tych zleceniach... Podać jakieś szczegóły, nazwiska?

– Nie. To poufne informacje.

– Będziemy musieli zapoznać się z tym, nad czym pracowała. Proszę pana o udostępnienie mi akt jej spraw.

– Nie... Nie rozumiem. – Uniósł ręce jak człowiek, proszący o litość. – Zrobię wszystko, żeby pomóc. Ale nie mogę udostępnić poufnych dokumentów. Nic nie rozumiem.

– Panie Gibbons, mamy podstawy sądzić, że Marta Dickenson nie była przypadkową ofiarą napadu rabunkowego, ale że została porwana po opuszczeniu biura. Przewieziono ją do pewnego miejsca, a następnie ją zamordowano. Zabrano jej teczkę. Z pewnością miała w niej jakieś dokumenty.

Opuścił ręce i gapił się na nią.

– Nie rozumiem, co pani mówi. Nie rozumiem pani.

– Mamy powód sądzić, że komuś zależało na śmierci pani Dickenson i że ma to związek z jej pracą.

Usiadł ciężko.

– W wiadomościach powiedzieli, że... Że to napad rabunkowy.

– I mam nadzieję, że w najbliższym czasie będą to powtarzać. Mówię panu, że to nie był napad rabunkowy, i proszę, żeby zachował pan tę informację dla siebie. Kto wiedział, że wczoraj pracowała do późna?

– Ja... Lorraine. Josie, asystentka Marty. Asystentka Lorraine. Moja sekretarka... – Lekko pochylił głowę i przesunął dłońmi po cienkich włosach. – Boże. Mój Boże. Wszyscy mogli o tym wiedzieć. To nie była tajemnica.

– Ekipa sprzątająca, konserwatorzy, ochrona?

– Tak. Sprzątacze przyszli, kiedy jeszcze pracowaliśmy. A ochrona wymaga, żeby rejestrować przyjscia i wyjścia. Nie rozumiem – powtórzył.

– Wystarczy, jeśli pan zrozumie, że musimy zobaczyć, nad czym pracowała.

– Muszę... Muszę... Muszę się skonsultować z działem prawnym. Przysięgam, że gdybym mógł, udostępniłbym paniom wszystko. Przyjaźnił się. Sądzi pani, że ktoś ją zabił w związku z prowadzonym przez nią audytem?

– Taka jest hipoteza.

– Nie rozumiem, jak to możliwe. – Zaczął pocierać brwi palcami.

– Proszę porozmawiać z waszym prawnikiem. Proszę mu powiedzieć, że już wystąpiliśmy o nakaz. I go otrzymamy. Sędzia Yung tego dopilnuje.

– Mam nadzieję. I że nie potrwa to długo. – Wstał. – Uważam, że pani się myli, ale jeśli istnieje choćby cień podejrzenia, że jest inaczej, chcę, by otrzymała pani wszystko,

czego pani potrzebuje. Przyjaźnił się – powtórzył. – I byłem za nią odpowiedzialny tutaj, w miejscu pracy. Nie wiem, jak będę mógł powiedzieć Denzelowi... To moja wina. Ja jestem winny temu, co się wydarzyło.

– Nieprawda – odparła beznamiętnie Eve, bo uznała, że tego potrzebował. – To wina tego, kto ją zabił.

Rozdział 4

Gibbons zaprowadził Eve do gabinetu Marty, a potem poszedł odszukać swoją asystentkę.

Chociaż mniejszy od gabinetu przełożonego, ten pokój urządzony był równie racjonalnie. Uwadze Eve nie umknęło, że Marta nadała swojemu miejscu pracy nieco osobisty charakter – trzymała tu zdjęcia najbliższych, a nieco koślawy pojemnik na długopisy i ołówki musiał być dziełem dziecka albo wyjątkowo mało utalentowanego pod tym względem dorosłego. W oknie stała jakaś roślina o bujnych liściach.

Eve zobaczyła przyczepioną do autokucharza karteczkę.

– Dwa kilogramy.

– Żeby nie zapomnieć, że chce stracić dwa kilogramy, kiedy przyjdzie jej ochota na zaprogramowanie czegoś tuczącego. Ty nie musisz się przejmować tym, ile ważysz – dodała Peabody. – Ale ci, którzy muszą, uciekają się do najróżniejszych sztuczek i stosują najrozmaitsze bodźce.

– Lubiała swoją pracę, jeśli wierzyć temu, co mówią inni. Ale to nie był jej drugi dom, jak w przypadku niektórych ludzi. Urządzając gabinet, zadbała o to, żeby było jej w nim wygodnie, lecz nie trzyma tu zbyt wiele przedmiotów osobistych. Zdjęcia, pojemnik na pióra i to właściwie wszystko.

Eve uświadomiła sobie, że ma więcej rzeczy w swoim malutkim gabinecie w komendzie. Drobiazgi – przycisk do papieru, żeby móc czym zająć ręce, witrażyk w mikroskopijnym oknie, bo jej się spodobał, głupi gadający pistolet, który dostała od Peabody, bo ją rozśmieszał.

Kiedyś trzymała też roślinę, która niemal zupełnie zmarniała niepodlewana, więc Eve z niej zrezygnowała.

Odtworzyła wszystkie rozmowy, przeprowadzone poprzedniego dnia z telefonu stacjonarnego.

Połączenia wewnętrzne, nic specjalnego. Dwa telefony do klientów, co sobie zapisała, jeden do prawników, dotyczący jakiejś delikatnej kwestii, której Eve nawet nie próbowała zrozumieć, jeden do opiekunki, by ją poinformować, że wróci późno, więc czy mogłaby dłużej zostać i pomóc Denzelowi przygotować kolację dla dzieci, no i dwa ostatnie do męża.

Kiedy skończyła odsłuchiwać rozmowy, uniosła wzrok i zobaczyła na progu bladą kobietę o zapłakanej twarzy.

– Usłyszałam jej głos. Pomyślałam... Kiedy usłyszałam jej głos.

– Josie Oslo?

– Tak. Tak, jestem Josie. Asystentka Marty.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody. Proszę usiąść. Musimy pani zadać kilka pytań.

– Dowiedziałam się o wszystkim, dopiero jak przyszałam do pracy. Rano nigdy nie włączam telewizora. Nie mam na to czasu. Kiedy tu dotarłam, Lorraine... Pani Wilkie... Płakała. A potem wszyscy zaczęli płakać. Nikt nie wiedział, co robić.

Rozejrzała się bezradnie po pokoju, przyciskając dłoń do ust.

– Sły... Pan Gibbons trochę się spóźnił. Próbował się skontaktować z mężem Marty, lecz nikt nie odbierał telefonu. Próbował porozmawiać z kimś z policji, ale nic mu nie

powiedziano. Oświadczył, że powinniśmy odwołać wszystkie spotkania, umówione na dziś i jutro. I że możemy iść do domu. Jednak na razie wszyscy zostali w biurze.

– Łatwiej jest, kiedy się przebywa wśród ludzi, którzy ją znali – powiedziała Peabody i delikatnie zaprowadziła Josie do fotela.

– Chyba tak. Kiedy usłyszałam jej głos, pomyślałam: A więc to pomyłka. Próbowałam wmówić wszystkim, że to musi być pomyłka. Ale tak nie jest.

– Nie. Przykro mi, lecz to nie pomyłka. – Eve oparła się o biurko. – Od jak dawna jest pani asystentką Marty?

– Mniej więcej od dwóch lat. Zatrudniłam się tutaj prosto po uczelni. Chodzę na wieczorowe studium podyplomowe.

– Czy ostatnio były jakieś problemy?

– Zepsuła się drukarka Marty. Ale ją naprawiłam.

– Miałam na myśli coś niecodziennego – uściśliła Eve.

– Nie, nie wydaje mi się. Nieprawda! Zapomniałam. Jim i Chaz mieli wypadek samochodowy w Las Vegas. Wyjechali tam na kongres, powinni wrócić wczoraj, ale jakiś samochód zderzył się z taksówką, którą jechali. Chaz, czyli pan Parzarri, i pan Arnold trafili do szpitala. Dlatego Sły musiał przydzielić dodatkową pracę Marcie i Lorraine. I dlatego Marta pracowała po godzinach. Dlatego.

– Jako jej asystentka wie pani, czym się zajmowała. Prowadzi pani rejestr rozmów telefonicznych, umówionych spotkań.

– Naturalnie.

– Czy ostatnio były jakieś telefony, które wywołały niepokój, zdenerwowanie albo były nietypowe?

Josie odwróciła wzrok.

– Nie.

– Josie. – Eve przemówiła wystarczająco ostro, by asystentka znów na nią spojrzała. – Nie wolno pani niczego przed nami ukrywać.

– Marta powiedziała, że nie powinnam nikomu nic mówić.

– To było przedtem. – Peabody usiadła obok niej. – Chce pani pomóc Marcie, zrobić to, co należy, dla niej i dla jej bliskich?

– Tak. Naprawdę. Nie chciała denerwować Sły, powiedziała, że sama się tym zajmie.

– Czym się zajmie? – zapytała Eve.

– To była tylko... Pani Mobsley. Na żądanie powierników Marta sporządziła audyt jej funduszu powierniczego. Robiła tylko to, co do niej należy, ale pani Mobsley bardzo się rozłościła, naprawdę była wściekła. Mówiła, że to jej pieniądze i nie pozwoli, żeby jakiś zasuszony buchalter dał tym dupkom – to jej określenie – coś, co umożliwi im wydziedziczenie jej. Powiedziała, że Marta pożałuje, jeśli nie zrobi tego, czego się od niej domaga.

– A czego się domagała?

– Przypuszczam, że chciała, by Marta... No wie pani, dokonała kilku korekt, żeby wszystko wyglądało, jak należy. Ale nie powinnam rozmawiać o klientach i ich finansach.

– Przekazuje pani policji informacje o ewentualnym szantażu – zwróciła jej uwagę Eve.

– Tak się akurat złożyło, że pomagałam trochę Marcie przy tym audycie, sprawdziłam kilka danych. No i się okazało, że pani Mobsley oszukuje. Korzysta z pieniędzy, do których nie ma prawa, i w taki sposób to wykazuje, że wygląda to na pokrywanie uzasadnionych wydatków. Powiernicy są naszym klientem, więc Marta

musiała im przedstawić rzetelne sprawozdanie. Oświadczyła pani Mobsley, że jeśli nadal będzie ją nękać, nie pozostanie jej nic innego, jak poinformować o tym powierników i sąd. Pani Mobsley wpadła w szal. Marta poprosiła mnie do siebie, zamknęła drzwi i powiedziała mi o tym – trochę i tak słyszałam. Oświadczyła, że ponieważ pomagałam przy audycie, powinnam o tym wiedzieć. I że mam natychmiast ją poinformować, jeśli pani Mobsley lub ktokolwiek inny skontaktuje się ze mną w sprawie audytu albo będzie próbował wywierać na mnie presję.

– No i był ktoś taki?

– Nie. Przypuszczam, że ludzie pokroju pani Mobsley nie dostrzegają asystentek. Jeśli pani Mobsley ponownie zadzwoniła, miałam jej powiedzieć, że Marta jest zajęta. Ale miałam zarejestrować rozmowę. Gdyby telefony nie ustały, Marta zamierzała poinformować o całej sprawie Sły, a następnie powierników.

– Czy zna pani pełne dane kontaktowe pani Mobsley?

– Jasne. Nazywa się Candida Mobsley. Mogę pani podać jej adres... A raczej adresy – poprawiła się Josie. – I dane powierników. Czy powinnam powiedzieć o tym Sływi? Uważa pani, że powinnam go o tym poinformować?

– Tak, ale na razie proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło wczoraj. Czy pani Mobsley próbowała się skontaktować z Martą?

– Wczoraj nie. Wszyscy byliśmy bardzo zajęci, a także zdenerwowani tym wypadkiem. Marta przejęła trzy audyty, dwa z nich dopiero co rozpoczęto. Zostałam dłużej, by jej pomóc, ale chyba koło ósmej powiedziała, żebym poszła do domu. No więc poszłam. Byłam naprawdę zmęczona. Moja współlokatorka właśnie zerwała z chłopakiem, więc rozmawialiśmy przez dwie godziny.

– Dobrze. Proszę przekazać detektyw Peabody dane, o których mówiliśmy, i poprosić tutaj Lorraine Wilkie.

– Tak jest. – Josie wstała. – Chciałam tylko dodać, że pani Dickenson była wspaniałą szefową. Świetnie się z nią pracowało, dużo się od niej nauczyłam.

Peabody zaczęła, aż Josie wyjdzie.

– O Candidzie Mobsley głośno w mediach. Jest częstą pacjentką ośrodków resocjalizacyjnych za wykroczenia popełnione pod wpływem narkotyków lub alkoholu, bo takie się podaje powody, kiedy spowoduje wypadek samochodowy, uderzy rywalkę, zdemoluje kolejny apartament w hotelu. Sporo podróżuje. Jej dziadkowie czy pradiadkowie dorobili się majątku, który wnuczka najwyraźniej stara się jak najszybciej roztrwonić.

– Skąd to wiesz?

– Lubimy czasem z McNabem oglądać programy plotkarskie albo o celebrytach. Są zabawne. Nie wiem, ilu miała narzeczonych, była zameżna może przez pięć minut, ślub, który kosztował miliony dolarów, odbył się w jej posiadłości na prywatnej wyspie na południowym Pacyfiku. Mówiono, że sama jej suknia kosztowała...

– Nie obchodzi mnie to.

– Przepraszam, poniosło mnie. Chciałam powiedzieć, że jest naprawdę bogata, rozpuszczona i znana z agresywnego zachowania.

– Kogoś takiego stać na wynajęcie niedbałego specja od mokrej roboty, żeby się pozbyć księgowej, która ją rozżościała.

– Owszem. Poza tym jakieś dwa lata temu zadawała się z jakimiś podejrzanymi typkami. Takimi, co wiedzą, gdzie szukać niedbałego specja od mokrej roboty.

– Dobra, zapisz jej dane, porozmawiamy sobie z panią Mobsley. I może zejdz na dół,

sprawdź, czy ochroniarz ma dla nas kopię rejestru wyjść i przyjść. Jeśli nie, możesz ich nieco nacisnąć.

– Kocham tę pracę. – Wyraźnie przejęta perspektywą przesłuchania celebrytki, Peabody wyszła akurat, kiedy w drzwiach pojawiła się druga wezwana kobieta.

Josie miała delikatne rysy, była młoda, niewinna i ubierała się modnie, Lorraine natomiast przypominała ostro zatemperowany ołówek. Stałowoszare włosy miała krótko obcięte, ubrana była w granatowy spodniom o męskim kroju i świeżo wyprasowaną białą koszulę.

Oczy może miała podpuchnięte, ale kiedy zmierzyła nimi Eve od stóp do głów, pozostały suche i niewzruszone.

– Pani kieruje śledztwem, które ma ustalić, kto to zrobił Marcie.

– Zgadza się.

Lorraine, wchodząc, krótko skinęła głową.

– Wygląda pani na osobę, która może to zrobić. – Usiadła z nogą założoną na nogę, ręce oparła na kolanach. – Czego pani chce się ode mnie dowiedzieć?

Eve zadała jej rutynowe pytania. Było jasne, że współpracownica Marty nie miała pojęcia o kłopotach, jakie sprawiała Candida Mobsley. A poza tym nie dawała sobą tak łatwo manipulować i nie była skłonna do ujawnienia informacji na temat pracy, jak łagodna asystentka Marty.

– To, czym się tutaj zajmujemy, to bardzo delikatne sprawy. Jesteśmy zobowiązani do zachowania poufności. Zresztą Marta i ja obsługiwałyśmy innych klientów. W zasadzie się nie zastępowaliśmy. W razie choroby lub końca... – Urwała i na chwilę zacisnęła cienkie usta. – Mam na myśli koniec czyjejś umowy o pracę, Sylvester zlecał jednej z nas przeprowadzenie audytu lub obsłużenie klienta.

– Tak jak w związku z tym wypadkiem samochodowym, kiedy pani i Marta musiałyście przejąć zadania innych pracowników.

– No właśnie. Ta firma zastrzeżenie cieszy się opinią sumiennej, dyskretnej i wydajnej, co w dużym stopniu jest zasługą naszego wydziału. Najwyraźniej Chaz i Jim przez kilka dni, jeśli nie tygodni, nie będą mogli pracować. A zlecenia nie mogą czekać.

– Z uwagi na delikatną naturę pracy, czy kiedykolwiek próbowano panią straszyć albo nękać?

– Na ogół mamy do czynienia z korporacjami i dużymi firmami. Może ich prawnicy boksują się z naszymi, ale przeważnie są zbyt zajęci boksowaniem się z sądami, które wyraziły zgodę na audyt lub go zleciły. Przez te wszystkie lata zdarzało się, że jakiś klient się dowiedział, kto konkretnie prowadzi audyt, czasami więc odbieramy telefony niezadowolonych osób, jeszcze rzadziej dochodzi do konfrontacji twarzą w twarz na terenie biura. W takich przypadkach należy przypuszczać, że jest powód, by ktoś się złościł i bał. – Wzruszyła chudymi ramionami. – Na ogół pracujemy w ciszy i spokoju, do tego w bardzo miłej atmosferze.

– A co z łapówkami?

Lorraine się uśmiechnęła.

– Och, zdarza się, że ktoś, komu grożą tarapaty w związku z audytem, proponuje łapówkę audytorowi czy jakiemuś innemu pracownikowi, by ukrył to, co ujawniłby audyt. Przyjęcie łapówki grozi więzieniem albo bardzo wysoką grzywną, utratą licencji, którą niełatwo zdobyć, zwolnieniem z firmy.

– Łapówka może być wystarczająco wysoka, by niektórzy się na nią połakomili.

– Być może, ale to głupie i krótkowzroczne. Liczby nie kłamią, pani porucznik.

Przedzaj czy pózniej prawda wyjdzie na jaw i wtedy moze się okazać, jaką lekkomyślnością było połakomienie się na te szybkie, łatwe pieniądze. Marta nigdy nie przystałaby na coś takiego.

– Nie ma pani co do tego cienia wątpliwości?

– Nie mam. Marta lubiła swoją pracę i była za nią bardzo dobrze wynagradzana. Ma dzieci, nigdy nie zaryzykowałaby narażenia swoich bliskich na potępienie ze strony opinii publicznej, nie wywołałaby skandalu. Dlaczego? Bo była osobą na wskroś uczciwą.

Po raz pierwszy Lorraine załamał się głos, a w jej spokojnych oczach pojawiły się łzy.

– Przepraszam. Staram się panować nad emocjami, ale to bardzo, bardzo trudne.

– Rozumiem. Bardzo nam pani pomogła. Jeśli coś sobie pani przypomni, proszę do mnie zadzwonić. Ważne jest wszystko, nawet drobne szczegóły.

– Dobrze. – Lorraine wstała. – Kiedy jest ładna pogoda, ruszam tamtą trasą na piechotę. Prawdę mówiąc, często razem z Martą chodziłyśmy tamtędy pieszo. Mieszkam zaledwie dwie przecznice od miejsca, gdzie znaleziono jej zwłoki. Lubię chodzić. Nigdy nie bałam się spacerować po tej części miasta. W pobliżu miejsca mojego zamieszkania. Teraz... Upłynie trochę czasu, nim znów odważę się chodzić tędy na piechotę.

– Jeszcze jedno – powiedziała Eve, kiedy jej rozmówczyni skierowała się do wyjścia. – Czy WIN Group należy do pani klientów albo czy słyszała pani o tej firmie?

– WIN Group? – Lorraine zasznurowała usta, gdy Eve skinęła głową. – Brzmi znajomo, ale nie wiem, gdzie słyszałam tę nazwę. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek dla nich pracowała.

– Rozumiem. Dziękuję.

Gdy wróciła Peabody z kopią wykazu przyjść i wyjść, przesłuchały razem pozostałych pracowników. Z zeznań wyłonił się obraz kobiety lubianej przez współpracowników, ale nie było żadnych rewelacji. Eve nie mogła udawać zdziwionej, kiedy nakaz utknął z przyczyn proceduralnych, lecz opuszczając biuro, nie miała cienia wątpliwości, że Yung pokona wszelkie przeszkody.

No i miała jeden trop.

– Dopadniemy tę Candidę Mobsley, ale najpierw chcę jeszcze raz obejrzeć miejsce przestępstwa. Chcę też ponownie przesłuchać obu świadków i porozmawiać ze współnikami Whitestone'a. Zaczniij szukać samochodu, którym przewieziono ofiarę.

Włączyła się do ruchu. Nim udało jej się pokonać kilka przecznic, Peabody usnęła, trzymając w ręku palmtop.

Eve szturchnęła ją łokciem.

– Tak jest! Co się stało?

– Kawalek stąd są delikatesy. Idź, kup coś do jedzenia. Dla mnie też.

– Dobrze. Przepraszam. Do północy rozmawialiśmy z Mavis i jej bandą. Teraz zmęczenie dało o sobie znać.

– Pokrzep się, jeśli tego potrzebujesz.

Peabody potarła twarz dłońmi i ziewnąwszy, wysiadła z samochodu, nie zważając na coraz silniejszy deszcz ze śniegiem. Eve zawróciła i zatrzymała się przed budynkiem, w którym zginęła Marta Dickenson.

Uznała, że prezentował się całkiem całkiem, nawet w taką gównianą pogodę. Dostojny, tradycyjny, świeżo wyremontowany. Przypuszczała, że właściciele bez trudu

znajdą najemców.

Jeśli pominą taki drobny szczegół, jak morderstwo.

Stojąc na deszczu ze śniegiem, zamknęła oczy.

Zaparkowała furgonetkę albo wóz z napędem na cztery koła, bo uznała za absurdalne posłużenie się minizipem do porwania, w pobliżu biurowca. Wcześniej czy później musiała wyjść. Czekanie stanowi część pracy. Kamery nie obejmują swoim zasięgiem całego chodnika. Ale wystarczyło, żeby wyszła z budynku.

Wyobraziła sobie, jak napastnik wysiada z samochodu. Odczekał, aż Marta minie jego wóz, ruszył za nią, ogłuszył ją i zasłonił jej usta, żeby nie krzyczała, wepchnął nieprzytomną do samochodu. Wystarczy na to sekundy. Jeden siedział za kierownicą, drugi z tyłu, obok ofiary. Zasłaniał jej usta dłonią, przytrzymywał ją, jeśli próbowała walczyć lub krzyczeć. Szybko pokonali ten krótki odcinek ulicy. Jeden wysiadł i odblokował drzwi – obojętnie jak – i wrócił.

Wciągnęli ją do środka. Nie trwało to dłużej niż kilka sekund.

Eve stwierdziła, że nietrudno sobie wyobrazić, jak się to odbyło. Było to dość oczywiste. Gorzej z odpowiedzią na pytanie, dlaczego.

– Pani porucznik.

Odwróciła się, patrzyła, jak Carmichael podchodzi do niej w mokrym płaszczu od munduru. Twarz miała zaróżowioną z zimna.

– Spotkałam w delikatesach detektyw Peabody. Właśnie zrobiliśmy sobie przerwę na posiłek.

– Co ustaliliście?

– Niewiele. Żaden z naszych rozmówców niczego nie słyszał. Przycisnęliśmy jedną kobietę, która być może coś widziała. Mieszka po drugiej stronie ulicy, na trzecim piętrze, okna wychodzą na tę stronę. Wydaje jej się, że być może ostatniej nocy widziała zaparkowaną tu furgonetkę.

– Co to za furgonetka?

– Ciemna – powiedziała, uśmiechając się ironicznie. – Może czarna, może ciemnoniebieska, może ciemnoszara. Nie ma pojęcia, jakiej marki, co to za model, nie zapamiętała numeru rejestracyjnego. Zacięły się żaluzje w oknie jej mieszkania, więc próbowała je naprawić. Wydaje jej się, że widziała na ulicy furgonetkę. I twierdzi, że jest pewna, że w mieszkaniu na dole paliło się światło. Zwróciła na to uwagę, bo śledzi prace remontowe. Pomyślała, że furgonetka należy do ekipy, działającej do późna.

– Która to była godzina?

– Mówi, że koło wpół do jedenastej. Trochę czasu zmagala się z żaluzją, nim poszła po swojego partnera. Spał w fotelu, zmorzył go sen podczas oglądania telewizji. Rozmawiałam z nim przez telefon. Nic nie pamięta. Wypytałiśmy wiele osób. W takich dzielnicach mieszkańcy zwykle są chętni do pomocy policji. Ale w wielu mieszkaniach nikogo nie zastałyśmy. Za kilka godzin spróbujemy ponownie.

– Dobrze. Jak sobie radziła Turney?

Carmichael uśmiechnęła się lekko.

– Twarda z niej sztuka.

– Jeśli będzie chciała, może ci towarzyszyć podczas drugiej próby ustalenia, co się tu wydarzyło. – Niech się osobiście przekona, pomyślała Eve, że praca w wydziale zabójstw, jak praca większości policjantów, to głównie chodzenie, czekanie, zadawanie pytań, robota papierkowa.

Zbiegła po schodach, usunęła plombę, weszła do mieszkania.

Właściwie nie było tu nic do oglądania. Nic się tu nie zmieniło, jeśli pominąć cienką warstewkę proszku pozostawioną przez techników kryminalistyki i nieprzyjemny, chemiczny zapach, unoszący się w powietrzu.

Weszli z nią do pomieszczenia dziennego, nie dalej. Nie było takiej potrzeby. W oknach zainstalowano żaluzje – przepuszczały światło, ale nie pozwalały dostrzec, co się dzieje w środku. Dobra izolacja akustyczna. Jacyś przechodnie mogli iść po chodniku, a żaden nie usłyszałby jej krzyku.

Zabrali jej teczkę; to coś więcej niż demonstracja, coś więcej niż sfingowanie napadu. Stanowiło to część zlecenia. Zabrać dokumenty, terminarz, tabletki, wszystko, co miała przy sobie.

Czekała na nią w domu dwójka dzieci. Nie odgrywałyby bohaterki. Zresztą w imię czego? Jakichś liczb, cudzych pieniędzy? Powiedziałyby im wszystko, co chcieli usłyszeć, gdyby to wiedziały.

Nie broniła się. Czy wierzyła, że puszcza ją wolno, jeśli im wszystko powie, wszystko odda, będzie z nimi współpracowała?

– To najbardziej logiczne – mruknęła Eve, okrążając pokój. – Powiedz nam, oddaj nam to, czego chcemy, a wszystko dobrze się skończy.

Uwierzyła im, bo druga ewentualność była zbyt przerażająca.

Weszła Peabody; wokół niej unosił się zapach czegoś cudownego.

– Rosół z kurczaka z makaronem i pieczywem ziołowym. Robią to na miejscu. Wzięłam dla nas po dużym kubku na wynos. Czy Carmichael cię znalazła?

– Tak. Być może mamy świadka, który widział furgonetkę, zaparkowaną przed budynkiem, ale potrafi powiedzieć jedynie, że furgonetka była ciemna. Skup się na poszukiwaniach cargo. – Eve wzięła od Peabody kubek z zupą, powąchała ją, spróbowała. – Jezu. Cholernie dobra.

– Cholernie cudowna. Zaczęłam jeść swoją po drodze. Zapach niemal mnie powalił. Smakuje prawie tak, jak rosół mojej babci.

– Prawdopodobnie dodali do niej jakieś zabronione substancje. Ale gwizdę na to. – Eve nie zdawała sobie sprawy z tego, jaka jest głodna, póki nie poczuła zastrzyku energii. – Dostali od niej to, czego chcieli – oświadczyła po chwili. – Gdyby powiedziała, że nic nie wie, niczego nie ma, bardziej brutalnie by się z nią obeszl. Może połamałby jej palce u rąk, podbiliły oko, torturowałby ją, dopóki by się nie poddała albo się nie upewnili, że rzeczywiście mówi prawdę. Dość szybko i bez większego trudu uzyskali to, czego chcieli.

– Ale i tak ją zabil.

– Od samego początku zamierzali ją zabić. Cokolwiek wiedziała, miała, zrobiła, nie mogli dopuścić, by przekazała to komuś innemu, rozmawiała o tym. Ma to związek z jej pracą i tym budynkiem czy też jego właścicielami albo kimś z ekipy remontowej. Raczej stawiam na właścicieli, ale przesłuchamy też członków ekipy remontowej. Do takiego zadania zatrudnili porządną firmę. A porządne firmy budowlane zarabiają kupę forsy. I założę się, że audyty nie są dla nich niczym niezwykłym.

Eve ugryzła kawałek pieczywa.

– Musi w nim być jakiś niedozwolony składnik. Chodźmy porozmawiać ze świadkiem i jego współnikami.

– Ale nadal chcesz porozmawiać z Candidą, prawda?

– Później, o ile znów nie uśniesz, zanim uda ci się ustalić, gdzie aktualnie przebywa.

– Naładowałam baterie. Może powinnam kupić całe wiadro tego rosółu. Nie! Wyślę e-

mail do babci i poproszę, żeby mi przysłała trochę swojego.

– Nie masz wstydu ani krztyny przebiegłości. – Eve skierowała się do wyjścia, popijając bulion. – Napisz babci, że przypomniłaś sobie o niej, bo właśnie zjadłaś taki rosół, jaki gotowała – w podtekście może lepszy. Jaka dobra była zupa w zimny, posepny dzień w Nowym Jorku i te pe, i te de. Ugotuje gar rosółu i ci go przyśle, żeby ci udowodnić, że jej jest znacznie lepszy.

Delia wsiadła do samochodu, z uznaniem spojrzała na Eve.

– Czy poznałaś moją babcię? Bo właśnie tak postąpi. Jesteś genialna.

– Dlatego jestem porucznikiem, a ty nie.

– Racja. Zamierzasz zjeść cały swój chleb?

– Tak.

– Obawiałam się tego. – Peabody znów wyciągnęła swój palmtop i przystąpiła do pracy, próbując zlokalizować Candidę Mobsley. – Jest w mieście – zameldowała wkrótce – jeśli wierzyć jej osobistemu asystentowi. Ma wypełniony kalendarz. Nie przyznałam się, że jestem z policji. Nie powiedziałam też, że nie jestem z policji. Bo gdybym ujawniła, że jestem z policji, może ulotniłaby się, nim byśmy do niej dotarły.

– W końcu wykazałaś się odrobiną sprytu.

– To chyba dzięki tej zupie.

*

Eve zaparkowała w Midtown. Przestało już padać, ale nadal czuło się przenikliwe zimno. Kiedy skierowały się do wysokiego biurowca, Eve była wdzięczna Peabody za rosół, która ją rozgrzała.

Pokazała ochroniarzom odznakę, powiedziała, do kogo się udaje, i wcisnęła się do windy.

– Dallas, mam ponad dwa tysiące maxim cargo rocznik dwa tysiące pięćdziesiąty dziewięć i dwa tysiące sześćdziesiąty z nowojorską rejestracją. Ponad dwa razy tyle, jeśli uwzględnić New Jersey.

– Ciemna karoseria. Czarna, ciemnoniebieska, ciemnoszara.

– Uwzględniłam tylko ciemne karoserie.

– To uwzględnij tapicerkę w kolorze błękitnostalowym. – Przypomniła sobie, co Harpo napisała w swoim raporcie o fabrycznym zabezpieczeniu. – I na razie ogranicz się do rocznika dwa tysiące sześćdziesiąt.

Po przejechaniu osiemnastu pięter w zatłoczonej windzie dopchnęła się do wyjścia, a potem podeszła do tablicy informacyjnej.

– WIN Group. – Skręciła w lewo, odszukała tabliczkę na podwójnych drzwiach.

– Ponad osiemset zarejestrowanych – poinformowała ją Peabody – w samym Nowym Jorku.

– Przeprowadzimy standardowe poszukiwanie, porównamy z nazwiskami, które mamy. Jeśli to nie da rezultatu, poszerzymy bazę poszukiwań.

Pchnęła drzwi. W małej recepcji zdecydowano się na energetyczny wystrój – dużo czerwieni, bieli, chromu. Zalotna brunetka za biurkiem posłała im miły uśmiech.

– Słucham panie?

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody. – Położyła odznakę na biurku.

– Och, to w związku z tą biedaczką, którą Brad znalazł ostatniej nocy. Czy już

wiadomo, kto na nią napadł?

– Musimy porozmawiać z panem Whitestone’em – oświadczyła Eve.

– Naturalnie. Przepraszam. Jest naprawdę wstrząśnięty. – Postukała w słuchawkę. – Brad? Przyszły panie z policji. Tak, porucznik Dallas. Dobrze. – Rozłączyła się. – Zaprowadzę panie do jego gabinetu. Czy czegoś sobie panie życzą?

Po tej kupie Eve już niczego więcej nie potrzebowała do szczęścia.

– Nie, dziękujemy. Czy współpracownicy pana Whitestone’a są wolni?

– Jake wyszedł na służbowy obiad, powinien wrócić o drugiej. Rob ma spotkanie z klientem. Mogę poinformować jego asystentkę o obecności pań, jeśli chcą panie z nim porozmawiać.

– Proszę to zrobić.

Nim otworzyła drzwi, na progu pojawił się Whitestone. Tak jak Lorraine, miał na sobie świeżo uprasowaną, białą koszulę. I idealnie skrojony garnitur. Ale głębokie cienie pod oczami mówiły same za siebie.

– Dziękuję, Marie. Pani porucznik, pani detektyw, mam nadzieję, że przyszły tu panie, by mi powiedzieć, że znaleziono zabójcę. – Odsunął się, żeby mogły wejść do małego, eleganckiego gabinetu. Duże okno, zauważyła Eve, blat na autokucharza i minilodówkę. Dzieła sztuki współczesnej, lśniąca, czarna stacja robocza, dwa czerwone fotele dla gości.

– Ustaliliśmy, że Martę Dickenson zamordowano w pańskim mieszkaniu...

– Co? W środku?

– Nie chodziło o napad rabunkowy. Kiedy ostatni raz był pan w swoim mieszkaniu?

– Ja... – Usiadł. – Przedwczoraj. Wstąpiłem, żeby omówić z kierownikiem ekipy kilka szczegółów.

– Jego nazwisko?

– Jasper Milk. Z Milk and Sons Contractors. To już trzecie pokolenie Milków, pracujące w tej firmie. Są artystami. Cieszą się doskonałą reputacją. Zawsze zabezpieczają budynek. Zainstalowaliśmy alarm.

– Tak, widziałam go. Kto zna kody?

– Ja, Jasper. Moi współpracownicy. Ach, i projektantka, Sasha Kirby z City Style. Jeśli ten ktoś się włamał...

– Brak śladów włamania.

Eve przyglądała się, jak zmienia się wyraz twarzy Whitestone’a: od zaskoczenia przez zrozumienie do sprzeciwu.

– Proszę posłuchać, darzę absolutnym zaufaniem wszystkich, którzy mają kod, którzy mają dostęp do budynku. Nie rozumiem, jak ktoś obcy mógł wejść do mojego mieszkania.

– Dowody nie kłamią, panie Whitestone.

– Może nie, ale to jakaś piramidalna bzdura. Zainstalowaliśmy nowiutki alarm.

– Ofiara pracowała w firmie rachunkowej Brewer, Kyle i Martini. Niektórzy ich klienci są również waszymi klientami.

Już nie był zaskoczony ani zawzięty; wyglądał, jakby go ogarnęły lekkie mdłości.

– Nie kojarzę tej firmy. Mogę poprosić asystentkę o sprawdzenie, ale... Jeśli podacie nazwiska naszych wspólnych klientów...

– Peabody.

Peabody wyrecytowała krótką listę wspólnych klientów.

– To nie moi klienci. Abner Wheeler jest klientem Jake’a. A Rob zajmuje się Blacksford

Corporation. Tych dwóch jestem pewien, jeśli chodzi o pozostałych, musiałbym sprawdzić w dokumentach albo porozmawiać z Robem i Jakiem.

– Będziemy musiały porozmawiać z pańskimi wspólnikami.

– Naturalnie. Nie rozumiem jednego. Czemu ktoś zabił tę kobietę w należącym do nas budynku?

– Dobre pytanie – odpowiedziała Eve.

Rozdział 5

Whitestone zaprowadził je do małej sali konferencyjnej. Przeprosił za szczupłość miejsca i skromny wystrój.

– To jeden z powodów, dlaczego zainwestowaliśmy w nową siedzibę. Potrzebujemy więcej przestrzeni. Obecnie przenosimy część rzeczy stąd tam, jesteśmy w trakcie zmian.

– Nie przeszkadza nam to. Czyli interes musi się dobrze kręcić.

– O, tak. – Twarz mu się rozpromieniła. – Stale się rozwijamy, powiększamy bazę klientów, pracujemy nad wyrobieniem sobie marki. A budynek w centrum ma swój charakter, robi dobre wrażenie. To, jak nas postrzegają, jest w dziedzinie finansów bardzo istotne.

– Nie tylko w dziedzinie finansów.

– Proszę pozwolić, że pójdę po Jake'a i Roba.

– Może najpierw trochę mi pan opowie o firmie. Od kiedy jesteście panowie współnikami?

– Oficjalnie piąty rok. Chodziłem razem z Robem na uczelnię. Na pierwszym roku studiów podyplomowych zainwestowaliśmy w pierwszą nieruchomość, obskurny, mały sklep detaliczny na Lower West Side.

Odpreżył się na to wspomnienie, w jego głosie dało się słyszeć cięń nostalgii.

– To był jego pomysł. Musiał się nieźle nagimnastykować, by mnie do tego przekonać. Lubię pieniądze – powiedział z szerokim uśmiechem – lubię robić interesy, kalkulować ryzyko i ewentualne korzyści. Niezbyt się paliłem do zainwestowania w mały lokal handlowy. Ale Rob nie dał mi spokoju, póki nie wszedłem w to wraz z nim. To była najlepsza decyzja w moim życiu, ponieważ wtedy zaczęliśmy działać razem. Harowaliśmy jak woły, sami wykonaliśmy większość prac, zrozumiałem, co to znaczy własny wkład pracy. Nieźle zarobiliśmy na sprzedaży tego sklepu, gros zysku zainwestowaliśmy na rynku wspólnie, wspólnie podejmowaliśmy decyzje, zarobiliśmy trochę więcej.

– Z pana słów wynika, że dobrze się panom razem pracowało.

– Owszem. I tak jest do dziś. Po studiach poszedłem do pracy w Prime Financial, a on zatrudnił się w Allied, ale spotykaliśmy się i rozmawialiśmy o założeniu własnej firmy. W Allied Rob poznał Jake'a. Okazało się, że pasujemy do siebie. We trójkę kupiliśmy kolejną nieruchomość. Po jej sprzedaży zyskałiśmy coś, co nazwaliśmy funduszem inwestycyjnym WIN. Za te pieniądze stworzyliśmy to biuro. Wujek Jake'a – Ingersol z Ingersol-Williams Corp – przekazał nam kierownictwo jednej ze swoich filii, a mój ojciec pozwolił nam przejąć zarządzanie małym funduszem powierniczym. I tak to się zaczęło.

– Dobrze jest pracować z przyjaciółmi – powiedziała Eve. – Jeśli uda się panu teraz ich odszukać, raz-dwa się z tym uwiniemy i nie będziemy pana więcej niepokoić.

– Proszę mi dać minutkę. Och, i proszę się poczęstować kawą czy na co mają panie ochotę. Mamy tu dobrą kawę.

Być może, pomyślała Eve, i postanowiła to sprawdzić. Zaprogramowała jedną filiżankę dla siebie, drugą dla Peabody.

– Jest pełen entuzjazmu – zauważyła.

– Tak. Jeśli człowiek nie lubi swojej pracy, życie jest nie do zniesienia.

– Nie wygląda mi też na idiotę, a musiałby nim być, gdyby planując zabójstwo lub biorąc w nim udział, obrał na miejsce zbrodni swoje przyszłe mieszkanie, a potem przypadkiem sam odkrył zwłoki.

– Chyba że chciał się znaleźć w centrum uwagi, z bliska śledzić dochodzenie.

Eve pokręciła głową.

– Nie należy do takich i nie pasuje do tego zabójstwa. To było zleczone morderstwo, nie misja. – Zmrużyła oczy, biorąc do ust pierwszy łyk kawy. – To mieszanka Roarke’a.

– Mój Boże, znowu Roarke, nasz cudotwórca!

– Interes musi się dobrze kręcić – powtórzyła Eve.

Wrócił Whitestone.

– Rob właśnie kończy spotkanie z klientem i zaraz przyjdzie. Jake już tu jedzie, powinien wkrótce dotrzeć. Czy jestem paniom potrzebny? Mam umówionego klienta, ale mogę przełożyć spotkanie.

– Sądzę, że na razie uzyskaliśmy od pana wszystkie niezbędne nam informacje.

– Rozumiem. Aha, wiem, że zabrzmi to bezdusznie, ale czy może mi pani mniej więcej powiedzieć, kiedy ekipa remontowa będzie mogła ponownie przystąpić do prac w mieszkaniu? Staram się ustalić nowy harmonogram.

– Powinniśmy skończyć oględziny dziś pod koniec dnia, najpóźniej jutro.

– Świetnie.

– Radziłabym zmienić kody i w przyszłości dawać je tylko osobom, do których ma pan pełne zaufanie.

– Może pani na to liczyć. A oto i Rob. Porucznik Dallas, detektyw Peabody. Robinson Newton.

– Miło mi panie poznać mimo tych okoliczności.

Wkroczył do sali, emanując absolutną pewnością siebie i władczością. Znał ten typ ludzi – należał do nich Roarke. To wrażenie jeszcze potęgował nienagannie skrojony garnitur w szare prążki, koszula w nieco ciemniejszym tonie szarości i czerwony krawat.

Zbudowany był jak baseballista, silny i muskularny.

Ciemne włosy miał krótko ostrzyżone, co jeszcze podkreślało jego wydatne kości policzkowe w twarzy kolbru kawy z mlekiem, pitej przez Peabody. Śmiało spojrzął zielonymi oczami na Eve, a potem na Peabody. Ucisnął im obu dłoń – mocno, zdecydowanie – a potem wskazał stół konferencyjny.

– W tej chwili panują u nas nieco spartańskie warunki, ale proszę usiąść. Przepraszam, że musiały panie na mnie czekać.

– Nie ma sprawy.

– Dowiedziałem się o napadzie dziś wczesnym rankiem. To straszne. Ale kiedy Brad mi powiedział, że pani kieruje śledztwem, poczułem się trochę lepiej. Interesuję się niektórymi prowadzonymi przez panią sprawami, szczególnie po lekturze książki o Icove’ach. Prawdę mówiąc, właśnie udało mi się zdobyć bilety na premierę filmu. – Pokazał współnikowi uniesiony w górę kciuk. – Sześć, więc dzwoni do dziewczyny. Przepraszam – zmiłogował się. – Nie przyszły tu panie, żeby rozmawiać o Hollywood i czerwonym dywanie. W czym mogę pomóc?

– Miał pan dostęp do mieszkania.

– Tak. Wszyscy mamy dostęp do wszystkich pomieszczeń w budynku.

– Czy może mi pan powiedzieć, gdzie pan był wczoraj między dziewiątą wieczorem a północą?

– Mogeę. – Sięgnął do kieszeni, wyciągnął elektroniczny terminarz, włączył go, a potem położył na stole przed Eve. – Zjadłem kolację z moją narzeczoną i jej rodzicami w Tavern on the Green. Są tradycjonalistami. Zamówiłem stolik na ósmą, wyszliśmy po dziesiątej. Razem z Lissą złapaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do Reno's Bar, w centrum miasta, gdzie spotkaliśmy się z grupką przyjaciół. Nie zabawiliśmy tam zbyt długo, może godzinę. Potem wróciliśmy taksówką do domu. Dotarliśmy tam koło północy. Czy jesteśmy wśród podejrzanych?

– Nie, to rutynowe postępowanie – odparła machinalnie Eve. – Ofiarę zabrano do mieszkania, do którego ma pan dostęp. Dlatego musimy wiedzieć, gdzie pan przebywał. Potrzebne mi do akt sprawy dane osób, z którymi się pan spotkał.

– Poproszę asystentkę o sporządzenie listy ich nazwisk wraz z danymi kontaktowymi. Ale nawet nie znaleźliśmy ofiary. Prawda? – zwrócił się do Whitestone'a.

– Ja jej nie znałem. Ale pracowała w firmie księgowej, z której usług korzysta jeden z twoich klientów. Blacksford.

– Pracowała w Brewer, Kyle i Martini? Zdaje się, że trzech moich klientów korzysta z ich usług. – Zabrał swój terminarz, schował go z powrotem do kieszeni. – Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek się z nią zetknął. Współpracuję z Jimem Arnoldem.

Eve wyjęła zdjęcie Marty.

– Czy widział pan tę kobietę, spotkał ją gdzieś?

– Nie. Przykro mi. Kilka razy jadłem obiad z Jimem i ze Sylem... Sylvestrem Gibbonsem, ale nigdy nie załatwiałem żadnych spraw z tą kobietą.

– Pomoże nam, jeśli otrzymamy nazwiska wszystkich pańskich klientów, których coś wiązało z firmą, zatrudniającą ofiarę.

– To nie będzie trudne. Nie uważa pani, że Marta Dickenson jest przypadkową ofiarą napadu? Jestem pewien, że wszyscy w okolicy wiedzą, że w budynku trwają jeszcze prace remontowe, że nie jest zamieszkanym.

– Nie włamano się do mieszkania – powiedziała Eve.

– Może ekipa remontowa po skończeniu pracy nie włączyła alarmu.

– Nigdy im się to nie przydarzyło – przypomniał mu Whitestone.

– Pomyłki się zdarzają, Brad.

– Sprawdzamy wszystkie ewentualności... – zaczęła Eve, lecz urwała, słysząc jakieś głosy.

– To Jake. – Whitestone wyszedł, a po chwili wrócił z drugim współnikiem. – Mój klient już jedzie na górę. Jeśli nie jestem potrzebny...

– Pozostaniemy w kontakcie – powiedziała mu Eve.

– Jake Ingersol, porucznik Dallas, detektyw Peabody. Będę u siebie.

– Ale numer, co? – Przybyły serdecznie uściśnął im dłonie, a potem usiadł za stołem.

– Coś okropnego. Brad bardzo to przeżywa.

W przeciwieństwie do kompetentnego Whitestone'a i pewnego siebie Newtona, Ingersola wprost rozpięła energia, nie potrafił ani przez chwilę usiedzieć spokojnie.

Tak jak jego współnicy, też miał na sobie elegancki garnitur, idealnie zawiązany krawat, buty, w których można się było przejrzyć jak w lustrze. Brązowe włosy z jaśniejszymi pasemkami, okalające jego twarz, nadawały mu młodzieńczy i nieco niewinny wygląd. Ale brązowe oczy były przenikliwe, inteligentne.

– Café Diabło – zauważył Newton.

– Co mogę powiedzieć? Tego zażyczył sobie klient. Od samego rana byłem

nadmiernie podekscytowany – wyjaśnił. – Jeśli dodać do tego dwie duże Diabło Locas, oczywiście, skąd ta nadpobudliwość. Słyszałem trochę na temat tego, co się wydarzyło. Brad powiedział, że byli w mieszkaniu. Czy to prawda?

– Tak.

– Zainstalowaliśmy cholernie dobry alarm. Nie rozumiem tego.

– Uważamy, że dysponowali kodem.

Otworzył i zamknął usta, a potem rozsiadł się na krześle.

– Jezu, Rob. Czyżby to ktoś z ekipy Jaspera?

– Nie wiemy tego – powiedział szybko Newton.

– Czy ma pan jakieś podstawy, żeby podejrzewać kogoś z ekipy remontowej? – spytała go Eve.

– Tylko dodaję dwa do dwóch. – Wstał, wyjął z lodówki butelkę wody. – Nie tak znów wiele osób zna kody. My z całą pewnością nikogo nie zabiśmy.

– Jasper i jego ludzie pracowali u mnie przez pół roku, zanim przystąpili do remontu budynku – powiedział Newton. – Nigdy nie zginął nawet kubek.

– Wiem, wiem. Też go lubię. I to bardzo. Przypuszczam, że ktoś nie zamknął drzwi na klucz i tyle. A zabójca tej kobiety zwyczajnie miał szczęście.

Eve podsunęła Ingersolowi zdjęcie Marty.

– Zna ją pan?

– Nie... Chwileczkę. – Przysunął się trochę bliżej i uważnie przyjrzał zdjęciu. – Być może, ale nie wiem, skąd.

– Pracowała w firmie Brewer, Kyle i Martini – wyjaśnił Newton, zanim Eve otworzyła usta.

– Tak jest! – Ingersol pstryknął palcami prawej ręki, a potem lewej. – Tam ją widziałem. Współpracujemy z księgowymi naszych klientów, ustalając strategię w dziedzinie podatków, inwestycji, portfela. Kilku moich klientów korzysta z ich usług. Kontaktuję się z Chazem Parzarrim i Jimem Arnoldem, a jakiś czas temu poznałem też ją. Ha! Czyli ją znałem.

– Może mi pan powiedzieć, gdzie pan był między dziewiątą wieczorem a północą?

Na chwilę szczeka mu opadła. Wziął butelkę z wodą, napił się.

– Jeszcze jedno „ha”. Jesteśmy podejrzani?

– To rutynowe postępowanie – powtórzyła Eve.

– Tak, jasne, byłem... Niech pomyślę. – Wyciągnął terminarz. – Poszedłem na drinka ze Sterlingiem Alexandrem z Alexander and Pope Properties. To jeden ze wspólnych klientów moich i Chaza. Spotkał się koło wpół do siódmej w Blue Dog Room. Chyba wyszedł kwadrans po siódmej albo coś koło tego. Dokończyłem drinka, a potem spotkałem się z przyjaciółmi – dziewczyną, z którą chodzę, i jeszcze jedną znajomą parą – by zjeść kolację w Chez Louis. Wyszliśmy chyba o wpół do jedenastej. Razem z Alys poszliśmy do mnie i spędziliśmy wspólnie noc.

– Chciałabym otrzymać do akt listę nazwisk i danych kontaktowych tych osób.

– Jasne. – Znów spojrzał na Newtona. – To naprawdę dziwne.

– Potrzebny mi też wykaz innych klientów, którzy korzystają z usług firmy, zatrudniającej ofiarę. – Eve wstała. – Dziękuję za pomoc.

Trochę potrwało odszukanie nazwisk i danych osób, które ją interesowały, a recepcjonistka okazała się bardzo rozmowna.

Eve się dowiedziała, że kobieta pracuje tu od roku, kiedy to rosnąca baza klientów wymogła konieczność zatrudnienia recepcjonistki, by nie obarczać asystentek

sprawami, należącymi zwykle do obowiązków recepcjonistek. Wspólnicy zamierzali nawiązać bliższą współpracę z małą kancelarią prawniczą, dla której siedzibę przewidzieli w nowym budynku. Mieli nadzieję, że najdalej za rok dokooptują nowego partnera.

– Ciekawe towarzystwo – zauważyła Eve, kiedy opuściły biuro.

– Według mnie dobrze się dobrali. Niezły bajerant... Ale jak zbudowany!

– Zauważyłam.

– Kocham chudy tyłek McNaba i jego kościste ramiona, ale, o matko! Tak czy owak, Newton to siła spokoju, Whitestone – charyzma, a Ingersol – niespokojny duch. Jak chomik.

– Chomik?

– Kręcący się na karuzeli. Niemordowany, wciąż w ruchu.

– Chyba masz rację.

– Wszyscy mają alibi.

– Sprawdzimy je, ale przypuszczam, że wszystko się potwierdzi. Pan Mięśniak według mnie jest wystarczająco silny, żeby skrócić komuś kark, jednak zbyt inteligentny, żeby zrobić to w budynku, należącym do niego. Może on albo Ingersol chcieli zrobić Whitestone'a. Piekiłby dwie pieczenie przy jednym ogniu, nie brudząc sobie rąk. Ale to poważni biznesmeni.

– I tak ich sprawdzimy – powiedziała Peabody.

– No jasne.

– Żaden z tej trójki nie ma cargo. Ani zarejestrowanego na swoje nazwisko, ani na firmę.

– Sprawdź finanse Newtona i ich krewnych.

Eve usiadła za kierownicą. Zastrzyk energii, jaki dał jej rosół z kurczaka, prawie się wyczerpał, lecz chciała jeszcze coś załatwić na mieście.

– Zobaczmy, czy uda nam się porozmawiać z Mobsley.

– A niech mnie.

– I postaraj się nie zachowywać jak glina.

– Wiem, jak się zachować. – Peabody się naburmuszyła. – Przypominam ci, że wystąpiłam w filmie u boku gwiazd kina. Wybieram się na premierę i nie muszę się starać o bilety. Zostałam zaproszona.

– Dobra, dobra.

– Nie udawaj. Musisz być trochę przejęta. Mavis powiedziała, że kreacja, którą zaprojektował dla ciebie Leonardo, jest odlotowa do kwadratu.

Eve przypomniała sobie niewyraźnie, że suknia jest w kolorze fuksji – o ile wierzyć Leonardo, który poparł Roarke'a, kiedy powiedziała, że już ma eleganckie kiecki i nie mogła zrozumieć, dlaczego nie powinna się ubrać na czarno.

– Nie wiem, dlaczego robią tyle szumu wokół tej premiery. Idzie się do kina, żeby obejrzeć film i najeść się prażonej kukurydzy.

– To film o nas. Poza tym – dodała przebiegle Peabody, znając swoją partnerkę – to naprawdę ważne dla Nadine.

Nadine Furst, świetna dziennikarka, osobowość telewizyjna, autorka bestsellera i... Kurde, przyjaciółka. Nie wykręci się od tego.

– Przecież będę na premierze, no nie?

– Będziemy wyglądały super, rozmawiały z celebrytami... Już ich poznałyśmy... Przejdziemy się po czerwonym dywanie. Niczym gwiazdy. Chyba się wyrzygam.

– Tylko nie w moim samochodzie. W tej chwili bardziej mnie interesuje, kto zabił

Martę Dickenson, niż sterczenie na jakimś głupim czerwonym dywanie i pozwalanie, żeby ludzie się na mnie gapili.

Peabody rozsądnie nie przypomniała jej o przedpremierowych przygotowaniach, na które już się umówiła z Mavis. Trina je uczesze i zrobi im makijaż.

Dallas bała się Triny.

– Co to za mina? – spytała Eve.

– Taką mam minę, kiedy poważnie myślę o śledztwie.

– Akurat.

– Przysięgam. Naprawdę poważnie myślę o śledztwie – upierała się Peabody. I prawie westchnęła z ulgą, kiedy zadzwonił telefon.

– Pani porucznik. – Na wyświetlaczu pojawiła się twarz detektyw Carmichael. – Zakończyliśmy przeszukiwanie mieszkania ofiary. Nie stwierdziliśmy nic podejrzanego. Przeszukaliśmy samochód. Z takim samym rezultatem. McNab sprawdził ich sprzęt elektroniczny. Nada.

– Tego się spodziewałam. Staramy się o nakaz, żeby zyskać dostęp do listy jej klientów oraz ich akt.

– McNab powiedział, że na jej komputerze domowym były jakieś dokumenty służbowe.

– Naprawdę? – Eve się uśmiechnęła. – Zarekwirujcie je. Nakaz na to zezwala. Każ mu wszystko skopiować. Chcę, żebyś razem z Santiago udała się do niejkiej Sashy Kirby, projektantki z City Style. Utnijcie sobie z nią pogawędkę. Ona zaprojektowała miejsce zbrodni, że się tak wyrażę, i miała do niego dostęp. – Sprawdziła, która godzina, coś sobie obliczyła w myślach. – Później mam dla was do sprawdzenia alibi kilku osób.

– Nie ma sprawy.

Eve się rozłączyła.

– Peabody, skontaktuj się z Yung i poinformuj ją, że skończyliśmy sprawdzać mieszkanie, wszystko jest w porządku. Przy okazji może ci się uda dowiedzieć, kiedy otrzymamy kolejny nakaz. Mamy mały przełom – mruknęła. – Może na komputerze domowym ofiary jest coś istotnego. Zobaczymy.

*

To dzień na składanie wizyt w apartamentach i biurach w Upper East Side, doszła do wniosku Eve. Tym razem nie miała wyjścia, musiała przebrnąć przez ochronę i uzbroić się w cierpliwość, czekając w złoto-białym holu, pełnym kwiatów. Już się nastawiła na to, że trzeba się będzie handryczyć, a wystarczyło, by uniosła brwi, i ochroniarze grzecznie ją przepuścili.

– Myślałam, że ta Mobsley będzie nam rzucała kłody pod nogi – powiedziała Eve, kiedy jechały na górę.

– Może jest ciekawa. Albo winna. Jeśli wierzyć plotkarskim programom, nie ma dnia, żeby nie narozrabiała.

– I dlatego spodziewałam się, że nie zechce się z nami spotkać.

Eve wzruszyła ramionami i wysiadła z windy. Korytarz utrzymany był w kobrach szafirowoniebieskim i szmaragdowozielonym, po obu stronach stały kwiaty, tym razem w wysokich, białych wazonach, ze świecami, dorównującymi jej wzrostowi.

Jakiś ubrany na czarno mężczyzna, z jasnobłond włosami i niemal z tyłoma

kolczykami, ile nosił McNab, wyszedł przez szerokie, niebieskie drzwi.

– Zapraszam. Candida zaraz zejdzie do pań. Dziś podajemy herbatkę z kocimiętki.

– Chyba spasujemy.

– Chętnie podam coś innego. – Wskazał im obszerne pomieszczenie, wyglądające zupełnie jak mały pałac, zasypany śniegiem. Wszystko było białe – kanapy, stoliki, dywany, lampy, poduszki. Jedyne barwne akcenty stanowił portret w białej ramie, przedstawiający nagą gospodynię na białym łożku. Jej długie, gęste blond włosy i ciemnoczerwone usta przyciągały wzrok.

Nawet firanki w oknach, zajmujących całą ścianę, były białe, więc widoczne za nimi miasto zdawało się unosić na chmurach.

Ale według Eve nie w pozytywnym znaczeniu tego słowa.

Coś się poruszyło w białej zaspi. Dopiero teraz się zorientowała, że na czymś w rodzaju tapczanu leży wyciągnięty wielki, biały kocur, mrugający jaskrawozielonymi oczami. Obserwował je, leniwie poruszając ogonem.

Lubiła koty. Sama miała jednego. Ale ten, tak samo jak to pomieszczenie, jak okna z białymi firankami, sprawiał, że przechodziły ją ciarki.

– Pościmy dziś, więc nie mogę paniom zaproponować nic do jedzenia. Ani niczego z kofeiną. Ale mamy cudowną wodę z topniejącego lodowca w Andach.

– Bardzo prosimy – powiedziała Peabody, nim Eve zdążyła podziękować za nie obie.

– Proszę się czuć jak u siebie w domu.

– Chcę się przekonać, jak smakuje woda z topniejącego lodowca w Andach – powiedziała Peabody, kiedy zostały same.

– Założę się, że jak zwykła woda. Kto może tu mieszkać?

– To miejsce przyprawia mnie o lekki ból głowy. Bolą mnie oczy i muszę cały czas mrugać powiekami, żeby widzieć, gdzie co jest. O, Jezu, to nie jest zwykły kot.

– Co? – Eve się obejrzała. Rzeczywiście to nie był zwykły kot. Może lew... Mały, ale zawsze... Lub tygrys bądź...

– To młode białej pantery.

W pomieszczeniu pojawiła się bosonoga Candida w białym swetrze, białych spodniach. Jej białe brylanty rzucały zimne iskry. Jej twarz otaczała aureola włosów. Była piękna i zimna jak brylanty.

– Delilah. – Poglaskała kocię, mijając je. – Czy Aston poszedł po herbatę dla pań?

– Po wodę – poprawiła ją Eve. – Dziękujemy, że znalazła pani czas na rozmowę z nami.

– No, cóż. – Roześmiała się, machnęła ręką, a potem usiadła, podwijając nogi. Niemal utonęła w białej kanapie. – Spędzam dużo czasu, rozmawiając z policją, albo robiąc to moi prawnicy. Wiem, kim pani jest. Myślałam, że jest pani starsza.

– Niż kto?

Znów się roześmiała.

– Wybieram się na premierę pani filmu.

– To nie mój film.

– Kocham premiery. Nigdy nie wiadomo, kogo się zobaczy, kto nas zobaczy. Nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć. I nie ma większej frajdy, niż oglądać, jakie koszmarnie suknie mają niektóre kobiety. Suknię dla pani zaprojektował Leonardo.

– Nie przyszłam tutaj, żeby rozmawiać o swojej garderobie.

– Wielka szkoda. Mogę godzinami rozmawiać o strojach. O, jesteś, Aston. Nie zapomnij dać jeść Delilah, dobrze?

– Tak jest. – Postawił herbatę na stoliku przed nią, a potem podszedł do Eve i Peabody z tacą, na której stały dwie szklanki z wodą.

– A więc czemu zawdzięczam wizytę pań? Nie mam zbyt wiele czasu. Jestem umówiona.

– Ostatniej nocy zamordowano Martę Dickenson.

Candida wyciągnęła ręce i zmieniła pozycję na półleżącą.

– Kim jest Marta Dickenson i czemu miałaoby mnie obchodzić jej śmierć?

– To księgowa, która wykonywała audyt pani funduszu powierniczego. Groziła jej pani.

– Ach, to ona.

– Tak, ona.

– Jeśli ktoś ją zabił, dla mnie nie robi to żadnej różnicy.

– Czyżby?

– Tak, zapytałam Tony’ego. Wyjaśnił, że zlecą komuś innemu przeprowadzenie tego pieprzonego audytu. I może komuś bardziej uczynnemu.

– Kim jest Tony?

– Tony Greenblat zajmuje się moimi finansami.

– Jest jednym z powierników?

Prychnęła pogardliwie.

– Nie jest jednym z tych sknerowatych, starych przyków. Jest moim osobistym doradcą finansowym, a oprócz tego moim prawnikiem. Jednym z prawników. Zajmuje się tym, jak wyciągnąć moje pieniądze z mojego funduszu powierniczego.

– Czyli Tony wytłumaczył pani, że nic dobrego nie przysłoby pani z zabicia Marty Dickenson.

– Tak. Nie! – Zrobiła nadąsaną minę i usiadła prosto. – Próbujecie mnie podejść. Ale nie jestem głupia.

Nie, pomyślała Eve, to coś więcej niż głupota.

– Dlaczego zapytała go pani o denatkę?

– Cóż, nie żyje, prawda? Pomyślałam sobie, że może to dla mnie lepiej. Ale Tony powiedział, że nie, więc... – Wzruszyła ramionami, pociągając łyk herbatki.

– Jeśli nie znała jej pani, jak sama pani wcześniej oświadczyła, dlaczego zapytała pani o nią Tony’ego?

Candida ściągnęła brwi, jakby zamyśliła się głęboko.

– No i co z tego? No więc wiedziałam, co to za jedna.

– To z tego, że okłamała pani funkcjonariusza policji podczas śledztwa w sprawie morderstwa. Jeśli kłamie pani w sprawach tak błahych, muszę założyć, że będzie pani także kłamała w poważniejszych kwestiach. Na przykład, czy zleciła pani zamordowanie Marty Dickenson, czy też nie.

Candida ze złością odstawiła białą filiżankę na biały stolik.

– Niczego takiego nie zleciłam.

– Groziła jej pani. Nękała ją pani telefonami. Dzwoniła pani do niej i jej pani groziła, a ona oświadczyła, że jeśli nadal będzie pani do niej wydzwaniała, poinformuje o tym zarząd powierniczy i sąd. A teraz nie żyje.

– I co z tego? – znów spytała Candida. – Mogę mówić, co chcę, prawo tego nie zabrania.

– Myli się pani.

– Przecież mamy wolność słowa. Gwarantuje ją nam Piąta Poprawka czy coś w tym

rodzaju. Proszę to sprawdzić.

– Z całą pewnością to zrobię – mruknęła Eve. – Skoro już mówimy o prawach, proszę pozwolić, że odczytam, jakie prawa przysługują pani, żeby wszystko było jasne.

Candida znów się nadała, kiedy Eve recytowała stosowną formułkę.

– Jakbym wcześniej tego nie słyszała.

– Cóż, nie zaszkodzi posłuchać jeszcze raz. Czyli rozumie pani swoje prawa i obowiązki.

– Tak. Wielka mi rzecz.

– Może powtórzy nam pani, co powiedziała pani Marcie Dickenson, kiedy korzystała pani ze swojego konstytucyjnego prawa zgodnie z własną jego interpretacją?

– Co?

– Proszę nam podać swoją wersję rozmowy z panią Dickenson.

– Jezu, dlaczego od razu pani o to nie poprosiła? Powiedziałam jej tylko, żeby zostawiła mnie w spokoju. To moje pieniądze i nie rozumiem, dlaczego muszę błagać tych sknerowatych dziadów za każdym razem, kiedy są mi potrzebne. I byłam dla niej miła. Posłałam jej kwiaty. Powiedziałam, że zapłacę jej pod stołem dziesięć tysięcy, jeśli zaświadczy, że wszystko się zgadza. Dziesięć tysięcy to niezła sumka dla jakiejś księgowej.

– Namawiała pani Martę Dickenson do sfałszowania wyników audytu, obiecując jej w zamian dziesięć tysięcy dolarów?

– Tak. Byłam miła. A ona się wkurzyła. Więc odparłam: dobrze już, dobrze, niech będzie dwadzieścia tysięcy. A ona na to: „Jeśli pani nie przestanie, będę musiała o tym poinformować kogo trzeba” i podobne bzdury.

– Peabody, ty ją skujesz czy ja mam to zrobić?

– Mogę ja ją skuć?

– O czym wy mówicie? Nie zbliżajcie się do mnie! – Candida skuliła się na kanapie. – Aston!

– Pani Mobsley, właśnie przyznała się pani, że proponowała Marcie Dickenson łapówkę w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów w zamian za sfałszowanie wyników audytu, nakazanego przez sąd. To przestępstwo.

– Nieprawda!

– Proszę to sprawdzić – powiedziała Eve, a potem zwróciła się do Astona, który wbiegł do pokoju. – Proszę się cofnąć. Chyba, że chce pan zostać aresztowany.

– O co chodzi? Co się dzieje?

– Twierdzą, że mogą mnie aresztować za to, że byłam miła dla tej głupiej księgowej, która nie żyje. Powiedziałam jej tylko, że jej zapłacę.

Najwyraźniej nie tak głupi, jak jego chlebobawczy, Aston zamknął oczy.

– Och, Candido.

– O co chodzi? Co za problem? To moje pieniądze. Chciałam jej zapłacić.

– Pani porucznik, proszę. Candida nie rozumiała, co się z tym wiąże. Czy mogą panie zaczekać chwilkę? Jedną chwilkę. Zadzwońię do jej prawnika. Niezwłocznie się tu stawi.

– Najpierw spróbujemy zrobić coś innego. Niech odpowie na moje pytania bez żadnego kręcenia, to zobaczymy.

– Jak najbardziej. Jak najbardziej. Candido, musisz odpowiedzieć na pytania pani porucznik. Musisz jej powiedzieć prawdę.

– Przecież to zrobiłam!

– Skłamała pani, odpowiadając na pierwsze pytanie. Proszę spróbować jeszcze raz.
– W pierwszej chwili nie skojarzyłam jej nazwiska i tyle.
– Peabody, bierz kajdanki.
– Dobrze już, dobrze. Jezu! Trochę się zgrywałam. Nic wielkiego. Przecież się przyznałam, że wiem, kim była, prawda?

– Groziła jej pani.

– Może coś jej powiedziałam. Byłam zdenerwowana. Ci członkowie zarządu powierniczego to fiuty. I mój dziadek też, bo jest takim sknerą. I moi rodzice, bo...

– Nie obchodzą mnie członkowie zarządu powierniczego, pani dziadek ani pani rodzice, chociaż wszystkim im współczuję. Obchodzi mnie wyłącznie Marta Dickenson.

– Nic nie zrobiłam. Powiedziałam tylko, że dam jej pieniądze za drobną przysługę. Zrobi pani to, o co proszę, to pani zapłacę. Płacę wielu ludziom za różne rzeczy.

– Pani porucznik... – zaczął Aston.

– Ani słowa. – Spojrzała w dół, czując znajome dotknięcia łaszącego się kota, i zobaczyła młode białej pantery, które ocierało się o jej nogi. Dziwne uczucie.

– Kilka razy dzwoniła pani do niej, grożąc jej, jeśli nie zgodzi się spełnić pani żądania.

– Byłam zdenerwowana! Na początku byłam dla niej miła, a ona się na mnie wkurzyła. Więc też się wkurzyłam.

– Powiedziała jej pani, że jeszcze tego pożałuje.

– Zgadza się. Znam ludzi, którzy postaraliby się, żeby tego pożałowała.

– Naprawdę? – spytała Eve, a Aston tylko jęknął cicho.

– Pracowałam nad tym. Te sknery zawsze chcą, żebym mądrze inwestowała pieniądze, no nie? Więc rozważałam zakup firmy, w której pracowała. Wtedy mogłabym ją wywalić na zbity pysk.

– Zamierzała pani kupić firmę i zwolnić panią Dickenson?

– Tak! Tony powiedział, że nie są zainteresowani sprzedażą, ale ludzie zawsze się zgadzają na sprzedaż, jeśli im się zaproponuje odpowiednią cenę. Tylko że Tony mi wytłumaczył, że nawet jeśli kupię tę firmę, głupi sąd zleci głupi audyt komu innemu. Mnie jednak chodziło o zasadę. Mam zasady, tak jak wszyscy.

– A znając tylu ludzi, może zna pani także takich, którzy wiedzieliby, jak ją nastraszyć. Trochę ją poturbować.

– Co? Znaczą się... – Candida zamarkowała cios. – No nie! – Roześmiała się. – Gdybym chciała jej przyłożyć, sama bym to zrobiła. Ale jeśli uderzę kogoś w ciągu najbliższych osiemdziesięciu jeden dni, będę musiała iść na kolejne sesje na temat panowania nad swoim gniewem, a są tak cholernie nudne, że nie dają rady na nich wysiedzieć. Prawdopodobnie wkurzyła jeszcze kogoś. Od razu tak sobie pomyślałam, kiedy usłyszałam, że ktoś ją zabił. Ci, którzy grzebią w cudzych pieniądzach, wkurzają ludzi.

Kiedy młoda pantera próbowała się wspiąć po nodze Eve, machinalnie podrapała ją między uszami, a potem delikatnie odepchnęła. Gdy młode się oddaliło, przeciągnęło, a następnie zwinęło w kłębek, uznała, że to małe ma więcej oleju w głowie od swojej właścicielki.

– No dobrze.

– Jak to?

– To nam na razie wystarczy. Skontaktujemy się, jeśli będziemy potrzebować jeszcze jakichś wyjaśnień.

Aston splótł dłonie.

– Czy mam zadzwonić po prawnika?

– Tym razem nie. Przysyłanie kwiatów to miły gest, proponowanie łapówki – nie – wyjaśniła Candidzie. – I zabronione prawem. Proszę spróbować o tym pamiętać. Peabody.

Kiedy wsiadły do windy, Eve westchnęła głęboko.

– Wnioski? – spytała swoją partnerkę.

– Myślałam, że będzie cwana i przebiegła. Znaczący się, jak ktoś ma tyle pieniędzy, to powinien być inteligentny. Ale ona jest głupia jak noga stołowa. Albo jeszcze głupsza. Zbyt głupia, by zlecić zabójstwo, a jeśli nie, zbyt głupia, żeby się do tego nie przyznać, uważając coś takiego za wyświadczoną sobie przysługę, za którą zapłaciła.

– Zgadzą się. Kupić firmę, żeby móc zwolnić audytora! – Dallas pokręciła głową. – Bo ma zasady.

– I prawa, gwarantowane przez Piątą Poprawkę.

– Racja. Powinna była powołać się na nią, zamiast samą siebie obciążać łapówkarstwem.

– Przecież ona tylko chciała być miła.

Eve pokręciła głową i wybuchnęła śmiechem.

– No więc jaka jest woda z topniejącego lodowca w Andach?

– Mokra.

Rozdział 6

Sprawdziwszy, która godzina, Eve zdecydowała, że Peabody sama pojedzie przesłuchać Jaspera Milka. Ona chciała się dowiedzieć czegoś więcej o Alvie Moonie. Przyjaciółka Bradleya Whitestone'a, będąca drugim świadkiem poza nim, mogła wzbogacić jej wiedzę o trzech współnikach.

Zastała Alvę w domu. Tym razem nie był to apartament, tylko ładna kamienica z piaskowca w Upper West.

Eve pochwaliła w myślach alarm, szczególnie kiedy się okazało, że nie wzbronił jej wstępu do budynku. Po kilku chwilach Alva otworzyła drzwi. Miała na sobie krótką, wąską, fioletową sukienkę, była boso.

– Porucznik Dallas, cóż za wyczucie czasu. Właśnie wróciłam z pracy.

– Z pracy?

– Działam w organizacji non profit. To fundacja powołana przez moją rodzinę. Zapraszam do środka.

Ściany w holu pomalowane były prawie na ten sam kolor, co sukienka właścicielki mieszkania, na podłodze leżał dywan w geometryczny wzór. Alva skierowała się w lewo, do szerokiego, wysokiego pomieszczenia dziennego o wystroju gdzieś pomiędzy salonem Dickensonów a Candidy. Widać było, że należy do osoby mającej – świadczyły o tym dzieła sztuki, tkaniny, kilka antyków tu i tam. Zadbano też o wygodę – miękkie kanapy i fotele, łagodnie tłący się ogień na kominku.

– Właśnie zamierzałam się napić wina. Mam za sobą długi dzień. Czy napije się pani ze mną?

– Dziękuję, nie, ale proszę się nie krępować moją osobą.

– Sissy zaraz przyniesie wino. Moja gospodyni – wyjaśniła. – Kiedyś była moją nianią, nadal się mną opiekuje. Proszę usiąść. Spodziewałam się, że znów się spotkamy. Czy już pani wie, co się przydarzyło tej biedaczce?

– Śledztwo jest w toku.

– Jakąś godzinę temu zadzwonił do mnie Brad. – Alva usiadła, podwinęła nogi. – Powiedział, że była pani w firmie, rozmawiała z nim i jego współnikami. I że według pani morderstwa dokonano w remontowanym mieszkaniu. I że ta kobieta nie była przypadkową ofiarą.

– Wyrezył mnie, mówiąc to pani.

– Czy nie powinien był nic mówić?

– Nie, nic się nie stało. – Eve obejrzała się, bo do pokoju weszła atrakcyjna, wysoka brunetka, niosąc tacę z butelką wina, dwoma kieliszkami i małym półmiskiem owoców i serów.

– Dziękuję, Sissy. To jest porucznik Dallas. Ciciły Morgan, moja opoka.

– Miło mi panią poznać – powiedziała z wytwornym, angielskim akcentem Sissy. – Czy nalać pani wina?

– Dziękuję, jestem na służbie.

– Kawy? Herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Zostawię panie, żeby mogły sobie panie porozmawiać.

– Sissy, usiądź i napij się ze mną wina, skoro porucznik Dallas nie może pić. Nie ma pani nic przeciwko temu? – zwróciła się Alva do Eve. – Już powiedziałam Sissy, co się stało.

– Naturalnie – odrzekła Eve. – Przyszłam tutaj, żeby zadać jeszcze kilka pytań. Może opowiedziałaby mi pani trochę więcej o swojej znajomości z Bradleyem Whitestone’em.

– Poznaliśmy się kilka tygodni temu podczas kwesty. Zaleca się do mnie. – Alva uśmiechnęła się, nalewając wina do dwóch kieliszków. – A przynajmniej do mojego portfela papierów wartościowych. Nie przeszkadza mi to. Ma dobre, świeże pomysły, jest czarujący.

– Czyli to nie bliska zażyłość.

– Jeszcze nie zdecydowałam. Lubię go, ale jestem ostrożna. Nie zawsze tak było, prawda? – Poklepała Sissy po dłoni. Kobieta uśmiechnęła się lekko.

– Byłaś młoda, może trochę krnąbrna.

– Trochę? – Alva się roześmiała, odrzucając głowę do tyłu. – Sissy bardzo łagodnie mnie ocenia. Jeszcze całkiem niedawno prowadziłam zupełnie inny tryb życia. Kluby, imprezy, mężczyźni. Nawet parę kobiet, żeby móc powiedzieć, że tego też spróbowałam. Szastałam pieniędzmi na lewo i prawo. Potem związałam się z niewłaściwym facetem. Skrzywdził mnie.

– Przykro mi.

– Żeby się zbytnio nad tym nie rozwodzić, pobił mnie do nieprzytomności, zgwałcił i znów pobił. Okradł mnie, wyrzucił nagą z mojego własnego mieszkania. Gdyby moich krzyków nie usłyszał jeden z sąsiadów, nie zabrał do siebie i nie wezwał policji, nie wiem, jak by się to skończyło.

– Czy go zatrzymano?

– Tak. To był nieprzyjemny proces. Sądzone w równym stopniu mnie, co jego. Moja rodzina, w tym Sissy, stanęła murem za mną. Nawet po tym wszystkim, co powiedziałam i zrobiłam.

– Nie przypominam sobie, żebym o tym słyszała.

– To było w Londynie. Właściwie tam się przeprowadziłam. Było to jakieś cztery lata temu. Sissy wyjechała razem ze mną, opiekowała się mną. Skorzystałam z pomocy psychologa, a potem wróciłam do domu. Ale zupełnie inna, lepsza niż kiedyś.

– Wróciłaś taka, jaka zawsze byłaś – poprawiła ją Sissy. – Zajęło ci tylko trochę czasu odnalezienie siebie.

– Nie chciałam znów siebie stracić, więc poprosiłam Sissy, żeby zamieszkała ze mną. Jest moją busołą. Kupiłam ten dom, próbuję zasłużyć na drugą szansę. I tak w skrócie wygląda mój życiorys.

– To miłe miejsce. Wywołuje... Zadowolenie.

– Dziękuję, właśnie tego pragnęłyśmy.

– Dopiero co byłam w mieszkaniu, które wcale nie budzi takich skojarzeń. Czy zna pani Candidę Mobsley?

– Tak. – Alva rzuciła szybkie spojrzenie Sissy, która tylko westchnęła i pociągnęła łyk wina. – Obracałyśmy się w tych samych kręgach, więc mogę powiedzieć, że ją znałam. Przez kilka miesięcy w dawnych, złych czasach robiłyśmy te same głupstwa. Można powiedzieć, że teraz każda z nas żyje inaczej, ale od czasu do czasu widuję ją na jakiejś imprezie czy przyjęciu. Niewiele się zmieniła. Czy... – Alva zrobiła zdumioną minę, odstawiła kieliszek. – Chyba nie jest w to zamieszana?

– Nie sądzę. Raczej nie.

- Jest trochę szalona i szczerze mówiąc niezbyt rozgarnięta.
- Też odniosłam takie wrażenie.
- Jest taka, jaka chce być – dodała Sissy i usiadła prosto. – Przepraszam. To była niegrzeczna i niepotrzebna uwaga.
- Ale prawdziwa – dodała Alva. – Jeśli jest pijana albo pod wpływem narkotyków, co często jej się zdarza, wszczyna awanturę. Kogoś uderzy, rzuca czym popadnie... Właściwie bardziej to przypomina napad złości u dziecka niż awanturę. Ale nie podejrzewam, żeby było ją stać na zrobienie tego, co zrobiono tej kobiecie.
- Ma dość pieniędzy i znajomości, by wynająć kogoś, żeby ją wyręczył – zauważyła Eve.
- Nie, do tego też nie byłaby zdolna. Jeśli ma z kimś problem, wpada w złość, szasta pieniędzmi, grozi. Ale morderstwo? – Alva znów wzięła kieliszek z winem i rozsiadła się wygodnie. – Szczerze mówiąc, nie wiem, czy wpadłaby na taki pomysł. Gdyby jednak się okazało, że z jakiegoś powodu to zrobiła, jako osoba niezbyt rozgarnięta przechwalałaby się tym bez zastanowienia.
- Ciekawe – powiedziała Eve. – Identycznie ją oceniłam.
- Może powinnam spróbować sił w policji. – Alva znów się roześmiała. – I wcale nie za milion lat. Więc... Nie zadała pani tego pytania, ale odpowiem. Nie wyobrażam sobie, żeby Brad był zdolny do zrobienia czegoś takiego. Przyznaję, że znam go zaledwie od kilku tygodni, ale znacznie lepiej niż kiedyś potrafię ocenić charakter człowieka. A jak ty uważasz, Sissy?
- Lubię go. Jest dobrze wychowany, ma poczucie humoru, nie brak mu entuzjazmu.
- Moja busola – powtórzyła Alva. – Wczoraj wieczorem naprawdę bardzo miło spędziliśmy czas, byliśmy zrelaksowani, czuliśmy się swobodnie. Kolacja, potem drinki. Rzuciłam coś na temat tego, jakie to musi być ciekawe remontować cały gmach. Podoba mi się to, że razem ze swoimi przyjaciółmi stworzył firmę od podstaw, że postanowili przywrócić świetność temu budynkowi. Trochę o tym rozmawialiśmy, spytał, czy chciałabym obejrzeć ten dom, który jest tylko dwie przecznice dalej.
- Czyli tak się narodził ten pomysł – powiedziała Eve.
- Tak jest. Naprawdę chciałam zobaczyć ten dom, przekonać się, czego dokonał Brad ze swoimi przyjaciółmi. Był bardzo przejęty, cieszył się, że chce obejrzeć ich dzieło. I przypuszczam, że być może nasza znajomość przekształciłaby się w coś bardziej zażyłego. Ale po tym, co... Obydwoje byliśmy wstrząśnięci. Odwiozł mnie do domu i został tu na noc. Żadne z nas nie chciało być samo. Przespał się parę godzin w pokoju gościnnym.
- A jego wspólnicy? Co pani o nich wie?
- Poznałam ich i Mię... – Alva ze śmiechem pomachała dłonią przed twarzą. – Zjadłam kolację z nim, z Robem i jego narzeczoną, z Jakiem i jego przyjaciółką. Nie rozmawialiśmy o interesach. Przypuszczam, że to był element załotów, ale bardzo miło spędziliśmy czas. Poprosiłam również ojca, żeby czegoś się o nich dowiedział, zarówno o ich życiu prywatnym, jak i zawodowym. Już nie ryzykuję. Też mu się spodobali. Mało prawdopodobne, by stał się ich wielbicielem, ale nie ma nic przeciwko temu, żebym się z nimi przyjaźniła, jeśli się na to zdecyduje.
- W porządku. To mi wystarczy.
- Czy pracuje pani cały ten czas, odkąd zobaczyłam panią dziś rano?
- Taki zawód.
- Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Sissy i ja przeczytałyśmy książkę o Icove'ach.

Wybieramy się na premierę filmu.

– Alva, idź ze swoim przyjacielem.

– Właśnie tak zrobię. – Alva ujęła Sissy pod ramię. – Tak zdecydowałam. Naprawdę podobała nam się ta książka.

– Jest fascynująca – powiedziała Sissy. – Szkoda mi było tych kobiet, młodych dziewczyn, dzieci.

– Mnie też. – Eve wstała. – Dziękuję za poświęcony mi czas i szczerość. Z tego, co widzę, dobrze wykorzystuje pani drugą szansę.

*

Włączyła automat nie tylko dlatego, że była kompletnie wyczerpana, ale również dlatego, że w drodze do domu chciała załatwić jeszcze kilka spraw. Zaczęła od zlecenia standardowego sprawdzenia wszystkich pracowników biura księgowego, w którym zatrudniona była ofiara, i firmy Whitestone'a.

Doszła do wniosku, że musi się zapoznać z dokumentami, które McNab skopiował z domowego komputera ofiary. Będą mieli się czym zająć, póki sędzia Yung nie uzyska nakazu.

Pojęła również, że nie będzie mogła przeanalizować dokumentów finansowych, raportów z audytów czy co to było, póki nie będzie miała świeżego umysłu, póki nie naładuje baterii.

Przejeżdżając przez bramę, potarła piekące oczy i pomyślała, że jeszcze nigdy dom nie wydał jej się tak wspaniałym miejscem.

Listopadowe chłody i porywiste wiatry odarły z ostatnich liści drzewa, rosnące na rozległym, zielonym trawniku. Ale dzięki temu nic nie przesłaniało widoku na dom z szarego kamienia, z wieżyczkami jak w jakimś zamku. Już sobie wyobraziła, że jest w środku i rozkoszuje się ciepłem, ciszą.

Najpierw weźmie gorący, bardzo gorący prysznic, żeby strumienie wody zmyły z niej trudy długiego dnia. Potem może sobie utnie krótką, dwudziestominutową drzemkę. Później coś zje, siedząc za biurkiem i przedzierając się przez kolumny liczb, które – miała nadzieję – zrozumie.

Zatrzymała się przed okazałym wejściem frontowym, wysiadła z samochodu i czując ulgę, że w końcu tu dotarła, niczym lunatyczka skierowała się do drzwi.

Summerset stał w holu niczym zhora z jej najgorszych snów. Jak zwykle miał na sobie czarny garnitur. Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. Galahad, jej grube kocisko, przycupnął koło niego.

– Wygląda pani, jakby kot przywłókł panią do domu.

Zdjęła płaszcz i specjalnie rzuciła go na słupek poręczy.

– Tylko dlatego, że uznaliby, że ty nie jesteś wart wysiłku. – Kiepskie, pomyślała, ale ujdzie.

Wspomniany kot podreptał do niej, otarł się o jej nogę. Znieruchomiał, wygiął grzbiet i zaczął ją obwąchiwać. W jego oczach, każdym innego koloru, pojawiły się dzikie błyski.

Potem się cofnął, spojrzął na nią i syknął.

– Ej!

– Najwidoczniej to panią uważa za osobę niewartą zachodu.

Przez chwilę stała zaskoczona i przerażona. Przecież to jej kot, który kiedyś uratował jej życie. I to dwa razy.

Teraz wyglądał wypisz wymaluj jak koty na rysunkach z Halloween: czarny, z wygiętym grzbietem, ze zjeżoną sierścią, syczał na nią.

I przypomniała sobie młodą panterę.

– To nie moja wina. Przesłuchiwałam właścicielkę młodej pantery. Nie zaproponowałam jej mleka ani jedzenia.

Galahad, najwyraźniej uznawszy jej usprawiedliwienie za równie kiepskie, jak zniewaga, którą rzuciła Summersetowi, odwrócił się, zadarł ogon, jakby chciał powiedzieć „wypchaj się”, i wrócił do Summerseta.

– Dobrze. Niech ci będzie. – Gderając pod nosem, skierowała się ku schodom. – Kto cię przyniósł do tego kociego pałacu?

Nadąsana weszła do sypialni. Przystanąła, żeby włączyć domowy komputer.

– Gdzie Roarke?

Dobry wieczór, najdroższa Eve. Roarke’a nie ma w domu.

– Świetnie. – Czyli nawet nie mogła pożalić się mężowi, jaki afront ją spotkał ze strony kota.

Świetnie.

Weszła na podwyższenie, usiadła na brzegu wielkiego łóżka, żeby zdjąć buty. Kopnęła je w kąt.

– Do diabła z tym wszystkim – udało jej się powiedzieć, nim przewróciła się w poprzek łóżka i zapadła w sen.

*

Godzinę później Roarke wszedł do sypialni. Też miał za sobą długi, ciężki dzień. Wrócił do domu spragniony Eve i dużego kieliszka wina mniej więcej w takiej kolejności.

W holu powitał go taki sam komitet, jak jego żonę.

– Pani porucznik jest na górze – poinformował go Summerset, a Galahad – teraz tylko z lekko wygiętym grzbietem – zbliżył się do Roarke’a, żeby obwąchać jego spodnie.

– To dobrze.

– Wyglądała na wyczerpaną.

– Nic dziwnego. Cóż to ma znaczyć? – Pochylił się, żeby podrapać kota, który nie przestawał go obwąchiwać.

– Widocznie nie ufa, że jesteś lojalny wobec niego, po tym, jak wyczuł od pani porucznik innego kota.

– Ach. Cóż, nie miałem dziś czasu na zabawę z kotami. – Kiedy Roarke zdjął płaszcz, Summerset wyciągnął rękę, żeby wziąć od niego okrycie. – Dzięki. W takim razie chodźmy na górę – zwrócił się do kota. – Jestem pewien, że jakoś ci to wynagrodzi.

Zaczął iść po stopniach, a kot pobiegł za nim.

Jeśli poszła do swojego gabinetu, naleje im wina, postanowił Roarke. I namówi ją na krótką drzemkę. Jemu też się przyda. Ale najpierw chciał się uwolnić od tego cholernego garnituru.

Ujrzał Eve, śpiącą w poprzek łóżka.

– Bardzo dobrze.

Zdjął garnitur, przebrał się w luźne spodnie i T-shirt z długimi rękawami. Uznał, że wino może zaczekać, i położył się obok żony. Poruszyła się, mamrocząc coś jakby „cyferki”, kiedy objął ją ramieniem, ale się nie obudziła.

Kot wskoczył na łóżko i wylądował obok biodra Roarke'a. Leżąc między Eve a kotem, Roarke też usnął.

We śnie na osobliwy sposób przeżywała wszystko, co ją spotkało w ciągu dnia, wędrowała przez białe krajobrazy, lodowate ulice, puste biura, w których rozbrzmiewało echo płaczu.

Stała w mieszkaniu Dickensonów, podparłszy się pod boki.

– To nie tutaj – powiedziała do Galahada, który ją ignorował. – Nikt cię nie prosił, żebyś tu przyszedł, ale wiedz, że to nie tutaj. Niczego tu nie ma poza rozpaczą.

Wyszła i znalazła się w remontowanym mieszkaniu.

– Odrobina krwi, ale nie powinni byli jej przeoczyć. Niechlujstwo. Zostawili ją na progu. Czy to jakieś przesłanie, a jeśli tak, to dla kogo?

Dla Whitestone'a? Ale nie powinien był znaleźć zwłok. Już prędzej jakiś przechodzień wczesnym rankiem, a bardziej prawdopodobne, że ktoś z ekipy remontowej.

Nie widziała żadnego powiązania między ofiarą a kimkolwiek z ekipy remontowej.

Obróciwszy się, zobaczyła oprawione w ramki zdjęcie dzieci ofiary i jej męża. Zrobione w szczęśliwszych czasach.

– Rodzina była dla niej wszystkim. – Daniel Yung siedział na wygodnej kanapie, rękę położył na kolanach. – By chronić dzieci, zrobiłaby, powiedziała, oddałaby wszystko.

Tak, myślała o nich po tym, jak ją porwano, o tym, żeby wrócić do domu. Szczególnie do dzieci. Tak zachowują się matki, prawda?

Poczuła obecność swojej matki, ujrzała na progu szyderczo uśmiechającą się Stellę.

– Myślała o sobie, jak wszyscy. Nienawidziła tkwić tu uwięziona z pochlipującym bachorem. Tak, jak ja. Jest nie lepsza ode mnie.

Eve przyglądała się jej przez chwilę: zawziętym oczom, szyderczo wykrzywionym ustom, poderżniętemu przez McQueena gardłu. I poczuła jedynie lekkie zniecierpliwienie.

– Odwal się. Szkoda mi czasu dla ciebie. Świat nie kręci się wokół ciebie.

– Uważasz, że myślała o dwójce bachorów albo o dupku, przez którego zaszła w ciążę?

– Owszem, tak uważam. Myślała o swoich dzieciach, o swoim życiu, i dała łobuzom, którzy ją zabilili, wszystko, czego chcieli. Bo wiedziała to, na czym im zależało, albo przynajmniej wystarczająco dużo na ten temat. Chodziło o pieniądze, audyty, portfele papierów wartościowych, inwestycje. O liczby. Gdzieś się nie bilansują. Jak, u diabła, mam je znaleźć?

Roarke stanął obok niej, pogładził ją po włosach.

– Naprawdę musisz pytać?

– No tak. Przecież mam ciebie.

Uniosła powieki i tuż przed sobą ujrzała jego niesamowite, niebieskie oczy.

– Mówiłaś przez sen.

– Naprawdę?

– „Mam ciebie”, powiedziałaś, i to prawda.

Wciąż zasnana, pogładziła go po włosach, tak jak on pogłaskał ją we śnie.

– Coś, jakbym prowadziła śledztwo we śnie. Uważam, że jej zabójstwo ma związek z pieniędzmi, z dużymi pieniędzmi. Takimi, które się inwestuje, poddaje audytom, lokuje

na specjalnych kontaktach. Dlatego byłeś w moim śnie. Na miejscu przestępstwa.

– I co ci powiedziałem?

– Przypomniałeś mi, że mam na swoje usługi specja od wielkich pieniędzy. Jestem pewna, że będziesz mi potrzebny.

– Zawsze chętnie służę ci pomocą.

– McNab znalazł dokumenty, którym muszę się przyjrzeć albo poprosić ciebie, żebyś mnie w tym wyręczył.

Próbowała wstać. Położył się na niej.

– Domagam się zapłaty z góry.

– Nie dalej jak dziś ostrzegłam kogoś, że przekupstwo jest przestępstwem.

– Możesz aresztować mnie później. – Uwolnił ją od broni, której nie odpięła. – Wolę, żebyś w tej chwili była nieuzbrojona. I naga.

– Zawsze wolisz mnie nagą.

– Przyznaję się do winy. – Dotknął ustami jej warg. – Jesteś moja.

Wydawało jej się, że upłynęło wiele dni, odkąd ostatni raz była w domu, w łóżku razem z nim. Uznała za wyjątkowe szczęście to, że tu wróciła, że jej ciało reaguje na jego pieszczoty, że może przestać myśleć o pracy, o krwi, śmierci i rozpacz, i skupić się na przyjemnościach.

– Przynajmniej raz nie masz na sobie zbyt wiele ciuchów. – Zdjęła mu T-shirt, przesunęła dłońmi po jego plecach.

– Byłem przewidujący. – Posadził Eve, żeby zdjąć jej marynarkę. – W przeciwieństwie do ciebie.

– Zamierzałam jedynie naładować baterie. – Uśmiechnęła się szeroko, kiedy ściągał jej sweter. – Nadal je ładuję. – Przytuliła się do niego, mając wciąż na sobie podkoszulkę, spodnie i brylant wielkości piąstki niemowlęcia, prezent od Roarke'a.

Objęła go nogami w pasie i udało jej się sprawić, że znalazł się pod nią.

– Myślę, że ta drzemka postawiła mnie na nogi. – Ściągnęła podkoszulkę, rzuciła ją w kąt. – I mam jeszcze wolną rękę.

– Ja mam dwie. – Położył dłonie na jej piersiach.

– Zgadza się. – Zamknęła oczy, pozwalając, by zawładnęły nią emocje.

Nachyliła się do Roarke'a i pocałowała go namiętnie.

Szczupła i silna, pomyślał. Oczy miała podkrążone ze zmęczenia, ale odzyskała zwykłą energię. Jego Eve, jego nagroda pod koniec długiego, ciężkiego dnia.

Kiedy znów znalazł się na niej, usłyszał gardłowy śmiech, który przeszedł w pomruk, gdy zaczął całować jej piersi. Czuł pod wargami bicie jej serca, coraz szybsze pod wpływem dotyku jego dłoni. Uniosła biodra, kiedy zdejmował jej spodnie. Przesuwał usta coraz niżej – z piersi na brzuch. Drażnił się z nią, aż wstrzymała oddech i wpiła się palcami w jego plecy.

Na chwilę znieruchomiała, a potem się odprężyła, jęcząc cicho, przepelniona szczęściem.

Wiedział, jak dawać, jak brać. Zawsze to wiedział. Przy nim mogła kochać bez obaw, bez wątpliwości, mając pewność, że jest tak samo kochana. Sięgnęła po niego, sięgnęła po tę miłość i znów ujrzała przed sobą jego niesamowicie niebieskie oczy.

Kiedy wniknął w nią, radość wymieszała się z zadowoleniem. Ich ruchy, początkowo wolne, stały się coraz bardziej rytmiczne, aż przestało się liczyć cokolwiek innego. Eve ujęła jego twarz w dłonie, czując, jak każda sekunda przybliża ją do spełnienia.

W jego oczach zobaczyła, że unosi się w powietrzu. A po chwili Roarke dołączył

do niej.

*

Ponieważ jej wewnętrzny zegar już i tak był całkiem rozregulowany, uznała, że nic się nie stanie, jak poleży z Roarkiem jeszcze kilka chwil. Może jej zamysł oczyszczenia umysłu i naładowania baterii nie przebiegł dokładnie tak, jak to zaplanowała.

Ale tak było jeszcze lepiej.

– Rozmawiałam dziś ze zbyt wieloma osobami – odezwała się po chwili.

– Opowiedz mi o tym.

Spojrzała na okno nad ich łóżkiem, zastanawiając się, kiedy na zewnątrz zrobiło się ciemno.

– Ciebie nigdy nie męczą rozmowy z ludźmi.

– Mylisz się.

– Możesz komuś zapłacić, żeby cię wyręczył. A nawet zapłacić komuś za rozmowę z tymi, którzy rozmawiają, a z którymi ty nie masz ochoty rozmawiać.

Rozbawiony Roarke splótł palce z jej palcami.

– A niby kto miałby z nimi rozmawiać?

– Możesz ubić wielki interes, wysyłając SMS albo e-maile i nie musząc z nikim rozmawiać. Ja mogę tylko marzyć o czymś takim.

– Ach, ale gdybym płacił ludziom, żeby za mnie rozmawiali, co właściwie robię, kiedy zajdzie taka potrzeba, a potem płacił jeszcze większej liczbie ludzi, by rozmawiali z tymi, którym zapłaciłem, niewątpliwie doszłoby do jakichś przekłamań i koniec końców musiałbym rozmawiać z jeszcze większą liczbą ludzi po tym, jak wszystko by się popieprzyło.

– Być może. Ale bardziej ode mnie lubisz ludzi.

– To chyba prawda, póki nie uwzględnisz tego, że codziennie dla ludzi ryzykujesz życie.

– Dziś nieszczęśliwie ryzykowałam.

– W takim razie powinniśmy to uczcić. Boże, ale mam ochotę na kieliszek wina.

Ujęła jego głowę w obie ręce i przyjrzała mu się uważnie.

– Miałaś zły dzień.

– Nie, długi, ciężki, ale właściwie wcale nie taki zły. Szczególnie miła była jego część po powrocie do domu.

– Cóż, to się rozumie samo przez się.

– Zawsze należy o tym mówić. – Uniósł się, żeby pocałować Eve.

– W takim razie ja powiem to samo. Mam ochotę na prysznic, może na kieliszek wina, a ponieważ zapłaciłam ci z góry, chcę, żebyś rzucił okiem na dokumenty ofiary.

– Umowa stoi. Prysznic, wino, kolacja... I potem moje zobowiązanie.

– Ja już jadłam.

– To znaczy?

Roześmiała się i razem z nim wstała z łóżka.

– Dziś rano zjadłam pseudobabeczkę z owocami, a po południu przepyszny rosół z kurczaka.

– Więcej powodów do świętowania.

Poszli razem pod prysznic, a Roarke pogodził się z tym, że się ugotuje.

– To była naprawdę smaczna zupa z delikatesów w pobliżu miejsca zabójstwa. – Eve poleciała odkręcić dysze na ful, ustawiła temperaturę wody na trzydzieści dziewięć stopni.

Skrzywił się, ale zniósł to dzielnie.

– A ty?

– Pytasz, czy jadłem? – Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek zadała mu to pytanie. – Zjadłem porządne śniadanie, potem obiad w stołówce dla kierownictwa, gdzie rozmawiałem ze zbyt wieloma osobami przez zbyt długi czas. Niemal straciłem przez to apetyt.

– Masz jakieś kłopoty? Czy powinnam zastawić część biżuterii, którą mi podarowałeś?

– Myślę, że damy sobie radę. Nie martw się. – Zrobił kilka odprężających ruchów głową. – Musiałem niektórym przypomnieć, co powinno być dla nich najważniejsze, i kto im płaci.

– Byłeś Groźnym Roarkiem?

Z uśmiechem dotknął palcem dołeczka w jej brodzie.

– Może. Tak czy owak, sprawa załatwiona i nie powinno się to powtórzyć w najbliższej przyszłości.

– Musiałeś dziś skopać komuś tyłek. Ja nie. A szkoda. Chociaż udało mi się postraszyć naprawdę bogatą idiotkę. Zawsze to coś.

– Znam ją?

– Prawdopodobnie tak. Candida Mobsley.

– O, tak. Rzeczywiście to idiotka. Jest zamieszana w zabójstwo?

– Nie sądzę. Jest za głupia, żeby coś takiego zaplanować, a gdyby zapłaciła komuś, by ją wyręczył, wygadałaby się, kiedy wzięłam ją na spytki.

Uśmiechnął się, słysząc, jak Eve używa jego języka.

– Chyba masz rację.

– Tak czy owak, mam listę firm... Dlaczego nazwy większości z nich składają się z trzech nazwisk? Proszę, żebyś na nią rzucił okiem. Chcę tylko wiedzieć, czy któreś z nich znasz.

Przeszła spod prysznic do suszarki, a Roarke obniżył temperaturę wody o sześć stopni i westchnął z ulgą.

Wróciwszy do sypialni, Eve ubrała się i zerknęła spod oka na kota.

– Wykrzywił się pogardliwie na mój widok. – Czując się do głębi znieważona, zwróciła się do Roarke'a. – Jak kot może się pogardliwie wykrzywić? Daj spokój, tłuściochu – zwróciła się do Galahada. – Zdjęłam spodnie, wzięłam prysznic. Już nie wyczujesz zapachu obcego zwierzęcia.

– Summerset mi powiedział, że Galahad gniewa się na ciebie, bo zadawałaś się z jakimś innym kotem.

– To nie był kot, tylko pantera.

– Byłaś w zoo?

– Ta bogata idiotka trzyma w domu młode białej pantery, żeby pasowało do jej białego apartamentu. Ten wiał wywołał u mnie ślepotę śnieżną. Wszystko białe, tylko jej asystent ubrany był na czarno. Przypuszczam, że dlatego, by mogła go odszukać w tej zamieci śnieżnej, w której żyje. Muszę sprawdzić, czy ma pozwolenie na trzymanie pantery w domu. Jaka idiotka trzyma kota z dżungli w charakterze przytulanki?

– Jest do tego zdolna, jeśli ktoś jej powiedział, że to modne albo że to oznaka buntu.

Eve zmrużyła oczy.

– Czy posuwałeś tę idiotkę?

Roarke pokręcił głową.

– To bardzo prostackie określenie, uwzględniając to, co zrobiliśmy dziś na powitanie.

Nie, nie posuwałem tej idiotki, nie ciupciałem jej, nie przeleciałem jej ani z nią nie figlowałem.

– Dlaczego nie?

– Fakt, że jest idiotką, powinien wystarczyć za wszystkie wyjaśnienia. Poza tym nie jest w moim typie. Pije, ćpa, zachowuje się lekkomyślnie i jest zepsuta do szpiku kości.

– Dobrze wiedzieć. A Alva Moonie?

– Wprawdzie nie jest idiotką, ale nie, nie posuwałem Alvy Moonie, nie ciupciałem jej i tak dalej. Czy coś ją wiąże z tą sprawą poza tym, że była świadkiem?

– Nie. Przynajmniej nic na to nie wskazuje. Polubiłam ją. Powiedziała, że już kiedyś się spotkaliśmy.

– Bardzo możliwe, że przedstawiono nas sobie na jakiejś kweście lub imprezie. Czy są jakieś inne kobiety na twojej liście, które potencjalnie mogłem ciupciać?

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

– Właściwie nie. Ciekawa byłam, czy coś cię wiązało z tymi dwiema, bo wszyscy jesteście obrzydliwie bogaci.

– Trochę tego brudu przylepiło się też do ciebie, moja pani porucznik.

– To tylko przekazany brud. – Wyciągnęła rękę. – Będziesz bardzo przydatny, ponieważ jesteś obrzydliwie bogaty, nie jesteś głupi i znasz się na portfelach papierów wartościowych i wszystkich tych bzdetach.

– Dzięki wszystkim tym bzdetom stać nas na wino, którego oboje się napijemy...

I na jedzenie.

– Dostałam dziś wypłatę – przypomniała mu. – Dziś ja stawiam kolację.

– Jak chcesz. – Złapał ją za rękę, przyciągnął do siebie i znów pocałował. – Ale uprzedzam, że po takim długim dniu nie mam ochoty na pizzę.

– Dobrze. Zjadłabym stek. Naprawdę duży, gruby stek.

– W takim razie jesteśmy wyjątkowo zgodni. Chodźmy zjeść, napić się i porozmawiać o pieniądzach i zabójstwach.

Eve westchnęła zadowolona.

– Kocham cię.

Rozdział 7

Dawniej, utrzymując się z pensji gliniarza, gdy miała ochotę na prawdziwy stek, Eve musiała się zadowolić anemicznym sojburgerem. Do tego brała pseudofrytki, obficie posypywała je solą i nie narzekała. Teraz leżał przed nią na talerzu idealnie wysmażony na grillu befsztyk wołowy, a obok niego góra złotych, cieniotkich frytek ziemniaczanych i zielona fasolka z płatkami migdałów.

Niczego sobie obiad.

Ale lepsze od prawdziwego mięsa i ziemniaków było to, że naprzeciwko niej siedział ktoś, z kim mogła porozmawiać o prowadzonym śledztwie. Kiedyś większość posiłków spożywała samotnie albo w biegu. Czasem umawiała się z Mavis, wiele razy jadła byle co z jakimś innym gliniarzem.

Ale siedzieć we własnym domu, delektować się wybornym daniem z kimś, kto nie tylko jej słuchał, lecz również ją rozumiał – to jak wygrać potrójny los na loterii.

– Wyeliminowałaś motyw osobisty – powiedział Roarke, kiedy przedstawiła mu podstawowe fakty.

– Tu chodziło o interesy. Nie znalazłam nic, co by świadczyło, że to były osobiste porachunki. Zamierzam poprosić Mirę o profil sprawy – dodała, mając na myśli najlepszą specjalistkę od sporządzania portretów psychologicznych, pracującą w policji.

– Ale według mnie to zabójstwo zlecono półzawodowcowi.

– Półzawodowcowi? Nie profesjonalście pełną gębą?

– Uważam, że nie. Zrobiono to... Niechlujnie. Niepotrzebnie szarżując. Ofiara dopiero po południu dowiedziała się, że będzie pracowała dłużej, więc nie było zbyt wiele czasu na szczegółowy plan akcji. Ale i tak zgrabnie wszystko obmyślono. Ogłuszono ją paralizatorem – chociaż wydaje mi się, że było to zbędne – wciągnięto do samochodu, przewieziono do pustego mieszkania, gdzie nikt im nie przeszkadzał. Sposób pozbawienia ofiary życia wymagał znajomości rzeczy i też był pozbawiony elementów osobistych.

– Wątpię, czy ofiara by się z tobą zgodziła.

– Myślała, że ją wypuszczą, przynajmniej miała taką nadzieję, i to do samego końca. A sprawca zaatakował ją od tyłu, zupełnie beznamytnie. Sprawca czy sprawcy dostali informacje, na jakich im zależało, a dodatkowo to, co miała w teczce. A potem upozorowali napad rabunkowy.

– Typowe dla zabójców.

– I nikt niczego by nie podejrzewał. Tylko jaki bandyta ogłusza upatrzoną ofiarę, uderza ją kilka razy, a potem od tyłu skręca jej kark?

– Wyjątkowo brutalny. Chociaż nie – dodał, zanim Eve zdołała otworzyć usta. – Jeśli jest się bandytą i dysponuje paralizatorem, ogłusza się ofiarę, okrada ją i ucieka, by wkrótce napaść i okraść kogoś innego.

– No właśnie.

– A jeśli sprawca jest wyjątkowym brutalnym, nie ogłusza ofiary. Chce sprawić ból i robi to.

– Zgadzam się. Poza tym po co? Była dla bandyty wymarzoną ofiarą. Idąca ulicą samotna kobieta, niestawiająca oporu. Nie stwierdziliśmy ran obronnych. Gdyby krzyczała albo wzywała pomocy, ktoś by coś usłyszał. A uwzględniając to, w jakiej

części miasta się to wydarzyło, prawdopodobnie ów ktoś wezwałby policję albo przynajmniej opowiedział o tym, kiedy wypytywaliśmy okolicznych mieszkańców. A gdyby sprawca spanikował...

– Mając przy sobie paralizator – wszedł jej w zdanie Roarke i kontynuował wątek – szybciej i łatwiej można go przytknąć do szyi ofierze i w ten sposób pozbawić ją życia.

– Dlatego posłużenie się paralizatorem wydaje się nielogiczne, ale znaleźliśmy na jej ciele ślady od paralizatora. I jeszcze jedno. Nie powinna się znajdować tak daleko od biura, tak daleko od domu. Było za zimno i za późno na spacer. Powiedziała mężowi, że skorzysta z metra – stacja znajduje się półtora kwartału od siedziby firmy.

– No tak. I do tego ta krew na brezencie.

– To poważne przeoczenie. Krew świadczy, że ofiara była w mieszkaniu. A żeby móc ją tam zabrać, musieli dysponować kodem.

– Powiedzmy... – Roarke tylko się uśmiechnęła i poruszył palcami.

– Jeśli stać ich na włamywacza na tyle dobrego, by potrafił obejść zabezpieczenia w tamtym budynku, stać by ich było na zawodowego zabójcę.

– Nie mieli zbyt dużo czasu na jego znalezienie.

Eve wycełowała w niego palec.

– No właśnie. – Zadowolona, że Roarke za nią nadała i z nią się zgadza, wzięła kieliszek i napiła się wina. – Akurat tamtego popołudnia zlecono jej sporządzenie audytu. To najbardziej prawdopodobny motyw. Być może chodziło o inne sprawy, które prowadziła wcześniej. Natknęła się na coś podejrzanego, co wzbudziło jej czujność. Ale bardziej prawdopodobne, że dotyczyło to nowego zlecenia.

– Coś, z czym dopiero co się zapoznała.

Tym razem Eve wzniosła za niego toast.

– No właśnie. Klient lub audytowany – jest takie słowo? – czy ktoś, kogo dotyczy ta sprawa, nie chce, żeby ktoś nowy się tym zajął, nie może do tego dopuścić. Dostała dokumenty zaledwie kilka godzin wcześniej, może jeszcze niczego się nie dokopała. Ale nie wolno ryzykować. W biurze Brewer i spółka panuje lekkie zamieszanie, doszło do opóźnień w związku z tym, że dwóch pracowników trafiło do szpitala w Vegas. To niewielki wydział, wszyscy się znają. Można się założyć, że jeśli komuś zależało na ustaleniu, kto czym się zajmuje, mógł zdobyć stosowne informacje. Nikt nie dopatrzyłby się niczego podejrzanego w pytaniu: komu przydzielono obowiązki Jima czy Chaza? Albo przełożony poinformował zainteresowanych, kto się zajmie tą czy inną sprawą, kiedy skontaktowali się z nim, okazując zaniepokojenie.

– Proszę się nie martwić, panie Bardzo Zły Człowieku – odezwał się Roarke. – Marta jest jednym z naszych najlepszych specjalistów. Świetnie pracuje, prawdę mówiąc, zostanie dziś w biurze do późna, żeby nadrobić zaległości.

– No właśnie – zgodziła się z nim Eve. – Potem nasz Bardzo Zły Człowiek dzwoni do paru zbirów, każe im się dowiedzieć, co Marta wie, zabrać dokumenty i jej się pozbyć.

– A tamci wywiązują się ze swego zadania. Ale porucznik Bardzo Inteligentna Kobieta dopatrzyła się drobnych potknięć w ich pracy.

– Nie powinni byli zabrać jej płaszcza. – Eve ukroiła kawałek steku, a potem zaczęła wymachiwać nożem. – To drobiazg, lecz rzuca się w oczy. Albo skoro zabrali jej płaszczy, powinni również zabrać buty. Miała porządne, prawie nowe pantofle. Prawdopodobnie więcej warte niż płaszczy. I jeśli chcieli, żeby wyglądało to na napad rabunkowy, powinni się posłużyć strzykawką. Zgoda, to niewygodne, ale gdyby

zostawili na jej ciele kilka dziur, bardziej przypominałaby ofiarę napadu rabunkowego. Skorzystanie z mieszkania było wygodnym, lecz niezbyt rozsądnym posunięciem. Zyskałszy punkt zaczepienia.

– WIN Group, Brewer, nowe audyty, zlecone ofercie.

– Już mam przynajmniej ośmiu wspólnych klientów obu firm, w tym trzech, których kontrolę zlecono Marcie w dniu, kiedy została zamordowana. Może znajdziemy ich więcej. – Eve wzięła frytkę. Zmarszczyła czoło. – Podejrzenie proste.

– Może to ktoś z ekipy remontowej? Jeden z nich mógł bez trudu obejść kody.

– Nie można tego wykluczyć. Muszę dokładniej przeanalizować raport Peabody. Na razie nikt mi się nie rzucił w oczy. Ale odnoszę wrażenie, że ktoś z brygady remontowej raczej naciągnąłby brezent. Robotnicy wiedzą, jak rano powinno wyglądać remontowane mieszkanie. Pozostawienie pofałdowanego brezentu przyciąga uwagę. No i większe prawdopodobieństwo, że podczas wygładzania brezentu ktoś zobaczy ślady krwi.

– Tak jak ty je zauważyłaś.

– Tak. Osoba spanikowana popełnia błędy.

– Sprawca mógł założyć, że nie wejdiesz do środka.

– To już skrajna głupota. Na rany Chrystusa, jeśli na schodach do pustego mieszkania znaleziono martwą kobietę, to oczywiście, że wejdziemy do środka, by się rozejrzeć.

– A potem bliżej przyjrzeć... Jak się nazywa ten na W z WIN Group?

– Bradley Whitestone.

– No tak. I dziwnym trafem znalazł się na miejscu zbrodni, by powiadomić policję.

– Tak, od razu stał się podejrzany. I to bardzo oczywiście, ani krztyny w tym finezji.

Moonie opowiedziała mi, jak spędzili razem wieczór. To ona zaczęła rozmowę o nowym budynku. Nadal będziemy go uważnie obserwowali, jednak bardziej podejrzani wydają się jego wspólnicy.

– Dlaczego?

– Jeśli zleca się komuś popełnienie morderstwa i udostępnia zabójcom własne mieszkanie, jeśli się jest ambitnym inwestorem, czy zabiera się kobietę, która być może zostanie twoją ważną klientką – a do tego ma się ochotę ją przelecieć – na miejsce zbrodni, żeby razem z tobą znalazła trupa?

– No cóż, to trochę pokrętne rozumowanie, do tego głupie. Ale można to wziąć za alibi.

– Można to wziąć za alibi – zgodziła się z nim – lecz lepszym alibi byłoby nie odstępować na krok potencjalnej klientki, trzymać się jak najdalej od tego miejsca i usłyszeć o wszystkim od gliniarzy. Tak postąpiłby łebski facet, a na takiego mi wygląda Whitestone.

– Niektórzy są wyjątkowo wścibscy.

Lubiła, kiedy Roarke grał rolę adwokata diabła, zmuszając ją do analizowania wszystkich szczegółów.

– Tak, ale nie on. To nie ten typ. – Pokręciła głową, kiedy Roarke wziął butelkę, żeby dolać jej wina. – No i jeszcze ta jego ambicja. Jest dumny ze swojej firmy i tego budynku. Na pewno zaszkodziłoby to interesom, gdyby klienci się dowiedzieli, że zamordowano tu jakąś kobietę i porzucono zwłoki tuż pod drzwiami jego mieszkania. Nawet jeśli przyjmiemy, że był to napad rabunkowy. Takie rzeczy odstręczają klientów, szczególnie tych bardzo bogatych.

– Masz rację. – Roarke rozsiadł się wygodnie, rozkoszując się tą chwilą z Eve, rozkoszując się ich rozmową, mimo że dotyczyła śmierci. – Czy pozostali współnicy nie są tacy dumni i ambitni?

– Powiedziałabym, że tak. Uważam również, że było to działanie pod wpływem impulsu i sprawca lekko spanikował. Jest puste mieszkanie, skorzystamy więc z niego – gliny nigdy się nie domyślą, że to my. To przypadkowa ofiara napadu, zwyczajnie miała pecha. Ktokolwiek był zleceniodawcą, powiedział, że mają to zrobić raz-dwa i czysto. Upozorować napad rabunkowy, zabrać jej wszystkie cenne rzeczy. I założę się o tygodniówkę, że zabójca nigdy nikogo nie okradł ani sam nie został okradziony. W przeciwnym razie wiedziałby, co zrobić, żeby wyglądało to na prawdziwy napad rabunkowy.

– O czyją tygodniówkę? Moją czy twoją?

– Ponieważ zarabiasz w ciągu tygodnia więcej niż większość zwykłych śmiertelników przez całe swoje życie, zostanemy przy mojej tygodniówce. I w ten sposób wróciliśmy do odpowiedzi na pytanie, dlaczego jesteś taki użyteczny. Jeśli w księgach jest coś nie tak, wypatrzysz to.

– Na szczęście lubię być użyteczny – powiedział i dodał: – I już nie mogę się doczekać, kiedy zacznę niuchać w czyichś finansach. – Uśmiechnął się, kiedy Eve rzuciła mu chmurne spojrzenie. – Naturalnie wykorzystując swoje możliwości w szczytnym celu. Może od razu się do tego wezmę? Będę pracował tutaj. Tak będzie wygodniej, gdybym miał jakieś pytanie do ciebie, albo ty do mnie.

Eve usiadła przy swoim komputerze i poświęciła się temu, co uważała za znacznie ciekawsze – grzebaniu w życiu ludzi.

James Arnold, lat czterdzieści sześć. Dziewięć lat temu powtórnie się ożenił. Z pierwszego małżeństwa miał syna i córkę, na których musiał płacić pokaźne alimenty. Druga żona urodziła mu dziewczynkę.

Wyglądał jak typowy księgowy, uznała Eve. Przynajmniej zgodnie z obowiązującymi stereotypami. Miał bladą, pociągłą twarz, jasnoniebieskie oczy, rzadkie, rudawozłote włosy, lekko zafrasowaną minę.

Sprawił wrażenie niegroźnego nudziarza. Ale wiedziała, że pozory często mylą.

Miał wyższy stopień naukowy, był asystentem wykładowcy i pilnował porządku w akademiku.

Lizus.

Przez sześć lat pracował w urzędzie skarbowym, potem przez dwa lata na własny rachunek, a kiedy to nie wypało, przeszedł do sektora prywatnego.

Od trzynastu lat był zatrudniony w biurze księgowym Brewera.

Przyzwoita pensja. Przypuszczała, że każdy, kto przez cały dzień ślęczy nad cyferkami, zasługuje na przyzwoitą pensję. I dobrze, bo czesne za uczelnię pierwotnego pochłaniało sporą jej część.

Czysta kartoteka, ale liczne wykroczenia drogowe, stwierdziła. I, hmmm, syn był młodocianym przestępcą. Kradzieże sklepowe, posiadanie narkotyków, nadużywanie alkoholu, chuligaństwo. Długi pobyt w ośrodku resocjalizacyjnym. Prywatnym. Drogim.

Jej żona ostatnio zrezygnowała z zasiłku dla matek opiekujących się dziećmi i wróciła do pracy jako asystentka prawnika.

Z tego, co widziała, finansowo jakoś sobie radzili, ale musieli mocno zaciskać pasa. Jakie to uczucie, ślęczeć nad wszystkimi tymi kontami, pełnymi pieniędzy, papierami

wartościowymi, funduszami powierniczymi, kiedy samemu trzeba ciężko pracować i nieźle główkować, by starczyło na ratę pożyczki hipotecznej?

Ciekawe.

Chaz Parzarri, lat trzydzieści dziewięć, kawaler, bezdzietny. Miał latynoską urodę, niektórym kobietom to się podoba. Twarz jak wyciosana, masa niesfornych loków. Według Eve nic a nic nie wyglądał na księgowego. Ale on też miał wyższy stopień naukowy i praktykę w sektorze państwowym – czy to wystarcza?

Uniosła wzrok, spojrzała na Roarke'a, ciekawa, czy on to wie, ale uznała, że szkoda mu zwracać głowę takimi błahostkami.

Chaz zdobył wykształcenie głównie dzięki stypendiom, a więc musiał być bystrym młodzieńcem, doszła do wniosku. Urodził się w New Jersey, jego matka była kelnerką, ojciec – taksówkarzem. Miał troje rodzeństwa. W domu się nie przelewało.

Ale dzięki stałej pracy i mądrym inwestycjom – jak przypuszczała – kupił mieszkanie w Upper East Side, zaledwie kilka przecznic od miejsca pracy.

Czysta kartoteka. Jakieś wykroczenia drogowe, choć pod tym względem pozostawał daleko w tyle za Jimem Arnoldem. Głównie mandaty za nadmierną prędkość.

Niektórym zawsze spieszo. Może Chazowi było spieszo, żeby zostać bogatym.

Odłożyła na bok ich akta, by przeczytać raport Peabody z przesłuchania Jaspera Milka, a następnie raport Carmichael z przeprowadzonego wspólnie z Santiago przesłuchania projektantki wnętrz.

Wstała, zaprogramowała kawę i postawiła na biurku kubek dla Roarke'a.

– Dzięki. – Odchylił się na oparcie, żeby na nią spojrzeć. – Czego chcesz w zamian?

– Odpowiedzi na parę pytań i twojej opinii.

– Na tyle mnie stać.

– Robisz jakieś postępy?

– Naturalnie. – Uśmiechnął się, biorąc kubek z kawą. – Pozwól, że od razu ci powiem, że to nie będzie łatwe. Dwie z nich to wielkie firmy z filiami, fundacjami dobroczynnymi, listami płac, wydatkami, odpisami amortyzacyjnymi i tak dalej. Muszę z grubsza się zapoznać z tym wszystkim. Nie spodziewaj się, że znajdę kolumnę, zatytułowaną „Forsa, którą zdefraudowałem albo sprzeniewierzyłem, albo której nigdy nie było”.

– Co znaczy to ostatnie?

– Czasami firmy bądź ich pracownicy dopisują pewne kwoty do konta, żeby ułagodzić akcjonariuszy, potencjalnych klientów czy inwestorów i ich zarządy... Mają nadzieję, że kiedyś zarobią te pieniądze. To... Optymistyczne założenie – powiedział. – Zwykle bezpodstawne.

– Rozumiem.

– Mam tu jeden audyt, zlecony w związku z potencjalną fuzją, drugi zgodnie z przepisami wewnętrznymi, kolejny nakazany przez sąd. Zdaje się, że ofiara robiła to samo, co ja teraz. Najpierw chciała z grubsza rozeznaczyć się w sytuacji. Zapisała sobie kilka pytań, dotyczących wszystkich trzech firm. Nic nadzwyczajnego, ale dopiero od kilku godzin się nimi zajmowała.

– Według ciebie w chwili śmierci nie wiedziała niczego szczególnie niepokojącego?

– Nie mogę tego powiedzieć z pełnym przekonaniem, ale wydaje mi się, że tak właśnie było.

– Dobra. Mam kilku podejrzanych. Pozwól, że opowiem ci o jednym z nich. Facet ma własną firmę, odziedziczoną po rodzinie. Kilkanaście lat temu firma przeżywała poważne

kłopoty, ledwo przetrwała kryzys. Musiał wziąć kredyt, sprzedać część aktywów. Przyjął wiele mniejszych zleceń, na niektórych z nich stracił.

– Nie chciał wypaść z rynku. Zatrudnia ludzi?

– Tak. W dobrych czasach koło pół setki, lecz kiedy było ciężko, zatrudnienie spadło do dwudziestu osób. Nie znam się na prowadzeniu interesów, jednak według mnie powinien zwolnić jeszcze połowę pracowników. Wtedy pensje nie zjadałyby całego zysku i nie poniósłby strat, wykonując niektóre zlecenia.

– Stara się zatrudnić tyle osób, ilu może zapewnić pracę. Może na krótką metę wydaje się to nierozsądne, ale w dłuższej perspektywie się opłaca. Wiesz, kto dla ciebie pracuje, a podwładni wiedzą, że mogą na ciebie liczyć.

– W porządku, rozumiem to. Zatrudnia teraz trzydzieści dwie osoby, niektóre pracowały u niego przed trudnym okresem, kiedy część z nich musiał zwolnić.

– Lojalność? Zatrudniał ich tak długo, jak mógł, znów dał im pracę, kiedy sytuacja się poprawiła.

– Być może.

– Czy to prywatna firma czy spółka publiczna? Czy są akcjonariusze? – zapytał.

– Nie, to prywatny interes. Rodzinny interes. Firma budowlana.

– Ach. Kilkanaście lat temu ta gałąź przemysłu borykała się z poważnymi trudnościami. Generalnie cały obrót nieruchomościami, a także budownictwo mieszkaniowe. Pękła bańka.

– Jaka bańka?

– Mieszkaniowa. I to nie pierwszy raz. Ludzie potracili domy. Kiedy tak się dzieje, ci, którzy świadczą usługi budowlano-remontowe, nie mają pracy. Dla wielu to ciężkie czasy, dla tych, którzy lubią ryzyko, okazja.

– Na co?

– Na śmiały krok i zebranie owoców... W przyszłości. W ciężkich czasach kupiłem wiele nieruchomości. Jednak nie uważasz, że ten człowiek jest zabójcą.

– Nie. A przynajmniej nie jestem o tym przekonana. Lecz jak sam powiedziałeś, on albo ktoś z jego pracowników mógł dostać pieniądze za udostępnienie kodów.

– Ale to też do ciebie nie przemawia, szczególnie teraz, kiedy bliżej się mu przyjrzałaś.

– Masz rację. Według mnie było za mało czasu na znalezienie odpowiedniej osoby, zaproponowanie jej właściwego wynagrodzenia. Chyba że już wcześniej zostało to ustalone, a ja jeszcze nie dostrzegam tego powiązania.

Oparła się o skraj biurka i wypila łyk kawy.

– Właściwie tak samo przedstawia się sprawa projektantki wnętrz. Cieszy się dobrą opinią, niczego nie ukrywała przed gliniarzami, których na nią nasłałam, zdaje się, że ma dobre relacje z właścicielem firmy budowlanej oraz z klientami... I współpracownikami.

– W takim razie, nawet jeśli nie możesz ich wykreślić, są na samym dole twojej listy podejrzanych.

– Tak. Chyba że przez nieuwagę ujawnili kody. – Odwróciła się, żeby spojrzeć na swoją tablicę. – Czyli na razie zostają mi trzej właściciele WIN Group i audytorzy, których obowiązki przejęła ofiara. Albo ktoś z firmy księgowej. Ale z tego, co mi właśnie powiedziałeś, wynika, że to mało prawdopodobne.

– Wiedzieliby, że jeszcze na nic nie natrafiła, więc nie było powodu, by ją zabić. Lepiej na nią napaść, zabrać torebkę, teczkę, jeśli ta kobieta wzięła dokumenty, żeby popracować w domu. Później, jeśli jako pracownicy mają dostęp do biura, nie trudno wejść po godzinach do jej zamkniętego na klucz gabinetu, uszkodzić pliki w jej

komputerze. Łatwiejsze, czystsze niż zabójstwo.

– Też tak uważam. Czyli zostają właściciele WIN Group, wspólni klienci i dwóch rannych księgowych w Vegas. Jeden nie mógł z nikim rozmawiać, bo leżał w śpiączce, a drugi miał ograniczone możliwości skontaktowania się z ofiarą. Zbyt ciekawość mogłaby go zdradzić. Poza tym jest nieźle poturbowany.

– Któryś z nich trudno byłoby zlecić morderstwo.

– Tak. Jakoś sobie nie wyobrażam, że jakiś księgowy dzwoni ze szpitalnej sali w Vegas do płatnego zabójcy. Ktoś inny zlecił to morderstwo. Ale jeśli ma to jakiś związek ze skradzionymi dokumentami, jeden z nich bądź obaj są w to zamieszani. Są zbyt biegli w tym, co robią, żeby nie zauważyć niczego podejrzanego.

– Sprawdziłaś ich sytuację finansową?

– Tak. Jeden musi się nieźle gimnastykować, żeby związać koniec z końcem. Ma drugą żonę, trójkę dzieci, jedno na kosztownej uczelni, drugie miało poważne kłopoty i przez jakiś czas przebywało w drogim, prywatnym ośrodku resocjalizacyjnym.

Wskazała zdjęcie Arnolda na tablicy.

– Ma dom w Queens i trzy samochody, które spłaca. Co się czuje, kiedy się pragnie czegoś, z czym na co dzień ma się do czynienia, ale należy to do kogoś innego?

– Chce się tego jeszcze bardziej. Przynajmniej niektórzy chcą. Ja się do nich zaliczam.

– Tak. Z pozoru jest zwykłym facetem, lecz to mogą być tylko pozory. Drugi jest kawalerem, ma robotnicze pochodzenie, w domu się nie przelewało, zdobył wyższe wykształcenie dzięki stypendiom.

Pokazała Roarke'owi zdjęcie Parzarriego.

– Dorobił się, mądrze inwestując oszczędności, co według mnie nie jest zbyt trudne, jeśli ma się pojęcie o pieniądzu. Nie ma forsy jak lodu, ale nie ma też kłopotów finansowych. Dzięki stypendiom chodził do dobrych szkół, naprawdę dobrych, a potem wracał do domu w niezbyt ciekawej okolicy, gdzieś w Jersey. Widzi, jak żyją inni, i nie jest mu łatwo. Obraca się wśród nich, bo nie jest głupi, a nie dlatego że ma pieniądze. Nie nosi eleganckich ciuchów, jeździ autobusem, a nie samochodem kupionym przez tatusia. To może być wkurzające.

– Więc dokładnie starań, żeby kiedyś też mieć pieniądze, ładne ciuchy i wypasioną brykę?

– Być może. Wyglądają na czystych, ale... – Postukała w swój komputer. – Coś tam się kryje.

– Bez żadnych nacisków.

Ze śmiechem pokręciła głową.

– Znajdziesz to. A na razie potrzebne mi pewne informacje. Ty jesteś znawcą w tej dziedzinie.

– Chodzi o chciwość i zachłanność?

– O to, jak postępuje człowiek chciwy i zachłanny. Jeśli coś tam jest, a na pewno jest, czy księgowy, który przeprowadza audyt, wiedziałby o tym, czy tylko jestem przesadnie podejrzliwa?

– Jesteś podejrzliwa, ale owszem, księgowy, zajmujący się tym, niemal z pewnością coś by wiedział. Pozostaje pewne pole manewru, gdy ktoś – zakładając, że sam księgowy nie próbuje czegoś kombinować – fałszuje zapisy tak, żeby na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało jak należy. Podczas dokładnej analizy powinno się znaleźć to pole manewru.

– Czyli ten, kto przeprowadzał audyt, wiedziałby albo odkryłby to, co próbowano

ukryć.

– W takiej firmie, jak Brewer? Można być tego pewnym.

– A czy specjalista od finansów – zarządzający portfelami, broker czy jak tam nazwać tych z WIN Group – zorientowałby się także?

– Jak już powiedziałem, jest pewne pole manewru, szczególnie jeśli klient i księgowy wspólnie się o to postarają. Ale żeby zdobyć więcej, żeby wszystko przebiegało gładko, a właściwie żeby uprościć sprawy, najlepiej płacić też gościowi, zarządzającemu finansami.

– A więc przynajmniej trzy osoby – powiedziała Eve. – Może tak jest prościej, ale bardziej ryzykownie. Im więcej osób o tym wie, tym większe niebezpieczeństwo, że coś się wyda.

– I właśnie się wydało – zauważył Roarke. – Mamy trupa.

– Tak. – Znów spojrzała na tablicę. – Mamy trupa.

– To biznes – ciągnął. – Jak sama powiedziałaś, opowiadając mi o tym przypadku, to nie była sprawa osobista, tylko interesy. Oszukiwanie, kradzież, żonglowanie funduszami, łapówki, ukrywanie zysków i tym podobne rzeczy, to wszystko interesy. Żeby robić interesy, i to dobre, żeby mieć zysk, potrzebni są doradcy, dyrektorzy, pracownicy. I żeby wszystko szło gładko, dobrze, jak ci ludzie działają i tu, i tu – trochę legalnie, trochę nielegalnie.

– Właśnie ku temu się skłaniam. Przypomniałam sobie Oberon. Jak kierowała swoim wydziałem, swoimi gliniarzami, a zarazem wykorzystywała tych, których sama wybrała, żeby zajmowali się jej brudnymi interesami na boku. Potrzebny jest ktoś w każdym obozie, żeby kwitł legalny interes i by móc wykorzystywać ten legalny interes do nielegalnej działalności.

Eve zastanowiła się nad tym, dopijając kawę.

– I jeśli tak to działa, jeśli to dobre porównanie, to spec od finansów czy też księgowy o niczym nie decydują – są narzędziem. Ten, który stoi na czele wszystkiego, jest tutaj. – Znów postukała komputer.

– Bez wywierania presji – powtórzył Roarke.

– Ty karmisz się presją na śniadanie, asie.

– Czasami człowiek ma ochotę na irlandzkie śniadanie.

– Ja jem je codziennie. – Wstała i podeszła do tablicy. – On – albo ona – bądź oni. Jeszcze ich tu nie ma. Jeszcze nie. Ale już są narzędzia. Muszę teraz ustalić, kto się nimi posługuje.

Wróciła do komputera i do pracy.

*

Widział, kiedy zaczęły ją opuszczać siły. Zauważył, jak Eve pociera oczy, targa sobie włosy, jakby dzięki temu mogła odpędzić od siebie sen, by móc dalej pracować.

Pomyślał, że wytrzymałby jeszcze godzinkę czy coś koło tego. To cholernie pasjonujące odkrywać, jak inni zakładali swoje firmy, jak prowadzili księgi, jak inwestowali. Znajdzie to, o co go poprosiła, żeby nie zawieść jej wiary w niego. Naturalnie wiedział, że celowo postawiła mu wyzwanie. Zagrała mu na ambicji.

Lecz dziś wieczorem tego nie znajdzie. Coś niecoś miał, ale ponieważ nie był księgowym, będzie musiał sprawdzić kilka kodów podatkowych.

Jutro.

A teraz wstał, podszedł do Eve i zmusił ją, by też wstała.

– Ja tylko...

– Idziesz do łóżka. Nie licząc krótkiej drzemki, jesteś na nogach niemal od dwudziestu czterech godzin. I ja też. Obojgu nam potrzebny sen.

– Czy coś masz?

– Muszę jutro sprawdzić kilka kodów. Chcę też poszukać innych, ukrywanych kont. Zapowiada się niezła zabawa.

– Nikt nie wydaje ci się bardziej podejrzany od innych?

– Na razie nie. A co ty ustaliłaś?

Pokręciła głową, starając się zachować prostą postawę, kiedy szła do sypialni.

– Księgowym nie pozwolono na podróż ze względów zdrowotnych. U Parzarriego stwierdzono wahania ciśnienia krwi i jeszcze jakieś nieprawidłowości, które nie do końca rozumiem. Ale stan obu jest stabilny, tylko jeszcze przez parę dni nie wolno im podróżować. Chcę z nimi porozmawiać twarzą w twarz.

– Możemy polecieć do Vegas. Przycisnąć księgowych i trochę poblefować.

– Nie mam dość, żeby ich przycisnąć. Na razie. – Ale miała ogromną ochotę poobserwować, jak się pocą. – Jeśli tam polecę, ten, kto tym wszystkim kręci, zorientuje się, że coś wiem. A wolę, by sądził, że jest poza wszelkimi podejrzeniami.

W sypialni rozebrała się i dowlokła do łóżka. Jak tylko się położyła, wiedziała, że Roarke miał rację. Potrzebny jej był sen.

Sądziła, że nic jej się nie przyśni, chociaż ostatni sen nie był najgorszy, nie był dawnym koszmarem. Koszmary przestały ją dręczyć. Ale wciąż śniła jej się śmierć, umieranie i zabójstwa. I matka, pomyślała, starając się o wszystkim zapomnieć, kiedy Roarke położył się obok niej i ją przytulił.

Lecz nie dawało jej to spokoju.

Kto miał rację? Ona, twierdząc, że Marta myślała o swoich dzieciach, o swojej rodzinie, chociaż była śmiertelnie przerażona i czuła ból? Czy też rację miała Stella, a Marta myślała wyłącznie o sobie i o tym, czy uda jej się przeżyć?

Nieważne. I tak nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie.

Nie myśl o tym, nakazała sobie.

A potem doznała olśnienia. Wcześniej jej to umknęło, tak była pochłonięta śledztwem.

– Myślała o nich.

– Hmm?

– Marta. Ofiara. Myślała o swoich dzieciach, o mężu, kiedy ją porwali. Myślała o nich, bo nie powiedziała sprawcom wszystkiego. Uznałam, że wszystko im ujawniła, ale myliłam się. Nie powiedziała im, że skopiowała pliki na swój domowy komputer. Sprawili jej ból, zastraszyli ją, ostatecznie ją zabil. Ale do końca chroniła swoją rodzinę.

– Tych, których najbardziej kochała – powiedział Roarke i musnął ustami jej włosy.

– Śpij teraz. Pozwól odpocząć umysłowi.

Z powodów, których nie rozumiała, ale wiedząc, że ma rację, iż matka chroniła swoje dzieci, Eve zamknęła oczy i zapadła w głęboki sen, pozbawiony koszmarów.

Rozdział 8

Obudził ją zapach kawy i cichy trzask drewna, płonących na kominku. Roarke w jednym ze swoich ciemnych, eleganckich garniturów siedział już na kanapie i śledził doniesienia giełdowe.

Eve uznała, że to idealny sposób rozpoczęcia nowego dnia. Znaczący się, jak tylko wypije tę aromatyczną kawę i do końca się rozbudzi.

Wstała, powłóczę nogami, podeszła do stolika, na którym Roarke postawił dzbanek z kawą, napełniła duży kubek.

– Wyglądasz na wypoczętą, moja pani porucznik.

– I tak się czuję. W zasadzie. – Pijąc kawę, skierowała się do łazienki.

Kiedy z niej wyszła, owinięta w szlafrok – podejrzewała, że kaszmirowy – ujrzała na stoliku kawowym miseczkę z owocami, plastry boczków i talerz francuskich tostów. Wdzięczna, że mąż nie zdecydował, jak mu się to często zdarzało, iż powinna zjeść owsiankę, klapnęła obok niego.

– Jak miło.

– Uznałem, że oboje zasłużyliśmy na odrobinę przyjemności. – Roarke uniósł brwi, kiedy Eve odłamała kawałek bekonu i dała go kotu, który siedział, przewiercając ją wzrokiem.

– Dla niego to jak szalony seks po kłótni. Nie licz na więcej – powiedziała, gdy Galahad łapczywie zjadł boczek, a potem pieszczotliwie trącił łebkiem jej nogę.

– Na wszelki wypadek wiedz, że jeśli pozwolisz innemu mężczyźnie ocierać się o ciebie, a ja to wyczuję, nie uda ci się przekupić mnie bekonem. – Podał jej dzbanuszek z syropem, żeby mogła sobie nim poleać tost.

– Przyjęłam do wiadomości. Co masz dziś na tapecie?

Roarke znów uniósł brwi.

– Co? Nie wolno mi się interesować, w jaki sposób zarabiasz na bekon? – Odgryzła kawałek i uśmiechnęła się do męża. – No dobrze, próbuję odgadnąć, co tacy faceci robią w zwykły dzień. Faceci od forsy, faceci z forszą. Będę się musiała przyjrzeć wielkim szychom w firmach, których audyt zlecono ofercie. A ponieważ ty jesteś tu największą szyczą, więc...

Roarke bez słowa wyjął terminarz, wstukał dzisiejszą datę i podał Eve.

– Poważnie? – Pokręciła głową, przeglądając plan jego zajęć na dziś. – Już odbyłeś holokonferencję z tymi kolegami z Hongkongu i rozmawiałeś z tym gościem z Sydney?

– I nakarmiłem kota, co nie jest tam zapisane.

– Ha. Do południa jeszcze dwie telekonferencje i spotkanie z działem badawczo-rozwojowym, poświęcone czemuś, co nosi nazwę Sentech.

– Chcesz, żebym ci coś powiedział o Sentech?

– Nie, dziękuję. Później jeszcze jedna holokonferencja, dotycząca Olympic Resort. Jak sobie radzi Darcia? – spytała, przypomniawszy sobie szefową policji i ochroniarzy w luksusowym centrum wypoczynkowym, należącym do Roarke'a, na Olympusie.

– Bardzo dobrze.

– Słyszałam, że Webster poleciał tam dwa razy po tym, jak nas tutaj odwiedziła, i...

– Zostali parą? – podpowiedział jej Roarke.

– Tak. To dziwne. Mniejsza o to. Potem służbowy obiad z jakimiś innymi gośćmi, przypomnienie, by nie zapomnieć o aukcji. Co chcesz kupić?

– Dowiesz się, jak to kupię.

– Hmm. Kolejne spotkania, konferencje, rozmowy telefoniczne. Od samego patrzenia na to rozboleła mnie głowa.

Ugryzła kawałek tostu.

– Połowę tego mógłbyś zlecić swoim ludziom. Może nawet więcej niż połowę.

– I często to robię.

– Czyli wstajesz przed świtem, żeby pilnować interesów, siedzisz tutaj i sprawdzasz, co nowego. – Wskazała głową raporty, przesuwane się na ekranie. – Patrzysz, jak tam twoje akcje, firmy, inwestycje. Twoje i konkurencji.

– Można ubić lepszy interes, jeśli zna się sytuację, która zawsze jest płynna.

– Dobra, mniej więcej kumam. Resztę dnia spędzasz na kombinowaniu, sprawdzaniu, jak kto sobie radzi, wprowadzaniu w życie nowych pomysłów i kupowaniu.

– W wielkim skrócie. – Wziął od niej terminarz i go odłożył.

– Robisz to, żeby zarabiać pieniądze, wytwarzać różne rzeczy, ale również dlatego że cię to rajcuje.

– Można tak powiedzieć.

Sama była szefem, wiedziała, jak to jest. Jej wydział był mikroskopijny w porównaniu z imperium Roarke'a, ale obowiązywały w nim te same zasady.

– A gdybym cię zapytała o jakiegoś pracownika, szczególnie o takiego, który jest uprawniony do zbierania informacji o funduszach, nieruchomościach lub inwestycjach, czy o czym tam jeszcze, jeśli nie masz danych o tym pracowniku w głowie, możesz je zdobyć w ciągu dziesięciu sekund.

– Chodzi ci o kogoś konkretnego?

– Nie. Widzisz, masz paru ludzi, którzy bezpośrednio z tobą współpracują, ale kiedy uwzględnisz decyliony tych, którzy pracują dla ciebie w taki czy inny sposób, a szczególnie tych na wyższych stanowiskach, twój system jest idealny. A częściowo wynika to z faktu, że jesteś w to zaangażowany: to twoje pieniądze, twoi ludzie, twoje firmy, twoja reputacja.

– Zgadza się.

– Robiono ci audyty, prawda?

– Wewnętrzne i zewnętrzne.

– Jeśli był jakiś szwindel, wiedziałeś o tym przed audytorami. I kazałeś go wyprostować.

Tak albo inaczej, ale teraz nie ma sensu w to się wgłębiać.

– Dlatego zastanawiam się, czy szczyty w firmach, kontrolowanych przez ofiarę, orientowały się w sytuacji, a jeśli nie, to dlaczego? Co więcej, przynajmniej w jednej z tych firm dzieje się coś, dla czego warto zabić. Kto o tym wie?

– Zwykle najlepiej zacząć sprawdzać od góry.

– Też tak uważam. Zaplanowałam kolejną rundę spotkań z właścicielami WIN Group – ciągnęła, jedząc. – I w firmie, zatrudniającej ofiarę. Będę zacieśniała krąg, póki nie dokopiesz się do tego czegoś, co powinno ujrzeć światło dzienne. Zamierzam przekazać kopie dokumentów jednemu z biegłych księgowych na usługach policji.

– Mówisz mi to, żeby obudzić we mnie ducha rywalizacji?

– Nie. Muszę to zrobić. Przyznaję, to wprowadza element rywalizacji, ale muszę to zrobić. I skonsultować się z Mirą po przeprowadzeniu rozmów z jeszcze kilkoma

osobami.

– Twój dzień zaczyna przypominać mój.

– Nie mów tak, bo będę zmuszona do jutra ukrywać się pod łóżkiem.

– Najdroższa Eve, motywy i metody mogą się różnić, ale nasze dni są bardzo podobne. A skoro zamierzasz rozmawiać z kilkoma czołowymi biznesmenami w mieście, powiedz mi, jak się ubierzesz?

– Coś tam na siebie włożę.

– To za mało.

Wstał i otworzył jej garderobę.

– Uważam, że powinnaś zdecydować się na coś, co będzie subtelnie podkreślało twoją pozycję. Świadczyło o władzy, jaką posiadasz, lecz nie wywoływało poczucia zagrożenia.

– Lubię, jak ludzie się mnie boją.

– Doskonale o tym wiem. Ale raczej zależy ci na uzyskaniu informacji, a nie wydarciu ich siłą. A twój strój ma dawać do zrozumienia, że pływasz w takim samym basenie, jak twój rozmówca, a nawet większym.

Zrobiła ponurą minę i wzięła ostatni plasterek bekonu.

– To twój cholerny basen.

– Zamilcz, nim mnie zirytujesz, bo wtedy wybiorę ci coś, w czym będziesz wyglądała na słabą i głupią.

Chciał ją rozśmieszyć i udało mu się to. Eve dokończyła śniadanie.

– A mam coś takiego?

– Wszystko to kwestia doboru, miejsca i pory dnia.

– Aż tyle – mruknęła, lecz domyśliła się, że tym razem mówił całkiem serio.

– A propos, już przyszła twoja suknia na premierę. Czy rzuciłaś na nią okiem?

– Widziałam ją. – I odruchowo poruszyła ramionami, czując, jak napięły jej się mięśnie. – Wiesz, że coś może mi wypaść.

– Przestań. – Roarke wybrał ciemnoszare spodnie ze srebrnymi nitami, prosty, jasnobezowy golf i marynarkę w kolorze pośrednim między czerwonym a pomarańczowym.

– Kolor wysyła ważny komunikat. Nie boisz się zostać zauważona. A krój informuje o profesjonalizmie. Razem mówią: „Nie wkurzaj mnie, bo ja tu rządzę”. Tkaniny są eleganckie, lecz nie krzykliwe.

– Dlaczego do mnie ubrania nigdy nic nie mówią?

– Ależ mówią, tylko ty nie zawsze słuchasz. A wracając do premiery, bardzo ci się spodoba. Chcę, żeby Peabody z McNabem i Mavis z Leonardo pojechali z nami limuzyną. To też wyśle w świat sygnał. Jesteście partnerkami. Jesteście przyjaciółkami.

– O, Boże, nie znoszę, jak ludzie się na mnie gapią. Połowa tych, których wczoraj przesłuchiwałam, wybiera się na premierę i... – Urwała i zamyśliła się na chwilę. – Hmmm.

– No właśnie. Teraz uznałaś, że to część twojej pracy.

– Może uda mi się to wykorzystać. Muszę się zastanowić.

Postukał palcem w jej głowę.

– Ani na chwilę nie przestajesz myśleć. Czarny pasek i buty.

– Nawet ja bym to wybrała.

Musnął ustami jej włosy, a potem podszedł do kasetki z biżuterią.

– Kolczyki, subtelne i klasyczne, karneole w tym samym kolorze, co marynarka.

– Myślałam, że karneol zmienia barwę.
– Bardzo śmieszne. – Wręczył jej kolczyki. – Tak ubrana będziesz jak kameleon w świecie biznesu, oderwanym od rzeczywistości.

Kiedy się ubrała, przechylił głowę.

– Bardzo ładnie. Wiesz co, szal stanowiłby kropkę nad i.

– Jasne, omotam czymś szyję, żeby jakiś zły chłopiec mógł mnie tym udusić.

– Zapomnijmy o tym pomysle. Dziś poświęcę trochę czasu twoim sprawom.

Poinformuję cię, jak na coś natrafię.

– Przy tak napiętym planie zajęć nie wiem, czy będziesz miał czas iść do toalety, nie mówiąc już o jakiejś dodatkowej pracy.

– Jakoś mi się to udaje. – Objął ją i pocałował w usta. – A ty uważaj na moją panią porucznik.

– Jestem tak wystrojona, że nikt mnie nie weźmie za policjantkę.

– Chcesz się założyć?

Pokręciła głową i się roześmiała.

– A ty uważaj na mojego decyjonera.

– Możesz być spokojna.

Kiedy się skierowała do wyjścia, zadzwonił jej telefon. Zmarszczyła czoło, patrząc na wyświetlacz.

– To szef Brewer. Dallas! – rzuciła do słuchawki.

– Pani porucznik, mówi Sły Gibbons z Brewer, Kyle i Martini. Było włamanie.

– Jakie włamanie?

– Przyszedłem wcześniej do biura. Chciałem mieć trochę czasu... Ktoś był w gabinecie Marty. Uruchomił jej komputer. Zniknęły pliki z jej komputera, zabrano też kopie zapasowe.

– Czy powiadomił pan ochronę budynku?

– Tak, zrobiłem to w pierwszej kolejności, ale kiedy przejrzyli zapisy z kamer monitoringu, powiedzieli, że było jakieś krótkotrwałe zakłócenie. Nie rozumiem. Wczoraj wyszedłem z biura ostatni. Osobiście włączyłem alarm. Nie...

– Już tam jadę. Proszę nigdzie się nie ruszać, poinformować ochronę, że jestem w drodze i chcę obejrzeć zapisy z kamer monitoringu.

– Tak. Oczywiście. Zaczekam tu na panią.

– Sprzątają – powiedział Roarke, kiedy się rozłączyła.

– Tak. Zdobyli jej klucze, jej kody, wszystko, co miała w torebce, w teczce. Uneruchomili kamery monitoringu. Musieli wykasować pliki, prawdopodobnie usunęli również te, które nie mają związku z tą sprawą. Może upozorowali to na usterkę.

– To nietrudne. Chyba że ktoś będzie bardzo dociekliwy.

– Jak my. Nie wiedzą o kopiach, które przesłała na domowy komputer. Chyba że dokładnie wszystko sprawdzili. Muszę lecieć. – Najpierw skontaktowała się z Denzelem Dickensonem.

Wydał jej się niezwykle zmęczony.

– Mówi Dallas. Czy ktoś się z panem kontaktował albo próbował się dostać do pańskiego mieszkania?

– Nie wiem, co ma pani na myśli.

– Wysyłam tam paru ludzi, żeby się rozejrzeli. Nie chcę, żeby komukolwiek poza nimi otwierał pan drzwi. Czy to jasne?

– Tak, ale...

– To tylko środek ostrożności. Czy dzieci są z panem?

– Tak. Moja siostra wpadnie do nas przed południem. Musimy... Zacząć przygotowania.

– Proszę nigdzie nie wychodzić.

Złapała płaszcz, wiszący na słupku balustrady i włożyła go, wychodząc na podjazd.

Jej samochód stał przed domem. Musiała dać Summersetowi punkt za podstawienie wozu, bo wiedziała, że wieczorem zawsze odprowadzał auto do garażu. Wsiadła, skontaktowała się z dyspozytorem, a potem zadzwoniła do Peabody.

– Rozejrzyj się razem z McNabem w gabinecie ofiary. Było włamanie. Chcę, żeby fachowiec sprawdził jej służbowy komputer. Teraz nie jest nam do tego potrzebny nakaz. Zawiadomcie Feeneya, żeby wiedział, że porwałam jednego z jego chłopaków.

– Tak jest. Już jedziemy.

Przemknęła przez bramę i docisnęła gaz do dechy.

Ktoś przemyślał sobie wszystko na spokojnie, doszła do wniosku, i uznał, że wcześniej czy później – raczej wcześniej – audyt zostanie zlecony innemu księgowemu. Nie opłaca się zabijać księgowych. Lepiej pozbyć się dokumentów. A potem przekazać firmie nowe. Może odpowiednio spreparowane. Albo upierać się, by przeprowadzono audyt, kiedy opłacany księgowy wróci do pracy.

Albo... Wpadł we wściekłość. Zagroził, że zrezygnuje z usług biura albo zwróci się do sądu z żądaniem, by powierzono audyt innej firmie.

Słowo-klucz? Granie na zwłokę.

Zmagając się z ruchem ulicznym, zadzwoniła do gabinetu Miry i wymogła na surowej sekretarce krótkie spotkanie z konsultantką. Nie było to łatwe, ale jej się udało, nim podjechała przed biurowiec, gdzie czekał na nią Gibbons. Zaparkowała na jezdni – chrząnąć to – i włączyła napis „Na służbie”.

Mignęła odznaką, weszła do środka i zobaczyła tego samego ochroniarza, którego spotkała tu wczoraj.

– Wiem, że pan Gibbons uważa, że ktoś dostał się do ich biura. Ale nie mam zarejestrowanego nikogo, kto wchodził do budynku lub go opuszczał po godzinach pracy.

– Ekipa sprzątająca?

– No tak, ale oni się załogowali.

– Będą mi potrzebne kopie zapisów z kamer monitoringu.

– Już je mam dla pani.

– Jedzie tu nasz informatyk. Proszę mu pokazać system zabezpieczeń.

– Nie ma sprawy.

Skinąwszy mu głową, wsiadła do windy. A kiedy z niej wysiadła, zobaczyła Sylwestra Gibbonsa, który załamywał ręce.

– To straszne. Ktoś ukradł pliki, pani porucznik. Były w komputerze Marty. Zajmowała się nimi tamtego dnia. Jej komputer jest zabezpieczony hasłem. Te informacje są wysoce poufne. Odpowiadamy za nie.

– Rozumiem. – Razem z nim weszła do biura. – Czego pan tu szukał?

– Zamierzałem skopiować to, co zrobiła. Trzeba przydzielić ten audyt komuś innemu. Obowiązują nas nieprzekraczalne terminy. Naturalnie poprosimy o ich wydłużenie. Ale robota musi być wykonana. Chciałem mieć kopie, zanim uzyska pani nakaz i skonfiskuje jej sprzęt.

– Powiedział pan, że komputer jest zabezpieczony hasłem.

– Tak, ale mam dostęp do wszystkich komputerów. Jako przełożony muszę mieć dostęp do wszystkich potrzebnych danych. Osobiście rozmawiałem z panem Brewerem, omówiłem to z nim i uzyskałem jego zgodę.

– Kiedy się pan z nim skontaktował?

– Dziś wczesnym rankiem. Nie spałem dobrze. Myślałem o tym i uznałem, że muszę to omówić z panem Brewerem.

– W porządku. – To świadczyło, że Brewer jest prawdopodobnie czysty. – Chodźmy do gabinetu Marty.

– Był zabezpieczony – powiedział jej, przekręcając klucz w drzwiach. – Wszystko stało na swoim miejscu, przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Uruchomiłem jej komputer, zacząłem kopiować pliki i zobaczyłem, że niektórych brak.

– Dotyczą ilu spraw albo klientów?

– Doliczyłem się ośmiu, zanim skontaktowałem się z ochroną, a potem z panią. Bałem się cokolwiek więcej zrobić. Może zniszczę jakieś dowody? Bardzo się zdenerwowałem.

– Ale sprawdził pan, czy są kopie zapasowe?

– Tak, natychmiast.

– Gdzie są przechowywane?

– Och, przepraszam. Zaraz pani pokażę. Mam sejf w gabinecie. Wszystkie kopie poufnych danych są zabezpieczone.

– Kto zna szyfr?

– Oprócz mnie? Szefostwo, kierownik ochrony.

– Poza tym nikt z pracowników biura?

– Nikt.

– Jak często zmienia pan szyfr? – spytała, przyglądając się uważnie małowemu sejfowi, umieszczonemu w niedużej szafce.

– Właściwie... Nigdy go nie zmieniam. To fabryczne ustawienie. Nigdy nie mieliśmy żadnych kłopotów, więc uznaliśmy, że nie ma potrzeby go zmieniać.

– Przypuszczam, że czasami, kiedy umieszczał pan poufne dane w tym sejfie, ktoś był w gabinecie. Pana sekretarka, któryś z księgowych lub ich asystentka.

– Ja... Tak. – Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. – To jakiś koszmar. Trzeba będzie zawiadomić ludzi, których to dotyczy, że ich dane są zagrożone ujawnieniem. To, co już zrobiono, a czego jeszcze nie ukończono i nie przekazano klientom albo sądom, trzeba będzie odtworzyć. A nasza reputacja... Ja ponoszę za to odpowiedzialność.

– Odpowiedzialny jest ten, kto zabił Martę Dickenson i ukradł jej pliki.

– Uważa pani, że to jedna i ta sama osoba.

Eve tylko na niego spojrzała.

– A jak pan myśli?

– Nie wiem, co myśleć.

– Czy zabrano coś jeszcze? Coś, co nie stanowiło efektu pracy ofiary?

– Nie sądzę. Nie sprawdziłem tego dokładnie.

– To proszę teraz to zrobić. Ekipa techników dokona oględzin biura, mój informatyk zapozna się z zapisami kamer monitorujących, zbada komputer. O której godzinie opuścił pan wczoraj biuro?

– Koło czwartej. Wcześniej skończyliśmy pracę. Przyszli partnerzy, porozmawiali ze wszystkimi i kazali nam iść do domów. Dziś firma też nie pracuje. Zostałem trochę

dłużej, a potem wszystko pozamykałem. Poszedłem do gabinetu pana Brewera. Musiałem z kimś porozmawiać. Pan Kyle i pan Martini też u niego byli. Rozmawialiśmy o zorganizowaniu tu, w biurze, małej uroczystości. Poszedłem do Denzela, żeby złożyć mu kondolencje. Wiem, że teraz należą się wyrazy współczucia rodzinie, ale my też nią byliśmy. Jesteśmy. Po przyjeździe do domu wypiliśmy kilka kieliszków. Moja żona okazała pełne zrozumienie.

Urwał i pokręcił głową.

– Było tu trochę gotówki, trzysta dolarów. Zniknęła. Poza nią tylko kopie plików Marty. Doliczyłem się teraz dziesięciu. Czyli z jej komputera też usunięto jeszcze dwa.

Utkwił wzrok w dłoniach.

– To nie może być nikt z nas. Wykluczone. Jesteśmy jak rodzina.

Eve darowała sobie komentarz, że członkowie rodzin często nawzajem się okradają, a nawet zabijają.

Kiedy na miejsce dotarła Peabody, Eve wskazała jej gabinet Marty.

– Zginęło dziesięć plików, czyli próbują innej przykrywką. Ale wciąż robią to niezbyt inteligentnie. Może to wyglądać jak błąd systemu, więc kiedy McNab do tego dotrze, musi jakoś to ominąć.

– Da sobie radę. Teraz sprawdza zapisy z kamer na dole z ochroniarzem.

– Włamali się do sejfu w gabinecie Gibbonsa, zabrali kopie zapasowe, co na swój sposób wyklucza błąd systemowy. I wzięli trzysta dolarów, które były w sejfie.

– Kto nie marnuje, temu nie brakuje.

– Zdaje się, że tak. Gibbons nigdy nie zmienił szyfru, przyznał, że nie zawsze był sam, kiedy otwierał sejf, by coś w nim umieścić.

– Więc każdy, kto tu pracuje, teoretycznie mógł znać szyfr. Poza tym najprawdopodobniej mają informacje o zabezpieczeniach Marty, jeśli trzymała je w torebce lub teczce. A nawet jeśli nie, ich wtyczka tutaj mogła ich wpuścić do środka.

– Czysta robota. Żadnego plądrowania, żadnego bałaganu, żadnej przemocy. Ale znów daje się wyczuć dzieło półzawodowca. Wystarczająco inteligentnego, żeby zatrzeć ślady, lecz na tyle głupiego, by zostawić nowy trop, zabierając pliki i gotówkę. Niepotrzebnie się połasił na te trzysta dolców. Powinien poprzestać na zniszczeniu plików.

– Znowu działanie pospieszne, jak w przypadku zabójstwa – zauważyła Peabody. – Dobry plan, tylko niedopracowany.

– Jednak wykonał zadanie. Nie mamy tu nic do roboty – uznała Eve. – Poprosiłam, by przysłano tu ekipę techników, ale niczego nie znajdują. Reszta pozostaje dla McNaba. Uważam, że powinniśmy porozmawiać z jakimiś nadętymi biznesmenami.

– Stąd twój strój.

– Odczep się od mojego stroju.

– Nie mogę go pochwalić?

– Paradujesz w różowych kowbojkach. Co ty wiesz o modzie?

– Kowbojki dostałam od ciebie – przypomniała jej Peabody – i cały czas wszyscy je podziwiają.

Poszły na dół; Eve odszukała McNaba.

Jeśli chodzi o modny strój, Ian McNab trzymał się swoich własnych zasad. Eve rozumiała, że liczne kieszenie jaskrawofioletowych, szerokich spodni mogą być przydatne, ale za nic nie mogła pojąć, dlaczego detektyw włożył do nich pulower w ostrych kolorach, od których bolały oczy. Na pulower zarzucił długą kamizelę bez

rękawów, też fioletową, prawdopodobnie, żeby dyskretnie ukryć pod nią broń. Ale serca w neonowych kolorach na plecach kamizelki niweczyły efekt dyskrecji.

A Roarke twierdził, że ona, Eve, nie zwraca uwagi na ubiór!

Uniósł głowę, aż zadzwoniły mu srebrne kółka w uszach. Kiedy coś robił, proste, jasne włosy wiązał z tyłu, jak Roarke. Sięgały mu do połowy pleców, ozdobionych pulsującymi sercami.

– Ktoś znał się na swojej robocie – powiedział McNab do Eve i lekko się odsunął od głównego komputera. – Majstrowali przy nim, żeby to wyglądało jak chwilowa usterka, co może się zdarzyć przy starszych systemach.

– Ale nie była to chwilowa usterka.

– Nie. Zostawił odciski palców.

Niemal podskoczyła na dźwięk tego słowa.

– Znalazłeś odciski palców?

– Nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Elektroniczne odciski palców. Podczas standardowego sprawdzania systemu można pomyśleć: no tak, zawiesił się na chwilę. Ale jeśli pokopać głębiej, trafi się na polecenie, zamykające system, ukryte wśród innych poleceń. Przypomina to trochę zabawę w chowanego. Muszę przeprowadzić jeszcze kilka testów, ale sądzę, że zrobiono to zdalnie, wykorzystując świetny sprzęt i najnowocześniejszą technikę.

– Dobrze. Jak tu skończysz, zbadaj komputer w gabinecie ofiary.

– Jasne. – Zmrużył ciemnoniebieskie oczy. – Najnowocześniejsza technika – powtórzył. – Wyłączył kamery, zamki, alarmy, raz, dwa, trzy. To starszy system, jednak nie jest zły.

– Nie spełnił swojego zadania. – Podszedł do nich mężczyzna w trzyczęściowym garniturze, wyglądający jak czyjś dobrotliwy dziadek. – To złom. Jaki system polecacie?

– No cóż... – McNab spojrział na Eve.

– Przepraszam. Jestem Stuart Brewer z Brewer, Kyle i Martini. A pani jest porucznik Dallas.

– Panie Brewer. – Oszczędził jej czasu na odszukanie go, pomyślała. – Rozumiem, że pan Gibbons skontaktował się z panem dziś z samego rana.

– Tak. Zadzwonił do mnie dwukrotnie. Za pierwszym razem w sprawie plików Marty. Żaden z nas, żaden z moich partnerów nie pomyślał o tym wczoraj. Byliśmy w szoku i nie dopilnowaliśmy, by ktoś to zrobił. Wielkie niedopatrzenie, drogo teraz za nie płacimy. Kiedy Sły zadzwonił do mnie, informując o włamaniu, uświadomiłem sobie, że sami się o to prosił. A nasz system, jak powiedział ten oto młody człowiek, jest przestarzały. Jestem również członkiem konglomeratu, będącego właścicielem budynku. Regularnie uaktualnialiśmy system, wklejaliśmy łatki... Tak to się mówi?

– Tak, proszę pana – potwierdził McNab.

– Robiliśmy to z oszczędności, zamiast zainwestować w nowy, bardziej niezawodny system. A teraz... Czy wiadomo, czy ucierpiały inne biura w budynku?

– Już tu jadą technicy kryminalistyki, policjanci przepytają wszystkich w budynku. Ale według mnie jest oczywiste, że celem była wasza firma księgową, a w szczególności pliki pani Marty Dickenson.

– Uważa pani, że przez te pliki zamordowano Martę? Była młoda, miała przed sobą całe życie. I zabito ją dla informacji? Informacja to władza i pieniądze, broń, narzędzie obrony. Rozumiem to. Ale nie rozumiem morderstwa. Pani to rozumie.

– W dniu swojej śmierci otrzymała nowe zlecenia. Czy zna pan osobiście ludzi, których dotyczyły te audyty?

– Nie, ale do końca dnia zamierzam ich poznać. Założyłem tę firmę sześćdziesiąt lat temu wspólnie z Jacobem. Jacobem Kyle'em. Dwadzieścia osiem lat temu uczyniliśmy naszym pełnoprawnym partnerem Sonny'ego. Za sześć miesięcy zamierzałem odejść na emeryturę. Teraz chyba będę musiał zrezygnować z tych planów. Stworzyłem tę firmę i nie odejdę z niej, póki nie zyskam pewności, że zostawiam wszystko w idealnym stanie.

*

– Żal mi go – powiedziała Peabody, kiedy wyszły. – Wiem, że Brewer jest na liście podejrzanych, ale sprawiał wrażenie takiego zmęczonego.

– Powiem ci, dlaczego w tej chwili nie jest podejrzany. Jako szef ma dostęp do informacji, które skradziono. Gdyby chciał mieć te pliki, po prostu by je wziął. Jeśli było tam coś nie tak, a on jest w to zamieszany, to zamiast przydzielać audytora, mógł powiedzieć: „muszę osobiście się tym zająć. Przejmę tego czy tych klientów”. To samo odnosi się do pozostałej dwójki – Kyle'a i Martiniego. Jeśli ma się dość oleju w głowie, żeby przez ponad pół wieku z powodzeniem prowadzić taką firmę, to jest się wystarczająco inteligentnym, żeby zatrzeć ślady bez konieczności zabijania własnego pracownika.

Wcisnęła ręce do kieszeni. Dziś nie jest tak zimno, pomyślała, bo nie ma wiatru. Ale i tak cholernie nieprzyjemnie.

– A jeśli nie – ciągnęła – albo zabicie pracownika wydawało się najlepszym rozwiązaniem, z całą pewnością nie włamywałby się do własnego biura, by po fakcie zabrać dokumenty.

– To logiczne. Cieszę się, bo naprawdę mi go żal.

– Na razie skupimy się na firmach, o których informacje ofiara wysłała na swój domowy komputer. Nie zdradziła tego, nawet kiedy porywacze sprawili jej ból. Miała powód, żeby przesłać te pliki na domowy komputer, postanowiła przeanalizować je w domu, nikomu o niczym nie mówiąc.

– Coś znalazła – powiedziała Peabody, kiedy wsiadały do wozu.

– Być może. Albo coś wyczuła. Miała pytania, zrobiła sobie notatki. Z tego wniossek, że chciała się dokopać do odpowiedzi. Odwiedzimy kilka firm. Najbliżej są biura Young-Biden. Działają w sektorze opieki zdrowotnej – ośrodki zdrowia, szpitale, kliniki, lekarze, zaopatrzenie i wszystko, co się z tym wiąże.

Young-Biden zajmował pięć pięter, w recepcji królowały marmury, szkło i jaskrawe kolory. Pięć osób siedziało za zaokrągloną ladą, wszystkie wyglądały zdrowo i młodo.

Na ścianach wisiły zdjęcia ośrodków zdrowia, laboratoriów, zakładów rehabilitacyjnych i klinik na całym świecie.

Eve podeszła do recepcji, zaczekała, aż jedna z pięciu osób na nią spojrzy.

– Słucham, jak mogę pomóc?

– Chcę porozmawiać z panem Youngiem albo Bidenem.

Kobieta tak wysoko uniosła brwi, że niemal zetknęły się z linią włosów.

– Czy jest pani umówiona?

– Nie, ale mam to. – Położyła przed nią swoją odznakę.

– Rozumiem. – Gapiła się na odznakę tak, jakby Eve rzuciła na ladę grubego, owłosionego pająka. – Pani Young jest za granicą. Pan Young-Sachs jest w biurze, ale ma gości, podobnie jak pan Biden. Gdyby się pani umówiła...

– Jasne, mogę to zrobić. Mogę nakazać panu Young-Sachsowi i panu Bidenowi, żeby stawili się w głównej komendzie policji w celu przesłuchania. Jaki termin im odpowiada?

Kobieta zrobiła bardzo niezadowoloną minę.

– Jestem pewna, że okaże się to zbędne. Przepraszam na chwilę.

Obróciła się na krzesło, pokazując Eve plecy, i powiedziała coś cicho do słuchawki.

Kiedy znów zwróciła się w stronę Eve, twarz miała obojętną.

– Pan Young-Sachs zaraz się z paniami spotka. Proszę wjechać na czterdzieste piąte piętro, ktoś będzie tam na panie czekał.

– Świetnie. – Eve skierowała się do wind, poruszyła ramionami. – Miałam niezłą zabawę.

– Dlaczego recepcjonistki tak się oburzają, gdy policja chce porozmawiać z ich szefami? – spytała Peabody. – Przecież to nie ich sprawa.

– Nie wiem, ale cieszę się, że tak się zachowują. – Eve wsiadła do windy i poleciała się zawieźć na czterdzieste piąte piętro. – Od razu się lepiej czuję.

Rozdział 9

Na czterdziestym piątym piętrze panowała zupełnie inna atmosfera: spokojna elegancja, ciepłe barwy, grube dywany, rośliny o dużych liściach, stylowe meble w poczekalni.

Wysoka blondynka na szpilkach, w czarnym kostiumie, powitała Eve uprzejmym, zawodowym uśmiechem.

– Panie z policji?

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody.

– Jestem Tuva Gunnarsson, sekretarka pana Young-Sachsa. Czy mogę spytać, czego dotyczy wizyta pań?

– Jesteśmy tu służbowo.

– Tak, naturalnie. – Uprzejmy ton głosu i grzeczne maniery nie zmieniły się ani na jotę. – Proszę za mną.

Wydawało się, że graniczy z cudem poruszanie się na tak wysokich szpilkach, ale blondynce udało się przejść przez poczekalnię i szklane drzwi. Poprowadziła Eve i Peabody korytarzem z przeszkloną ścianą do szerokich, podwójnych drzwi. Otworzyła je nieco teatralnym gestem, by wpuścić gości do dużego, eleganckiego gabinetu szefa.

Jeszcze więcej szkła, jeszcze więcej tapicerowanych mebli w dwóch kąciach do rozmów, wąski, smukły barek, trzy ekrany ścienne, wielgachne biurko, też srebrne, a za nim wysoki fotel ze skóry barwy świeżej krwi.

– Pan Young-Sachs zaraz przyjdzie do pań. Czy życzą sobie panie czegoś? – Przesunęła ruchomą ściankę, za którą znajdowała się kuchnia i barek ze szkłem barwy rubinu.

– Nie, dziękujemy. Od jak dawna pani tu pracuje?

– Od sześciu lat, a od czterech jako sekretarka pana Young-Sachsa.

– A jakie stanowisko on piastuje?

– Dyrektora finansowego. Pani Young jest dyrektorem naczelnym. Obecnie przebywa za granicą.

– Słyszałam. A Biden?

– Pan Biden jest dyrektorem do spraw organizacyjnych. Pan Biden senior odszedł na emeryturę. – Twarz blondynki lekko się zmieniła, kiedy kobieta spojrzała w stronę drzwi. Eve miała wrażenie, że wraz z pojawieniem się szefa, temperatura w pomieszczeniu wzrosła.

Niemal czuła, jak wzrósł również poziom feromonów u opanowanej do tej pory sekretarki.

Pod czterdziestkę, oceniła Eve. Przystojny jak model, w pierwszorzędnym garniturze. Opalenizna bogaczy, sylwetka wyrzeźbiona w siłowni, krzywy uśmiech, który w oczach kobiet uchodził pewnie za uroczy.

I mina waźniaka.

– Przepraszam, że musiały panie czekać. Carter Young-Sachs. – Ujął dłoń Eve, raczej ją zmiądzzył, niż uściśnął, potem tak samo przywitał się z Peabody. – Usiądźmy. Tuva, może przynieś nam swoją wyjątkową kawę. Jest prawdziwą czarodziejką. – Puścił do nich oko. – Przepraszam, ale nie podano mi nazwisk pań.

– Porucznik Dallas, detektyw Peabody.

– Wydawało mi się, że panią rozpoznaję. – Pstryknął palcem, aż błysnęła grawerowana obrączka na środkowym palcu. – Żona Roarke’a i przyczyna podniecenia w sercu Nowego Jorku za sprawą filmu prosto z Hollywood. Razem z Tyem wybieramy się na premierę. Tuwa, gościmy prawdziwe sławy.

– Jesteśmy z policji – poprawiła go Eve. – Nie przyszedł tu, żeby nas podejmowano ani dla tej nadzwyczajnej kawy.

– Ale mogą jej panie skosztować. Już się nie mogę doczekać premiery, szczególnie teraz, po spotkaniu z obiema paniami. – Rozsiadł się i rozpostarł ręce; każdy jego ruch był lekko przesadzony, biła od niego chemicznie wywołana energia. – Czym mogę paniom służyć?

– Czy zna pan Martę Dickenson?

– Nic mi nie mówi to nazwisko. Tuwa?

– Zamordowana audytorka z Brewer, Kyle i Martini.

– Ach. No tak. – Na chwilę przybrał poważną minę. – Staruszek Brewer osobiście mnie o tym poinformował. Wyleciało mi z głowy. Początkowo nie jej zlecono audyt, tylko...

– Chazowi Parzarriemu – odpowiedziała Tuwa, wróciwszy z kawą.

– Zgadza się. Miły gość. Uległ jakiemuś wypadkowi. Pech dla Brewera i spółki.

– Czy może mi pan powiedzieć, gdzie pan był przedwczoraj między dziewiątą wieczorem a północą?

– Przedwczoraj? – Spojrzał na Eve tak, jakby zapytała, gdzie był pięć lat temu we wtorek dokładnie kwadrans po drugiej.

– Był pan w swoim klubie na pokerze. Kierowca przyjechał po pana o siódmej – przypomniała mu Tuwa.

– Racja. Nic nie udało mi się wygrać. Tylko się upiłem. Ale cóż, wszystko w dobrej sprawie.

– O której godzinie opuścił pan klub? – spytała Eve.

– Nie jestem pewien. Wcześniej, bo mnie wyproszono. Chyba o wpół do dziesiątej albo o dziesiątej.

– I pojechał pan do domu.

– Skądże znowu! – Spojrzał na Tuvę, wzruszył ramionami. – Pojechałem do Tuwy. Mógłbym powiedzieć, że pracowaliśmy do późna, ale jesteśmy dorośli. Nie jestem pewien, o której godzinie od niej wyszedłem.

Czerwona jak burak Tuwa stała wyprostowana jak struna.

– Tuż przed pierwszą nad ranem.

– Wszystko wie. – Znow rzucił im krzywy uśmiech i puścił oko. – Nic wielkiego. Oboje jesteśmy stanu wolnego. Cześć, Ty. Chodź, poznaj porucznik Dallas i detektyw Peabody.

Kolejny ideał męskiej urody, ale w przeciwieństwie do Young-Sachsa śniady, o melancholijnej, chmurnej minie, uważanej przez niektóre kobiety za równie pociągającą, co krzywy uśmiech. Klapnął w fotelu, jak ktoś kompletnie wykończony.

– Tuwa, jeszcze jedną filiżankę. Chętnie napiję się kawy. – Rzucił Eve znaczący uśmiešek. – Poluje pani na kłony?

– Nie, na morderców – poprawiła go. – Zabójców Marty Dickenson.

– Kogo?

Tuva znow wyjaśniła, kto to taki, i przyniosła jeszcze jedną filiżankę.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną... Z nami. Przykro mi z powodu śmierci tej kobiety, ale zastąpią ją innym specjalistą od cyferek.

– Chciałabym się dowiedzieć, co pan robił przedwczoraj między dziewiątą wieczór a północą.

Przewrócił oczami, ale wyciągnął terminarz.

– Udałem się służbowym wahadłowcem na przyjęcie do South Beach. Ty się uparłeś, żeby iść na pokera – zwrócił się do Young-Sachs. – Twierdziłeś, że masz dobrą passę. Przegrał. – Biden wskazał kciukiem swego współnika. – A mnie dopisało szczęście. Wróciłem wczoraj rano koło dziesiątej.

– Będziemy musieli sprawdzić alibi obu panów.

– Z powodu jakiejś księgowej? – Po raz pierwszy Biden zdradził pewne oznaki zainteresowania i irytacji.

– Tak, z powodu jakiejś księgowej, która prowadziła audyt waszej firmy, i do której gabinetu włamano się ostatniej nocy. Zabrano kopie dokumentów, między innymi waszych.

– Niech to szlag. To niedobrze. – Jakby tracąc pewność siebie, Young-Sachs spojrzął na Tuvę.

– Radzę, żeby natychmiast poinformował pan o tym pańskich doradców finansowych i prawników – zaczęła sekretarka. – Żeby zmienili wszystkie kody dostępu, żeby...

– Do jasnej cholery, co za gówniane zabezpieczenia mają w... Jak nazywa się to biuro księgowe?

– Brewer, Kyle i Martini – przypomniała mu Tuva.

– Z całą pewnością zrezygnujemy z ich usług.

– Nie jesteśmy ich klientami – wyjaśniła Tuva. – Wyzaczył ich sąd.

– W takim razie niech ci przekłeci prawnicy wezmą się do roboty i załatwią, żeby wyznaczono kogoś, kto nie jest skończonym idiotą.

– Czy wie pan – przerwała mu Eve – że ciało Marty Dickenson znaleziono przed mieszkaniem Bradleya Whitestone'a w budynku, remontowanym teraz na potrzeby WIN Group?

– Do jasnej cholery, połącz mnie z Robem – poleciał Biden. – I daj policjantce, którą sobie przygadał Roarke, by nie trafić do więzienia, nazwiska naszych prawników. Koniec rozmowy.

Eve wolno wstała. To, co Biden ujrzał na jej twarzy, sprawiło, że zmienił ton.

– Bez urazy.

– Jestem innego zdania. Panie Biden, radzę nie obrażać gliniarzy, szczególnie kiedy jest pan uwikłany w śledztwo w sprawie morderstwa.

– Proszę porozmawiać z naszymi prawnikami. Ja nie mam nic więcej do dodania. – Zerwał się na równe nogi. – I natychmiast wezwij Roba. Będę u siebie. – Wymaszerował.

– Przepraszam – zaczął Young-Sachs. – Ty ma skłonności do atakowania, kiedy coś go zdenerwuje.

– Ciekawe. Ktoś z całą pewnością zaatakował Martę Dickenson. Dzięki za kawę. Będziemy w kontakcie.

– To była naprawdę świetna kawa – mruknęła Peabody, kiedy szły do windy.

– Z odrobiną czekolady.

– Jesteś pewna?

- Wiem, jak smakuje czekolada.
- Kurde, obiecałam sobie, że do premiery nie wezmę nic słodkiego do ust. Ale to się nie liczy, prawda? Bo nie wiedziałam, że w kawie jest czekolada.
- Prawda. – Wsiadając do windy, Eve mruknęła: – Dupek.
- Wiem. Właściwie obaj są dupkami, ale Young-Sachs to łagodny dupek, jeśli można tak powiedzieć. Może dlatego, że jest arystokratą.
- Czyli jest głupim dupkiem. Sekretarka wie więcej niż oni obaj razem wzięci. Kocha się w szefie. Na pewno byłaby gotowa skłamać dla niego. Ale brak mu jaj, by popełnić morderstwo. Przynajmniej osobiście. Ten drugi? Mógłby je zamówić jak obiad w restauracji.
- Zaczę ich sprawdzać.
- Tak, zrób to. Następna na liście, firma Alexander i Pope.

Siedziba firmy Alexander i Pope urządzona była dystyngowanie. Ciężkie meble, dzieła sztuki w grubych, złożonych ramach, dużo obrazów, przedstawiających ludzi na koniach i biegnące obok psy.

W recepcji wszyscy mówili przyciszonymi głosami, jak w szpitalnej poczekalni.

Ale gdy tylko Eve z Peabody wyszły, usłyszały brzęczenie telefonów, gwar rozmów, tupot nóg.

Gabinet Sterlinga Alexandra utrzymany był w takim samym stylu, jak pomieszczenia recepcyjne – głębokie barwy, puszyste poduchy, szlachetnie wypłowiałe dywany, dzieła sztuki w okazałych ramach.

On sam siedział za swoim biurkiem – ciemnowłosy człowiek sukcesu. Odrobina siwizny na skroniach sprawiała, że jego ostre rysy wyglądały dystyngowanie.

Ruchem dłoni poprosił Eve i Peabody, żeby usiadły, w taki sam sposób odprawił swoją milczącą asystentkę.

– Pope zaraz tu przyjdzie. Już rozmawiałem ze Stuartem Brewerem i Jakiem Ingersolem. Wiedzą panie, o kim mówię. Rozmawiałem również z naszym radcą prawnym. Rozumiem, że mają panie swoje obowiązki i muszą przestrzegać pewnych procedur, ale ja i mój wspólnik także musimy działać szybko, żeby chronić naszą firmę, naszych inwestorów.

– To oczywiste. Czy znał pan Martę Dickenson?

– Nie. Współpracowaliśmy z Chazem Parzarim. Jego przełożony poinformował nas, że Parzarri uległ poważnemu wypadkowi podczas wyjazdu służbowego i audyt naszej firmy – wymagany przez nasze przepisy wewnętrzne – przejęła ta Dickenson. Potem się dowiedzieliśmy, że ją zamordowano. A teraz się okazuje, że włamano się do biura i skradziono poufne dokumenty finansowe. To oczywiste, co się stało.

– Naprawdę?

– Wypadek Parzarriego musiał być zaaranżowany, żeby ta kobieta zyskała dostęp do naszych danych. Ten, kto to zrobił, współpracował z nią. Podejrzewam, że to jeden z naszych konkurentów.

– Mają panowie tak agresywnych konkurentów?

– To agresywny rynek, o czym powinna pani wiedzieć, jako że pani mąż jest w pełni zaangażowany w sektor nieruchomości.

– Wydaje mi się przesadną agresją umieszczenie jednego audytora w szpitalu

i zamordowanie drugiego tylko dlatego, żeby zdobyć dostęp do informacji finansowych. Ale – ciągnęła Eve, nie dopuszczając go do głosu – sprawdzamy wszystkie tropy. Dlatego muszę pana zapytać, gdzie pan był w wieczór, kiedy popełniono morderstwo.

Na jego policzki wystąpił ciemny rumieniec.

– Ma pani czelność o to pytać?

– Tak. Jeśli odmówi pan odpowiedzi, do czego ma pan pełne prawo, potraktuję to w sposób, który się panu nie spodoba.

– Nie podoba mi się pani postawa.

– Nie panu jednemu, prawda, Peabody?

– Tak jest, pani porucznik.

– Młoda kobieto...

– Jestem porucznik Dallas – przypomniała mu Eve.

Alexander westchnął głęboko.

– Mój ojciec założył tę firmę, kiedy pani jeszcze nie było na tym świecie. Kieruję nią od siedmiu lat. Pośredniczyliśmy przy zakupie wiejskiego domu gubernatora.

– Bardzo miło mi to słyszeć. Ale i tak muszę wiedzieć, co pan porabiał tamtej nocy. Takie są przepisy, panie Alexander. To nic osobistego.

– Dla mnie tak. Razem z żoną i grupą przyjaciół poszliśmy na kolację do Top of the Apple.

– Czyli po tym, jak spotkał się pan na drinka z Jakiem Ingersolem z WIN Group.

Tak, jak Galahad przed śniadaniem, Alexander niemal przewiercił ją na wylot wzrokiem.

Tylko że Eve wcale nie miała ochoty poczęstować go bekonem.

– Tak. Rozmawialiśmy o interesach. Nie zamierzam i nie muszę pani ujawniać treści naszej rozmowy. Kiedy wróciłem do domu, żona już na mnie czekała. Kierowca zawiózł nas do restauracji, gdzie mieliśmy zamówiony stolik na ósmą. Wyszliśmy koło północy.

– Rozumiem.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, przypominające drapanie myszy.

– Proszę! – powiedział głośno Sterling Alexander i do gabinetu wbiegła myszka.

– Przepraszam, coś mnie zatrzymało.

Niezwykle chudy mężczyzna o pociągłej twarzy i wielkich uszach podał Eve delikatną dłoń.

– Witam, porucznik Dallas. Rozpoznałem panią. I detektyw Peabody. Bardzo mi miło panię poznać, do tego przed premierą. Razem z żoną już się nie możemy doczekać. Ty z Zeldą też, Sterling.

– Nie mamy czasu na rozmówki towarzyskie – warknął Alexander.

– Naturalnie. Przepraszam. Jestem Thomas Pope.

– Musimy jakoś uporządkować ten burdel, Tom.

– Wiem. – Pope uniósł ręce do góry. – Wiem. Skontaktowałem się ze wszystkimi, o których rozmawialiśmy. Wszystko będzie dobrze, Sterling.

– Ktoś próbuje nas sabotować.

– Nie wiemy tego na pewno. Nie denerwuj się. Skradziono dokumenty nie tylko naszej firmy. A tamta kobieta nie żyje. Nie żyje. – Spojrzał na Eve. – Miała dwoje dzieci. Informowały o tym media.

– Tak. Muszę pana zapytać, co pan porabiał tamtego wieczoru, kiedy ją zamordowano.

– Och. Naturalnie, naturalnie. Byłem w domu. Razem z żoną spędziliśmy wieczór w domu. Nasza córka poszła gdzieś z przyjaciółmi. Martwił się o nią. Ma szesnaście lat. Cały wieczór spędziliśmy w domu, córka wróciła o dziesiątej, jak obiecała. – Uśmiechnął się, mówiąc to.

– Czy tamtego wieczoru widział się pan z kimś albo rozmawiał z kimś poza swoją żoną i córką?

– Ach... Prawdę mówiąc, rozmawiałem ze swoją matką. Naszą matką – poprawił się, patrząc na Alexandra. – Jesteśmy przyrodni braćmi.

– Rozmawiałeś z matką?

– Tak, miałem ci o tym powiedzieć, Sterling, ale w całym tym zamieszaniu zapomniałem. Rozmawiałem z matką i z sąsiadem, mieszkającym po prawej stronie. Kiedy wyprowadziłem psa na spacer. – Każde zdanie brzmiało jak przeprosiny. – Zapomniałem powiedzieć, że o dziewiątej wyprowadziłem psa na spacer. Mamy psa. Zwykle razem z sąsiadem spacerujemy ze swoimi psami. O ile nam się uda. Wtedy nam się udało.

– W porządku. Dziękuję. Tego audytu wymagają wewnętrzne przepisy firmy?

– Tak – potwierdził Alexander. – Mój ojciec umieścił taki warunek, kiedy ją zakładał. Jest zwolennikiem skrupulatnej księgowości.

– Dzięki temu ma się pełną kontrolę nad sytuacją. – Pope odchrząknął. – Matka zawsze to powtarza. Początkowo była współpracowniczką, a później została partnerem. Chociaż w życiu prywatnym drogi jej i pana Alexandra seniora się rozeszły, pozostali współnikami. Teraz oboje są na emeryturze.

– Nie ma potrzeby wspominać o sprawach rodzinnych – wtrącił wyraźnie niezadowolony Alexander.

– Nie, to bardzo ciekawe – odezwała się Eve. – Czy były jakieś problemy podczas poprzednich audytów?

– Najmniejszych – zapewnił ją natychmiast Pope, a potem się skrzywił, patrząc na przyrodniego brata. – Nie chcę odzywać się nie w porę, ale chociaż zdarzały się drobne problemy, natychmiast były rozwiązywane. Jesteśmy bardzo dumni z tego, że naszej firmie nic nie można zarzucić.

– Czy mogłabym otrzymać kopie tych wcześniejszych audytów?

– Wykluczone. – Teraz Alexander przemówił pierwszy, do tego zupełnie innym tonem. – W tej chwili nie możemy poświęcić więcej czasu na rozmowę z paniami. Proszę się bliżej przyjrzeć naszym konkurentom. To oczywiste, że ta kobieta wplątała się w coś, co kosztowało ją życie. My jesteśmy ofiarami.

– Tak. Wy jesteście ofiarami. Dziękuję za poświęcony nam czas.

Eve uśmiechnęła się szeroko, kiedy razem z Peabody zjeżdżała do recepcji.

– Kolejny dupek.

– Świat jest ich pełen. Patrząc na tych dwóch albo ich słuchając, nigdy by się człowiek nie domyślił, że są spokrewnieni.

– Według Alexandra nie są. Uważa brata za kogoś bardzo irytującego albo traktuje go jak chłopca na posyłki. I Pope o tym wie. Alexander stara się wszystkim wmówić, że jego firma padła ofiarą przebiegłej gry konkurentów, co rozumiem. A Pope jest zanadto skromny.

Odtoczyła sobie w myślach przebieg rozmowy, kiedy szły przez hol.

– Alexander udaje wielką szychę, lecz jego telefon od razu nie zadzwonił, kiedy byliśmy w jego gabinecie. A mogę się założyć, że nie polecił, by ze względu na nas nie

łączono z nim żadnych rozmów. Natomiast komórka Pope'a dwa razy zabręczała.

– Nie zauważyłam tego. Natomiast rzuciło mi się w oczy, jak puste było biurko Alexandra. Żadnych dowodów, że ktoś przy nim pracuje.

– Założę się, że Pope wykonuje większość czarnej roboty, a Alexander udaje wielką szychę. Ale wykonując czarną robotę, ma się dostęp do różnych rzeczy.

– Nie wygląda mi na takiego, co kradnie, oszukuje i zabija.

– Wielu tych, co kradną, oszukują i zabijają, nie wygląda na takich, Peabody. Dlatego kradną, oszukują i zabijają, póki ich nie złapiemy. Pora złożyć wizytę w kolejnej firmie.

Siedziba Your Space mieściła się w dwupoziomowym budynku w centrum. Eve uznała, że mogłaby tam wygodnie mieszkać czteroosobowa rodzina, szczególnie że wystrój wewnątrz bardziej kojarzył się z domowymi pieleszami niż z miejscem pracy.

Meble do siedzenia umieszczono wokół kominka, na którym stały świeczniki i kwiaty. Druga grupa siedzisk znajdowała się w sąsiedztwie szerokiego okna. Właśnie tam jakaś kobieta pokazywała coś na tablicie młodej parze, wyraźnie pochłoniętej tym obrazem.

Zamiast ochroniarzy, asystentów czy niedostępnych sekretarek, jedna z czterech założycielek firmy osobiście powitała Eve i Peabody.

– Latisha Vance. – Wysoka, atrakcyjna kobieta o hebanowej cerze krótko uściśnęła im dłonie. – Angie jest z nowymi klientami, ale ja mam trochę czasu. Możemy porozmawiać na górze, jeśli sobie panie życzą. Czy mają panie ochotę na coś? Mamy świeże ciasteczka. Są zabójcze.

– Nie, dziękujemy – powiedziała Eve, zagłuszając cichy jęk swojej partnerki. – Czy pozostałe współpracownicy są wolne?

– Holly i Clare są na spotkaniach służbowych. Spodziewam się, że obie niebawem wrócą. – Poprowadziła je schodami, pomalowanymi na landrynkowy róż. – Przyszły panie w związku z zabójstwem Marty Dickenson.

– Zgadza się.

– Tamtego dnia rozmawiałam z panem Gibbonsem, poinformował mnie o wypadku i zapewnił, że nie spowoduje to żadnych opóźnień.

– Czy spotkała się pani kiedyś z panią Dickenson albo rozmawiała z nią pani?

– Tak. – Latisha poprowadziła je obok sypialni i weszła do wzorowo urządzonego gabinetu, w którym jakaś kobieta pracowała na komputerze. – Przepraszam, Kassy, potrzebny mi ten pokój.

– Nie ma sprawy. Przenieś się do salonu.

Kiedy Kassy wyszła, Latisha usiadła na szarym, powyginanym krześle.

– To nasza kierowniczka biura. Tak, poznałam Martę. Wszystkie cztery byłyśmy w siedzibie Brewer przed podpisaniem umowy z tą firmą. Lubimy wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Spodobało nam się tam i to bardzo. Polubiłyśmy Martę, miałyśmy nadzieję, że będzie prowadziła nasze księgi, niestety, była wtedy obłożona pracą. Lecz Jim też jest dobrym fachowcem, mamy nadzieję, że szybko wróci do zdrowia. Ale Marta... Rozmawiałam z nią zaledwie tydzień temu.

– O czym?

– Miała dla nas zlecenie.

– A konkretnie?

– Zajmujemy się organizacją przestrzeni. Kiedy razem z Angie założyłyśmy naszą

firmę i pracowałyśmy tylko we dwie, skupiłyśmy się na prywatnych domach. A właściwie pomieszczeniach. Projektowałyśmy systemy, pomagałyśmy klientom wyżyć się zbędnych rzeczy. To może być prawdziwe wyzwanie. Od nowa urządziłyśmy przestrzeń, jeśli okazywało się to konieczne. Przez sześć miesięcy zajmowałam się tym z Angie, potem zaczęłam w siłowni rozmawiać z Holly.

Latisha skrzyżowała zgrabne nogi.

– Pracowała u projektanta wewnątrz, rozważała usamodzielnienie się. Zamiast tego przyszła do nas. Angie przyprowadziła Clare, która właściwie była kierowniczką biura. Ona zaproponowała, żebyśmy pomagali ludziom zorganizować, przeorganizować, zmienić przestrzeń biurową. Wszystko, co tu widać, to pomysł Clare.

Wskazała ręką dookoła.

– Biura nie muszą wyglądać jak biura, żeby w nich wydajnie pracować. Poza tym chcemy pokazać klientom, co można zrobić, żeby ich gabinety były wygodne, a przy tym zapewniały wysoką wydajność w pracy. Przepraszam, to zupełnie nie na temat.

– Ale to bardzo ciekawe.

– Marta skontaktowała się ze mną. Chciała zrobić niespodziankę swojemu mężowi, odmienić jego domowy gabinet i ich sypialnię. Umówiłyśmy się na obejrzenie mieszkania. Razem z Angie miałyśmy się do niej wybrać w następny poniedziałek.

– Czy rozmawiała z nią pani po tym, kiedy zlecono jej audyt waszej firmy?

– Nie. Zamierzałam następnego dnia wysłać jej e-mail, tak dla porządku. Wszystkie niepokoimy się stanem Jima, chciałam jej dać trochę czasu na zapoznanie się z dokumentami naszej firmy. A potem...

– Firma działa od pięciu lat?

– Tak.

– Interesy dobrze idą.

– Tak. – Znów się rozpromieniła. – Większość ludzi nie wie, od czego zacząć, jak obrać nowy cel, co i jak zmienić. I właśnie my się tym zajmujemy.

– A ten audyt zlecono w związku z ewentualną fuzją.

– Zgadza się. Zwrócili się do nas właściciele firmy, zajmującej się projektowaniem i wytwarzaniem sprzętu oraz narzędzi, służących do organizacji przestrzeni. Nieźle im idą usługi, oferowane przez internet, nie mogą jednak rozwinąć sprzedaży. Potrzebny im zastrzyk pieniędzy i kontakty. Rozmawiamy na temat fuzji ich firmy z Your Space. Ale przed kontynuowaniem rozmów chcieliśmy mieć pełen obraz ich firmy i naszej, dlatego nalegał na audyt. Jeśli zdecydujemy się na ten krok, będzie to oznaczało poważne zmiany. Rozszerzymy naszą działalność, trzeba będzie znaleźć biuro i sklep, zatrudnić ludzi. Musimy zyskać pewność, że jesteśmy na to finansowo gotowi, obie strony muszą być pewne, że mamy solidne podstawy, my i tamci.

– Wasz doradca finansowy wie o tym?

– Tak, współpracował z Jimem. Wiem również z doniesień mediów, że ciało Marty znaleziono przed nowym budynkiem WIN Group. To... Niepokojące, że tak wiele nas łączy z tym morderstwem.

– Pracujecie z Jakiem Ingersolem z WIN Group.

– Tak. Wulkan energii – odpowiedziała z uśmiechem. – Tryska entuzjazmem. Zawsze mówimy, że po spotkaniu z Jakiem czujemy się, jakbyśmy mogły przeorganizować cały świat. Angie rozmawiała z nim zaledwie... A oto i ona.

Wmaszerowała drobna, energiczna brunetka. Podała rękę Eve, a potem Peabody.

– Angie Carabelli. Muszę powiedzieć, że bardzo się cieszę z naszego spotkania, chociaż

okoliczności są straszne. Naszym celem jest zorganizować Imperium Roarke 'a.

– Angie. – Latisha się skrzywiła.

– Och, daj spokój, przecież to prawda. Ale bardzo nam wszystkim przykro z powodu śmierci Marty. Lubiliśmy ją i już się nie mogłyśmy doczekać, kiedy przystąpimy do realizacji jej zlecenia. Co musi pani wiedzieć?

– Po pierwsze, chciałabym, żeby mi panie powiedziały, gdzie panie były od dziewiątej wieczorem do północy w dniu, kiedy dokonano morderstwa.

Angie spojrzała na Latiszę.

– Nie znudziło ci się, że zawsze masz rację?

– Nie.

– Tisha powiedziała, że przyjdzie policja i zada nam to pytanie. Odparłam: „Nie. Dlaczego miałby nas o to pytać?”. A Tisha powiedziała...

– „Z uwagi na powiązania” – dokończyła za nią współniczka.

– Więc rozmawialiśmy o tym.

– Żeby uzgodnić wspólne stanowisko – dorzuciła łagodnie Eve.

– Boże, rzeczywiście tak to zabrzmiało. – Z ust Angie wydobył się zduszony śmiech.

– Żeby się przygotować, szczególnie kiedy się dowiedziałyśmy, że to pani kieruje śledztwem. Chociaż przypuszczałyśmy, że przyśle tu pani jakichś swoich detektywów. Ale z uwagi na Imperium Roarke'a miałam nadzieję, że przyjdzie pani osobiście. Chociaż traktujemy to czysto zawodowo – dodała z uśmiechem.

– U Angie co w głowie – wtrąciła Latisha – to na języku.

– To prawda. Czemu kręcić? To tylko strata czasu. No i proszę, przyszła pani i zadała pani to pytanie. Przygotowałam się, lecz i tak ścisnął mi się żołądek.

– Może ja powiem? – zaproponowała Latisha. – Byłyśmy wszystkie – cała piątka – tutaj do około wpół do dziesiątej. Miałyśmy spotkanie pracowników po godzinach, Clare przyrządziła gulasz irlandzki.

– Lubi gotować – wtrąciła Angie. – Kassy wyszła pierwsza. We wrześniu wzięła ślub i chciała wrócić do męża. Potem wyszła Holly, była umówiona z facetem, z którym się spotyka. Miał ją zabrać na tańce. Mnie na tańce nikt nie zabiera. Wyglądała cudownie, prawda, Tisha?

– Prawda. Angie i Clare wyszły razem.

– Zrzuciłyśmy się na taksówkę. Mieszkamy w tym samym budynku. Jeden z naszych sąsiadów urządził imprezę, więc poszłyśmy się zabawić.

– A ja zamknęłam biuro i wróciłam do domu, bo chwilowo nie mam życia osobistego – dokończyła Latisha. – Poszłam pieszo. To tylko pięć przecznic stąd.

– Wolalabym, żebyś nie chodziła sama po nocy – upomniała ją Angie.

– Mam czarny pas karate i noszę przy sobie Back-Off. O jedenastej byłam w łóżku. Sama.

– Sama jesteś sobie winna. Gdybyś dała Craigowi jeszcze jedną szansę, to...

– Angie, nie wydaje mi się, że porucznik Dallas czy detektyw Peabody są zainteresowane tym, jak aktualnie przedstawia się moje życie seksualne.

– Wszyscy interesują się seksem, no nie? – Angie uśmiechnęła się do Peabody.

– Trudno się z tym nie zgodzić.

– Czy mogę panią o coś zapytać?

Debra zamrugnęła powiekami.

– Proszę.

– Co pani czuła, prowadząc śledztwo w sprawie zabójstwa kobiety, która grała panią

w filmie? Była bardzo do pani podobna, szczególnie na zdjęciach promujących film. To musiało być naprawdę bardzo dziwne uczucie.

Latisha tylko westchnęła.

– Owszem, to było niezwykle.

– I do tego ten skandal, który dodał wszystkiemu pikanterii.. Nie przewracaj oczami, Tisha, bo to prawda. Zrobiłabym wszystko, żeby pójść na nowojorską premierę. Znaczący się, nie dosłownie – dodała pośpiesznie. – Przepraszam. Jestem zdenerwowana, co rzadko mi się zdarza. Zwykle się tak nie denerwuję. Nigdy nie byłam przesłuchiwana przez policję. A teraz rozmawiam z funkcjonariuszkami, które zajmowały się sprawą Icove’ów. A jedna z nich jest policjantką Roarke’a. O, mój Boże, przepraszam, ale bardzo mi się podobają pani botki – zwróciła się do Peabody.

– Dziękuję. Mnie też.

Latisha wstała, wyjęła z szafki butelkę wody i podała ją swojej współpracownicy.

– Napij się, weź oddech. Weź oddech, napij się.

– Dziękuję. – Angie posłuchała rady przyjaciółki. – Jesteśmy inteligentnymi, ambitnymi kobietami, które połączyły swoje talenty, by coś osiągnąć. Staramy się rozwijać. Dobrze pracujemy, dobrze zarabiamy, a przy tym dobrze się bawimy. I naprawdę bardzo nam przykro z powodu tego, co spotkało Martę.

Latisha wyciągnęła rękę i ucisnęła jej dłoń.

– Dobrze to powiedziałaś.

– Jeszcze parę pytań – odezwała się Eve. – Wiedzą panie o włamaniu do siedziby firmy Brewera?

– Tak. Pan Brewer osobiście do nas zadzwonił jakąś godzinę przed przyjściem pań – odrzekła Latisha. – Wygląda na to, jakby ktoś się na nich uwziął.

– Czy kradzież dokumentów finansowych waszej firmy stworzy jakieś problemy?

– Nie wiem. Nie sądzę. Prowadzimy stosunkowo mały interes, to, co zawierają dokumenty, ujawniłybyśmy przedstawicielom firmy, z którą zamierzamy się połączyć. Jedynym problemem może być opóźnienie fuzji, lecz nie zależy nam szczególnie na czasie.

– Nie chcemy się z tym spieszyć – dodała Angie. – Wygląda, że to świetna okazja, ale tak samo było z tymi cudownymi butami, które kupiłam w zeszłym tygodniu, a ostatecznie musiałam je dać Clare, bo tylko porobiły mi się nowe odciski. Rozumie pani, o czym mówię?

Peabody musiała się roześmiać.

– O, tak, doskonale.

– Tak czy owak – ciągnęła Latisha – Kassy rozmawiała o tym z Jakiem. Zapewnił nas, że w dokumentach nie ma żadnych nieprawidłowości, więc nawet jeśli wyciekną jakieś informacje, to wyłącznie dobre. Zresztą już zmieniliśmy kody dostępu, powiadomiliśmy nasze banki i tak dalej. Wygląda na to, jakby ktoś bardziej chciał zaszkodzić Brewerowi niż nam.

*

– Są niegłupie – stwierdziła Peabody, kiedy wsiadła do samochodu.

– Racją, ale osoby niegłupie też oszukują, kradną i zabijają.

– Nie dostrzegam żadnego motywu.

– Może coś jest nie tak z tą fuzją. Może jedna z nich defrauduje pieniądze, a pozostałe o tym nie wiedzą. – Eve wzruszyła ramionami. – Nie mam żadnych przeczuć, ale niewątpliwie są powiązane z tym morderstwem.

– Spodobały mi się. Ciekawa jestem, ile sobie liczą za zlecenie. McNabowi i mnie przydałby się ktoś, kto zaprowadziłby porządek w naszym mieszkaniu.

W tej chwili Eve bardziej była zainteresowana uporządkowaniem notatek i myśli.

– Jestem umówiona z Mirą, muszę wszystko przetrwać, nim znów spotkamy się z właścicielami WIN Group. Ty zacznij sprawdzać alibi tych, z którymi rozmawialiśmy. Ja postaram się skontaktować z policją z Vegas, wypytać o ten wypadek, od którego wszystko się zaczęło.

Rozdział 10

Miała dużo do zrobienia na swoim własnym podwórku. Musiała przydzielić detektywom śledztwa, wysłuchać ich raportów o stanie wcześniej zleconych dochodzeń. Musiała przeczytać i postarać się zrozumieć sprawozdanie McNaba na temat systemu alarmowego w budynku Brewera, i tego, co udało mu się znaleźć w komputerze ofiary.

Musiała uaktualnić tablicę i akta sprawy. A potem kawa i kilka minut na przemyślenie wszystkiego.

Kiedy umieściła ostatnie zdjęcia na tablicy, Trueheart zastukał we framugę drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani porucznik. Ma pani chwilę... Ej, znam ją.

– Kogo?

Wszedł i postukał palcem w fotografię Holly Novak.

Zaintrygowana Eve jeszcze raz przyjrzała się uważnie jednej ze współpracownic Your Space. Atrakcyjna, rasy mieszanej, o azjatyckich rysach. Ciemne włosy, żywa twarz, jasnozielone oczy.

– Skąd i jak?

– Właśnie próbuję sobie przypomnieć – powiedział. – Już wiem. Zatrudnili ją... Jej firmę... Do urzędu biura mojej matki. Znaczący gabinet. Wpadłem do mamy któregoś dnia i zastałem tam Holly. Czy jest wśród podejrzanych?

– Nie sądzę, ale powiedz mi o niej coś więcej.

– Sympatyczna, pełna energii. Bezwzględna, powiedziała moja mama, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Wiem, że spodobała się mojej mamie. Powiedziała, że bardzo by chciała, żeby ją zatrudniła moja ciotka, która jest okropną rupieciarą. Kiedy Holly się dowiedziała, że jestem gliniarzem, pracuję w komendzie głównej, oświadczyła, że z pewnością przydałaby nam się dobra projektantka przestrzeni. Zaartowała, że właściwa aranżacja pomieszczeń może się przyczynić do wydajniejszej walki z przestępczością. Nawet było to dość dowcipne.

Mówiąc, nie odrywał wzroku od tablicy.

– Ona i jej firma są zamieszane w zabójstwo Dickenson?

– Wiele osób i firm jest zamieszanych w zabójstwo Dickenson.

– Duże interesy, duże pieniądze. – Widząc pytające spojrzenie Eve, Trueheart zarumienił się lekko. – Widzę tu Young-Sachsa i Bidena. Media poświęcają im wiele uwagi. Są też bohaterami licznych plotek. Nowe pokolenie, które chce zaprowadzić rewolucyjne zmiany, i tym podobne bzdety.

– Co o nich sądzisz?

– Cóż, według mnie są zepsuci, uważają, że wszystko im się należy, lubią się popisywać. To prawdopodobnie nieobiektywna ocena, bo na podstawie doniesień mediów, które zawsze wszystko wyolbrzymiają.

– Według mnie w tym wypadku to sprawiedliwa i słuszna ocena. Do tego są dupkami.

– Też odnoszę takie wrażenie.

– Nic dodać, nic ująć. Z czym przychodzisz, Trueheart?

– Och, przepraszam, pani porucznik. To nic ważnego. Chciałem... Chciałem tylko podziękować za danie mi szansy przystąpienia do egzaminu na detektywa.

– Zasłużyłeś sobie na tę szansę, Baxter bardzo cię wychwalał. Reszta zależy od ciebie.

– Tak jest, pani porucznik. Nie zawiodę pani. To pani zawdzięczam, że nie jestem krawężnikiem. To dzięki pani trafiłem do komendy głównej, to pani przydzieliła mnie Baxterowi. Dużo się od niego nauczyłem, pani porucznik. Nie zawiodę was.

– Dobrze pracujesz, Trueheart. I póki się to nie zmieni, nikogo nie zawiedziesz.

– Tak jest, pani porucznik. Pragnę jedynie dobrze pracować. I dostać odznakę detektywa – dodał, uśmiechając się szeroko.

– Nie nawal w robocie, ucz się, a zdobędziesz odznakę. A teraz zmykaj.

Kiedy została sama, zamknęła drzwi do swojej klitki i zaparzyła sobie kawę. Usiadła za biurkiem, położyła nogi na blacie. Popijając kawę, spoglądała na tablicę.

Zepsuci, o dużych uprawnieniach i lubiący szpanować – to pierwsza dwójka szefów. Drugą opisałaby jako nadętych, łatwo wpadających w złość i zawistnych, jeden z nich odrobinę nieśmiały.

A właścicielki trzeciej firmy? Ambitne, ściśle ze sobą współpracujące, kompetentne.

Czy takie cechy charakteryzują mordercę?

Nie pasowały jej do tego obrazu właścicielki Your Space. Może coś jej umknęło – na razie – ale chwilowo postanowiła przestać zaprzętać sobie nimi głowę.

Dwaj dyrektorzy Young-Biden mieli więcej niż ich przodkowie, a zrobili mniej, by to zarobić. Young-Sachs nie tylko sypiał ze swoją sekretarką, ale we wszystkim się na nią zdawał. Z tego, co zauważyła Eve, nie miał zielonego pojęcia, jak działa jego własna firma, i wcale się tym nie przejmował. Może Biden wie więcej, będzie to musiała sprawdzić. Po krótkiej rozmowie z nim nabrała przekonania, że lubi drogie garnitury, luksusowe życie i nie ma oporów przed obrażaniem ludzi.

Alexander i Pope. Wielka szycha, upajająca się własną pozycją. Traktuje przyrodniego brata jak zwykłą płótkę, z czym Pope się pogodził. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Eve przypuszczała, że Alexander wszystkich traktuje jak zwykłe płótki.

Pomyślała, że ma też pretensje do mamusi, która rodząc Pope'a, ujawniła swój zły gust.

Czy to nie zabawne – albo znamienne – że podczas każdego przesłuchania padło nazwisko Roarke'a?

To też jest warte analizy.

Wstała, by inaczej rozmieścić informacje na tablicy. Został jej kwadrans do spotkania z Mirą. Dość czasu, żeby wypić jeszcze jedną kawę i trochę porozmyślać.

Ale nim zdążyła usiąść, rozległo się pukanie do drzwi.

– Kurde.

Peabody wsunęła głowę.

– Przepraszam, pani porucznik, ale...

– Nie zabiorę dużo czasu. – Do pokoju wparowała sędzia Yung. – Przez cały dzień mi powtarzano, że jest pani zajęta.

Eve dała znak Peabody, żeby zostawiła je same i zamknęła drzwi.

– Byłam w terenie.

Podeszła do tablicy, by ją odwrócić.

– Może sobie pani to darować. Już wcześniej widziałam takie tablice.

– Ale nie ze zdjęciem członka pani rodziny w samym środku.

– Nie jestem nowicjuską, pani porucznik. Proszę dać sobie z tym spokój.

Gennifer Yung stała sztywno wyprostowana i wpatrywała się w tablicę.

– Dużo udało się pani ustalić.

– Tak. Morderstwo pani bratowej to teraz dla mnie najważniejsza sprawa.

Pani sędzia skinęła głową i pomasowała kark.

– Przepraszam, że wtargnęłam tu w taki sposób. Czekanie jest okropne, pani porucznik, może być destrukcyjne. Uzbroiłam się w cierpliwość, czekając na zgodę na udostępnienie policji dokumentów, które znajdowały się w jej gabinecie. Wiem, że to delikatna sprawa, że wymaga czasu. Już wcześniej wywierałam presję, więc teraz powiedziałam sobie: nie będę się wtrącać, pozwolę, by sprawy toczyły się zwykłym trybem. No i ktoś to wykorzystał, by skraść cenne dowody. Dowody, które mogłyby panią zaprowadzić do zabójcy Marty.

– Pani sędzio, wie pani, że nie mogę ujawniać szczegółów śledztwa, ale zapewniam panią, że analizujemy pokaźną ilość informacji, podążamy wszystkimi tropami, przesłuchujemy tych, którzy według nas mogą w jakiś sposób być powiązani z tym zabójstwem.

– Wydała pani polecenie, by policjanci pilnowali mieszkania mojego brata.

– Na wszelki wypadek, po włamaniu do gabinetu pani bratowej.

– Tak. Rozumiem. Łatwo się przyzwyczaić do tego, że ma się władzę, że czymś się kieruje. I trudno czekać bezczynnie, kiedy człowiek znajdzie się w sytuacji, gdy niczym nie kieruje, pozbawiony jest władzy. Kiedy trzeba wszystko zostawić w rękach innych osób. I nie ma znaczenia, że się wie, że ci inni są dobrzy.

Wyciągnęła ręce przed siebie, przyjrzała się im, zacisnęła dłonie.

– Dzisiaj rano razem z moim bratem pojechałam obejrzeć jego żonę. Zobaczyć Martę.

Wiele widziałam w życiu, z różnymi sytuacjami miałam do czynienia w sali sądowej. Ale okazało się, że nic mnie nie przygotowało na to, co zobaczyłam w kostnicy. – Odchrząknęła. – Na razie brat z dziećmi zamieszka u mnie. Myślał, że dzieciom będzie łatwiej, jeśli zostaną u siebie w domu, w otoczeniu znanych sobie przedmiotów. Ale okazało się to dla nich zbyt bolesne, dla nas wszystkich. Gdyby pani chciała się z nim skontaktować, zastanie go pani u mnie.

– Jeszcze raz, pani sędzio, proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje. Jak tylko ustalę coś, czym będę się mogła podzielić z innymi, państwo pierwsi się o tym dowiedzą.

Gennifer Yung skinęła głową, znów spojrzała na tablicę.

– Sądzi pani, że jej zabójca to któreś z nich?

– Nie wiem. Ale sądzę, że powód, dla którego została zamordowana, kryje się gdzieś na tej tablicy. A powód zaprowadzi nas do sprawcy albo sprawców.

– Zadowolę się tym i pozwolę pani wrócić do pracy.

Kiedy za sędzią Yung zamknęły się drzwi, Eve przesunęła dłonią po włosach. Miała wrażenie, że powietrze w gabinecie jest aż ciężkie od rozpaczliwych bliskich Marty Dickenson.

Włożyła żakiet, który zdjęła, kiedy weszła do gabinetu, i ruszyła na spotkanie z Mirą.

Przyspieszyła kroku, nie chcąc się narazić na złośliwą uwagę sekretarki Miry, gdyby spóźniła się choćby minutkę. Znalazła się przed biurkiem tej żony, mając w zapasie – według własnych szacunków – trzydzieści trzy sekundy.

Ale i tak poczuła na sobie jej gniewne spojrzenie.

– Pani doktor jest dziś bardzo zajęta.

– Nie ona jedna.

Sekretarka zacisnęła usta i podniosła słuchawkę interkomu.

– Przyszła porucznik Dallas.

Prychnęła.

– Proszę wejść.

Mira akurat wyjmowała z biurowego autokucharza swoje ładne filizanki. Miała na sobie kostium barwy przydymionej lawendy, śliwkowe pantofle na obcasie, a na szyi trzy srebrne łańcuszki. Jej łagodne, niebieskie oczy rozbłysły na widok Eve.

– Tak, zaparzyłam dla ciebie herbatę, za którą nie przepadasz, ale która dobrze ci zrobi. Masz za sobą dwa długie, ciężkie dni.

– Taką mam pracę.

– Racja. Ale cieszę się, że wyglądasz na w miarę wypoczętą i jesteś bardzo elegancka.

– To zasługa Roarke’a. Musiałam dziś stanąć twarzą w twarz z licznymi potentatami.

– Idealnie dobrał ci strój. Tak ubiera się osoba silna, jednak nie bezwzględna, modna, ale wystrzegająca się ekstrawagancji, władcza, lecz nie tyranizująca otoczenia.

– Widzę, że z tobą też ubrania rozmawiają.

– Tak i aż za często mówią mi: „kup mnie”. Usiądź. – Podała Eve ładną filizankę i zajęła miejsce w jednym z wygodnych foteli. – Jak się ma sędzia Yung?

– Twarda z niej sztuka.

– Bardzo ją lubię i prywatnie, i służbowo. Prawdę mówiąc, kilka razy spotkałam Martę. Zrobiła na mnie wrażenie pełnej uroku, kochającej kobiety.

– Wszystko świadczy o tym, że właśnie taka była. Nie żyje, bo miała pecha.

– Słucham?

– Wszystko na to wskazuje. Dwóch audytorów uległo wypadkowi i trafiło do szpitala. Przypadła jej część ich obowiązków. Kilka godzin później straciła życie. Zabójcy starali się to upozorować na napad. Wkrótce potem włamano się do jej gabinetu, majstrowano przy komputerze, zniknęły dokumenty i ich kopie. Pech.

– Rozumiem. Zgadzam się, że jej zabójstwo było beznamienne i słabo zamaskowane. Określiłaś je w swoim raporcie jako „półprofesjonalne”. Uważam, że to bardzo trafne stwierdzenie.

– Wzięłam pod lupę bonzów, szefów firm, które mają jakiś związek z tą sprawą. Poprosiłam Roarke’a, żeby je sprawdził. Nikt lepiej od niego nie zna się na interesach, cyferkach i pieniądzach, więc może znajdzie jeszcze coś, czemu powinnam się bliżej przyjrzeć. Albo pomoże mi skreślić z listy kilka osób, którymi teraz się zajmuję. Wszyscy szefowie mają... Powody, że się tak wyrażę, by zlecić zabójstwo księgowej. Była tylko narzędziem, do tego profesjonalnym narzędziem, co uczyniło z niej potencjalną przeszkodę.

– Działano pośpiesznie. Świadczy o tym pora zabójstwa i metoda, jaką się posłużono. Ale bonzów, jak się sama wyraziłaś, stać na wynajęcie zawodowców.

– Może ich stać – przyznała jej rację Eve – tylko pożałowali grosza. Już płacą za to, by pewne rzeczy nie ujrzały światła dziennego. Może oprócz pensji dają komuś jakąś premię na boku. Dickenson właściwie była tylko robotem, nikim ważnym.

– Ich potrzeby są ważniejsze od niej. – Mira skinęła głową, popijając herbatę. – Nie mogą sobie zaprzętać głowy życiem tych, których zatrudniają, szarych pracowników.

– Mira znów pociągnęła łyk herbaty i się zamyśliła. – Chciałabym przeczytać raporty z przesłuchań, które przeprowadziłaś dziś przed południem.

– Prześlę ci je.

– Uważam, że masz do czynienia z brutalnymi, bezwzględnymi i wyszkolonymi zabójcami. Takimi, którzy robią to, co im się każe, jednak nie są zbyt rozgarnięci.

Porwanie ofiary sprzed biurowca, w którym pracuje, porzucenie zwłok daleko w miejscu, gdzie nie mogła wtedy przebywać, świadczy o braku logiki.

– Nie wiedzieli, że zamierzała iść do metra. Sprawcy albo ten, kto ich wynajął, mogli przypuszczać, że szła do domu. Poza tym znaleźli sobie dogodne miejsce.

– Pusty budynek, do tego taki, do którego mieli łatwy dostęp.

– Nie przejmowali się powiązaniem. Może dlatego, że działali pospiesznie. To tylko napad na jakąś księgową.

– Ten, kto ich zatrudnił, jeśli rzeczywiście działali na zlecenie, też nie myślał długofalowo. To raczej natychmiastowe, szybkie rozwiązanie problemu, pozbawione starannego planowania i finezji. Ważne są dokumenty, dane, które być może w jakiś sposób są obciążające, a nie ofiara. Jej można się pozbyć. To nie okrucieństwo. To bezduszość.

– To interesy.

– Tak, interesy. Ale jak można dobrze prowadzić interesy, jeśli się nie myśli długofalowo, nie zwraca uwagi na drobiazgi, tylko siłowo rozwiązuje problemy?

Eve usiadła prosto.

– Bo się odziedziczyło firmę.

Mira się uśmiechnęła.

– To cyniczne, lecz w tym wypadku wielce prawdopodobne. Sami zabójcy, jak powiedziałam, są brutalami. Brak podłoża seksualnego, brak agresji, brak pobudek osobistych. Chociaż sam sposób zabójstwa to swego rodzaju popisywanie się.

– Popisywanie się?

– „Jestem silny. Sam się przekonaj, jak silny. Mogę gołymi rękami skrócić człowiekowi kark”. Szybko i bez rozlewu krwi według raportu Morrisa. Mieli paralizator, którym można zabić z bliska, jeśli się go nastawi na pełną moc, ale woleli brutalną siłę. Tak, popisywali się, dlatego zabili ofiarę własnymi rękami, a nie przy użyciu broni lub narzędzia. Sprawca był narzędziem.

– No tak. – Eve zastanowiła się nad tym. – Tak. I może musiał się popisać, bo zaatakował od tyłu paralizatorem bezbronną kobietę, a to dowód tchórzostwa. Może musiał to czymś zrównoważyć.

– Tak sądzę. A zleceniodawca? Niecierpliw, impulsywny, przyzwyczajony, że otrzymuje wszystko, czego chce, i to natychmiast, pozbawiony współczucia albo niezwracający uwagi na tych, którzy pracują, żeby on mógł żyć tak, jak żyje.

– To właściwie eliminuje czwórkę moich podejrzanych.

Mira się uśmiechnęła.

– Jaką czwórkę?

– Cztery kobiety. Pięć, wliczając ich kierowniczkę biura. Mam na myśli właścicielki Your Space. Niczego nie odziedziczyły, pochodzą z klasy średniej, przywiązują wagę do szczegółów. Bo między innymi na tym polega ich praca. Są zorganizowane i kompetentne. Gdyby wzięły ofiarę na muszkę, pozbyłyby jej się jak należy. Bardzo schludnie i czysto.

– Czy to komplement?

– Właściwie tak. I rozumieją znaczenie czynnika czasu. Ofiara nie miała go dosyć, żeby zbytnio się zagłębić w dokumenty. Zabicie jej nic nie dało. Dobrze, mogę je wykreślić ze swojej listy i skupić się na pozostałych. W ten sposób ja też zyskam na czasie. Dziękuję.

– Przekażę ci swoje opinie po zapoznaniu się z raportami z przesłuchań.

– Dobrze. – Eve wstała i ze zdumieniem stwierdziła, że jej filiżanka jest prawie pusta. Nie pamiętała, żeby piła tę cholerną herbatkę. – No więc... Pomyślałam, że powinnam ci powiedzieć, co mi się przyśniło ostatniej nocy.

Na twarzy Miry pojawiła się troska.

– Znowu miałaś sen?

– Tak. Ale to nie był koszmar. Można nazwać to podsumowaniem dnia, czymś w rodzaju analizy zabójstwa, miejsca zbrodni. Czasami dzięki temu w nowym świetle widzę ofiarę albo zabójcę, albo jakiś trop, którym podążam. Tak czy owak, była tam. Znaczy się, Stella.

– Rozumiem.

– We śnie nie przejęłam się tym. Nie zdenerwowałam się ani nie zjeżyłam. Kazałam jej się wypchać.

Mira się rozpromieniła, jakby Eve zdobyła złoty medal.

– Idealnie. Postęp.

– Chyba tak. Ale rzecz w tym, że jej obecność pozwoliła mi dostrzec coś nowego. Właściwie nie wiem dlaczego, jeśli pominąć fakt, że nigdy o mnie nie myślała, nigdy nie stawiała mnie na pierwszym miejscu... Ani na żadnym. Nie tylko mnie nie chroniła, ale była jednym z potworów czających się pod łóżkiem. Matki powinny myśleć o swoich dzieciach. Nie musisz mi mówić, że pod żadnym względem nie była moją matką, dała mi jedynie swoje DNA – dodała Eve, uprzedzając Mirę. – Rozumiem to. I staram się z tym pogodzić. Jednak dzięki temu uświadomiłam sobie, że Marta myślała o swoich dzieciach, o swojej rodzinie. Przesłała dokumenty na domowy komputer, lecz nie powiedziała o tym zabójcom. Bo wtedy dopadliby jej męża albo przynajmniej próbowaliby dotrzeć do plików. Wiedziała o tym. Nie mam pojęcia, czy zorientowała się, że i tak ją zabiją, czy też nie. Ale sądzę, że szybciej dałaby się zabić, niż naraziła swoich najbliższych na niebezpieczeństwo. Tak czy owak, inaczej na to wszystko spojrztałam, kiedy się obudziłam, kiedy się z tego otrząsnęłam. Pomyślałam, że Stella zabiłaby mnie własnymi rękami, gdyby groziło jej najmniejsze zadraśnięcie. A ta kobieta gotowa była oddać życie, by chronić rodzinę. Chyba łatwiej mi się spało, kiedy sobie to uświadomiłam.

– Jesteś twarda, Eve. Nic, co zrobiła Stella, nigdy cię nie złamie.

– Jestem trochę poturbowana, ale nic mi nie będzie. Chciałam, żebyś wiedziała, że sobie z tym radzę.

– Jestem tu, kiedy sobie radzisz, i kiedy sobie nie radzisz.

– Wiem. To mi pomaga. Muszę wracać do siebie. Dziękuję, że poświęciłaś mi ten czas.

Mira wstała, żeby odprowadzić ją do drzwi.

– Już się nie mogę doczekać premiery.

– O, rany.

Mira się roześmiała i poklepała Eve po ramieniu.

– Jestem gotowa na to, by dać się ośnić przepychowi, strojom i celebrytom. Namówiłam Dennisa, żeby sobie kupił nowy smoking. Będzie się prezentował niezwykle elegancko.

– Zawsze dobrze się prezentuje. – Słabość Eve do Dennisa Miry nieco zmniejszyła niepokój, jak będzie na premierze. – Jeśli nie zamknę sprawy do jutra, będziesz miała okazję przyrzeć się z bliska moim podejrzany. Wielu z nich wybiera się na premierę.

– Zapowiada się jeszcze bardziej interesująco.

– Może masz rację. – Nieco zaskoczona postawą konsultantki, Eve wyszła z gabinetu.

Postanowiła zajrzeć do wydziału przestępstw elektronicznych, sprawdzić, co udało się ustalić McNabowi, i porozmawiać z Feeneyem, jeśli będzie wolny. Przygotowała się na hałas, nieustanny ruch, zmasowany atak barw, które wyglądały, jakby nasycano je neonem, a potem upieczono na pierścieniach Saturna.

Zastała McNaba, podrygującego za swoim biurkiem. Kręcił chudym tyłkiem, poruszał wąskimi ramionami, rozmawiając z komputerem ofiary niezrozumiałym językiem maniaków komputerowych.

Trąciła go w ramię, niemal spodziewając się, że podskoczy, bo najwyraźniej był kompletnie zatopiony we własnym świecie. Ale tylko obrócił się razem z krzesłem.

– Cześć, Dallas.

– Jak ci idzie?

– Natrafiłem na taki sam ukryty kod, jak w systemie ochrony budynku. Ktoś się włamał do komputera, posługując się tą samą metodą. To jak odcisk palca.

– Już to mówiłeś. Jak mogę wykorzystać ten odcisk palca?

– Kiedy z tym skończę, popytam tu i tam, spróbuję się dowiedzieć, kto jest autorem kodu. Każdy ma swój styl. To jak fason butów.

Fason butów i odciski palców, pomyślała. Styl programisty.

– Dobra.

– Jest jeszcze coś. Nie widzę żadnych prób sprawdzenia, co robiła na komputerze. Jeśli ja się włamuję, sprawdzam wszystko. A to wygląda, jakby komuś polecono dotrzeć do plików, uszkodzić komputer i tyle. Nie sądzę, by temu, kto to zrobił, zależało na ustaleniu, czy je skopiowała. Zrobiła to z dysku, widzisz?

Wskazał ekran, z którego Eve nic a nic nie rozumiała.

– Skoro tak twierdzisz.

– Mam stuprocentową pewność. To jest tutaj. Domyślam się, że księgowi są bardzo przeczni. Robią kopie kopii, a potem jeszcze kopię zapasową na wypadek jakiegoś ogólnoswiatowego kataklizmu. Więc skopiowała pliki na pendrive'y, a potem przeniosła z pendrive'ów na komputer domowy. Każdy plik na osobnym pendrivie. Ja chyba umieściłbym je wszystkie na jednym, tylko w osobnych folderach. To, że każdy plik przegrała na inny pendrive, świadczy o jej wyjątkowej przezorności.

– Rozumiem.

– Prawdopodobnie miała kopie przy sobie, w teczce. Prawdę mówiąc, chyba musiała je mieć przy sobie, żeby móc je przeanalizować. Więc kiedy je zdobyli, uznali, że mają już wszystko. Trzeba mieć analityczny umysł, żeby zrozumieć inną osobę o umyśle analitycznym.

To akurat Eve rozumiała.

– Czyli według ciebie ktoś otrzymał zlecenie i zrobił dokładnie to, co mu kazano. Nic więcej. Nie chciał niczego szczegółowo sprawdzać.

– Na to wygląda. Większość hakerów lubi się pobawić, powęszyć, skoro już się włamali do komputera. Ten tak nie zrobił. Szedł prosto do celu, nie zbaczając z drogi. – McNab zatoczył ręką koło. – Przynajmniej do tej pory nic takiego nie stwierdziłem.

– Pasuje mi to.

Zostawiła go, by mógł dalej podrygiwać i poruszać ramionami, przeciśnęła się między podrygującymi i kiwającymi się maniakami komputerowymi i zajrzała do cichego, utrzymanego w spokojnych kolorach gabinetu Feeneya, gdzie nic się nie poruszało.

Szef wydziału siedział za biurkiem. Miał na sobie beżową koszulę, a także marynarkę sraczkowego koloru, więc Eve się domyśliła, że dopiero co wrócił z terenu. Poluzował

krawat tego samego koloru, co marynarka, ale go nie zdjął. Czyli znów gdzieś się wybierał. Rudawo-siwe włosy sterczały mu na wszystkie strony wokół twarzy, przypominającej pysk zaspanego basseta.

Jednocześnie korzystał z ekranu dotykowego i klawiatury.

Mógł się ubierać jak gliniarz, myśleć jak gliniarz, chodzić jak gliniarz, ale był lepszym informatykiem od McNaba i reszty swoich podwładnych.

Eve zastukała we framugę drzwi.

– Masz pięć minut?

Feeney uniósł palec, nie przestając robić tego, czym był zajęty, a potem chrząknął zadowolony.

– Teraz mam pięć minut. Pieprzony cyberstalker. Myśli, że może terroryzować kobiety, pokonywać zabezpieczenia, gwałcić i okradać, a potem zniknąć, pogwizdując wesoło? Już wkrótce będzie gwizdał za kratkami.

– Masz go?

– Mam jego podpis i lokalizację, przekazałem je śledczemu. Jeśli nie uda mu się dopaść dupka, sam powinien gwizdać za kratkami.

– Kto prowadzi dochodzenie?

– Schumer.

– Jest dobry. Zamknie sprawę.

– Tak. – Feeney potarł twarz. – Mam za sobą dwa długie dni. Ty też.

– Tak. Ale wszystko wskazuje na to, że ty zakończysz sprawę. Ja nie mogę powiedzieć tego samego.

– Chłopak pracuje nad tym.

– I posuwa się do przodu. Dziękuję, że pozwoliłeś mi się tym zająć. Tym bardziej, że sam masz masę roboty.

– Nie ma sprawy. – Kiedy Eve przysiadła na skraju jego biurka, sięgnął do miseczki z kandyzowanymi migdałami.

– Mam do czynienia z niegrzecznymi chłopcami, którzy robią to, co się im każe, ale nie wykazują ani odrobiny własnej inicjatywy, by zrobić to, jak należy. Zamordowali kobietę, bo im zlecono zabójstwo, chociaż wcale nie musiała zginąć, żeby osiągnęli cel. Po fakcie zjawili się, żeby posprzątać, lecz nie zajrzeli do kątów. Obrane przez nich miejsce przestępstwa natychmiast daje wiele do myślenia. Ofiarą jest audytorka z biura rachunkowego, obsługującego klientów z forszą. Zbrodnię popełniono w budynku, należącym do doradców finansowych – oni też mają do czynienia z klientami z forszą. Co więcej, niektórzy klienci korzystają z usług obu firm.

– Niedbalstwo.

– Tak, ale tylko do pewnego stopnia. Gdybym sporządzała ocenę jego pracy, napisałabym: „Wykonuje swoje obowiązki, lecz nie myśli samodzielnie, nie potrafi ocenić zmieniającej się sytuacji i odpowiednio do tego przystosować sposób działania.” Na początku przyszłego roku Trueheart przystąpi do egzaminu na detektywa.

Feeney obrócił się na krześle i się uśmiechnął.

– Zrobił duże postępy.

– O, tak. Już nie jest żółtodziobem, chociaż wciąż jest niewinny. I zawsze zachowa tę niewinność, bo to już taki typ. Lecz wiem, że gdybym mu coś zleciła, nie ograniczyłby się do mechanicznego wykonania zadania. Zwróciłby uwagę na szczegóły, dostosował się do zmienionej sytuacji. Zdarzają mu się pomyłki, ma jeszcze mało doświadczenia, ale nie popełnia tego samego błędu dwa razy.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

– Trueheart zdobył sobie uznanie, ponieważ jest, jaki jest. Baxterowi należą się słowa uznania za to, że go wyszkolił, i to dobrze. Ja zasłużyłam na uznanie, bo coś w nim dostrzegłam i ściągnęłam go do siebie. No i należy mi się uznanie, ponieważ jestem szefową ich obu.

– I ty obrywasz, kiedy coś schrzanią albo zrobią coś niestarannie.

– No właśnie. Czyli widzę to tak: masz kilku chłopców na posyłki. Zabójstwo to była dobra robota, bez żadnej wpadki. Dopadli ofiarę i ją wykończyli.

– Skręcili jej kark, tak?

– Tak. Mira twierdzi, że sprawca chciał się popisać, i pasuje mi to. Do takich zadań masz brutala. Poza tym masz hakera, który zna się na swojej robocie, pokonał przyzwoite, choć nie najnowocześniejsze zabezpieczenia, włamał się do komputera ofiary, do sejfu jej przełożonego. Zrobił to, co mu kazano, lecz nie sprawdził, że ofiara zrobiła kopie tych cholernych plików, które ukradł, zadając sobie tyle trudu. Ograniczył się do zrobienia tego, co mu kazano. Drugi zbir czy też zbiry zrobiły, co im kazano. Ale...

– Złe zarządzanie.

– No właśnie! – Eve uniosła rękę, by zamarkować w powietrzu cios. – Cholernie złe zarządzanie. Teraz jest wkurzony, bo pojawili się gliniarze, a właściwie niemal sam ich do siebie zaprosił. Tylko że i tak nie mam pewności, kto to.

– Czy są tacy, których wyeliminowałaś?

– Tak, jest ich kilku.

– To dobry początek.

– Wszyscy są dupkami pod takim czy innym względem i patrząc na nich, potrafię sobie wyobrazić każdego z nich, jak zleca zabójstwo. Nawet jeśli odgadnę, który to z nich, byłby to proces poszlakowy. No i jeszcze nie do końca znam odpowiedź na pytanie, dlaczego. Chodzi o pieniądze. Z pewnością o pieniądze. Lecz jest jeszcze chciwość. Roarke mówi „pazerność”. To bardziej eleganckie określenie chciwości, prawda?

Feeney wysunął dolną wargę i skinął głową.

– Brzmi bardziej elegancko.

– Pazerność. Masz forsy jak lodu, szastasz nią na prawo i lewo, ale chcesz jeszcze więcej. Więc oszukujesz, kradniesz i zabijasz, żeby mieć więcej i żeby się chronić.

– Czy poprosiłaś swojego małżonka-krezusa o sprawdzenie ich finansów?

– Tak.

– On jak nikt inny znajdzie odpowiedź na pytanie, dlaczego. Przyjrzyj się współmałżonkom.

– Nie wszyscy ich mają.

– Założę się, że każdy kogoś ma. Współmałżonek czy partner albo o wszystkim wie, albo wydaje pieniądze, nie przejmując się, skąd się biorą. Jeśli nie mają kogoś, z kim regularnie figlują, musisz ustalić, kogo podrywają, z kim kręcą, komu płacą za seks. Ludzie chciwi lubią rozmawiać o pieniądzach, przechwalać się, ile ich mają.

– Nie dostrzega tych, którzy dla niego pracują – ciągnęła Eve. – Nie wiem, czy to dotyczy także małżonki, ale może to być licencjonowana prostytutka, panienka lekkich obyczajów, ktoś na boku. Seks i pieniądze, zawsze zwycięskie połączenie.

Wstając, wzięła garść migdałów i wsunęła jeden do ust.

– Dzięki. Wiem, gdzie niuchać.

– Chciwe łobuzy, zabijający kobiety, zasługują na więzienie tak samo, jak skurwiele,

zajmujący się cyberstalkingiem i gwałcący je.

– Święta prawda.

– Ej – zawołał, kiedy Eve skierowała się do wyjścia. – Żona mi mówi, że będę musiał wypożyczyć smoking na premierę.

– Nie znam się na tym, Feeney. Mira właśnie mi powiedziała, że kazała swojemu mężowi kupić nowy smoking.

– Co to za wariactwo? Dlaczego trzeba się wbić w smoking, żeby obejrzeć jakiś film?

– Ja będę musiała włożyć sukienkę i szpilki, i jeszcze się wypacykować. Nie licz na moje współczucie, że będziesz musiał paradować w smokingu.

– Skończone wariactwo – mruknął.

– Święta racja – zgodziła się z nim Eve i wyszła.

Rozdział 11

Wróciwszy do siebie, zleciła przeszukanie witryn plotkarskich i z życia wyższych sfer w nadziei na znalezienie jakichś perełek. Kiedy komputer pracował, skontaktowała się z policją w Vegas i wykonała potrzebny taniec, by wydębic kopię raportu policyjnego, dotyczącego wypadku, w którym doznali obrażeń Arnold i Parzarri. Zadzwoiła do szpitala i dowiedziała się, że obaj mężczyźni będą mogli jutro wrócić do swych domów.

Chciała ich jak najszybciej przesłuchać.

Czytając plotki – o strojach, fryzurach, rozstaniach i powrotach – zleciła zebranie informacji o żonie Alexandra, Pope'a, o Tuvie Gunnarsson i narzeczonej Newtona.

Na razie wystarczy. Zebrała swoje rzeczy i weszła do sali ogólnej wydziału.

– Peabody, ze mną!

– Nie mogę znaleźć na liście nikogo, kto byłby właścicielem furgonetki Cargo – powiedziała Peabody, wkładając ręce w rękawy płaszcza i biegnąc za Eve.

– Sprawdź krewnych, znajomych, wypożyczalnie.

– Na razie nie mam nic, ale będę dalej kopać. Wiesz, że Chaz Parzarri ma czternaścioro kuzynów, a jedenaścioro z nich mieszka w Nowym Jorku albo w New Jersey?

– Nie wiedziałam o tym. – Eve wcisnęła się do windy, zastanawiając się, dlaczego w kabinie zawsze jest tak tłoczno, kiedy musi z niej skorzystać. – O ile któryś z nich nie jest posiadaczem maximy cargo, niepotrzebna mi ta informacja.

– Cóż, mówię tylko, że tamci mają masę kuzynów, niestety, żaden z nich nie jest właścicielem maximy cargo. Ale będę dalej sprawdzała ludzi i ich wozy. A przy okazji, czy uprawiają hazard, szlajają się, podróżują w osobliwe miejsca.

Dobre zarządzanie, pomyślała Eve i w myślach poklepała się po plecach. Dobre zarządzanie gwarantuje dobrą pracę.

– No i?

– Na razie wyłącznie tego rodzaju hazard, szlajanie się i podróże, jakich można oczekiwać. Szlajanie się nie dotyczy żonatych i zaręczonych. Jeśli mają kogoś na boku, płacą gotówką i są bardzo dyskretni.

Jakaś kobieta, wciśnięta w ką, w spódniczce wielkości serwetki do obiadu, w wysokich, sznurowanych botkach i z różowymi włosami – Eve miała nadzieję, że to peruka – a także z podbitym okiem, zrobiła pokaznego balona z gumy do żucia.

– Trzeba zgłaszać wpłaty gotówkowe – oznajmiła. – Można udzielić klientowi rabatu, jeśli się chce, bo unika się opłat bankowych, ale trzeba zgłosić wpłatę.

– Naprawdę? Zapisz to sobie, Peabody. Jak zarobiłaś tę śliwę?

– Moja współpracownica i ja miałyśmy różne zdania na temat pewnego klienta. No i suka mi przywaliła. Złożyłam skargę, bo to powinno trafić do akt, prawda? Funkcjonariusz Mills okazał się bardzo miły. Nawet nie chciał, żebym mu za darmo zrobiła loda.

– Rzeczywiście... Ładnie z jego strony.

– Nie mam nic przeciwko darmowym usługom dla gliniarzy i strażaków, o ile zajdzie potrzeba. W ten sposób okazuję swoją postawę obywatelską.

– Miasto Nowy Jork jest pani bardzo wdzięczne.

Kobieta się rozpromieniła, jeszcze raz pstryknęła gumą, a kiedy winda się zatrzymała na parterze, wysiadła. Wdzięczna za to, że prawie wszyscy wysiedli razem z licencjonowaną prostytutką, Eve przesunęła się, żeby mieć trochę więcej miejsca.

– No dobrze, Peabody, jakie jest twoje zdanie?

– Chyba nie wie, że proponowanie za friko łoda gliniarzowi uważane jest za łapówkarstwo.

– Ona tylko stara się spełnić swój obywatelski obowiązek.

– Tak jest. O czym to ja mówiłam? Aha. Young z Bidenem lubią hazard. Czasem wygrywają, czasem przegrywają. Śmiem twierdzić, że według nich to nic szczególnego wygrać czy przegrać więcej kasy, niż ja zarabiam w ciągu roku, obstawiając konie czy grając w karty. Ci dwaj, Alexander i Ingersol dużo podróżują. Naprawdę dużo i to do odjazdowych miejsc. O niektórych nawet nigdy wcześniej nie słyszałam. Newton trochę podróżuje i lubi zakłady sportowe, lecz zaliczyłabym go do drugiej ligi. Gra o niezbyt wielkie stawki. Whitestone jeździ głównie służbowo, ale z klasą. Lubi też nurkować z akwalungiem, czasami podróżuje właśnie w tym celu.

– Żaden z nich nie żyje ponad stan, a przynajmniej tego nie widać – powiedziała Eve, kiedy wysiadły w garażu. – I tak, jak żyją członkowie klasy uprzywilejowanej. A nieodłącznym elementem tego stylu życia są małżonki, narzeczone, kochanki, byłe żony, prostytutki i – gotowa jestem się założyć – panienki na boku.

– Chyba nie myślisz poważnie, że ta szara mysz Pope ma kogoś na boku.

– Takie typki są pełne niespodzianek, potrafią nieźle figlować.

– Czy kiedykolwiek kochałaś się z szarą myszą?

– Nie. – W garażu rozbrzmiewało echo ich kroków. Gdzieś na wyższym poziomie ktoś uruchomił silnik. – Ale w dawnych czasach Mavis spotykała się z facetem, który wyglądał jak jeden z tych ogrodowych krasnali. Mówiła, że zachowywał się w łóżku jak wścicka norka. Pozory mogą mylić.

– To prawda. – Peabody wsiała do wozu. – Weź choćby McNaba. Jest cudowny. I chociaż taki chudy, potrafi posuwać jak turboodrzutowiec.

– Jezu, Peabody, nie chcę słuchać o możliwościach McNaba w łóżku.

– Jest wyjątkowy. Nie dalej, jak zeszłej nocy...

– Nie, nie, nie. – Eve potarła kącik oczu, bo zaczęła jej drgać mięsień, a potem zrobiła groźną minę, kiedy Peabody zdusiła chichot.

– Zrobiłaś to specjalnie.

– Chciałam się tylko przekonać, czy to nadal na ciebie działa.

– Zawsze będzie działało. Tak, jak mój but zawsze dosięgnie twojego tyłka.

– Masz bardzo ładne buty – zauważyła Peabody. – Ale Angie z Your Space spodobały się moje – dodała.

– Musisz pękać z dumy. Zaczniemy od byłych małżonek – dodała Eve, zanim Peabody znów zaczęła się przechwalać swoimi butami. – Była żona Young-Sachsa ma elegancki butik w Meat Packing District.

– Skąd wiesz?

– Nie ty jedna potrafisz wyszukiwać plotki.

*

W eleganckim butikiu na ekranach w kółko prezentowano zestawy strojów, w których

jakiś jeden element garderoby się powtarzał. Botki do kolan z lamparciej skóry i krótką, czarna sukienka, krótką czarna sukienka ze srebrnymi szpilkami i srebrnym szalem, srebrny szal z džinsami, czerwoną górą i kamizelką.

Wąskie wiązki światła padały na każdą część kompletu, umieszczoną na wieszakach czy półkach, w momencie, kiedy ukazywała się na ekranie.

Eve trochę się zakręciło w głowie od tego.

Drobna i krągła Brandy Byson poruszała się w butach na wysokich obcasach jak błyskawica. Minęło kilka chwil, zanim Eve udało się ją dopaść.

– Przepraszam. – Z promiennym uśmiechem, z rzęsami pokrytymi tak grubą warstwą tuszu, że Eve się dziwiła, jak powieki kobiety utrzymują ten ciężar, Brandy wyciągnęła małą, niebieską buteleczkę z ozdobnej saszetki przy pasku i pociągnęła łyk. – Napój energetyczny, w pełni dozwolony. Chciała mi pani zadać kilka pytań o Cartera. Czy ma kłopoty?

– A czy powinien mieć?

Brandy się roześmiała.

– To tendencyjne pytanie, jeśli zadaje się je byłym małżonkom. Prawo nie zabrania bycia kretyńcem, prawda? W przeciwnym razie połowa facetów, z którymi się spotykałam, siedziałyby za kratkami.

– Jakiego rodzaju kretyńcem jest Carter Young-Sachs?

– To też dziwne pytanie w ustach gliniarza, ale na nie odpowiem: jest samolubny, egocentryczny, kłamie i oszukuje.

Wiedząc, ku czemu zmierza Eve, Peabody zapytała konfidencjonalnym tonem:

– A czy mogłaby nam pani dać jakiś przykład albo opowiedzieć jakąś historyjkę?

– Wystawił mnie do wiatru w dniu moich urodzin, wysyłając mi tylko SMS.

Tłumaczył się później, że poproszono go o pilne spotkanie, a w rzeczywistości poleciał na Capri z inną kobietą. Wtedy ostatni raz mnie okłamał i oszukał. Nie pierwszy, ale niekiedy musi upłynąć nieco czasu, żeby dostrzec, z kim naprawdę ma się do czynienia.

– W dniu urodzin – powiedziała Peabody. – To musiało być przykre.

– Bardzo. A na początku tak o mnie zabiegał, naprawdę się starał. Dałam się nabrać na jego zabły. Dopiero co zaczęłam się spotykać z innym facetem, naprawdę bardzo przyzwoitym, i zerwałam z nim dla Cartera!

Westchnęła, a potem się odwróciła, żeby odrobinę przesunąć wielgachną torbę w biało-czarne paski.

– Byłam głupia i odeszłam od fajnego mężczyzny. A kiedy Carter mnie omotał, okazało się, jaki z niego kutas. Mówię w przenośni, bo z jego narządem anatomicznym miałam okazję zetknąć się kilka razy już wcześniej.

Eve nie mogła powstrzymać uśmiechu. Podobał jej się styl mówienia tej kobiety.

– A jak ten metaforyczny kutas się stawał?

Brandy odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

– Dobrze. No cóż, na początek oczekiwał, że rzucę wszystko, czym akurat jestem zajęta, dla tego, co on właśnie robi. Krytykował mój sklep, początkowo delikatnie, żartobliwie. Później wyszło na jaw, że nie szanuje tego, co robię. A przecież to, że moja rodzina ma pieniądze, wcale nie znaczy, że powinnam siedzieć na tyłku i nie próbować sama czegoś robić.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Uff. Wciąż jestem wkurzona. Co takiego zrobił?

– Nie wiem, czy mogę mu coś zarzucić poza tym, że jest kutasem – powiedziała Eve.

Brandy rzuciła jej twarde spojrzenie spod mocno wytuszowanych rzęs.

– Cóż, jeśli coś zrobił, mogę się założyć, że jego przyszywany brat-bliźniak też jest w to zamieszany.

– Tyler Biden?

– Ten nawet nie udaje, że nie jest kutasem. Lubi nim być. Traktuje to jak życiową misję i naprawdę świetnie sobie radzi. Te jego znaczące uśmiešky, kpiny, mina pełna wyższości. Przepraszam – zmiękła się. – Naprawdę obaj wciąż mnie wkurzają.

– Nie musi nas pani przepraszać – odrzekła Eve. – Odniosłam wrażenie, że właśnie taki jest.

– To dobrze, bo powiem pani jeszcze coś: nawet w połowie nie znają się tak na interesach, jak ja. Nie zatrudniono by ich do zmiatania podłóg w firmie Young-Biden, gdyby się nie urodzili Young-Bidenami. Szczególnie Carter. Wystarczy spróbować porozmawiać z nim o podaży i popycie albo marketingu, albo zysku netto, bazie klientów i jak ją powiększać, a widać jak na dłoni, że nie ma o tym zielonego pojęcia. Można powiedzieć, że jest półgłówkiem. Półgłówkiem i kutasem, a ja wyszłam na idiotkę, że oddałam mu osiem i pół miesiąca własnego życia.

– Czyli nie lubił rozmawiać o interesach, swojej pracy, firmie?

– Raczej nie był w stanie. Lubił opowiadać o firmie, ale tylko żeby się chełpić. Przechwalał się pieniędzmi i tym, jak lubi je wydawać, albo podróżami. Od czasu do czasu psioczył na matkę, kiedy sobie trochę wypił albo...

– Domyśliłam się, że bierze – wtrąciła Eve.

– Cóż... Narzekał, że matka wywiera na niego zbyt wielką presję albo zbyt wiele od niego oczekuje, chce, by żył wyłącznie sprawami firmy. Nie wyglądała mi na jędzę, kiedy ją kilka razy spotkałam. Ale w mojej rodzinie od każdego oczekuje się zaangażowania, pracy. Może nie mamy tyle pieniędzy, co Youngowie, ale nawet gdybyśmy mieli, zapewniam panią, że niczego by to nie zmieniło. Chcesz coś mieć, zapracuj na to. Od trzech lat prowadzę sklep i wypruwam sobie żyły. Szybko się zorientowałam, że Carter głównie siedzi na swoich czterech literach.

Znów westchnęła, znów poprawiła torbę.

– Ale ma ten błysk w oku. Jest przystojny i potrafi być czarujący, kiedy tego chce, potrafi sprawić, że kobieta czuje się naprawdę wyjątkowa. Przez krótki czas.

– Czy kiedykolwiek poznała pani jego doradcę finansowego?

– Nie. Ale teraz, jak pani o to spytała, przypomniałam sobie, że na samym początku naszej znajomości, kiedy naprawdę się do mnie zalecał, mówił, że powinnam skorzystać z pomocy jego doradcy, jeśli chcę, żeby mój portfel inwestycyjny zaczął przynosić prawdziwe dochody. Że facet zna się na rzeczy, świetnie się orientuje, co i jak. Moja rodzina od lat korzysta z usług jednej firmy. Ja też się z nimi związałam, mam do nich zaufanie. Nic nie wiedziałam o tym jego magiku. Może uległam czarowi osobistemu Cartera, kiedy jednak chodzi o sprawy zasadnicze, jestem ostrożna.

– Czego się dowiedziałyśmy, Peabody?

Szły do samochodu, Delia właśnie wkładała rękawiczki.

– Poza tym, że naprawdę chciałabym mieć ten pasek ze skóry węża z szafirowoniebieską klamerką, na który mnie nie stać? Że Carter Young-Sachs jest dupkiem, który – jeśli wierzyć słowom tej kobiety, a uważam, że można – nie ma

zielonego pojęcia o swojej firmie. I nic go ona nie obchodzi. Zdradził swoją przyjaciółkę w dniu jej urodzin, a potem ją okłamał. To było głupie, ponieważ i tak wszystkiego by się dowiedziała. Ma pretensje do matki, że każe mu pracować. A Biden jest od niego bardziej cwany i złośliwy.

– Zgadza się. Co jeszcze?

Ominęła dwie kobiety, obciążone torbami z zakupami, paplające z przejęciem o jakiejś wyprzedaży, które nie zwracały uwagi na to, gdzie idą.

– Lubi uganiać się za tym, co nie należy do niego, a kiedy to zdobędzie, nie ceni tego – odpowiedziała sobie na pytanie Eve. – Jest na tyle mocno związany ze swoim guru od finansów, by wciskać jego usługi innym, ale robi to w sposób świadczący, że rzeczony guru finansowy nie wzdryga się przed nie do końca legalnymi metodami działania.

– Masz rację.

– Co nie znaczy, że mógłby kogoś zabić albo zlecić zabójstwo. Ale potwierdziło się, że jest wystarczająco głupi, by to zrobić, do tego byle jak. Chcę, żebyś poszła porozmawiać z jeszcze kilkoma byłymi małżonkami, zorientowała się, co i jak.

– Ale super.

– Przypuszczałam, że ci się to spodoba.

Mijali ich przechodnie. Niektórzy rozmawiali przez telefon, jak jakiś facet, błagający Michelle, by dała mu pięć minut, tylko pięć minut. Niektórzy robili zdjęcia, jak grupka azjatyckich turystów w czapkach narciarskich z napisem „Kocham Nowy Jork”, pozująca przed wejściem do sklepu. Inni jedli w biegu, jak gość, pochłaniający sojdogę ze wszystkimi dodatkami.

Według Eve rozmowy w różnych językach, ruch i pośpiech były charakterystyczne dla Nowego Jorku. Ale w tej chwili bardzo chciała, żeby wszyscy zeszli jej z drogi, żeby nie musiała się przeciskać między ludźmi.

– Spotkam się ponownie z właścicielami WIN Group. Potem wrócę do domu, zobaczę, czy uda mi się to wszystko złożyć do kupy – powiedziała do Peabody. – Jutro porozmawiamy sobie z Arnoldem i Parzarrim, jak tylko wrócą. To jeden z nich, jeden z WIN Group i jeden z czterech fiutów, z którymi dziś rozmawialiśmy. Albo dwóch z tej czwórki. Zredukujemy ich liczbę. Jeśli uda nam się przyszpilić jednego z nich, będziemy mieli wszystkich.

Usłyszała cichy świst i poczuła dźgnięcie w plecy, pomiędzy łopatkami. Odruchowo złapała Peabody i razem z nią padła na ziemię.

– Co, u...

– Paralizator! – Eve zerwała się, wyciągając broń. W tłumie nowojorczyków, którym nawet nie drgnęła powieka, i turystów, którzy przystanęli, żeby się pogapić, dostrzegła potężnie zbudowanego mężczyznę – metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ponad sto kilo wagi, białego, w czapce narciarskiej, okularach przeciwsłonecznych, w czarnym płaszczu i szaliku. Olbrzym szybko obrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki.

– Ruszaj się! – krzyknęła do Peabody i puściła się w pogoń.

Zmuszona do ślalomu między przechodniami i przeskakiwania nad tymi, których ścigany przewracał jak kręgle, zaczęła coraz bardziej zostawać w tyle. Widziała, jak wbiegł po schodach do parku High Line. Jak na tak postawnego mężczyznę poruszał się szybko i zwinnie – jak sportowiec, pomyślała Eve, gnając za nim.

Ludzie spacerowali, siedzieli na ławkach, robili zdjęcia, niektórzy usuwali się z wyłożonej kamkami ścieżki, kiedy ścigany facet parł przed siebie. Nie zwracając uwagi na krzyki

i przekleństwa, przeskoczyła przez pas zieleni, żeby przeciąć mu drogę. Czowała ogień w płucach, ale powtarzała sobie, że jest coraz bliżej.

Niemal nie zwalniając, chwycił jakiegoś brzdąca, zdzielił jego ojca łokciem w szczękę i rzucił wrzeszczącym malcem jak piłką.

Nie mając wyboru, Eve rzuciła się w lewo, na trawnik, i przygotowała się do złapania dziecka.

Siła uderzenia powaliła ją na ziemię. Twarda niczym kamień główka malca trafiła prosto w jej klatkę piersiową. Poczowała ból w całym ciele, przez chwilę nie mogła złapać tchu. Rozpaczliwie próbowała wciągnąć powietrze, paliła ją tchawica, gardło miała zacisnięte.

Czowała szybkie bicie serca dziecka. Nawet to sprawiało jej ból. Ale przynajmniej była pewna, że małe przeżył lot i zderzenie. Przemknęło jej przez myśl, że dzieciak też stracił oddech, bo przestał wrzeszczeć. Lecz po chwili głęboko nabrał powietrza w płuca i tak się wydarł, że Eve miała wrażenie, iż popękają jej bębni.

W uszach jej dzwoniło, jakby we wszystkich kościołach nagle postanowiono bić w dzwony.

– Już dobrze, już dobrze. – Zasapana Peabody podniosła dziecko, którego płęć trudno było określić, bo miało na sobie jaskrawoczerwoną czapkę i kurteczkę. – Nic ci nie jest, młody człowieku. Nic ci nie jest.

Eve, uwolniona od ciężaru dziecka, w końcu zdołała wciągnąć powietrze w płuca.

– Skąd wiesz, że to chłopczyk? – wykrztusiła.

Peabody poklepała malca i przykucnęła obok niej.

– Nic ci nie jest? Jak się czujesz?

– Nie wiem. Chyba nie najgorzej. – Jeśli pominąć rwący ból w klatce piersiowej, gdzie uderzyła ją główka chłopczyka, w tyłku, na który klapnęła, w głowie, którą walnęła w ziemię, i w ramieniu, które dopiero co się zagoiło. – Sukinsyn.

Peabody skrzywiła się, wstała i odwróciła w stronę rozhisteryzowanej kobiety, biegnącej w jej kierunku.

– Moje dziecko! Moje dziecko! Chuckie!

Ojciec malca, z mętym wzrokiem, błydy jak prześcieradło, nie licząc strużek krwi, szedł chwiejnym krokiem przez gęstniejący tłum gapiów.

– Nic mu nie jest. Ej, Chuckie, patrz, jest twoja mamusia. Wszyscy cofnąć się! – poleciła Peabody.

Matka i syn przywarli do siebie, płacząc. Eve wstała z ziemi. W pierwszej chwili świat zawirował jej przed oczami, ale później wszystko się uspokoiło.

– Proszę się cofnąć! – powtórzyła Peabody i ujęła ojca dziecka pod ramię. – Powinien pan usiąść na minutkę.

– Co się stało? Co się stało?

– Zaraz wezwę karetkę. Proszę tutaj usiąść. Proszę pani, chcę, żeby pani też usiadła razem z Chuckiem. Wezwę karetkę – powiedziała do Eve. – Ty też powinnaś usiąść.

– Nic mi nie jest. Tylko odebrało mi oddech.

– Złapała go pani! – Matka zwróciła ku niej zapłakaną twarz. – Złapała go pani! Uratowała pani życie mojemu dziecku.

– No dobrze, może...

I znów straciła oddech, kiedy kobieta, pragnąc jej podziękować, objęła ją mocno, aż nóżki dziecka wbiły jej się w brzuch.

Ból w ramieniu przybrał na sile.

– Peabody.

– Proszę pani – powiedziała łagodnie Peabody, starając się uwolnić Eve z objęć kobiety. – Niech pani tu usiądzie. Razem z mężem i dzieckiem. Muszę państwu zadać kilka pytań.

Eve zeszła ze stratowanego trawnika; zaciśnęła zęby, czując ból w piersiach i ramieniu.

Sukinsyn, powtórzyła w myślach, rozglądając się po High Line.

Nie został po nim żaden ślad.

*

– Niech to diabli – powiedziała Peabody, kiedy w końcu przekazali całą trójkę w ręce sanitariuszy i mundurowych.

– Sukinsyn. Ten sukinsyn przyłożył mi paralizator do pleców. Pieprzony tchórz.

– Przyłożył ci paralizator? Więc jakim cudem... Twój czarodziejski płaszcz!

– Tak. – Eve pogładziła dłonią skórzane okrycie. – Czyli wszystko się zgadza. Poczulałam szturchnięcie, jakby ktoś trącił mnie w plecy, i lekkie pieczenie. Znacznie słabsze od tego, jakie się czuje, kiedy ma się na sobie zwykłą kamizelkę. Usłyszałam świst. Ty miałaś być druga w kolejce.

– Dlatego mnie powaliłaś. Dzięki. Nie mam czarodziejskiego płaszcza.

– Ten łobuz jest sprawny fizycznie. Bez żadnej przesady. Gnał po schodach, jakby były ruchome. Nie mogłam do niego strzelić, nie przy takiej masie ludzi dookoła, ale go doganiałam. Powoli.

– Nie mogłam dotrzymać wam kroku, lecz biegnąc za tobą, próbowałam wezwać wsparcie. A potem, Jezu, zobaczyłam tego dzieciaka, szybującego w powietrzu.

– Drań nawet się nie zawahał. Niemal nie zwolnił. Walnął ojca łokciem w szczękę, porwał dzieciaka i cisnął nim.

– Pięknie go złapałaś.

– Tak. – Eve pomasażowała miejsce, gdzie dzieciak uderzył ją główką. – Sukinsyn – powtórzyła.

– Chuckie będzie dorastał, słuchając opowieści o tym, jak pewna policjantka złapała go w parku High Line niczym podczas przyłożenia, kończącego zwycięski mecz.

– Będzie też musiał żyć z imieniem Chuckie przez... Masz rację! Właśnie tak się poruszał. Jak zawodnik drużyny futbolowej, jakiś cholerny rozgrywający. Szybko, zwinnie, ostro. Założę się, że kiedyś grał na boisku. Pieprzony półzawodowiec!

– Nie przyjrzałam mu się dobrze.

– Miał czapkę, okulary przeciwsłoneczne, szalik... Nie widziałam dobrze jego twarzy. Ale zapamiętałam sylwetkę, budowę ciała. To już coś. – Wykorzysta to. – Idź teraz, załatw te rozmowy. Ja spotkam się jeszcze raz z właścicielami WIN Group, a potem spróbuję odszukać tego dupka.

– Nieźle oberwałaś, Dallas.

– I długo tego nie zapomnę.

*

Tylko дума nie pozwoliła jej wejść do siedziby WIN Group, utykając. Marzyła o tym, żeby wrócić do domu, zanurzyć obolałe ciało w jacuzzi z gorącą wodą, ale najpierw musiała sprawdzić ten trop.

Taką miała pracę.

Jak tylko wyłoniła się z windy – ostrożnie – Robinson Newton odwrócił się od biurka recepcjonistki, przy którym stał. Na jej widok zrobił wielkie oczy, lecz zanim Eve zdołała ocenić, czy to zdumienie wywołane poczuciem winy, podbiegł do niej szybko.

– Porucznik Dallas! Muszę uściśnąć pani dłoń.

– Proszę.

– To było niesamowite. Niesamowite, co pani zrobiła – mówił, potrząsając jej ręką, aż poobijane ciało Eve kwiliło z bólu.

– Co?

– Złapała pani Chuckiego w powietrzu jak wysoką piłkę. Akurat...

– Skąd pan o tym wie? – Eve lekko rozstawiła nogi i położyła rękę na broni.

– Pokazują panią wszystkie stacje, można też zobaczyć tę sytuację w internecie. Widziałem to już kilka razy. Nic pani nie jest? Odniosłem wrażenie, że porządnie wyrznęła pani w ziemię.

– Nic mi nie jest.

– Zdumiewające. Po prostu zdumiewające. Ten chłopczyk... Kto zdobyłby się na coś takiego? Nie ma nawet dwóch latek.

– Czy mają zdjęcie faceta, który nim rzucił?

– Nie widziałem tego. Ludzie zarejestrowali z różnych punktów, jak złapała pani chłopca. Przypuszczam, że jedno nagranie pochodzi z kamery przemysłowej. Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Proszę usiąść. Zaraz przyniosę coś do picia. Kawy, wody, szampana?

– Dziękuję. Chciałam tylko zamienić kilka słów. Czy pana współpracownicy są w biurze?

– Tak, właśnie się wybieraliśmy do naszej nowej siedziby. Policja zdjęła plomby, umówiliśmy się z projektantką, by wyjaśnić kilka szczegółów. Zapraszam do środka, zaraz ich zawołam. Doniesienia nie były precyzyjne, informowano jedynie, że goniła pani jakiegoś mężczyznę, który roztrącał przechodniów, a potem cisnął tym chłopczykiem do tyłu. Co on takiego zrobił? Znaczy się, wcześniej?

– Zabił Martę Dickenson.

Newton przystanął i znów zrobił wielkie oczy.

– O, mój Boże. Co to za jeden? Dlaczego ją zabił? Złapała go pani?

– Czy mogę porozmawiać ze wszystkimi panami?

– Tak, naturalnie. Bardzo mi przykro. To takie... Takie niezwykle. – Zaprowadził ją do małej sali konferencyjnej. – Proszę usiąść. Wrócę za minutkę.

Wolała stać, bo podczas jazdy tutaj przekonała się, że pozycja siedząca niezbyt jej teraz odpowiada.

Pierwszy wszedł Jake. Poruszał się szybko, cały rozpływał się w uśmiechach.

– Superwoman! Zwerbować ją! Ale złapała pani to dziecko! Wszyscy krzyknęliśmy: „Rany! Znamy ją”. Złapała pani dziecko, ścigając mordercę. To było jak trzecie przyłożenie i gol.

– Mówią, że malcowi nic się nie stało – wtrącił Whitestone. – Ma tylko kilka siniaków i zadrapań. Czy naprawdę ścigała pani zabójcę tej kobiety?

– Tak sędzę. To biały mężczyzna, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ponad sto kilo wagi. Szeroki w barach, ma duże dłonie, kwadratową szczękę. – Przynajmniej tak jej się

wydawało, kiedy widziała go przez moment. – Czy znają panowie kogoś takiego?

– Kawał chłopca. – Whitestone wyprostował ramiona, patrząc na swoich współników. – Osobiście nie znam nikogo takiego.

– Czy przypominają sobie panowie, by widzieli kogoś, kto pasuje do tego rysopisu, w pobliżu nowej siedziby waszej firmy? Albo dotychczasowej?

– Ja nie. – Whitestone przysiadł na brzegu stołu. – Rob powiedział, że pani goiła tego faceta. Ma pani jego nazwisko, zdjęcie?

– Jeszcze nie, ale będę miała. Przypuszczam, że znacznie częściej udajecie się panowie do klientów niż oni składają wam wizytę.

– Zgadza się.

– W takim razie zapytam was wszystkich. – Skinęła głową Newtonowi i Ingersolowi. – Czy przypominacie sobie kogoś, pasującego do tego rysopisu, w pobliżu siedziby Alexander i Pope lub Young-Biden?

– Ja... – Newton zawahał się, a potem podrapał w głowę. – Ja, szczerze mówiąc, nie wiem. Chyba nie zwracam na to uwagi. Ale czegoś nie rozumiem. Young-Biden to solidna firma, jeden z naszych największych klientów. Chyba nie sądzi pani, żeby byli jakoś zamieszani w to morderstwo?

– Staram się mieć otwarty umysł. A pan? To pańscy klienci – zwróciła się do Ingersola.

– Kręci się tam kilku postawnych facetów. Ochroniarze, konserwatorzy. I asystent pana Pope'a jest wysoki. Tak, on z pewnością ma około metra dziewięćdziesiąt wzrostu, ale nie sądzę, żeby był aż tak potężnie zbudowany. I nie waży aż tyle. Jeśli coś ich łączy z tym zabójstwem, to chcę podkreślić, że w ich przypadku audyt to zwykła formalność. Właściwie kontrola wewnętrzna. Według mnie ich finanse są w idealnym porządku.

– Według pana – powiedziała Eve. – A co, jeśli audyt wykaże jakieś nieprawidłowości?

– Nie wyobrażam sobie czegoś takiego. – Podskoczył do lodówki i wyjął z niej napój energetyczny. – A jeśli już, to zależy, jakiego rodzaju nieprawidłowości by to były. Rob i Brad potwierdzą, że podczas audytów czasami, ba, wielokrotnie wychodzą na jaw jakieś drobne nieścisłości, odmienne interpretacje jakichś kodów podatkowych, wpłaty bądź wypłaty, zaksięgowane nie na tym koncie, co należy. Takie pomyłki łatwo można wyprostować.

– A jeśli zdarzy się coś, czego nie da się łatwo wyprostować?

Pokręcił głową.

– Niczego takiego nie widzę w ich księgach. Gdyby istniały jakieś poważne uchybienia, wiedziałbym o tym. Zauważyłby to księgowy albo prawnicy, zajmujący się podatkami. Ktoś by to odkrył.

– Dlatego wszystko uzgadniamy – dodał Whitestone. – Dlatego współpracujemy z ich księgowymi i działem prawnym, a oni pracują z nami. Dzięki temu można mieć pewność, że wszystko się bilansuje. Oszczędza się czas, maksymalizuje zyski.

– Rozumiem.

– Sądzimy, że może tu chodzić o szpiegostwo gospodarcze. – Whitestone rozłożył rękę, kiedy Newton westchnął, patrząc na niego. – O niczym innym nie rozmawiamy, odkąd dowiedzieliśmy się o włamaniu do siedziby Brewer – powiedział z naciskiem. – Wygląda to tak, jakby ktoś kogoś wynajął, by zdobyć dostęp do tych plików. Może ta Dickenson też była w to jakoś zamieszana. Wiem, że nie żyje, i to straszne. Ale powiedziano nam, że skradziono dokumenty kilku firm. To mi wygląda na wielką operację, której celem jest dotarcie do danych i ich analiza w celu osłabienia

konkurencji.

– Teoretycznie tak.

– Ale nie wierzy pani w tę teorię – powiedział Whitestone.

– Nie, nie wierzę. Weźmy choćby dwie firmy, o które zapytałam panów. Nie działają w tym samym sektorze. Nie konkurują ze sobą. Nie mają ze sobą nic wspólnego poza tym, że... Korzystają z usług waszych i Brewera. Więc... Dziękuję za poświęcony mi czas.

Zrobiłam to, co musiałam, uznała Eve, kiedy znalazła się w holu na dole. Skierowała się do wyjścia, lekko utykając. Zasiała ziarno wątpliwości i niepokoju, przynajmniej w duszy winnego.

A teraz wróci do domu, żeby wymoczyć obolały tyłek.

Gdy wysiadła z wozu przy schodach wiodących do domu, znów zebrała się w sobie.

Musi teraz tylko przejść obok pana Ponuraka, wejść na piętro, zanurzyć w wannie.

Gorąca woda zrobi swoje.

Oddychając ostrożnie, wmaszerowała do holu.

Summerset zmierzył ją od stóp do głów.

– Przypuszczałem, że to nie może trwać wiecznie.

– Co? – Musi tylko wejść po schodach, które w tej chwili wydały jej się stromym górskim zboczem.

– Dzień bez obrażeń.

– Kto powiedział, że odniosłam jakieś obrażenia?

– Taki upadek na ziemię musiał je spowodować, szczególnie w miejscu zetknięcia się ciała z twardym podłożem.

Eve domyśliła się, że w taki delikatny sposób określił niedawną sytuację w parku, ale i tak jej się to nie spodobało. Kiedy kot otarł swoje tłuste cielsko o jej nogi, uświadomiła sobie, że chyba by głośno jęknęła, gdyby spróbowała się pochylić, żeby go pogłaskać.

– Rosła tam trawa.

– Mimo wszystko. Och, proszę nie udawać takiej twardej – warknął na nią. – I skorzysta z windy.

– Nic mi nie jest. Może mam trochę sztywne mięśnie. – Skierowała się do schodów, ale zrezygnowała. Uznała, że jej ego bardziej ucierpi, jeśli będzie się gramoliła z trudem na górę, niż jeśli go minie i wsiądzie do windy.

– Przypuszczam, że odmówiła pani skorzystania z pomocy lekarskiej. Najlepiej zastosować naprzemiennie zimne i gorące okłady. I wziąć środek przeciwbólowy.

Prawdopodobnie miał rację, ale była tak spragniona gorącej kąpieli, jak powietrza.

– Nic mi nie jest – powtórzyła.

– Jest pani młoda, sprawna, szybka i ma pani świetny refleks – powiedział, kiedy szła do windy. – I tylko dlatego tamci rodzice mogą teraz ścisnąć i rozpieszczać swoje dziecko. Gdyby nie pani, małe trafiłoby do szpitala. Albo zakończyłoby się to jeszcze gorzej. Proszę wziąć środek przeciwbólowy. Inaczej Roarke zmusi panią do tego, jak tylko wróci do domu, a jest już w drodze.

Summerset wyciągnął ku niej rękę z małą, niebieską tabletką.

– Proszę połknąć ją teraz, to powiem mu, że już ją pani wzięła.

Lepiej go posłuchać, doszła do wniosku, bo znów miał rację. Roarke wepchnie jej

tabletkę do gardła, jeśli ona sama nie połknie lekarstwa. A to czysta głupota.

– Dobrze. – Wzięła środek przeciwbólowy i go połknęła.

– Lód – powtórzył.

– Nie chcę lodu. Chyba że w naprawdę dużym drinku. – Wsiadła do windy.

– Główna sypialnia – polecił Summerset, zanim sama zdążyła to zrobić.

Więc tylko zamknęła oczy, oparła się o ścianę kabiny i pozwoliła, żeby winda zawiozła ją tam, gdzie chciała się znaleźć.

Powtarzała sobie, że wcześniej już gorzej obrywała. Znacznie gorzej. Lecz pomimo tej wątpliwej pociechy czuła się, jakby każdy mięsień, każdą kość i każde ścięgno w jej ciele zostało brutalnie stratowane. Środek przeciwbólowy przyniesie chwilową ulgę, lecz jutro znów będzie sztywna i obolała, co znacznie jej utrudni skupienie się na pracy. Nie zdoła o tym zapomnieć.

Więc postanowiła rozprawić się z tym dziś.

Kiedy znalazła się w sypialni i usłyszała, jak zasuwiają się drzwi windy, pozwoliła sobie na głośny i przeciągły jęk.

Lecz na tym koniec.

Zdjęła płaszcz, błogostawiając go za podszewkę o właściwościach kamizelki kuloodpornej. Ale w tej chwili wydał jej się niezwykle ciężki. Zaczęła ściągać żakiet, a kiedy poczuła ostry ból w ramieniu, w pełni do niej dotarło, że podczas pościgu, gdy skakała i robiła zwroty, a potem złapała dziecko i razem z nim przewróciła się na ziemię, porządnie je nadwreżyła. A ledwo co się zagoiło po znacznie groźniejszych obrażeniach, które odniosła, walcząc na śmierć i życie z Isaakiem McQueenem zaledwie kilka tygodni temu.

Ostrożnie uwolniła się od broni.

I właśnie wtedy wszedł Roarke.

Uważnie jej się przyjrzał i skinął głową.

– Zgrabnie go złapałaś – powiedział.

Rozdział 12

Spodziewała się oznak zaniepokojenia i troski, głaskania i pocieszania, więc ta rzeczowa uwaga zbiła ją z tropu.

Uznała, że to część chytrego planu, by skłonić ją do pójścia do lekarza.

– Dziękuję. Nieplanowana atrakcja.

– Skromnie mówiąc. Bardzo bolało?

– Niespecjalnie. Wzięłam bloker.

– Słyszałem. Cóż, rzućmy na to okiem.

– Tylko szukasz pretekstu, żebym się rozebrała – odparła z uśmiechem.

– To mój życiowy cel – powiedział, podchodząc do niej. Widział w jej oczach, że to było trochę więcej niż „niespecjalnie”. – I sam się tym zajmę. – Gdy zaczął jej zdejmować przez głowę sweter, syknęła z bólu.

– To nic takiego. Daj mi tylko chwilkę. – Przycisnęła dłoń do ramienia, próbując opanować kłujący ból.

Dostrzegła zmianę w jego wzroku, błysk gniewu w niebieskich oczach i wiedziała, że pomyślał – tak jak ona – o McQueenie.

– To samo ramię? – spytał delikatnie.

– Łatwo się domyślić, co? Nie jest najgorzej. Chwilami czuję klucie, ale właściwie jest tylko obolałe.

– Rozetnął sweter.

– Akurat. Jest kaszmirowy. I lubię go.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Chyba mogę polubić sweter. Jest mięciutki i ciepły, więc go nie zniszczymy, tylko ostrożnie zdejmujemy. Zgoda?

– No cóż, zgoda. – Nie odrywając wzroku od twarzy Eve, przesunął wierzchem dłoni po jej policzku. – Odpreż się, rozluźnij i pozwól mi to zrobić.

Wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i pozwoliła mu delikatnie ściągnąć sweter. Nieźle, nieźle... Kurde, kurde... No, trochę lepiej.

– Widzisz? Obyło się bez rozcinania i... – Idąc za jego wzrokiem spojrziała na swój dekolt i w lekkie osłupienie wprawił ją widok siniaka nad wycięciem podkoszulki.

– O, kolorowy. To od głowy tego dzieciaka. Uderzył we mnie jak kula, wystrzelona z moździerza. Czaszka kontra cycki. Cycki przegrały.

– Usiądź i pozwól, że ci zdejmę buty.

Posłuchała go. Opanowany głos Roarke'a świadczył, że jest bardzo, ale to bardzo zły i poważnie zaniepokojony. Jego reakcja miała związek z jej wcześniejszymi obrażeniami. Zbyt mało czasu upłynęło od jej ostatniej walki wręcz z przestępcą, doszła do wniosku. Znała tylko jeden sposób ułagodzenia męża w takiej sytuacji: przybranie lekkiego tonu.

– Wolę, jak mnie rozbierasz, niż kiedy faszerujesz mnie środkami uspokajającymi, tak że jestem zupełnie ogłupiała, a potem zaciągasz do lekarza.

– Właśnie to samo sobie pomyślałem.

– Daj spokój. Co to za nagroda po tym, jak naprawdę udało mi się świetnie złapać dzieciaka?

Spojrzał jej prosto w oczy i zobaczyła, że nieco się odprężył.

– Zdarzyło ci się już oberwać gorzej.

– Właśnie to chciałam powiedzieć...

– Pora na spodnie.

Znów się uśmiechnęła. Ramię nadal ją kłuło, jednak bloker trochę uśmierzył ból.

– Dobrze, ale ty też wyskakuj z portek.

– Z bólem serca muszę odmówić. Nie skorzystam z tak kuszącej propozycji. – Rozpiął spodnie Eve i je ściągnął. – Tu też masz trochę siniaków. – Delikatnie pomacał tył jej głowy. I trochę się uspokoił, nie znalazłszy żadnych guzów. – Jednak z tego, co widziałem na filmiku, pokazywanym na wszystkich kanałach, bardziej ucierpiał twój tyłek.

– W tej chwili jest odrętwiały, ale masz rację. Najmocniej oberwało się cyckom i tyłkowi.

– Moim ulubionym częścią twojego ciała. Wstawaj. – Objął ją i delikatnie musnął ustami jej skroń.

Jest tylko poobijana, powiedział do siebie w myślach. Nie pierwszy raz i nie ostatni.

– Widziałaś film?

– Nie. Nie musiałam, bo tam byłam.

– Uważam, że powinnaś go obejrzeć. – Delikatnie podniósł jej podkoszulkę i z trudem powstrzymał się od przekleństwa na widok kolejnych siniaków. – Dwie sekundy później albo gdybyś źle oceniła... Trzeba chyba powiedzieć... tor lotu i prędkość... U tak małego chłopczyka nie zakończyłoby się to kilkoma siniakami.

– To wszystko stało się błyskawicznie. Ten łobuz poruszał się tak szybko, tak zwinnie. Złapał dzieciaka jedną ręką, drugą odepchnął ojca, zrobił półobrót i cisnął dzieciakiem. Na pewno gra w piłkę, Roarke. Był nawet kiedyś zawodnikiem. I jest silny. Przypuszczam, że ten mały waży ponad dziesięć kilogramów.

– Dwanaście, zgodnie z tym, co powiedzieli rodzice.

– Dwanaście kilogramów, a facet cisnął nim tak, jakby ważył kilogram. Z pewnością swoją rolę odegrała adrenalina, ale poza tym musi być zwyczajnie silny.

Roarke zsunął z niej figi i zaczął się przyglądać jej pośladkom.

– No i jak? Bardzo źle? – Wykręciła głowę, próbując coś zobaczyć.

– Jest tu jeden siniak, trochę przypominający Afrykę, i drugi, wyglądający jak Australia. I jeszcze szereg wysp.

– Świetnie, mam na tyłku mapę świata. – Udało jej się odwrócić i przejrzeć się w lustrze. – Jezu. To naprawdę mapa świata.

– Nie masz tu zbyt dużo sadelka.

– Narzekasz?

Leciutko przesunął palcami po jej biodrze.

– Tylko z uwagi na twój obecny stan.

– Będzie lepiej, jak wezmę gorącą kąpiel.

– Raczej potrzebne ci okłady z lodu.

– Nie chcę okładów z lodu. Są zimne.

– Naprawdę? Muszę to sobie zapisać.

– Kąpiel dobrze mi robi.

– To też. Na początek kładź się pupą do góry – poleciał, idąc do sąsiedniego pokoju.

Naprawdę marzyła o gorącej wodzie, ale pomyślała sobie, że im szybciej będzie miała za sobą okłady z lodu, tym szybciej będzie mogła wziąć upragnioną kąpiel. Poza tym

dobrze było wyciągnąć się na łóżku, szczególnie, kiedy tak się już ułożyła, by jak najmniej dokuczał jej ból.

Roarke wrócił i ukląkł obok niej na łóżku.

– Co porabiałaś w tamtej okolicy?

– Feeney podsunął mi pewien pomysł, postanowiłam porozmawiać z byłymi partnerkami podejrzanych. Byłe partnerki mogą mówić, że rozstali się w przyjaźni, nie ma sprawy, ale zwykle są gotowe podać faceta na srebrnym półmisku każdemu, kto poprosi o smakowity kąsek.

Zaczęła protestować, kiedy poczuła zimny lód na obolałej pupie, po chwili jednak doznała ulgi. Może lód nie jest taki zły.

– I dostałaś smakowity kąsek?

– Tak, Cartera Young-Sachsa. Pasuje do profilu sporządzonego przez Mirę i mojego wyobrażenia człowieka, którego stać na zaaranżowanie zabójstwa pod wpływem impulsu. Ale nie jest jedyny na liście. Właśnie mówiłam Peabody, żeby spotkała się z jeszcze kilkoma byłymi, bo sama postanowiłam kolejny raz porozmawiać ze współwłaścicielami WIN Group, kiedy ten dupek potraktował mnie paralizatorem. Od tyłu. Pieprzony tchórz!

Roarke znieruchomiał.

– Zaatakował cię w parku High Line?

– Nie, zaatakował mnie na ulicy pod parkiem High Line. – Eve z opóźnieniem uświadomiła sobie, iż właśnie przyznała się mężowi, że ktoś do niej strzelał. Nie przygotowała go na taką wiadomość. – Usłyszałam świst... I poczułam uderzenie między łopatkami. Twoja doskonała tkanina, nadal w fazie badań, sprawdziła się w praktyce. Uniosła w górę kciuk. – To świadczy o desperacji – ciągnęła. – O działaniu pod wpływem impulsu, ale też o głupocie. Strzelać do dwóch policjantek w samym centrum, gdzie kłębią się tłumy ludzi! To był cholernie celny strzał, co mi mówi, że nie pierwszy raz posługiwał się paralizatorem. Z czego wyciągam wnioski, że – ponieważ wykluczone, by był zawodowcem, a dysponuje bronią, której posiadanie przez zwykłych obywateli jest zabronione – facet musi mieć coś wspólnego z wojskiem albo z organizacjami paramilitarnymi. Być może postarał się o licencję kolekcjonerską, lecz raczej skłaniam się ku stwierdzeniu, że miał jakieś związki z wojskiem. A obecnie jedna z moich grubych ryb zatrudnia go jako ochroniarza albo osobistego goryla. Coś w tym stylu.

Usłyszała brzęczenie leczniczej różdżki i poczuła lekki ucisk.

– Strzelając do ciebie, niczego nie osiągnął. To był wewnętrzny odruch, by doprowadzić sprawę do końca.

– Tak. Zauważyłam jakiś ruch, nic więcej. W drugiej kolejności strzeliłby do Peabody, a ona nie miała na sobie płaszcza z magiczną podszewką. Powaliłam ją na ziemię. Prawdopodobnie obie zarobiłyśmy przy okazji trochę siniaków, tak teraz myślę. Zerwałam się na nogi, ale nie udało mi się porządnie mu przyjrzeć. Za dużo było ludzi. Odniosłam wrażenie, że przypuszczał, iż pociągnęłam ją za sobą, padając rażona paralizatorem. Pewnie chciał zaatakować nas z bliska, a potem się ulotnić. Niechlujstwo, arogancja i niechlujstwo. Lecz trzeba przyznać, że szybko myślał, błyskawicznie się poruszał. Nie jestem pewna, czy bym go dopadła, nawet gdyby nie rzucił we mnie tym dzieciakiem.

– Kamery z pewnością go zarejestrowały. Będziesz mogła zobaczyć jego twarz.

– To wcale nie jest takie pewne. Miał czapkę narciarską, okulary przeciwsłoneczne,

szalik. I trzymał głowę pochyloną. Nie jest skończonym idiotą. Przekazaliśmy to, co mamy, do bazy, spróbują go zidentyfikować. Jeśli służył w wojsku, może będziemy mieli szczęście. Znam podstawowe dane – jest wysoki i potężnie zbudowany, ma z metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, waży ze sto kilkanaście kilogramów. I jest silny. Naprawdę myślę, że grał w piłkę. W futbol amerykański albo piłkę nożną. To jeszcze jeden trop, którym możemy podążyć. Skręcił kark ofierze. Ma na to dość siły.

– A ponieważ próbował zabić dwie funkcjonariuszki policji w biały dzień, w tłumie ludzi, ma też tupet i brak mu zasad moralnych, że się tak wyrażę. Połóż się teraz na wznak. Zobaczmy, co mi się uda zdziałać w kwestii tych ślicznych cycuszków.

– Były ładniejsze.

– Ale i tak należą do mnie – mruknął i delikatnie pocałował obie piersi Eve, kiedy się odwróciła.

– Chociaż stanowią nieodłączną część mnie.

– Nieprzychylnie patrzę na każdego, kto tknie śliczne cycuszki mojej żony.

– Mówisz to, żeby mnie zdenerwować.

– Tak się składa, że jesteś moją żoną – przypomniał i delikatnie przyłożył jej zimny kompres. – I masz bardzo ładne cycuszki.

– Chuckie ma głowę twardą jak kamień. – Ale się uśmiechnęła. – Trochę mi lepiej.

Dlaczego się nie rozbierzesz, żebyś nie leżała sama taka nagusienka?

Trącił ją lekko w bolące ramię, aż syknęła.

– To było złośliwe.

– Masz odpowiedź, dlaczego nie leżę nago obok ciebie.

Przyłożył drugi zimny kompres na jej ramię. Poczuła ból, ale pomyślała, że może później okład przyniesie jej ulgę. Kto wie?

– To Alexander/Pope/Parzarri/Ingersol albo Young/Biden/Arnold/Ingersol. Albo któryś z nich z Newtonem. Nie przypuszczam, że to Whitestone, bo jest zbyt inteligentny, żeby... Och... Odkryć zwłoki na progu własnego mieszkania w towarzystwie klientki, która mu się śni po nocach. Ale każdy z trzech współwłaścicieli WIN Group ma dostęp do kont pozostałych partnerów. Są bardzo mocno powiązani.

– Ku któremu się skłaniasz?

– Mam zagwozdkę. Alexander, Young-Sachs i Biden są strasznymi dupkami. A Pope pozbawiony jest jaj do tego stopnia, że to aż irytujące. Ale każdy z nich mógłby za tym stać. Ingersol? Za dużo i za szybko mówi, za mocno naciska. Uważam, że jest dość impulsywny. Newton natomiast jest opanowany, miły, układny – a w moich oczach to równoznaczne z inteligencją i sprytem. Któryś z nich musi być sprytny. Muszę przycisnąć audytorów. Zrobię to jutro. Jeśli któryś z nich wyda mi się podejrzany, dalej pójdzie jak z płatka. Lecz to tylko moje przeczucia i poszlaki bez konkretnych dowodów. Więc będę musiała złamać jednego z nich, kiedy już się dowiem, który to.

– Sterling Alexander w niektórych kręgach uważany jest za zwykłego figuranta – zaczął Roarke, przesuwając różdżką po jej ramieniu. – Są tacy, którzy go szanują, ale – zdaniem tych, z którymi rozmawiałem – przede wszystkim z uwagi na to, co odziedziczył, a nie co zrobił ze spadkiem. Panuje przekonanie, że wydaje o wiele za dużo na własne podróże, potrzeby i zachcianki, natomiast bardzo oszczędza na pensjach pracowników.

– Nie dziwi mnie taki stan rzeczy, ale to cenna informacja.

– Z Pope'em prawie nikt się nie liczy – ciągnął Roarke – a ci, którzy go dostrzegają, uważają go za tego, który się zajmuje wewnętrznymi kłopotami, problemami, liczbami.

Zarówno Alexander senior, ojciec Sterlinga, jak i pani Pope, matka obu braci, posiadają pakiety kontrolne, chociaż obydwójce w zasadzie przeszli na emeryturę. Powiedziano mi, że gdyby się okazało, że w firmie dzieje się coś złego, gniew matki byłby gorszy od gniewu Boga.

– A Alexander senior?

– Najwyraźniej lubi golfa... – Roarke wstał, poszedł do łazienki. Usłyszała, jak woda wypełnia wannę. – ...I swoją obecną żonę. Czyli żonę numer cztery, pół wieku młodszą od niego.

– Jezu, czy to rzeczywiście miłość?

– Cynicy mówią „nie”. Domyślam się, do którego obozu się przyłączysz. – Podeszedł do barku w ścianie, otworzył go i wyjął butelkę czerwonego wina. – Zbił majątek i trzeba przyznać, że razem z panią Pope zrobił wiele dobrego, jest hojnym mecenasem, powołał szereg doskonałych fundacji. Teraz twardo zamierza cieszyć się życiem ze swoim kompletem kijów golfowych i swoją głupawą, według niektórych, młodą żonką. A teraz do wanny.

– To duża wanna. Dlaczego wciąż jesteś ubrany?

Roarke pokręcił głową, nalewając im wina.

– Czy jak od stóp do głów jesteś w siniakach, myślisz o seksie?

– To raczej efekt tego, że zająłeś się moimi obrażeniami. Bardzo seksowna z ciebie pielęgniarka.

Roześmiał się.

– Do wanny, moja pani porucznik. Przekonamy się, jak na ciebie podziała kąpiel i wino.

– Powiedziałeś, że powinnam się odprężyć i rozluźnić. – Wyciągnęła do niego rękę, żeby pomógł jej wstać, a potem przywarła do niego całym ciałem.

– Zgadza się. – Odpowiedział pocałunkiem na jej pocałunek, ale delikatnie. A kiedy podniosła ręce, żeby go objąć, aż się wzdrygnęła z bólu.

– No dobrze, ramię nadal mi dokucza – przyznała. – Ale to tylko znaczy, że sam będziesz musiał wykonać całą robotę.

Odstawił kieliszek z winem, zdjął krawat, marynarkę, koszulę, przyglądając się, jak Eve uśmiecha się coraz szerzej, a w jej oczach pojawiają się isierki.

Ostrożnie wziął ją na ręce, pocałował delikatnie i zaniósł do łazienki. Wolno, delikatnie zanurzył ją w ciepłej, pianistej wodzie.

– Och, jak bosko! – westchnęła. – Właśnie o tym marzyłam.

– Odpręż się – powtórzył.

– Ej! – Spojrzała na niego gniewnie, kiedy skierował się do wyjścia.

Miała ochotę na odrobinę seksu, co w tym złego? Odrobinę odprężającego seksu w wannie pełnej ciepłej wody. Wody, do której czegoś dodał, zorientowała się, wciągając powietrze. Czegoś, co przyjemnie pachnie i prawdopodobnie ma jakieś właściwości lecznicze.

Rzuciła mu obojętne spojrzenie, kiedy wrócił z jej winem i swoim kieliszkiem oraz pojemnikiem jakiegoś kremu.

– Co to?

– Dzięki temu ramię nie będzie cię tak bolało. Napij się wina. – Podał jej kieliszek, a potem go odstawił, kończąc się rozbierać.

– Zaczyna mi się to podobać.

– Jeszcze nie skończyłem raportu.

Tknięta złym przeczuciem, przyjrzała się podejrzliwie kieliszkowi z winem.

– Chyba nie dodałeś do niego środka usypiającego?

– Połknęłaś tabletkę przeciwbólową jak grzeczna dziewczynka. Prawie bez narzekania zniosłaś zimne okłady i różdżkę. Jesteś sztywna i obolała, jutro też będziesz się czuła podobnie, lecz niepotrzebny ci środek usypiający. Martwim mnie jednak twoje ramię.

– Założę się, że mnie bardziej.

– Nie bierzesz pod uwagę ogłupiającej miłości.

– Ogłupiającej? – powtórzyła, kiedy zanurzył się w wannie. – Nawet miłość nie jest w stanie cię ogłupić.

– Przecież siedzę w tym wrzątku, prawda? A teraz nie ruszaj się. – Roztarł krem w dłoniach, a potem zaczął smarować jej ramię.

– Skoro i tak mnie boli, żałuję, że nie udało mi się skopać tyłka temu łobuzowi.

– Uratowałaś życie dziecku.

– Uratowałam dziecko, a uciekł mi zabójca. Ale nie na długo. Dopadnę tego drania.

– Wierzę w ciebie bezgranicznie. Kontynuując – powiedział, trochę mocniej masując mięśnie i staw. – Carter Young-Sachs uważany jest za dupka. Szczególnie matka go rozpieszczała. Zdaje się, że nie wyrósł z młodzieńczej skłonności do robienia tego, na co ma ochotę, kiedy ma na to ochotę. Lubi kobiety i wydaje na nie masę forsy. Lubi też najrozmaitsze substancje zakazane prawem.

– Był na hajju, kiedy z nim rozmawiałam.

– Co tylko świadczy o tym, że uważa, iż może bezkarnie robić wszystko, na co ma ochotę, i to robi. Trochę czasu poświęca interesom, ma obowiązek spędzać w firmie dwadzieścia pięć godzin tygodniowo, a za to otrzymuje hojne wynagrodzenie plus dodatki.

– Dwadzieścia pięć godzin tygodniowo? Dziwne, że nie cierpi z powodu przepracowania.

– Ci, którzy go znają, twierdzą, że czas to jedyne, co poświęca pracy. Jest czarujący i miły, jeśli chce, przystojny, lubi sporty i dobrze sobie radzi, kiedy ogranicza się do zabawiania klientów.

– Wie o sprawach firmy mniej niż noga stołowa – wtrąciła Eve. – Odpowiedzi na każde pytanie, które mu zadałam, szukał u swojej sekretarki o urodzie nordyckiej bogini. Sypia z nią.

– Trudno się oprzeć bogini.

– Ona się ciupcia z miłości, jemu zależy wyłącznie na seksie. Jego była – ładna babeczka z pieniędzmi, z wpływowej rodziny – opisała go jako faceta, który chce tego, czego nie ma, albo co należy do kogoś innego. Zabiega o to, zdobywa, a potem o tym zapomina. Mira prawdopodobnie powiedziała by coś na temat tkwiącego w nim wewnętrznego dziecka. Według mnie jego wewnętrznemu dziecku przydałoby się porządne manto.

Cokolwiek zawiera ten krem, pomyślała, niewątpliwie jest skuteczny.

– Nie wiem, czy jest wystarczająco inteligentny, żeby coś chachmęcić w księgach, by ukrywać zyski albo kombinować w interesach. Poza tym uważa, że i tak ma pełne prawo do wszystkiego. Ale potrafię go sobie wyobrazić, jak zleca zabójstwo, by zdobyć coś, co nie należy do niego. Informacje o kimś, ale tylko jeśli by wiedział, jak je wykorzystać. Stanowi dla mnie zagadkę – przyznała.

– Młodszy Biden z Young-Biden wiedziałby. Jest bystrzejszy, bardziej przebiegły, ambitniejszy i powiedziano mi, że dość bezwzględny.

– To by się zgadzało z tym, czego się o nim dowiedziałam.

– Poza tym łatwo traci panowanie nad sobą. Korzysta z uroków życia, czemu miałby nie korzystać, ale jednocześnie sprawia wrażenie człowieka, który nigdy nie jest do końca usatysfakcjonowany. Z moich ustaleń wynika, że jest zimny i okrutny. Zarówno w interesach, jak i w życiu osobistym.

– Poświęciłeś temu trochę czasu.

– Nie jest trudno nakłonić ludzi do mówienia. Plotki to jedna z sił, napędzających interesy. Mam kilka ciekawych kłasków również o innych osobach z twojej listy.

– Chcę je poznać, ale czuję, że to będzie jeden lub kilku z tej czwórki.

Ostrożnie poruszyła ramieniem i prawie nie poczuła bólu.

– Jest lepiej. I to dużo. Być może nie będziesz musiał robić wszystkiego sam.

– Jestem odmiennego zdania. Lepiej nie nadwierać tego ramienia. Odpręż się.

– Jestem odprężona.

– Niewystarczająco. – Delikatnie zaczął gładzić jej piersi dłońmi, śliskimi od kremu. –

Nie tylko Chuckie zaliczył lot.

– Słucham?

– Obejrzyj film. Nie od razu upadłaś. Najpierw odrzuciło cię kilka kroków w tył. To musiało przypominać łapanie kuli armatniej. Kiedy znalazłaś się na ziemi, przez parę chwil leżałaś bez ruchu, najwyraźniej ogłuszona, biała jak ściana. – Nie przestając jej głaskać, przycisnęła usta do jej ramienia. – Potem, moja droga Eve, kiedy dzieciak zaczął krzyczeć z bólu i przerażenia, zrobiłaś zagniewaną minę, może trochę zaskoczona. Niemal słyszałem, co pomyślałaś: „No tak, teraz, kiedy go złapałam, co mam z nim zrobić, do jasnej cholery?”.

– Czy pomyślałam to z irlandzkim akcentem?

– Właśnie ta mina sprawiła, że odetchnąłem z ulgą. Mimo tego, że zanim obejrzałem film, wiedziałem, że dałaś sobie radę, odetchnąłem z ulgą na widok tej gniewnej konsternacji na twojej twarzy. I wtedy pojawiła się wierna Peabody.

– Zmieniłeś plan dnia, może odwołałeś kilka spotkań, dzięki którym zarobiłbyś kilka milionów, żeby być przy mnie.

– Ogłupiały z miłości.

Zamknęła oczy, a on nie przestawał jej głaskać.

– Żaden z tych facetów, którym się przyglądam, nie zrozumie tego. Może dlatego tak łatwo przychodzi im zabijanie, nie mówiąc już o zleceniu zabójstwa. Według mnie to jeszcze bardziej obrzydliwe, kiedy kogoś nawet nie stać na to, by osobiście odebrać życie innej osobie. To jak wynajęcie ludzi, żeby odkazili biuro czy dom. Nie warto samemu brudzić sobie rąk jakimiś robakami. To zbyt niemile. Płaci się komuś, żeby cię wyręczył. Czysty interes. Nie w imię miłości czy furii, nie z konieczności. Nie zastanawia się nad tym, nie zaprzęta sobie głowy szczegółami. „Zróbcie to – rozkazuje podwładnym – i nie zwracajcie mi głowy duperelami”.

– Dlaczego cię zaatakował? – Znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć od Eve.

– Weszłam mu w drogę. Stałem z nim twarzą w twarz, zainteresowałam się tym, co robi. Potraktował to jak zniewagę i trochę się przestraszył. Postanowił więc pozbyć się mnie i Peabody, żeby mieć spokój. Co jest czystą głupotą, podobnie jak zabicie Dickenson. Ktoś inny przejąłby pałeczkę i poprowadził sprawę.

– Ale można zyskać na czasie.

– Racja, ale zabić gliniarza? Dwóch gliniarzy? Ściągnąłby na siebie gniew Boga i całej policji nowojorskiej. Nie mówiąc już o gniewie Roarke’a.

– Już się trochę rozgniewałem – oświadczył.

– Wiem, ale nic mi nie jest. Jestem tutaj. Wszystko w porządku. – Uniosła zdrową rękę i objęła go za szyję. – Zazdroszczą ci, wszyscy bez wyjątku. To jeszcze jeden rodzaj chciwości. Zachłanności. Chcą tego, co należy do ciebie.

– Nie dostaną tego.

– Wiedzą o tym. Tym bardziej ich to wkurza. Nie odziedzyczyłeś fortuny po dziadkach czy rodzicach. Jesteś nuworyszem.

– Teraz to ja czuję się znieważony – odrzekł ze śmiechem.

– Irlandzki ulicznik o mrocznej przeszłości, który poślubił policjantkę. Tak, to dodatkowa zniewaga znaleźć się twarzą w twarz z policjantką Roarke'a. Obydwoje damy im nauczkę.

– Oni nie znają mojej policjantki. – Ostrożnie ją obrócił i znaleźli się przodem do siebie.

– W przeciwieństwie do mnie.

Pocałował ją czule, a potem ujął jej dłonie, kiedy chciała go objąć.

– Nie. Ty to zaczęłaś, więc teraz leż spokojnie i bierz, co ci dam.

– Och, bardzo chętnie.

– Przekonamy się.

Tylko ich usta się stykały. Chciał jedynie okazać jej czułość, złagodzić ból. Tylko tyle, ale rozumiał, że potrzebowała czegoś więcej. Pragnęła jego i pragnęła udowodnić sobie i jemu, że nie da się pokonać ani nawet nie zwolni tempa.

Częściowo mogło to wynikać ze wspomnień o doznanych cierpieniach, o tym, że była tak bliska śmierci z rąk McQueen'a i tak bliska odebrania mu życia, kiedy kierowały nią ból i szok.

Nieważne dlaczego, pomyślał. Potrzebowała go, więc go dostanie.

Ale delikatnie, wolno, z czułością.

Poczuł, jak stała się uległa, jak przywarła do niego całym ciałem. Wiedział, że tylko przy nim jest taka. Nieugięta kobieta ulegała tylko jemu. Oddawała mu swój największy skarb.

Pieszcząc Eve dłońmi i ustami, by ją podniecić, szeptał: „A ghra”. Najdroższa .

Zabrał ją daleko od cierpień, od zmartwień, od wszystkiego poza rozkoszą. Nappełnił nią jej ciało, jej umysł. A jego słowa zapadały jej głęboko w serce.

„Najdroższa”.

Woda pieniała się i bulgotała, roztaczając miłą woń. Eve pomyślała, że mogłaby odpląć w dal razem z nim, rozkoszując się tym, co sobie nawzajem dawali, czego nikt inny nigdy nie miał i nie będzie miał.

Przyniósł jej ulgę, zanim w ogóle wiedziała, że jej potrzebuje, dał jej miłość, której od dawna brakowało w życiu Eve.

Pospieszył do domu, by dać jej jedno i drugie, zanim nawet pomyślała, by go o to poprosić.

– Kocham cię. – Odwróciła się do niego. – Za wszystko.

Za wszystko, pomyślał, kiedy wolno w nią wnikał. Za wszystko. Na zawsze.

Odplęnęła, ponieważ był w niej, kochał ją. Ujęła jego dłoń i odplęnęła razem z nim.

Rozdział 13

Teraz znacznie lepiej, pomyślała Eve, kiedy przestawiła się na tryb pracy. Wolą nie mieć umysłu przymulonego zeusem.

I – uwzględniając okoliczności – była prawie pewna, że uda jej się namówić Roarke’a na pizzę i burzę mózgow przy biurku.

W swoim gabinecie sięgnęła po dawkę kofeiny pod postacią puszki zimnej pepsi, a Roarke nalał sobie jeszcze wina. I by poczuć się w pełni na luzie, włożyła jeden ze swoich najstarszych T-shirtów, granatowe spodnie od dresów i grube skarpetki.

Gdyby nie nawał pracy, ubrawszy się tak, zwinęłaby się w kłębek na kanapie i razem z Roarkiem obejrzała coś z klasyki kina z bogatej kolekcji filmów zgromadzonej przez jej męża.

Ale służba nie druźba.

– Pomyślałam sobie, że mogłabym podsunąć ci to i owo podczas...

– Czy właśnie nie zrobiliśmy tego w wannie?

– Zboczeniec. – Wskazała puszką pepsi tablicę. – Mam coraz pełniejsze portrety kilku z głównych podejrzanych dzięki temu, że poznałam twoją opinię. Opinię biznesmena. I może uda mi się sformułować więcej hipotez, sprawdzić prawdopodobieństwa.

– Możemy to zrobić.

– Świetnie. Możemy rozmawiać i jeść. Proponuję coś prostego, na przykład pizzę.

– Wykluczone. Wieczorem powinnaś zjeść coś bardziej treściwego, szczególnie po takim dniu, jak dzisiejszy.

– Nie jestem specjalnie głodna. – Czują, jak wymyka jej się z rąk drożdżowy placek z roztopionym serem. – Dobrze się czuję. Poza tym pizza też uchodzi za treściwe jedzenie.

– Mmm-hmmm. – Przeszedł do kuchni.

Prawdopodobnie, żeby zaprogramować jakiś kleik czy bulion, pomyślała z goryczą Eve. Ale nie mogła mu odmówić po tym, jak się nią zajął i – jak zwykle – gotów był poświęcić wieczór, służąc jej pomocą w pracy.

Więc wmusi w siebie ten cholerny kleik.

Podeszła do tablicy, dodała kilka nowych informacji, inne przegrupowała.

Naprawdę nie dostrzegała żadnych różnic między swoimi głównymi podejrzanyymi. Na pierwszy rzut oka sporo ich różniło, lecz nie potrafiła ich rozgrzyść.

Wyciągnęła komunikator, kiedy zabrzączał. Na wyświetlaczu zobaczyła Peabody.

– Tak?

– Wysyłam ci notatki z moich rozmów z byłymi małżonkami. Nie wiem, ile nowego światła rzucają, ale mogę ci powiedzieć, że sporo się dowiedziałam od ostatniej byłej żony Bidena. Wiesz, co to znaczy „rozgoryczony”?

Eve uniosła wzrok, bo Roarke właśnie przyniósł coś z kuchni; pomyślała o pizzy i kleiku.

– O, tak.

– Ostatnia partnerka Whitestone’a jest smutna, żywi odrobinę urazy. Według niej – cytuję – „spędzał więcej czasu w pracy i ze swoimi przyjaciółmi niż ze mną”. Ingersol

właściwie nigdy nikogo nie miał. Jest kilka kobiet, z którymi spotyka się od czasu do czasu. Wniosek z tego taki: lubi się zabawić, ale boi się z kimkolwiek związać.

– Rzucę na to okiem – powiedziała, kiedy Roarke wyszedł, a po chwili znów wrócił.

– Nie spotkałam się z narzeczoną Newtona, bo uznałam, że powie mi o nim same dobre rzeczy, ale pomyślałam sobie, że nie zaszkodzi spróbować coś o nim wyciągnąć od jej przyjaciółek.

– Bardzo sprytnie.

– Też tak uważam. I jeśli szukałybyśmy szczęśliwej, zakochanej, idealnie pasującej do siebie pary, to było dobre posunięcie. Ale poza tym nie dowiedziałam się niczego.

– To też swego rodzaju informacja.

– No dobra, zadzwoniłam, żeby zapytać, co u ciebie. Jak się czujesz?

– Dobrze.

– W internecie można obejrzeć film... A właściwie parę filmów, pokazujących cię w akcji.

– Słyszałam.

– To była naprawdę świetna akcja. Szkoda, że nikt z filmujących nie zarejestrował, jak wygląda podejrzany, którego goniłyśmy.

– Poprosimy naszych komputerowców, żeby coś wypreparowali. Jutro wracają z Vegas do Nowego Jorku dwaj audytorzy. Z lotniska zostaną przewiezieni do ośrodka rekonwalescencyjnego Stuben. Spotkamy się na podjeździe dla karettek punktualnie o ósmej.

– Dobrze, będę. Może przy okazji cię tam przebadają.

– Nic mi nie jest, Peabody. – I żeby skończyć z tą troską o jej osobę, Eve się rozłączyła.

Podeszła do stołu, żeby się przekonać, cóż takiego Roarke dla niej przygotował.

Coś podsmażonego na sposób chiński. Coś zdrowego, wieczorny odpowiednik porannej owsianki.

Nie był to kleik, ale...

– Masa tu warzyw.

– Owszem, i zjesz je jak grzeczna dziewczynka... – Uniósł srebrną pokrywkę drugiego naczynia i jej oczom ukazała się mała pizza z plasterkami pepperoni, tworzącymi uśmiechniętą buzię.

Starala się rzucić mu kamienne spojrzenie, ale wybuchnęła śmiechem.

– Uważasz się za niezwykłego spryciarza, co, kolego?

– Zachwycającego.

– Tym razem niech ci będzie. Auu! – Udało jej się zmierzyć go kamiennym spojrzeniem, kiedy nie pozwolił jej sięgnąć po pizzę.

– Najpierw warzywa.

Teraz już wcale nie musiała się wysilać, by go spiorunować wzrokiem.

– Faceci obrywali ode mnie za mniejsze przewinienia.

– Chcesz spróbować? – zaproponował, nabrawszy na widelec trochę smażonych warzyw.

– Tym razem ci odpuszczę. Ale tylko dlatego, że za uśmiechniętą pizzę zdobyłeś punkty. – Spróbowała warzyw i stwierdziła, że wcale nie są takie złe. Właściwie całkiem dobre z tym sosem, jaki zaprogramował. Prawdę mówiąc, coś im dodało smaku. – Czyli chciwość – zaczęła – i zazdrość, a do tego swego rodzaju obzarstwo. Może również pożądanie, a w przypadku niektórych z nich również lenistwo. Co pozostaje?

– Z siedmiu grzechów głównych? Chyba gniew i pycha.

– No dobra, to też można im przypisać. Lecz najbardziej rzucają się w oczy chciwość i zazdrość. To grzechy śmiertelne, ponieważ prowadzą do innych grzechów, prawda? Stanowią źródło całego zła.

– Można i tak na to spojrzeć.

– Masz na swoim sumieniu niektóre z nich... Cóż, jak każdy... Ale umiejętnie je wykorzystałeś. I jedyne, czego nie można ci zarzucić, to lenistwo. Nie jesteś leniwy. Żeby coś zdobyć, bo chęć posiadania wydaje mi się tu też czynnikiem istotnym, ciężko pracujesz. Fizycznie, umysłowo. Myślisz, planujesz, poświęcasz czas. I to więcej niż inni. Przejdźmy do pożądanego.

– Myślałem, że rozprawiliśmy się z tym w wannie.

– Chodzi mi o żądę pieniędzy. – Wcelowała w niego widelec. – Wyczułam to również u Whitestone'a. Fascynację tym, co robi, pragnienie robienia tego codziennie od nowa. To najkrótsza droga do sukcesu.

– Cóż, poza tym trzeba mieć sporo talentu do tego, co się robi. Można czegoś chcieć, można do czegoś dążyć, lecz jeśli komuś brak umiejętności, samo pragnienie nie zapewni sukcesu.

– Trafna uwaga. Wydaje mi się, że u moich czterech głównych podejrzanych pożądanego nie jest wynikiem tego, co sami zrobili, tylko korzyści, jakie osiągnęli dzięki temu, co inni zrobili przed nimi lub nadal robią.

– Z żądzy zysku. I tak doszliśmy do chciwości.

– Tak. Co to właściwie jest?

Roarke spojrzął na kawałek kapusty pekińskiej na widelcu Eve.

– Coś smacznego.

Ponieważ nie było niesmaczne, nie znalazła żadnego rozsądnego kontrargumentu.

– Tak czy owak, jeśli robisz to, co robisz, dla efektu, korzyści, bez prawdziwej pasji czy też umiejętności albo nie doceniasz tego, co przynosi korzyści, zaczniesz szukać sposobów, żeby robić mniej, a zyskiwać więcej.

– Zlecając pracę innym lub oszukując. Bądź jedno i drugie.

– Inni coś stworzyli, musieli być w tym dobrzy, a ciebie posadzono w wielkim, skórzanym fotelu i oczekuje się od ciebie, że nie tylko zadbasz, by dalej się to wszystko kręciło, lecz jeszcze się rozwijało. Z pewnością to przywilej, ale wiąże się z pewną presją.

– Przypomnij mi o tym, kiedy będziemy mieli dzieci. Ważne, żeby dać im dość na start, nie tyle jednak, by mogły siedzieć beczynnienie.

Z całą pewnością nie będzie się teraz nad tym zastanawiała.

– Z drugiej strony rodzina Alvy Moonie zaszczepiła w niej etykę pracy i poczucie odpowiedzialności. Po latach szaleństw teraz lubi to, co robi, i chce to robić dobrze. Czyli niekoniecznie pieniądze korumpują człowieka. Tylko...

– Chciwość. Znów do niej wróciliśmy.

– No tak. – Przez chwilę jadła w milczeniu, rozmyślając nad tym. – To dotyczy ich wszystkich. Może z wyjątkiem Pope'a. Albo jest myszką, na jaką wygląda, albo bardzo dobrze ją udaje. Musimy poszukać prywatnych pieniędzy, ukrytych kont i majątku. Tacy ludzie zwykle je mają.

– Już zacząłem szukać. Teraz, kiedy ograniczyłeś liczbę podejrzanych, skupię się tylko na nich.

Skinęła głową, zadowolona, że skończyła jeść warzywa i mogła teraz sięgnąć po pizzę.

– Potrafisz rozumować jak gliniarz. – Wyczuwszy jego milczącą nagane, uśmiechnęła się. – Żeby unikać gliniarzy albo ich przechytryć, jeśli sięgniemy do źródeł takiego zachowania. I wiele razy wystąpiłeś w roli niezależnego eksperta. Jesteś też największą z grubych ryb wśród biznesmenów. Wiesz, jak prowadzić interesy na wielką skalę. Mogę to wykorzystać w tym śledztwie, ale moje pojęcie o tym, jak się kieruje firmą, w dużym stopniu opiera się na obserwacji tego, co ty robisz.

– Prowadziłaś wiele śledztw, dotyczących spraw, na których się nie znasz, a nie przeszkodziło ci to w ich ukończeniu.

– Zgoda. Ale nie zawsze najlepszy ekspert od tych spraw zjada kawałek mojej pizzy.

– Kto powiedział, że cała jest dla ciebie? – Ugryzł kawałek. – To podpadałoby pod chciwość i obżarstwo.

– Mądrała. Tak czy owak, przyglądam się tablicy, notatkom, analizuję wszystkie podteksty, ale czuję, że coś mi umyka. Jakiś szczegół, który ograniczyłby liczbę podejrzanych. Ty znajdziesz motyw w aktach, cyferkach, księgach, kodach podatkowych i całej tej reszcie. Ale założę się, że znajdziesz masę drobnych przekrętów i przypadków wykorzystywania luk w prawie, wymagających łapówek.

– Już trochę znalazłem. Według mnie za mało, żeby stanowiło to powód do zabójstwa albo paniki. Kilka korekt, kar, grzywna czy dwie, z czego w większości przypadków można się wybronić, jeśli się zatrudni cwanego prawnika, specjalizującego się w podatkach, który potrafi udowodnić, że nieścisłości wynikają z błędnej interpretacji przepisów albo pomyłki pracownika.

– Trudno mi to oceniać. Nawet, gdyby udało mi się na coś takiego natrafić. Spytałeś mnie wcześniej, kto wydaje mi się najbardziej podejrzany. Zadam ci to samo pytanie.

Roarke pokręcił głową i rozsiadł się wygodnie z kieliszkiem wina.

– Nie jestem gliniarzem ani oficerem śledczym. Co więcej, nie rozmawiałem z żadnym z twoich podejrzanych i jestem daleki od ukończenia analizy danych finansowych.

Eve wydlubała z pizzy plasterki pepperoni i wsunęła go sobie do ust.

– Masz intuicję, tak jak ja. Znasz się na interesach i na biznesmenach lepiej ode mnie. Rozumiesz ten świat, bo sam w nim żyjesz. Pytam cię tylko, komu najuważniej byś się przyjrzał, gdybyś był na moim miejscu?

Zaskoczyło go, jak bardzo chciał uniknąć odpowiedzi. Był przyzwyczajony do obserwowania, jak Eve przygląda się podejrzany, gromadzi dowody, ustala motywy. Sprawiało mu prawdziwą przyjemność, gdy widział w jaki sposób, wykorzystując umysł i instynkt, poluje na sprawcę.

– A jeśli się mylę? Jeśli skieruję cię na błędny trop?

– Potrzebny mi jakiś trop, właściwy czy błędny. Sama zdecyduję, co zrobić i jak to zrobić. I czy podążyć jakimś tropem bądź nie. Ty jesteś ekspertem. Proszę cię o opinię.

– W takim razie zgoda. Sterling Alexander.

– Dlaczego?

– Zacznę od eliminowania pozostałych. – Wstał i tak, jak ona często robiła, zaczął chodzić tam i z powrotem koło tablicy. – Young-Sachs. Posłuż się swoją listą grzechów śmiertelnych. Przede wszystkim cechuje go lenistwo, a nie chciwość czy pożądanie. Najchętniej nic by nie robił. Ma sekretarkę, która wie o firmie więcej od niego. To świadczy, że jest leniwy i ma wszystko w nosie. Nikt nie powinien wiedzieć więcej od ciebie o tym, co należy do ciebie. A gdyby chciał mieć więcej, poprosiłby matkę. Nie ma powodu, żeby kraść albo oszukiwać, ma też za mało ambicji, żeby to robić. No

i zwyczajnie jest za głupi.

– Polubiłam go.

– Naprawdę?

– Chciałam powiedzieć, że polubiłam go za to, bo za nic innego nie można go lubić.

I w tym częściowo tkwi problem. Każdy z nich budzi we mnie jakieś wątpliwości.

– Może masz wątpliwości, bo intuicja ci podpowiada, że żaden z nich nie jest do końca uczciwy. Każdy z nich ukrywa jakieś drobne grzeszki.

– Być może. Young-Sachs nie kryje się z tym, że zażywa narkotyki, i że absolutnie brak mu kompetencji do pełnienia funkcji dyrektora finansowego. Wykorzystuje firmę, żeby mieć dostęp do nielegalnych substancji. Wiem o tym. Poza tym jest jeszcze Biden, który wychodzi ze skóry, by go znieważać i obrażać. No i dam sobie głowę uciąć, że szuka jakichś sposobów, by dostać się do kasy. A Pope jest taki cholernie uczynny, nie dostrzega lekceważenia, jakie mu okazuje przyrodni brat. Lecz w tym, co mówisz, jest sens.

– Czyli intuicja ci podpowiada, że każdy z nich pod jakimś względem jest winien.

– Tak. I stąd cała trudność.

Eve też wstała i podeszła do tablicy.

– Eliminuj dalej.

– Dobrze. Jak możesz fałszować księgi – a coś się musi kryć w księgach – jeśli nic a nic się na nich nie znasz? Young-Sachs nie ma na ten temat zielonego pojęcia. Jasne, że jest zachłanny, ale przede wszystkim leniwy.

– Dobrze, zostawmy go na razie. Kto następny?

– Pozostając w tej samej firmie, weźmy na tapetę Tylera Bidena. Jest czarną owcą. Szybko traci cierpliwość, ma kłopoty ze zdobyciem lojalności swoich pracowników. No i idiotę za dyrektora finansowego.

– Tak, dlatego pomyślałam sobie, że łatwiej by mu było coś kombinować z cyferkami.

– Racja. Lecz wszystko wskazuje na to, że jego dyrektor finansowy ma bardzo bystrą sekretarkę, która sypia ze swoim szefem. I łatwo się zorientować, że jest w nim zakochana albo przynajmniej związana z nim emocjonalnie. Dlatego trudno byłoby nakłonić rzeczoną sekretarkę do ukrycia czegoś, co, gdyby wyszło na jaw, uderzyłoby w jej ukochanego. I w nią, bo cała firma by się dowiedziała, że wyręcza szefa w jego obowiązkach.

– Słuszne spostrzeżenie, ale...

– Jeszcze nie skończyłem – powiedział Roarke, wyraźnie się rozkręcając. – Jest ambitnym, pełnym gniewu człowiekiem, który wie, że wiele osób jest przekonanych, być może słusznie, że on zawdzięcza własną pozycję w firmie wyłącznie nepotyzmowi. Musi pokazać, co umie. Lubi pieniądze, swoją pozycję społeczną, ale pragnie też szacunku. Jak sama stwierdziłaś, ten, kto to robi albo jest w to zamieszany, musiałby wtajemniczyć w sprawę kilka osób, żeby wprowadzić swój zamiar w czyn. I ci ludzie wiedzieliby, że pewne rzeczy nie zostały przeprowadzone w sposób uczciwy. A to dla niego ważne.

Podążała za jego linią rozumowania, nie do końca przekonana. Lecz skinęła głową.

– Dobra, na razie też go skreślimy.

– Jeśli chodzi o Pope'a – ciągnął Roarke – czasami sprawy przedstawiają się dokładnie tak, jak wyglądają. Zgodnie z moimi informacjami facet stosunkowo dobrze wykonuje swoje obowiązki. Żyje sobie wygodnie, ale nie obnosi się ze swoim bogactwem. Pozwala

rzadzić swojemu bratu. Swojemu starszemu i bardziej dominującemu bratu przyrodniemu. Jest lubiany przez ludzi, z którymi pracuje, chociaż tamci niewątpliwie uważają go za płótkę. Gdyby chciał czegoś więcej, mógłby to otrzymać, po prostu domagając się tego. Ale tak mu jest wygodniej. Trudno mi go sobie wyobrazić, jak organizuje coś niezgodnego z prawem, wykorzystując w tym celu firmę należącą do matki – znany jest z pełnego oddania jej – i zleca czy akceptuje zabójstwo audytorki. Która też jest matką.

– Dobra, ja też go nie widzę w roli sprawcy. Oboje możemy się mylić i może się okazać, że jest jakimś zabójcą-geniuszem, chociaż nie wydaje mi się. Udawanie cały czas półgłówka jest cholernie wyczerpujące. Zresztą dlaczego miałby to robić?

– Półgłówka?

– Tak. Bo na takiego wygląda. Alexander nim gardzi.

– Masz rację. To tajemnica, o której wszyscy wiedzą w świecie interesów.

– Jeśli wszyscy o czymś wiedzą, przestaje to być tajemnicą – zauważyła.

– Masz rację. To źle chroniona tajemnica.

– Dobrze. Czyli wiemy, kto nie jest sprawcą i dlaczego. Zobaczmy teraz, dlaczego Alexander jest głównym podejrzanym.

– Mam ochotę na kawę.

– Ja też – uświadomiła sobie Eve, a potem się naburmuszyła, kiedy Roarke uniósł brew.

– Ja występuję w roli eksperta – przypomniał jej.

– No tak. – Eve zebrała naczynia i wyszła do kuchni, żeby przygotować kawę.

– Wiesz co – rzucił Roarke. – Moglibyśmy sprawić sobie androida do sprzątnięcia ze stołu i parzenia kawy.

– Wystarczy mi jeden Summerset.

– Bardzo śmieszne.

– Też tak uważam. – Włożyła naczynia do zmywarki. – Tylko właściwie po co nam tutaj android? – Szczególnie że zawsze na ich widok przechodziły ją ciarki. – Przecież sprzątnięcie ze stołu trwa tylko chwilę.

– Racja. Wiele osób w pewien sposób uprzywilejowanych nawet by nie pomyślało, że mogłoby osobiście zrobić coś tak banalnego, jak sprzątnąć naczynia czy zaparzyć kawę. Może kilka takich prostych czynności zdoła ustrzec człowieka przed popełnianiem tych siedmiu grzechów śmiertelnych.

Podawała Roarke'owi kawę, wzięła swój kubek, oparła się o krótki blat.

– Uważasz, że Alexander sam nie wkłada brudnych naczyń do zmywarki?

– Jestem gotów się założyć, że rzadko, jeśli kiedykolwiek, spędza czas we własnej kuchni. Duma bywa czasem równie nienasycona, jak chciwość. Jest dumny ze swojej pozycji społecznej, bogactwa, stanowiska. Zatrudnia na pełny etat pięcioro służących i troje w niepełnym wymiarze godzin, a do tego ma trzy androidy do prac domowych.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Wystarczy zadać właściwe pytanie właściwej osobie – powiedział Roarke. – Dla porównania, Pope zatrudnia dwie osoby w niepełnym wymiarze godzin i nie ma androidów-służących. Alexander zatrudnia również dwóch pilotów wahadłowców, którzy czekają w pogotowiu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, co jest marnotrawstwem i szczytem szpanerstwa. Domaga się pewnych przywilejów za każdym razem, kiedy spotyka się z zarządem szpitala. Chodzi o drobiazgi. Na przykład konkretną wodę butelkowaną, miejsce u szczytu stołu. Jego żona często ściąga swego ulubionego

projektanta z Mediolanu do Nowego Jorku. Poza tym Alexander ma utrzymankę.

– Utrzymankę? – Eve zeskoczyła z blatu. – Nie znalazłam żadnej utrzymanki. Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Aktualnie nie mam utrzymanki, bo moja żona zbyt często chodzi z bronią. Krążą plotki, że Alexander ma kochankę od bardzo dawna. Są bardzo dyskretni.

– Muszę do niej dotrzeć, porozmawiać z nią.

– Podobno zna tę kobietę od lat. Jego ojciec uznał ją za nieodpowiednią żonę dla swojego syna. Przypuszczam, że to niejaka Larrina Chambers, wdowa, uważana za bliską przyjaciółkę rodziny. Nie miałem czasu, żeby to potwierdzić – uprzedził ją – więc to tylko niesprawdzona plotka. Ale sęk w tym, że Alexander jest zagorzałym konserwatystą, który często wali w polityczny bęben i lubi podawać swoją rodzinę jako przykład przestrzegania tych wartości, tej ideologii.

– Żona musi o tym wiedzieć. Powiedziałeś, że znają się od lat. Czyli żona o tym wie. Ujawnienie tego jedynie postawiłoby go w trudnym położeniu. Nie zaszkodziłoby mu w kwestiach zasadniczych, prawda?

– Jeśli chodzi o interesy? Nie sądzę. Uważany jest za hipokrytę, ale w życiu osobistym. Lecz znów chodzi o dumę.

Duma, pomyślała Eve. Znów jeden z siedmiu grzechów głównych.

– Więc może częściowo chodzi o prezenty lub pieniądze, dawane utrzymance, wydatki na jej mieszkanie i podróże. Wyciąga te pieniądze z firmy. Audyt by to wykazał.

– Racja.

– Zabójstwo z takiego powodu? – Eve pokręciła głową. – Ludzie zabijają z dużo bliższych przyczyn, ale, Jezu, nie wydaje mi się, żeby w tym przypadku była to wystarczająca przyczyna. Przynajmniej żeby wciągnąć w to innych ludzi i finansować całą sprawę.

– Zgadzam się. W grę muszą wchodzić większe kwoty. Przypuszczam też, że trwa to od dawna. Albo ma trwać jeszcze wiele lat. Nawet jeśli pominąć samo morderstwo, jest duże ryzyko. Chyba, że zyski to usprawiedliwiają.

– Czyli wracamy do ksiąg, do audytu. Dobrze. Powinieneś się skupić na Alexandrze i Popie. Spróbuj, do czego uda ci się dokopać. Zresztą i tak nosiłeś się z takim zamiarem.

– Owszem. – Roarke uśmiechnął się do niej. – Resztę zostawię tobie.

– Przedstawiłeś dobre argumenty.

– Czuję się mile połączony, moja pani porucznik. Czy dostanę podwyżkę, jeśli się okaże, że miałem rację?

– Jeśli się okaże, że masz rację, przygotuję kolację i sprzątnę ze stołu. I nie będzie to pizza – dodała, widząc jego spojrzenie z ukosa.

– Zgoda. Jak ramię?

– W porządku. Chociaż trochę mnie pobolewa – przyznała.

Podszedł i musnął ustami ramię Eve, a potem przyciągnął ją do siebie i objął.

– Ja w swoim życiu też oszukiwałem i kradłem. Żeby przeżyć i dla zabawy.

Wiedziała o tym. Znała go.

– Ile niewinnych matek dwójki dzieci zabiłeś?

– Do tej pory ani jednej. – Odsunął się na długość ramienia. – Nie będę przeproszał za to, że kradłem i oszukiwałem, lecz nie żałuję, że tamte czasy się skończyły. Bo jestem tu z tobą, a nie ma innego miejsca na świecie, gdzie chciałbym teraz być.

– Nagi na tropikalnej plaży?
– Cóż, teraz, kiedy o tym wspomniałaś... – Kiedy Eve się roześmiała, pocałował ją prosto w usta. – Ale nie, nawet tam nie. Tylko tu, gdzie teraz.
– To dobre miejsce.
– Możemy pomyśleć o tej tropikalnej plaży po świętach, a są tuż-tuż.
– Nie mogę teraz myśleć o świętach. – Na samo ich wspomnienie ogarnęła ją panika.
– Nie mogę nawet myśleć o tej premierze, która wszystkich tak fascynuje.
– Dobrze się zabawimy. Tylko postaraj się do dnia premiery uniknąć dalszych siniaków. Twoja suknia dużo odkrywa.
– Widzisz? Jeszcze jeden powód do zmartwienia. Zaczynam poszukiwania utrzymanki.

– A ja przekrętów w firmie. I już się dobrze bawimy.

Nalała sobie jeszcze kawy, a ponieważ Roarke rozsiadł się za jej biurkiem, znów musiała się zadowolić zapasowym komputerem. Zauważyła, że podczas ich rozmowy przyszedł Galahad i teraz rozciągnął się jak spasiona ofiara wypadku drogowego na jej fotelu. A za gabinetem, który Roarke kazał urządzić tak, żeby przypominał Eve jej dawne mieszkanie, był duży, piękny dom, wypełniony ciszą.

Nie, pomyślała, nie chciałyby być w żadnym innym miejscu, tylko tu, gdzie jest teraz.

Sporządziła notatki, sprawdziła je, poprawiła i wysłała do Peabody. Po przeczytaniu raportów partnerki przez kilka minut siedziała z nogami w górze i wzrokiem utkwionym w tablicę, by przemyśleć wszystko, co jej powiedział Roarke.

Young-Sachs za leniwy, Biden zbyt dumny, Pope zanadto skromny (i przypuszczalnie po prostu zbyt uczciwy).

Zostawał Sterling Alexander.

Być może, pomyślała. Kto wie. A jeśli tak, istniało wysokie prawdopodobieństwo, że wciągnął w to Jake'a Ingersola i Chaza Parzarriego. Mniej prawdopodobne, choć nie można tego wykluczyć, że również Robinsona Newtona, który zdecydował się na niebezpieczną grę z jednym z klientów swojego spółnika.

Nie mogła się doczekać pierwszego spotkania twarzą w twarz z Parzarrim. Rozmowa z nim może rzucić nowe światło na całą sprawę. Eve postanowiła, że zaatakuje go teraz, kiedy jest słaby. Kiedy leży i cierpi po poważnym wypadku samochodowym.

Może spróbuje go przekonać, że to wcale nie był wypadek, chociaż dokładnie zapoznała się z raportem policji. Trzech pijanych facetów tuż po ukończeniu uczelni, świętowało drobną wygraną w kasynie. Wjechali prosto w taksówkę, która wiozła Parzarriego i Arnolda z kasyna do hotelu, gdzie odbywał się kongres.

Wszyscy uczestnicy wypadku trafili do szpitala. Eve nie znalazła niczego, co by świadczyło, że trzech pijanych idiotów wynajęto, by zderzyli się z samochodem dwóch audytorów, przy okazji narażając na obrażenia samych siebie.

Zwykły wypadek, zbieg okoliczności, a w efekcie zginęła niewinna kobieta.

Tak, pomyślała Eve, tak, może to wykorzystać, może wykorzystać to wszystko, żeby złamać Parzarriego.

A na razie zajmie się utrzymanką Alexandra.

Pierwsze, co zwróciło jej uwagę, to wiek Larriny Chambers. Licząca sobie pięćdziesiąt siedem lat wdowa nie pasowała na zachłanną lalunię-naciągaczkę. Następnie Eve stwierdziła, że Chambers i jej zmarły mąż otworzyli w New Jersey jadłodajnię, która dwadzieścia dwa lata później rozwinęła się w ogólnokrajową sieć, więc ta kobieta nie musiała polować na bogatego przyjaciela. A ponieważ jako osiemnastolatka uzyskała

stypendium do MIT, a mając dwadzieścia pięć lat zdobyła tytuł magistra ekonomii, trudno ją było uznać za głupią lalunię.

Podejrzliwość zmusiła Eve do sprawdzenia, co było przyczyną śmierci męża Larriny. I znów musiała odrzucić podejrzenie, że ma do czynienia z jakimś przestępstwem. Neal Chambers zginął podczas gwałtownego szkwału u brzegów Australii, kiedy jego żaglówka zatoneła. W tym czasie żona przebywała w Nowym Jorku, opiekując się matką, która dopiero co przeszła drobny zabieg operacyjny. Śledztwo w sprawie utonięcia Chambersa i jeszcze czterech osób, członków załogi i pasażerów, było bardzo dokładne. Nie znalazła w nim żadnych luk ani nie dopatrzyła się żadnego motywu.

Drażąc temat, nie znalazła też dowodów, że Larrina Chambers jest czyjąkolwiek utrzymanką, jak twierdzono. Była osobą niezwykle majątną. Ale Eve natrafiła na fakty, które świadczyły, że Larrinę i Alexandra coś łączy i wielce prawdopodobne, że po dziewięciu latach od śmierci Chambersa rozgorzało na nowo uczucie, które połączyło tamtych dwoje, kiedy mieli po dwadzieścia kilka lat.

Może warto z nią porozmawiać, zastanowiła się Eve i zanotowała to sobie.

Alexander, Ingersol i Parzarri, pomyślała, i przystąpiła do żmudnego, metodycznego sprawdzania życiorysów całej trójki.

Rozdział 14

Był na dobrym tropie. Roarke czuł, że zbliża się do celu. Jak wtedy, kiedy zamek ustępuje, gdy wprawne palce złodzieja majstrują przy nim wytrychem.

Już znalazł trzy konta Alexandra poza granicami kraju, a nawet poza Ziemią – dwa z nich były całkowicie legalne, nawet jeśli nie do końca etyczne.

Nie będzie sobie zwracał głowy tymi legalnymi, chociaż nie do końca etycznymi, tak, jak zrobiłaby to Eve. Różnili się pod tym względem. Nawet to jedno, teoretycznie sprzeczne z prawem, nie musiało oznaczać poważnych kłopotów ani spowodować poważniejszych reperkusji. Inspektorzy podatkowi wlepili karę, pogrozili palcem niegrzecznemu chłopcu, a jego spec od forsy musiał trochę pogłótkować.

I wielce prawdopodobne, że ów spec przy okazji ściągnął więcej klientów.

Ale znalezienie tych kont było dziecinnie proste, szczególnie dla kogoś, kto wiedział, gdzie i jak ich szukać.

Dlatego Roarke nabrał pewności, że musi być więcej takich, których znalezienie nie będzie tak dziecinnie proste i które są bezdyskusyjnie nielegalne.

Znajdzie je. Ludzie działają według schematów, mają swoje przyzwyczajenia. Wystarczy ich rozszyfrować i wykorzystać tę wiedzę.

Bo czuł, że to dopiero wierzchołek góry lodowej.

Przypomniał sobie owo uczucie z dawnych czasów, kiedy po otwarciu zamka znajdował więcej, niż się spodziewał. Tę falę ciepła i nagłe ożywienie.

Podniecenie, jakie może w pełni rozpoznać i zrozumieć jedynie drugi złodziej.

Ale tamto było dawno. Od tamtych czasów wiele się zmieniło, lecz ogarnęły go niemal identyczne emocje, kiedy próbował dotrzeć do czyichś tajemnic i złych uczynków, pomagając swojej żonie-policjantce.

Na myśl o niej oderwał wzrok od monitora. No tak, pomyślał, Eve dziś już nic więcej nie robi. Jeszcze o tym nie wiedziała, ale znał te objawy. Wyraźnie oklapnęła, oczy miała lekko szkliste. Pozostawiona sobie pracowałaby, póki głowa nie opadłaby jej na biurko.

Spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do drugiej. Nic dziwnego, że jest zmęczona.

Przyglądając się Eve, poczuł, jak kot trąca go łebkiem w nogę.

– Dobrze już, dobrze, sam to widzę. Pora, żebyśmy wszyscy poszli spać.

Po tym, co dziś przeszła, dobrze jej zrobi sen w wygodnym łóżku. Więc zlecił, co mógł, komputerowi, resztę skopiować i zapisać, a potem wstał i podszedł do Eve.

– Fajrant na dziś.

– Co? Właśnie... Właśnie zaczęłam się bliżej przyglądać Ingersolowi. – Podrapała się w głowę, jakby chciała pobudzić szare komórki do pracy. – Nie pasuje mi tu Newton, choć włamał się do bazy klienta Ingersola. Chciałam powiedzieć, że byłoby to bardzo sprytne, ale to oczywiste, że wszystko się wyda i wtedy stanie się kozłem ofiarnym.

– A tacy ludzie rzadko, jeśli w ogóle, dopuszczają myśl, że wpadną.

– No właśnie. Wspomniałeś kiedyś, by zwracać uwagę na polisy ubezpieczeniowe. No więc Ingersol na pokaźne kwoty ubezpieczył dzieła sztuki. Znacznie powyżej ich zadeklarowanej wartości.

– Co może świadczyć, że początkowo zaniżył ich wartość, żeby nie wzbudzać

wątpliwości, skąd wzięł na nie pieniądze. Albo zamierza zgłosić szkodę i oskubać firmę ubezpieczeniową.

– Nie natrafiłam na żadne zgłoszenia szkód, ale...

– Możesz poszukać jutro. Przyda nam się trochę snu.

– Nie jest jeszcze tak późno... – zaczęła, a potem spojrzała na zegarek. – Och.

Chyba jednak jest.

– Jutro. – Pociągnął ją, by wstała, i poczuł, że Eve ma napięte mięśnie. – Czujesz ten upadek, który dziś zaliczyłaś.

– Tylko trochę zeszywniałam. – Ale nie oponowała, kiedy nachylił się, by zapisać to, co zrobiła.

– Wpadłem na parę tropów – powiedział, wychodząc wraz z nią z gabinetu. – Jutro nimi podążę.

– Jakie to tropy?

– Kilka ukrytych kont – dwa legalne, jedno budzące wątpliwości. Parę transakcji, którym należy się bliżej przyjrzeć. Przypuszczam, że audytor, jeśli rzeczywiście jest przez niego opłacany, doprowadził wszystko do porządku. Dlatego spodziewam się znaleźć więcej transakcji, jeszcze nieuporządkowanych. Wykazywane przez niego koszty podróży, a także wydatki służbowe świadczą, że często wyjeżdża tam, gdzie działają jaskinie hazardu i obowiązują niskie podatki.

– To sposób na pranie pieniędzy.

– I nie bez powodu jest to sposób, uświęcony tradycją – powiedział Roarke, gdy wchodzili do sypialni.

Kiedy się szykowała do snu, przyniósł podkład medyczny.

– Lepiej będzie ci się spało – powiedział, nim zdołała zaprotestować. – I weź bloker. Jak się porządnie wyśpisz, odzyskasz pełnię formy, by móc złapać złoczyńców. Zerknijmy na twoją pupę. – Zrobił palcem kółko w powietrzu.

Przewróciła oczami, ale się odwróciła, żeby mógł obejrzeć jej pośladki.

– Nadal widać Afrykę, ale jej brzegi ulegają erozji.

– Świetnie. Zniszczymy Czarny Łąd.

Roześmiał się i delikatnie przyłożył poduszczkę na ramię Eve, a potem lekko klepnął ją w Afrykę.

– Miejmy nadzieję, że do rana ulegnie dalszej erozji.

– Z Afryką na pupie czy bez, rano zamierzam przycisnąć Parzarriego. – Wyciągnęła się na łóżku. – Te konta, na które się natknąłeś, to dobry punkt zaczepienia. Och, Larrinę Chambers trudno uznać za utrzymankę – dodała, kiedy Roarke położył się obok niej. – Nie brak jej własnych pieniędzy. Jestem pewna, że coś ich łączy, ale nie jest jego utrzymanką. Nie wiem, czy uda mi się ją rozpracować. Muszę się nad tym zastanowić.

Ponieważ jej głos już stał się niewyraźny, Roarke zaczął bardzo delikatnie masować plecy Eve, żeby łatwiej jej się usnęło.

– Żona musi o tym wiedzieć. Nie można przez sześć czy siedem lat utrzymywać takiego związku w tajemnicy przed żoną. Musi się czegoś domyślać. Chyba że jest idiotką. Ja nie jestem idiotką.

Roarke uśmiechnął się, nie przestając jej masować.

– Będę o tym pamiętał, kiedy postanowię mieć z kimś wieloletni romans.

– Tak, tylko spróbuj. Nigdy nie znajdą twoich zwłok – wymamrotała i zapadła w sen.

Nie przestając się uśmiechać i czując się kochany, sam też szybko usnął.

Kiedy się obudziła, zobaczyła Roarke'a tam, gdzie zwykle. Już się ubrał, pracował na tablicie, a na monitorze przesuwały się cyfry i jakieś szyfry.

Ostrożnie usiadła. Była sztywna, trochę obolała, jak się tego spodziewała, ale nie poczuła żadnych ostrych ukłuć bólu. Dobry znak.

– No i jak tam? – zapytał ją.

– Całkiem dobrze. – Jej ramię nie chrzęściło, kiedy nim poruszała, choć trochę skrzypiało. Doszła do wniosku, że gorący prysznic będzie najlepszym lekarstwem.

Roarke zrobił palcem kółko, jak w nocy, a Eve, tak jak wtedy, przewróciła oczami i się odwróciła.

– Bardziej przypomina teraz Amerykę Południową – stwierdził. – Postęp. – Ale nie podobała mu się żółtawa pręga na jej piersiach.

– Kiedy znajdę tego drania, będzie miał Europę na tyłku – mruknęła.

– Proponuję Azję – odezwał się Roarke. – Jest większa.

– Azjatycki kopniak w dupę. Chyba jestem do tego zdolna.

Pomyślał, że Eve najpierw będzie musiała jego pokonać, ale nie powiedział tego na głos.

Wykręciła szyję, próbując obejrzeć swój tyłek w lustrze. Lepiej. Znacznie lepiej.

– Śniły mi się dzieciaki, szybujące w powietrzu. Niemożliwością było złapać je wszystkie.

– To... Wielka szkoda.

– Zgadzam się. Spadały na ziemię i puf! – Wyrzuciła ręce w górę. – Wszystko z nich wylaływało.

– Naprawdę, Eve, odbierasz mi apetyt na śniadanie.

– Nie mam na myśli flaków ani bebeczów. To przypominało małe, osobliwe zabawki i błyszczące cukierki. Jak w przypadku piniat, które trzeba rozbijać, żeby zobaczyć, co jest w środku.

Odłożył tabletki i spojrzał na nią.

– Masz taki fascynujący umysł. Ani na moment nie pozwalasz mi na beczynność.

– Była tam też ofiara. Siedziała na jednej z ławek w parku High Line. Powtarzała, że dwa dodać dwa równa się cztery. W kółko. Chciałam powiedzieć, że rozumiem, że liczby nie kłamią, wszystko musi się zgadzać. Powtarzała w kółko to samo, obliczając coś na jednym z tych prastarych urządzeń do dodawania.

– Na abakusie?

– Co to jest abakus? Ach tak, jedno z tych... – Stojąc nagusienka, nie licząc poduszczeni na ramieniu, z potarganą głową, przesunęła palcami w powietrzu. – Nie, to było jedno z tych... – Uderzyła dwoma palcami wskazującymi w powietrzu, a potem zakręciła ręką.

– Sumator.

– Tak. Ja próbuję złapać wszystkie te latające dzieciaki, a ona pracuje na sumatorze, mamrocząc pod nosem tę podstawową zasadę matematyczną. Rozpraszała mnie. Prawdopodobnie nie złapałam kilku dzieciaków, ponieważ nie przestała tego powtarzać. Tak czy owak, dziwny sen.

Rzeczywiście dziwny, pomyślał Roarke, kiedy Eve poszła do łazienki. Ale nie koszmarsenny.

Wstał, wziął świeży kompres i różdżkę, zaprogramował kawę. Po krótkim

zastanowieniu zdecydował się na omelety z serem i szpinakiem. Jeśli doda dużo sera, Eve nie będzie narzekała na szpinak. Uznał, że przyda jej się trochę białka i żelaza.

Kiedy wyszła z łazienki, owinięta w szlafrok, jedzenie i narzędzia pierwszej pomocy były na stole. Przyjrzała się wszystkiemu podejrzliwie.

– Co jest w tych jajkach?

– Zjedz, to się przekonasz. Zapoznałem się z kilkoma informacjami, wyszukаныmi przez komputer. Są ciekawe.

– Co masz?

– Zjedz, to się dowiesz.

Usiadła do śniadania, ale najpierw sięgnęła po kawę.

– Czy dwa i dwa równa się cztery?

– Wydaje mi się, że w tym wypadku nie. Jest tu przelew na ponad dwieście tysięcy na rzecz IOC. A jak się okazuje, IOC to kilka firm i organizacji, w tym pornograficzna strona internetowa o nazwie Intense Orgasm Companion, zajmująca się filmami, zabawkami, środkami na potencję, filmami w czasie rzeczywistym oraz wirtualnym seksem z licencjonowaną prostytutką. Podaje też zamiary do współpracujących ze stroną licencjonowanych panienek, które odwiedzają klientów w domu. I tym podobne atrakcje.

Seks, pomyślała Eve, zawsze się dobrze sprzedaje.

– Nie sądzę, żeby Alexander przekazał dwieście kawałków na pornografię z konta swojej firmy.

– Jestem gotów przyznać ci rację. Skłaniam się ku Investment Opportunity Corporation, niewielkiej firmie z siedzibą w Miami, ponoć obejmującej swym zasięgiem cały kraj. Handlują nieruchomościami – głównie na cele komercyjne, lecz również mieszkaniowe. Interesują ich tanie grunty już zabudowane albo przeznaczone pod zabudowę.

– Czy nie tym właśnie zajmują się głównie Alexander i Pope?

– Zgadza się. Dlatego to dziwne – chociaż całkiem legalne – że przekazują kilkusettyśięcną kwotę, zaksięgowaną jako koszty prowadzenia firmy, na konto innego przedsiębiorstwa. IOC jest również powiązane, jeśli dokładnie się przyjrzeć, z kolejną firmą, Real and Exclusive Properties. Ta mieści się na Kajmanach, podobno ma zasięg światowy. Na stronie internetowej można wyczytać, że służy inwestorom, zarówno prywatnym, jak zinstytucjonalizowanym, szukającym luksusowych nieruchomości. Między innymi przeprowadzają analizę potrzeb klienta i wyszukują dla niego właściwe obiekty.

– Jak na portalu randkowym?

Roarke uśmiechnął się szeroko.

– Chyba tak. Przedstawiają na swojej stronie kilka nieruchomości i kilka opinii zadowolonych klientów. Proponują osobisty kontakt w celu uzyskania dokładniejszych informacji i, naturalnie, wyłączną własność luksusowych nieruchomości.

– I czujesz w tym jakiś szwindel?

– Najdroższa, czuć to na kilometr. Takie interesy są wprost wymarzone, żeby oszukać naiwnych.

Wydawało jej się, że mniej więcej to pojmuje, ale chciała mieć pełną jasność.

– Dlaczego?

– W takim wypadku przede wszystkim trzeba zwabić klienta z forszą. Potem wręczyć komu trzeba łapówkę, jak przy każdym szwindlu tego rodzaju, by naciągnąć naiwniaka

na więcej. Podejrzewam, że niektóre z tych nieruchomości w ogóle nie istnieją albo ich wartość została znacznie zawyżona dzięki temu, że posmarowano, komu trzeba, oraz zapłacono kanciarzom, którzy nakręcili cały ten lewy interes.

– Jak udaje im się uniknąć zdemaskowania? Jeśli oskubią kilku klientów, zrobi się głośno.

– Wystarczy, żeby kwoty były stosunkowo niewielkie. Żeby nie wzbudzić zainteresowania Komisji Papierów Wartościowych i Giełd czy jej odpowiednika na cały świat. Depozyty trzymają na kilku kontach stosunkowo niskiej wartości. Zrobić szwindel, zwinąć interes, wziąć pieniądze, uprać je, jeśli trzeba, a potem zacząć od nowa gdzie indziej. Pod innym nazwiskiem, ze zmienionym wyglądem, w nowym miejscu. Ale metoda działania ta sama. To najprostsze.

– No dobrze. – Tak, już widziała, jak to przebiega. – Alexander dostaje swoją część... Słoniową część...

– Lwią część, jak doskonale wiesz.

– Słonie są największe, a on bierze największą działkę.

– Nie można dyskutować z twoją... logiką.

– No widzisz? Czyli jest słoniem. Potem musi uprać pieniądze i ukryć na jakimś koncie albo tylko je ukryć.

– Przy handlu nieruchomościami jest inny, bardzo prosty sposób prania pieniędzy. Kupuje się nieruchomość poniżej wartości rynkowej, a różnicę wypłaca gotówką sprzedającemu, który w ten sposób oszczędza na podatkach. Kilka miesięcy później odsprzedaje się nieruchomość po cenie rynkowej i w ten sposób mamy legalny zysk. Pieniądze są czyste.

– On ma idealne warunki, żeby to robić.

– Owszem. Naturalnie istnieje wiele innych sposobów, bardziej skomplikowanych, gwarantujących osiągnięcie większego zysku. Na przykład można założyć firmę udzielającą pożyczek. Spodziewam się na nią natknąć. Klient bierze pożyczkę na zakup nieruchomości. Potem zarabia się trochę na pożyczce, a rzeczywista wartość nieruchomości po oszacowaniu okazuje się drobnym ułamkiem pożyczonej kwoty. Jeśli ograniczyć się do niewielkich sum, kilka tysięcy tu, kilka tysięcy tam, żeby nie przyczepił się urząd podatkowy, można wypłacić pieniądze z tych kont pożyczkowych, uprać je i wszystko jest cacy. Jeśli lub kiedy klient nie spłaci pożyczki, która przekracza wartość nieruchomości, odzyskuje się również ziemię.

Słuchała, jedząc.

– Wygląda na to, że masa przy tym roboty. I wydaje mi się, że można zarobić, robiąc to wszystko zgodnie z prawem.

– Ale wtedy nie ma tego dreszczyku emocji, nie ma tej frajdy, że oszukuje się na podatkach... No i satysfakcji, jaką niektórzy ludzie odczuwają, kantując innych.

– Szybkie wzbogacenie się zwykle wiąże się z oszustwem i wykorzystywaniem frajerów.

– A tych nigdy nie brakuje – zauważył Roarke. – Według mnie znakomita większość klientów należy do jednej z dwóch kategorii: albo to naiwniacy, inwestujący pierwszy raz, albo ludzie zbyt pewni siebie, którzy wierzą, że uda im się przechytryć cwaniaków.

– Czy kiedykolwiek prowadziłeś tego typu interesy?

– Lubiałem zapach świeżo wypranych pieniędzy, moja pani porucznik. – Uśmiechnął się, dolewając im kawy. – Ale nie oszukiwałem, handlując nieruchomościami. Mógłbym to robić – dodał. – Lecz zawsze wolałem czystą grę. I jestem w tym dobry. Lubiałem

kraść. Trudno się tłumaczyć, szczególnie gliniarzowi, ze swoich skłonności i zamiłowania do działań niezgodnych z prawem. Początkowo kradłem, by przeżyć, ale nie ulega wątpliwości, że się w tym rozsmakowałem. Nigdy jednak nie przepadałem specjalnie za szwindlami. A teraz...

Nachylił się do Eve i pocałował ją w policzek.

– Lubię służyć swoimi umiejętnościami tobie. I będę to dziś robił. Mam do załatwienia kilka swoich spraw, ale sądzę, że uda mi się to zrobić bez wychodzenia z domu. A potem się przekonam, jak to jest z tym „dwa dodać dwa równa się cztery”.

– Może uda mi się złamać Parzarriego. Jeszcze wszystko go boli. Jeśli będę musiała, wykorzystam to.

– Masz dość, żeby oskarżyć Alexandra o oszustwa. Z tego, co już ci powiedziałem, wyłania się wyraźny obraz.

– Być może, ale nie chcę go aresztować za oszustwa. Chcę mu udowodnić zabójstwo. Jemu i pozostałym. Współdziałł w przygotowaniu zbrodni, morderstwo na zlecenie. Jeśli zacznę od oskarżenia o oszustwo, zaraz zainteresują się tym federalni. Nie będzie im tak bardzo zależało na wyjaśnieniu zabójstwa Dickenson, jak na udowodnieniu oszustwa na wielką skalę w handlu nieruchomościami, prania brudnych pieniędzy i unikania płacenia podatków. Wolę, żeby sobie myślał, że tamto ujdzie mu na sucho, a jego jedynym powodem do niepokoju jestem ja, prowadząca śledztwo w sprawie zabójstwa.

– Może spróbować znów cię dopaść.

– Może. Prawdopodobnie jest wystarczająco głupi. Ale mam swój czarodziejski płaszcz. Nie martw się – powiedziała, wiedząc, że Roarke się niepokoi. – Nie udało mi się za pierwszym razem, a przyznaję, że niczego się nie spodziewałam. Teraz będę czujna. Musi jakoś opłacać zabójcę. Nie sądzę, żeby był na tyle głupi, by znaleźć mu pracę w sklepie z zabawkami.

– Oferują niskie zarobki.

– Nie udało mi się znaleźć tego łobuza, kiedy analizowałam wykaz zatrudnionych, ale gdzieś musi być. Zlecę Feeneyowi ustalenie jego tożsamości. Nadal uważam, że to były gliniarz lub wojskowy. Wcześniej czy później go znajdziemy. Ale teraz najważniejszy jest audytor.

Wstała, żeby się ubrać.

– Jeśli uda mi się załatwić swoje sprawy i ustalę coś konkretnego w twojej sprawie, przyjadę do komendy, żeby przedstawić ci raport.

– Nie mam nic przeciwko temu, ale najpierw do mnie zadzwoń. Mogę być w terenie.

– Znajdę cię.

Eve przypięła broń i włożyła marynarkę, a Roarke wyciągnął się ze swoim tabletem na kanapie. Spasiony kot położył mu się na nogach.

Można by przypuszczać, pomyślała, że ten człowiek nie ma zupełnie nic do roboty.

Chociaż z drugiej strony, jeśli popatrzeć, jak traktował pracę, wcale nie było to takie dalekie od prawdy.

– W taki sposób zamierzasz pracować?

– Przez najbliższe dwadzieścia minut. – Spojrzał na Eve, uśmiechnął się i kiwnął na nią palcem.

Nachyliła się, żeby mógł ją pocałować.

– Chciałem ci powiedzieć, że po premierze zaplanowałem przyjęcie w „Around the Park”.

Jej oczy przemieniły się w sztylety.

– Zaczekałeś z powiedzeniem mi tego, kiedy właściwie już wyszłam z domu, żebym nie mogła okazać swojego niezadowolenia.

– Czyż nie świadczy to, jak dobrze się nawzajem znamy i rozumiemy?

– Jeszcze ci pokażę, o czym to świadczy – mruknęła z gniewem i wyszła.

– Uważaj na eksplodujące niemowlaki! – zawołał za nią i usłyszał jej śmiech.

*

Chaz Parzarri czuł się świetnie. No cóż, ostatecznie przyleciał prywatnym wahadłowcem, opłaconym przez firmę ubezpieczeniową tych półgłówków, którzy spowodowali wypadek, oraz przedsiębiorstwa taksówkowego, które nie spełniło wymogów bezpieczeństwa. I podczas całego lotu pielęgniarka podawała mu środki przeciwbólowe.

Powiedzieli, że poleży jeszcze parę tygodni w szpitalu, a później czeka go kilka tygodni rekonwalescencji, ale nie miał nic przeciwko temu. O ile nadal będzie dostawał środki przeciwbólowe.

Miał pracę do wykonania. Mógł to zrobić w szpitalu, bo czekał na niego jednoosobowy pokój, też opłacony przez firmy ubezpieczeniowe. Raz-dwa upora się z audytem, a okazując gotowość do jego zakończenia, zyska punkty u przełożonego i Alexandra.

Wypadek, teraz, kiedy już nie cierpiał katuszy za każdym razem, gdy choćby mrugnął, właściwie też miał swoje dobre strony. Chaz dostał wysokie odszkodowanie, płatny urlop, wszyscy okazali mu mnóstwo współczucia i troskę. Prawdę mówiąc, postanowił kilka razy powtórzyć ten numer. Wystarczająco wysokie odszkodowanie i może przejść na emeryturę, prowadzić wygodne życie na Hawajach, tak jak zamierzał za sześć lat z kawalkiem.

Kiedy odzyskał przytomność, był przerażony. Naprawdę mało nie zrobił w majtki ze strachu. Bał się, że umrze, albo że lekarze stwierdzą nieodwracalne zmiany w jego mózgu, kiedy wykonają wszystkie te swoje badania. Gdy przestał się o to bać, zaczął się bać o audyt. Zabrał się do niego tuż przed kongresem w Vegas.

No dobrze, może trochę się spóźnił, ale zostało jeszcze mnóstwo czasu. Powinno zostać. I miał już przygotowane korekty, spreparowane liczby, a w domowym komputerze starannie ukrył miesięczne sprawozdania, którym nic nie można było zarzucić.

Wystarczy parę dni, by wprowadzić poprawki, sporządzić analizę i sprawdzić całość. Zlecenie wykonane, na jego rachunek wpłynie okrągła sumka, którą potem osobiście przekaże na swoje anonimowe nieopodatkowane konto w Szwajcarii.

Wszystko będzie dobrze, powtarzał sobie. Skończy ten audyt kilka dni później, ale sporo czasu przed ostatecznym terminem.

Nie udało mu się skontaktować z Alexandrem. W szpitalu w Vegas nie pozwolono mu korzystać z telefonu. Ale z drugiej strony do wczoraj i tak ledwo mógł mówić. Zadzwoni do Alexandra, jak tylko umieszczą go w separacie.

Przykuśtykał do niego Jim Arnold z nogą w gipsie.

– Jak leci, towarzyszu niedoli?

– Powolutku, towarzyszu niedoli.

Jim usiadł, wyciągnął przed siebie unieruchomioną nogę i lekko się skrzywił.

– Już nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do domu. Lekarz z Vegas powiedział, że prawdopodobnie wypiszą mnie, jak tylko mnie zbadają. Może zostanę w szpitalu na jedną noc, ale potem mnie wypuszczą. Przykro mi, że ty miałeś mniej szczęścia.

– Tak. – Parzarri zrobił posępną minę, chociaż nawet się cieszył perspektywą spędzenia kilku dni w szpitalu i z tego, jak wszyscy będą wokół niego skakać, przynosić mu smakołyki. – Chyba wyczerpałem całe swoje szczęście, grając w blackjacka.

– Dobrze ci szła karta. Aha, chciałem ci powiedzieć, że Sły przysłał wiadomość. Spotka się z nami w szpitalu. Powiedziałem mu, że nie musi tego robić, ale odpisał mi, że chce nas zobaczyć. Znasz Słya. No, za chwilę lądujemy. Słuchaj, czeka na mnie żona, jednak jeśli chcesz, pojedę z tobą.

– Daj spokój. Jedź z żoną. Przecież już i tak z mojego powodu zostałeś w Vegas dzień dłużej.

– Nie mogłem zostawić kumpla. Jesteśmy teraz kombatantami, towarzyszami niedoli.

– Jasne. – Parzarri unióś rękę, żeby przybić piątkę.

Tracił przytomność i ją odzyskiwał, leżąc sobie wygodnie na noszach, kiedy wahadłowiec lądował.

Pocziwy, stary Nowy Jork, pomyślał. Czy będzie mu go brakowało, kiedy zamieszka gdzieś pod palmami, w domu z widokiem na ocean?

Wątpił.

Może kupi sobie jakiś mały bar, zatrudni dobrego barmana. Zabawnie będzie przyglądać się wszystkim tym półnagim dziewczynom, sączącym egzotyczne koktajle.

Może nauczy się surfować.

Uśmiechając się do siebie, snuł marzenia, kiedy wynoszono go z wahadłowca. Poczuł falę zimną; zacisnął powieki i wyobraził sobie łagodny wietrzyk, rozgrzany piasek, fale przypląwu.

– Będę jechał zaraz za tobą, Chaz.

Parzarri na chwilę otworzył oczy i unióś kciuk w górę. Zobaczył, jak blada twarz jego kolegi z pracy rozpromienia się nagle.

– Witaj, skarbie! – zawołał jego towarzysz podróży do Vegas i pokuśtykał prosto w ramiona żony.

– Miłego spotkania – wymamrotał Parzarri, kiedy wsadzali go do ambulansu.

W środku było ciepło. Westchnął zadowolony. Dobiegały go różne głosy – pielęgniarki, która im towarzyszyła podczas lotu, zdającej raport sanitariuszom, paplaniny żony Jima, radosny śmiech kolegi, że wrócił do domu.

Potem ambulans zatrzęsł się lekko, gdy wsiadł sanitariusz i zatrasnął podwójne drzwi. Karetka ruszyła.

– Nie zapomnijcie mi podać środków przeciwbólowych. – Parzarri uśmiechnął się, spojrzął w górę i zaczął myśleć o kobietach w bardzo skąpych kostiumach bikini, o skórze ozłoczonej słońcem, wilgotnej od morskiej wody. – Aloha.

Było mu tak ciepło, był taki ociężały. Z trudem odwrócił głowę, kiedy poczuł, jak przypinają go do noszy.

– Po co to?

– Żebyś nie spadł.

Zaintrygowany Parzarri znów odwrócił głowę i utkwiał wzrok w znajomej twarzy.

– Ej, co tu robisz? Twój szef polecił mnie pilnować?

– Zgadza się.

- Doceniam to.
- Chce wiedzieć, czy z kimś rozmawiałeś.
- Słucham?

Mężczyzna wyciągnął rękę, by wyłączyć kropłówkę.

- Pan Alexander chce wiedzieć, czy rozmawiałeś z kimś o audycie i innych sprawach.

– Jezu, prawie cały czas leżałem w śpiączce! Kłuto mnie, macano i sam nie wiem, co jeszcze. Z kim miałem rozmawiać? Potrzebne mi te środki przeciwbólowe, człowieku. Znów zaczęło mnie boleć.

- Pan Alexander chce wiedzieć, czy masz jakieś dokumenty albo akta.

– Jasne, że tak. Jestem księgowym. Mam wszystko, co potrzebne do ukończenia audytu. Zrobię to w szpitalu, jak tylko oddadzą mi notebook i dostanę dokumenty. Może po nie postać Jake'a. On będzie wiedział, co mi jest potrzebne.

– Pan Alexander chce wiedzieć, czy poza swoim biurem masz jakieś dokumenty bądź akta, jakiegokolwiek informacje o jego firmie.

– Co to ma znaczyć? Włącz kropłówkę, dobrze? Daj spokój, człowieku. – Poczłut przeraźliwy ból, kiedy otrzymał cios pięścią w żebra. Nabrał powietrza w płuca, żeby krzyknąć, ale kierowca włączył syrenę, by zagłuszyć jego krzyk.

– Odpowiedz na pytanie. Czy masz poza swoim gabinetem w biurze jakieś dokumenty bądź akta, jakiegokolwiek informacje o firmie pana Alexandra?

– Nie! Na Boga! Dlaczego miałbym mieć? Zajmę się tym, jak zawsze. Wykonam to, co do mnie należy.

- Pan Alexander uznał, że już mu nie jesteś potrzebny.

Powiedziawszy to, położył swoją wielką dłoń na ustach Parzarriego i zacisnął mu nos. Syrena wyła, światła migwały, ciałem Parzarriego wstrząsały drgawki, wywołane brakiem powietrza i bólem. Przewracał oczami jak oszalały koń.

Naczynka krwionośne w oczach mu popękały, więc wyglądał, jakby płakał krwawymi łzami. Zacisnął ręce na noszach, starając się oswobodzić z więzów.

Posikał się, przekrwione oczy mu znieruchomiały.

Rosły mężczyzna cofnął rękę i walnął pięścią w dach karetki. Kierowca wyłączył syrenę i koguta, wjechał do nieużywanego tunelu. Obaj mężczyźni wysiedli, ten potężnie zbudowany wziął walizkę, z którą Parzarri poleciał do Vegas. Wrzucił ją do bagażnika czekającego samochodu, a potem zajął miejsce obok kierowcy.

Podobało mu się, że siedzi w dużym, przestronnym aucie, że wiozą go, jakby był kimś. A teraz, kiedy to zrobił – dwa razy – rozsmakował się w zabijaniu.

Eve stała na podjeździe dla karettek. Zgodnie z ustaleniami Parzarriego zabrano karetkę, natomiast Arnolda, który miał trafić tylko do ambulatorium, przywiezie jego żona.

- Jak masz zamiar to rozegrać? – spytała ją Peabody.

– Najpierw chcę mu się przyjrzeć, przekonać się, w jakim jest stanie. Pozwolimy, żeby umieszczono go w sali i tam go przesłuchamy. Na samym początku zamierzam poinformować go, jakie mu przysługują prawa. Nie tylko żeby formalnościom stało się zadość, ale żeby go też trochę nastraszyć. Powinnaś mieć surową minę.

- Nie będę dobrą policjantką?

- Nie sądzę, żebyśmy potrzebowały dobrej policjantki.

Peabody wykonała krótki taniec w swoich różowych kowbojkach.

– Hurra!

– Musimy też porozmawiać z Arnoldem. Możemy to zrobić, kiedy będą się cackać z Parzarrim. – Zatrzymała się na widok Sylwestra Gibbonsa.

– Porucznik Dallas, pani detektyw. Nie spodziewałem się tutaj pań tak szybko.

– Musimy porozmawiać z pańskimi ostatnimi podwładnymi, których jeszcze nie przesłuchałyśmy.

– Naturalnie. Jasne. Ach... – Wypuścił powietrze z płuc i potarł twarz dłonią. – Czy mogę zamienić kilka słów z Chazem? Jim wie o Marcie, ale prosiłem go, żeby nic nie mówił Chazowi. Biedak był w kiepskim stanie, lekarze chcieli mu oszczędzić dodatkowych wzruszeń, zdenerwowania. Zabronili mu nawet korzystać z telefonu i oglądać telewizję. Wolałbym osobiście go poinformować, co się wydarzyło. Nie chcę, żeby dowiedział się tego od gliniarzy. Bez urazy. Uważam, że będzie mu łatwiej, jak usłyszy to od przyjaciela.

– Najpierw porozmawiamy z panem Arnoldem.

– Bardzo dziękuję. To samochód Jima. A oto i Jim we własnej osobie. Boże, nie wygląda najlepiej.

Eve zobaczyła, jak ktoś z personelu podjeżdża z wózkiem inwalidzkim i mężczyzna – z nogą w gipsie, z bladą, ściągniętą twarzą – przesiadł się z samochodu na fotel.

– Jim! – Gibbons podbiegł do niego. – Jak tam? Jak się czujesz?

– Bywało lepiej. – Jim uściśnął dłoń szefowi. – Ale uwierz mi, że dwa dni temu byłem w gorszym stanie. Ogromnie się cieszę, że wróciłem.

– I my też się cieszymy. Troskliwie zajmą się tutaj tobą i Chazem. Nie chcę, żebyście się czymkolwiek martwili. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, daj mi znać.

– Chcę, żeby mnie zbadano i wypuszczono do domu. – Spojrzał na Eve, potem na Peabody i znów na Eve. – Policja?

– Porucznik Dallas – przedstawiła się Eve. – I detektyw Peabody.

– Marta. – Do oczu napłynęły mu łzy. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie wiem, co o tym myśleć, co robić. Nie powiedziałem Chazowi – zwrócił się do Gibbonsa. – Nawet nie wiem, czy potrafiłbym to zrobić, gdybyś mi nie zabronił poinformować go o tym... Lekarze też uważali, że tak będzie najlepiej. Nie mam pojęcia, jak on to przyjmie. Sły. Ucierpiał znacznie gorzej ode mnie. A gdzie on jest?

– Jeszcze nie dotarł.

– Odjechali przed nami. – Wyraźnie zaniepokojony Arnold próbował się obrócić w wózku, rozejrzeć. – Razem z żoną siedzieliśmy w samochodzie przez kilka minut, a oni natychmiast odjechali. Chyba natknęli się na korki. Może wybrali inną trasę?

Eve ogarnęły złe przeczucia. Dała znak Peabody.

– Mamy kilka pytań... – zaczęła, kiedy jej partnerka pospiesznie odeszła.

– Naprawdę musimy zabrać teraz pacjenta na badania – odezwał się pielęgniarz.

– Chcę zaczekać na Chaza. Kochanie. – Wyciągnął rękę do kobiety. Miała oczy zaczerwienione od płaczu. – Jeszcze nie przyjechała karetka z Chazem.

– Widocznie pojechali inną drogą. – Pochyliła się nad nim. – Nie przejmuj się tym teraz. Nic mu nie będzie. Wszystko będzie dobrze.

– Pani porucznik...

Ton Peabody i jej mina świadczyły, że nie ma dobrych wiadomości. Eve podeszła do niej.

– Czego się dowiedziałas?

– Nie mogą się skontaktować z karetką. Nikt nie odbiera telefonu.

- Chcę poznać nazwiska sanitariuszy, których po niego wysłano.
- Mam je. Dyspozytor próbuje się dodzwonić na ich prywatne komórki. Wszystkie karetki są wyposażone w system lokalizacji. Odnajdą ją.
- Miej ich na oku – poleciała i skierowała się do dyspozytorni. Zanim tam dotarła, usłyszała gniewne głosy.
- A ja ci mówię, że przeniesiono mnie na zmianę od dziewiątej. I Mormona też. Zapytaj go!
- Zgodnie z dokumentami, miałeś pojechać po pacjenta.
- Tak, ale przesunięto mnie na inną zmianę.
- Kiedy pana o tym poinformowano? – zapytała go Eve.
- Kim pani jest, do jasnej cholery?

W odpowiedzi wyjęła odznakę.

- Jezu, to teraz prawo zabrania zmian w grafikach? Dziś o szóstej rano dostałem SMS. Zamiast stawić się o siódmej i pojechać po pacjenta, kazano mi się zameldować w pracy o dziewiątej. Proszę spojrzeć. – Wyciągnął telefon, wyświetlił odebrane SMS-y i podał komórkę Eve.

Odczytała wiadomość.

- Gdzie jest ten Mormon?
- Byliśmy w stołówce, chcieliśmy zjeść śniadanie. Pobiegł po kawę, kiedy przyjechała furgonetka. Za chwilę wróci.
- Zlokalizowaliście ambulans? – spytała Eve.
- Tak, przed chwilą. Zboczył daleko z trasy – powiedziała kobieta, marszcząc czoło. – I nie mam pojęcia, kto w niej jest, ponieważ z dokumentów wynika, że powinni to być Mormon i Drumbowski, a Drumbowski stoi tutaj.
- Ja nic nie pokręciłem – upierał się sanitariusz.
- Zgadza się – powiedziała Eve. – Gdzie jest karetka?
- Co tu się, u diabła, dzieje? – Drumbowski wyrzucił ręce w górę.

Ale Eve wysłuchiwała tylko, gdzie zlokalizowano karetkę, i wybiegła. Już wiedziała, że Chaz Parzarri nie dojedzie do szpitala. Była pewna, że wkrótce trafi do kostnicy.

Rozdział 15

Eve spodziewała się, że Chaz Parzarri będzie martwy. No bo przecież nieuczciwego księgowego można zastąpić nowym. Ale i tak poleciła Peabody, żeby wezwała mundurowych na miejsce wskazane przez GPS, kiedy pędziły przez miasto.

– Dwie jednostki są w pobliżu – poinformowała ją Delia, kurczowo zaciskając palce na uchwycie i modląc się, by okazało się prawdą, że samochód jej partnerki rzeczywiście gwarantuje bezpieczeństwo pasażerom i jest tak zwrotny, jak twierdzili jego konstruktorzy.

Serce podeszło jej do gardła, kiedy wzbily się pionowo w górę, by wyminąć na milimetry jaskrawożółty sznur taksówek. I doszła do wniosku, że może tam już pozostać, gdy wóz przechylił się na jej stronę jak samolot, kiedy Eve brała zakręt.

– Głupotą byłoby zabicie go. – Samochód wrócił na jezdnię, bo Eve wypatrzyła jakąś lukę pośród sunących pojazdów. – Ale oni nie grzeszą mądrością. Powinam była to uwzględnić. Skrajna głupota.

– Dużo wie... – zaczęła Peabody.

– Bo jest nieuczciwy. Mogli mu zaproponować pieniądze za milczenie. Nie wiedzą, że Dickenson zrobiła kopie. Mogli mu zapłacić za milczenie, pozwolić mu sfałszować księgi i dopiero wtedy go zabić. Albo wyprawić gdzieś daleko stąd. Właściwie nic go nie łączy z tą sprawą. Mogli go wysłać do kraju, z którym nie mamy umowy o ekstradycję, dać mu nową tożsamość i nadal go zatrudnić. Po co szukać kolejnego księgowego? Zabicie Parzarriego oznacza same straty.

– Może właśnie próbują go ukryć albo gdzieś wywieźć.

Eve pokręciła głową.

– Gdyby mieli taki zamiar, zrobiliby to, kiedy był w Vegas. Po co go ściągać tutaj, żeby zaraz gdzieś go wyekspediować? Ale jeszcze większą głupotą jest sprowadzenie go tutaj, żeby go zabić. Dlaczego nie zrobili tego, kiedy znajdował się w Vegas, daleko stąd? To głupota. Są kretynami. Skończonymi kretynami.

Zahamowała gwałtownie, aż zarzuciło tyłem samochodu, i zatrzymała się obok czarno-białego radiowozu.

Kiedy wysiadła, z góry dobiegł ją hałas jadących pojazdów. Jakiś mundurowy stał obok karetki z otwartymi tylnymi drzwiami, drugi tkwił obok drzwi dla kierowcy. Zauważyła jeszcze dwóch, którzy rozmawiali, a raczej próbowali rozmawiać z trzęsącym się ćpunem.

– W karetce są zwłoki, pani porucznik. Jeszcze ciepłe.

Zajrzała do środka, żeby się upewnić, czy to rzeczywiście Chaz Parzarri.

– Peabody, musieli tu mieć drugi samochód. Sprawdź, co uda ci się zobaczyć na zdjęciach kamer, kontrolujących ruch w pobliżu tego miejsca. Odjechali stąd nie wcześniej niż kwadrans temu, przypuszczalnie mniej niż kwadrans temu. Co to za jeden? – spytała mundurowego, wskazując głową ćpuna.

– Kiedy przyjechalśmy, właśnie próbował wejść do karetki. Drzwi nie były zablokowane, ale jest tak naćpany, że nawet nie mógł ich otworzyć. – Mundurowy położył rękę na biodrze, tuż poniżej pasa z koalicijką. – Twierdzi, że chciał tylko sprawdzić, czy ktoś jest w środku. Jak dobry obywatel.

– Akurat.

– Tak, domyślił się, że coś kręci. Takie ćpuny jak on potrafią zwęszyć dragi na kilometr. Chłopaki wzięli go w obroty, jednak twierdzi, że niczego nie widział.

Dowody świadczą o czymś innym, pomyślała Eve, rozejrzawszy się wkoło. Za jednym z filarów dostrzegła stertę gruzu i śmieci.

– Czy to jego meta?

– Tak przypuszczamy.

– Porozmawiam z nim. Zostańcie tutaj.

– Powodzenia.

Mężczyzna miał na sobie brudny, zielony płaszcz i podarte pomarańczowe spodnie od dresu. Był wychudzony, rozdęty brzuch świadczył o poważnym niedożywieniu. Patrzył załzawionymi oczami z czerwonymi obwódkami – światło słoneczne jest wrogiem ćpunów – na zмирzającą w jego stronę Eve, a potem wyjął brudne okulary przeciwsłoneczne z pękniętym lewym szkłem.

Palcami szarpał postrzępiony koniec czarnego szalika, którym obwiązał sobie szyję. Szurał nogami w zniszczonych, wojskowych buciorach bez sznurowadeł, z zelówkami, sklejonymi srebrną taśmą. Z tą swoją bladą, wyniszczoną, brudną twarzą mógł mieć od trzydziestu do osiemdziesięciu lat.

Był czymś synem, mógł być kiedyś czymś kochankiem albo ojcem. Kiedyś wiódł normalne życie, zanim złożył je na ołtarzu narkomanii.

– Przechodziłem tędy – powiedział, nie mogąc ani chwili ustać bez ruchu. – Tylko tędy przechodziłem. Ma pani coś na zbyciu? Nie proszę o dużo.

Eve postukała w odznakę.

– Widzisz to?

– Tak, tak. – Zamrugał gwałtownie.

– To odznaka. Odznaka porucznika. To znaczy, że nie jestem panią. Nazwisko.

– Czyje?

– Twoje.

– Doktorek. Tiku-tiku, tyle krzyku.

– Mieszkasz tu, Doktorku?

– Nikomu tu nie wadzę. Trzymam się z dala od innych. Może pani sprawdzić.

– Sprawdzam. Byłeś u siebie, kiedy nadjechała tu karetka?

– Tylko tędy przechodziłem. – Załzawione oczy znów zrobiły się rozbiegane. – Tylko tędy przechodziłem.

– Skąd dokąd?

– Znikąd donikąd.

– Akurat sobie szedłeś znikąd donikąd i zobaczyłeś zaparkowany ambulans nie dalej niż dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie mieszkasz?

Uśmiechnął się i Eve miała okazję zobaczyć, jakie spustoszenia może spowodować brak właściwej higieny jamy ustnej.

– Tak. Tak. Proszę sprawdzić.

– Nie wydaje mi się, Doktorku. Przypuszczam, że siedziałeś w swoim domku. Powinieneś być ciepło opatulony w taki zimny dzień, bo nie spacerowałeś tak lekko ubrany. Założę się, że masz więcej ciuchów, które wkładasz, kiedy się wybierasz na poszukiwanie towaru.

– Tylko tędy przechodziłem – upierał się; jego głos nabrał piskliwych tonów. – Niczego nie widziałem. Mam kłopoty ze wzrokiem. Jestem chory.

Tak, pomyślała, na chroniczne uzależnienie od narkotyków.

– Zaczekaj tutaj.

Wróciła do swojego wozu, zajrzała do schowka. Jak przypuszczała, znalazła tam dwie pary okularów przeciwsłonecznych, które zostawił albo Roarke, albo Summerset, bo ciągle je gubiła.

Każde z nich kosztowały więcej pieniędzy, niż Doktorek widział w ciągu dziesięciu lat zebrania na ulicy. Wzięła jedno i wróciła do ćpuna, wymachując nimi.

– Chciałbyś je mieć?

– Jasne! Jasne! – W jego oczach pojawiła się desperacja. – Wymienimy się?

– Tak, ale nie chcę w zamian twoich okularów. Dam ci te, jeśli mi powiesz, co widziałeś. Bez żadnego wciskania kitu. Powiedz mi prawdę, a są twoje.

– Powiem prawdę. Nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę pokazuje właściwą godzinę.

– No więc jak? Nie. – Cofnęła rękę, tak żeby okulary znalazły się poza zasięgiem jej rozmówcy. – Chcę poznać prawdę o tym, co tu widziałeś. Co wiesz o tym ambulansie.

– Nie wszedłem do środka. Tylko mu się przyjrzałem. Tylko tędy przechodziłem.

– Kto z niego wysiadł?

Utkwił w niej wzrok i wzruszył ramionami.

– Jak chcesz. – Odwróciła się.

– Wymieńmy się!

– Nic ci nie dam, jeśli mi nie powiesz, co widziałeś. Powiesz mi prawdę, dostaniesz okulary. Umowa stoi?

– Wysiedli sanitariusze. A co pani myślała? Sanitariusze w białych fartuchach. Ale nie pozwolę im się zabrać. Nie ma mowy. Schowałem się.

Zamachał rękami w powietrzu.

– Nie potrzebuję żadnych karetek, żadnych sanitariuszy.

– Ilu sanitariuszy wysiadło?

– Chyba dwóch. Nie widzę za dobrze. Tak, dwóch. A potem się przebrali. Mieli je w bagażniku.

– Co mieli w bagażniku?

– Swoje płaszcze. A co pani myślała? W bagażniku dużego wozu, który tu stał, kiedy się obudziłem. Duża bryka. Lśniąca. Nowiutka. Nie mogłem wejść do środka, bo była zamknięta. Chciałem tylko popatrzeć – dodał pospieszenie. – Chciałem tylko popatrzeć, ale była zamknięta. Sanitariusze włożyli płaszcze, wsiedli do dużej, lśniącej bryki i odjechali!

– Jak wyglądali? – Mało prawdopodobne, że otrzyma odpowiedź na to pytanie, pomyślała, ale musiała je zadać. – Ci sanitariusze, którzy wsiedli do dużej, lśniącej bryki.

– Jeden był duży, drugi mały. Nie widzę za dobrze, ale jeden był duży. – Doktorek szeroko rozpostarł ręce, unosząc je w górę, przy okazji Eve miała wątpliwą przyjemność poczuć zapach jego ciała.

– No dobra, a ten samochód? Był biały czy czarny?

– Ciemny. Może czarny, nie wiem. Błyszczący. Powiedziałem prawdę. Dostanę okulary?

– Masz. – Uznawszy, że wyciągnęła z niego wszystko, co się dało, Eve wręczyła mu okulary. – Nie, te też zatrzymaj – powiedziała, kiedy chciał jej wcisnąć swoje połamane. – Wymieniliśmy się prawdą za okulary. Jesteśmy kwita.

Kiedy odeszła, podbiegł do niej jeden z mundurowych.

– Pani porucznik, mamy go zabrać do ośrodka dla narkomanów?

Teoretycznie należało to zrobić, pomyślała, i może nawet byłoby to etyczne. Ale oceniając realistycznie? Za tydzień go wypiszą, a w tym czasie straci swój kąt i najprawdopodobniej znajdzie się w gorszej sytuacji niż teraz.

– Nie, puśćcie go. Może od czasu do czasu zajrzyjcie tu, sprawdźcie, jak sobie radzi. Mundurowy skinał głową.

– Całkiem nieźle się tu urządził. Pogoda na ogół nie daje mu się we znaki i wygląda na to, że hieny zostawiły go w spokoju. Chyba nigdzie nie będzie mu lepiej niż tu.

Czasami, pomyślała Eve, trzeba się tym zadowolić.

Kiedy szła w stronę karetki pogotowia, przybiegła Peabody.

– Poprosiłam wydział przestępstw elektronicznych o sprawdzenie zapisów z kamer. O ósmej dwadzieścia trzy zarejestrowały samochód, jadący na wschód. Ale tamci pomyśleli o kamerach, Dallas, zamazali tablice rejestracyjne z przodu i z tyłu. Mamy markę i model, czarny executive lux 5000 z tego roku. Wszystkie szyby, łącznie z przednią, zabezpieczone przed spojrzzeniami z zewnątrz, co jest niezgodne z przepisami. Czyli nie wiemy, kto był w środku.

– Niech McNab sprawdzi, czy Alexander albo jego firma nie posiadają takiego wozu. Potrzebna mi jeszcze jedna informacja. Musieli tu jakoś doprowadzić wóz. Przypuszczam, że dziś wczesnym rankiem. Czyli przyjechali w dwa samochody.

– Trzy pojazdy dla jednego księgowego? To szczyt głupoty.

– Tak, ale już ustaliliśmy, że nie grzeszą rozumem.

– Mieli szczęście, że ten, który tu zostawili, nie został rozebrany na części.

– Gdyby Doktorek, czyli ten ćpun, który teraz paraduje w moich okularach przeciwsłonecznych, trochę ruszył mózgowicą, zbiłby szybę, żeby zabrać ze środka, co się da. Gdyby mieli więcej oleju w głowie, postaraliby się, żeby ktoś umówiony czekał tu na nich. A najprościej byłoby zatrzymać taksówkę. Nasuwa się jeden wniosek: człowiek, który wydaje im polecenia, nie ma bladego pojęcia, jak się toczy życie na ulicach Nowego Jorku. Ma to związek z jego uprzywilejowaną pozycją społeczną.

Eve zabezpieczyła ręce sprayem, a potem weszła do ambulansu.

– Niech tu przyjadą technicy, a ktoś od Feeneya niech spróbuje dowiedzieć się od ochroniarzy w szpitalu, kiedy i w jakich okolicznościach odjechała karetka.

Chociaż znała jego tożsamość i doskonale wiedziała, kiedy mniej więcej został zabity, Eve potwierdziła te informacje. Włączywszy rekorder, przyjrzała się uważnie pasom unieruchamiającym, nadgarstkom i nogom ofiary. Zauważyła popękane naczynka krwionośne w gałkach ocznych, sińce wokół ust i na nosie.

Tak, jak jego kolega z pracy, który nadal żył, Parzari był błądliwy i potłuczony. Eve pamiętała, że odniósł znacznie poważniejsze obrażenia od Arnolda.

Uniosła denatowi górną wargę, zobaczyła rozmazaną krew na dziąsłach.

Pomyślała, że źle to sobie wykalkulowała. Zasiała ziarno, chciała zarzucić się na dyrektora finansowego. Chciała, żeby zaczął się pocić.

Nie przypuszczała, że ktoś będzie na tyle głupi, by podać jej na tacy jeszcze jedno ogniwo łańcucha, zleci kolejne morderstwo, zamiast zaproponować łapówkę lub premię. Że tak szybko się pozbędzie wygodnego narzędzia.

– Zasinienia i otarcia na przegubach rąk i kostkach u nóg – powiedziała. – Wygląda to, jakby próbował się oswobodzić.

Wyprostowała się i otworzyła kluczem uniwersalnym szafkę. Znajdujące się w niej specyfiki warte były całkiem sporo na czarnym rynku, podobnie jak sprzęt medyczny,

szczególnie ten przenośny.

Nie mieli czasu ani ochoty na dodatkowy zarobek, nie skorzystali z okazji. Wykonali swoją robotę i odjechali.

Przeszła do szoferki i świecąc sobie latarką, zajrzała pod fotele, pod deskę rozdzielczą, mając nadzieję, że popełnili jakiś drobny błąd. Może zostawili papierek po cukierku, kubek po kawie, cokolwiek.

Ale nic nie znalazła. Kucnąwszy, przyjrzała się uważnie desce rozdzielczej. Sprawdziła rejestr, ostatnie kursy.

– Baza, tu Mormon i Drumbowski, ekipa numer siedem, potwierdzam kurs do East Side Metro Transportation Center po Chaza Parzarriego. Przyleciał prywatnym wahadłowcem z LV1, numer Bravo Echo Dziewięć Sześć Trzy Dziewięć.

– Tu Baza, potwierdzam. Poinformujcie, kiedy będziecie gotowi do odjazdu.

– Zrozumiałem. Ekipa numer siedem rozłącza się.

Słuchając nagrania, Eve stukała palcami w kolano.

– Baza, tu ekipa numer siedem. Odjeżdżamy z pacjentem.

– Rozumiem. Stan pacjenta?

– Stabilny.

Podał, jak się domyśliła Eve, ciśnienie krwi, tętno i tym podobne dane, po czym się rozłączył.

Peabody otworzyła boczne drzwi.

– McNab już przystąpił do poszukiwań. Technicy i karetka w drodze.

– Musi być hakerem – powiedziała Eve w równym stopniu do siebie, co do swojej partnerki. – Znaczy się, kierowca. Musiał znać numer ekipy, której zlecono transport, nazwiska jej członków, wiedzieć, w jaki sposób się porozumiewają. Włamał się do szpitalnego systemu, podsłuchiwał kilka rozmów. Dyspozytor ze szpitala nie spodziewa się porwania karetki. Nie mają powodu, by szyfrować rozmowy. Wszystko wydawało się jak najbardziej normalne.

Zapisała sobie, żeby ludzie Fenneya sprawdzili szpitalny system łączności.

– A teraz zyskaliśmy jeszcze zapis jego głosu. Beznadziejny dupek. Przekonajmy się, czy informatykom uda się coś z tego wycisnąć. Może rozpoznają jakieś rozmowy w tle.

Peabody kiwała głową, wysyłając dyspozycje.

– Ustaliłaś przyczynę śmierci?

– Uduślił go. Przypiął go pasami, zasłonił mu usta, zacisnął nos. Świadczą o tym obrażenia. Tym razem nie zaatakował od tyłu – powiedziała. – Znali się. To bardziej osobista sprawa. Wprawdzie wykonywał swoje zadanie, ale to jak wywalenie współpracownika z roboty. Jest tu element osobisty. Niech zabezpieczą teren. Musimy odszukać Jake'a Ingersola.

– Chyba nie sądzisz...

– Nie sądziłam, że zabiją księgowego. – Złapała się za głowę. – Słuchaj, ja poszukam Ingersola, a ty skontaktuj się z Gibbonsem. Powinien wiedzieć, że Parzarri nie żyje. I nie ma co liczyć, że dziennikarze zostawią nas w spokoju, kiedy się dowiedzą, że w ciągu kilku dni zamordowano dwóch księgowych z tej samej firmy.

– Niewiele możemy na to poradzić.

Może warto wykonać ruch wyprzedzający, pomyślała. Musi znaleźć chwilę, żeby namówić, wmanewrować albo przekupić Nadine, by przedstawiła całą historię tak, jak to odpowiadało Eve.

Jadąc, zadzwoniła do biura WIN Group.

– Mówi porucznik Dallas. Czy zastałam Jake’a Ingersola?

– Pani porucznik, wszyscy trzej współnicy umówili się dziś rano na spotkanie w nowej siedzibie. Czy podać pani adres?

– Wiem, gdzie to jest.

– Czy życzy sobie pani, żebym zadzwoniła do pana Ingersola i uprzedziła go, że chce pani z nim porozmawiać?

– Nie, proszę się nie fatygować.

Znów przebijając się przez miasto, słyszała, jak Peabody składa kondolencje Gibbonsowi i zgrabnie, trzeba to przyznać, unika wszelkich wyjaśnień na temat samego morderstwa.

– Umów mnie na konsultację z Mirą, dobrze? – poprosiła swoją partnerkę, kiedy Delia się rozłączyła. – Mniejsze prawdopodobieństwo, że jej sekretarka wydlubie ci oczy, jeśli do niej zadzwonisz. Potrzebne mi wskazówki, jak postępować z tymi dupkami.

Pomasowała kark, myśląc o Parzarrim, przypiętym pasami do noszy, spoglądającym prosto w twarz zabójcy, który go dusił. Jak się szarpie i próbuje uwolnić, ale nie ma żadnych szans.

Wiedziała, że był nieuczciwy. Ale nie był zabójcą. Albo nie miał okazji zdecydować, czy chce lub jest gotów wziąć udział w morderstwie koleżanki z pracy. Nigdy się o tym nie dowiedział.

Teraz nie żył, bo Eve nie przewidziała jego śmierci, nie dostrzegła sensu w wyeliminowaniu cennego trybiku w całej tej machinie.

Może powinna była pojechać do Vegas z Roarkiem i tam porozmawiać z Parzarrim. Albo czekać na niego na lotnisku, a nie w szpitalu.

Takie rozważania po fakcie już nic nie pomogą, pomyślała.

– Możesz spotkać się z Mirą, jak tylko uda ci się znaleźć wolną chwilę – poinformowała ją Peabody.

– Tak po prostu?

– Byłam grzeczna.

– Aha, rozumiem. Od tej pory będziesz mnie umawiała na wszystkie spotkania z Mirą. Składałam broń przed jej okropną sekretarką, tak jak zamierzam złożyć broń przed tymi przekłętymi automatami sprzedającymi napoje. Szkoda mojego zdrowia.

– To nie nasza wina. – Peabody westchnęła i rozsiadła się wygodnie. – Jestem całkiem dobra w samoobwinianiu się. Zwykle wygrywam. Zresztą trudno przegrać, skoro gram samą ze sobą. Ale to nie nasza wina, że Parzarri nie żyje.

– Źle oceniłam sytuację i zginął.

– Może i źle oceniłaś sytuację, ale czy mogłaś przewidzieć coś takiego? Miałas rację mówiąc, że zabicie go było głupotą i oznacza czystą stratę. Jak można kierować firmą, wartą wiele milionów dolarów, jeżeli się podejmuje takie głupie, niekorzystne decyzje? Wiedzieli, że był odizolowany od świata. Nie wiedział o śmierci Dickenson. Nie miał powodu, żeby ich zdradzić, nawet gdyby chciał. Dostawał kupę forsy i znajdował sposoby, żeby oni mieli jej jeszcze więcej. Sądzą, że posiadają wszystkie dokumenty, dotyczące ich firmy, wystarczy więc sfałszować zapisy, zanim audyt zostanie zlecony komuś innemu. Tylko dlaczego nie chcieli, żeby ten sam facet nadal dla nich pracował?

– Założyłam, że zechcą. Myliłam się.

– Tak... Chciałam powiedzieć „nie”. Bo nie powinni byli go zabić, nie w takiej sytuacji. Jeśli zaniepokoił ich rozwój wypadków i to, że właśnie ty kierujesz śledztwem, że jesteś dociekliwa, mogli go dokądś wysłać. Zniknąłby w siennej dali, a przecież, Dallas, gdyby

zniknął w sieni dali, mogliby wszystko zwalić na niego. Mogliby podrzucić spreparowane dowody, z których by wynikało, że to on zlecił zabójstwo albo współdziałał z kimś, kto je zlecił. Tańczyłby mambe w Argentynie czy gdzie indziej i nadal prowadził ich księgi – pod zmienionym nazwiskiem, z nowym wyglądem. To dobra inwestycja. Zwaliliby wszystko na niego, może nawet kazaliby mu coś tak zachachmęcić, by wyglądało to tak, jakby ich okradał. Okazałoby się, że oni też są poszkodowani.

Eve zastanowiła się nad tym.

– To byłoby sprytne posunięcie. Zatrzymać księgowego, zwalić na niego całą winę, ale postarać się, by wiódł dostatnie i szczęśliwe życie gdzieś daleko stąd. Powinni byli o tym pomyśleć, powinni byli spróbować tak to rozegrać.

– Mają kogoś, kto zajmuje się ich rachunkami, fałszuje księgi, pomaga im dalej oszukiwać. I zabijają go podczas audytu, którego wyniki trzeba naciągnąć? To kretynstwo.

– Znów działanie pod wpływem impulsu, dla doraźnej korzyści. Przecież i tak w każdej chwili mogliby się pozbyć Parzarriego, gdyby nie chciał z nimi współpracować albo zaczął podskakiwać. Ale nawet nie dali mu szansy. Mieli księgowego, specja od pieniędzy, hakera i osiłka.

– Teraz stracili księgowego.

– Tak. – Impuls, doraźna korzyść, uznała Eve. – Może popełnią kolejną głupotę i spróbują dopaść faceta od pieniędzy. Ale jest coś ważniejszego. Bo pomyśl, zabijając księgowego, ujawnili nam coś, o czym nie wiedzieli, że już wiemy – powiązania między nimi. Teraz zyskaliśmy pewność, że Parzarri był w to zamieszany. Może się łudzą, że uda im się wszystko zwalić na niego, ale teraz mają mniej czasu na ułożenie planu i wprowadzenie go w życie. Bo to działanie pod wpływem impulsu, przejaw nieprzemysłanego postępowania. I znów wracamy do chciwości. Cholernie chciwy łobuz. Po co inwestować w księgowego? Uznał, że przekupi nowego, zacznie wszystko od nowa. Założę się, że Alexander uważa, że w taki sposób robi się dobre interesy: rozstając się z kimś w sposób ostateczny.

– Bez żadnej odprawy.

– Jeśli spróbuje zwalić całą winę na zamordowanego, potrzebna mu będzie pomoc specja od pieniędzy. Albo i jego musi zabić. – Eve włączyła koguta i docisnęła gaz do dechy.

– Znowu się zaczyna. – Peabody westchnęła i złapała za uchwyt.

Eve gwałtownie zjechała do krawężnika przed budynkiem i podświetliła napis „Na służbie”, nie zwracając uwagi na przekleństwa innych kierowców. Rozejrzała się szybko, czy przypadkiem nie zobaczy gdzieś ciemnego exec lux 5000, a potem wbiegła po schodach wiodących do głównego wejścia.

Nacisnęła dzwonek.

Nie minęło dziesięć sekund, a otworzył im Whitestone, uśmiechając się na powitanie.

– Porucznik Dallas, właśnie...

– Ingersoll!

– Jake? – Whitestone się cofnął.

Minęła go i wmaszerowała do przestronnego holu, pachnącego świeżą farbą, błyszczącego nowością. Na samym środku znajdowała się recepcja w kształcie podkowy, w tej chwili nikt w niej nie urzędował. Na błyszczącej, srebrnej ścianie duże litery tworzyły napis THE WIN GROUP.

– Musimy z nim porozmawiać.

– Właśnie wyszedł. Powinien wrócić za kilka minut. Może w tym czasie oprowadzę panie po...

– Dokąd? – przerwała mu Eve. – Dokąd się udał?

Na twarzy Whitestone'a pojawiło się zdumienie, pomieszane z niepokojem.

– Nie wiem dokładnie. Dziś rano dostarczają meble i inne rzeczy. Rob, Jake i ja chcieliśmy dopilnować, by wszystko przebiegło gładko. Rob wrócił do siebie, próbuje koordynować dostawy. Do Jake'a ktoś zadzwonił. Powiedział nam, że musi coś załatwić i nie zajmie mu to więcej niż godzinkę. Wyszedł dwadzieścia minut temu, może pół godziny. Nie zwracałem specjalnej uwagi.

– Peabody!

– Tak jest – powiedziała jej partnerka i odeszła kilka kroków, żeby wykonać niewypowiedziane na głos polecenie wszczęcia poszukiwań Jake'a Ingersola.

– Dlaczego? – spytał Whitestone, wyraźnie poruszony. – Czy coś się stało? Coś, co ma związek z Jakiem?

– Dziś rano zamordowano Chaza Parzariego.

– Co? Jak? Jezu Chryste. Rob! – Odwrócił się, wołając: – Rob, chodź tu! Chaz był w szpitalu, prawda? Jest pani pewna, że to morderstwo? Może doznał poważniejszych obrażeń, niż sądziliśmy? Zwyczajnie nie mogę...

– Co, do jasnej cholery, Brad? Właśnie... O, przepraszam, pani porucznik, nie wiedziałem, że pani tu jest.

– Mówi, że Chaz Parzarri z firmy Brewer... Mówi, że go zamordowano.

– Kiedy? Gdzie? Przecież jest w Las Vegas. O, nie. Boże, dziś rano miał wrócić. Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Jimem Arnoldem. Mieli wrócić dziś rano. A Jim? Jimowi nic się nie stało?

– Nic mu nie jest. Wie pan, dokąd się udał wasz trzeci wspólnik?

– Jake? Zadzwonił do niego jakiś klient, który ma kłopoty. Jake powiedział, że wybiera się z nim na kawę, żeby go uspokoić. Zaraz powinien wrócić. A dlaczego pani pyta?

– Muszę pilnie z nim porozmawiać.

– Zadzwonię do niego. Zmartwi się, kiedy usłyszy o Chazie. Mieli kilku wspólnych klientów, współpracowali ze sobą. – Newton wyjął z kieszeni komórkę.

– Proszę mu nic nie mówić o morderstwie. Tylko ustalić, gdzie teraz jest. Ja zajmę się resztą.

– Ma włączoną pocztę głosową. Wyślę mu wiadomość. Mamy specjalny szyfr, jeśli wyniknie coś pilnego.

– Jak się zachowywał, kiedy zadzwonił do niego ten klient? – spytała Whitestone'a.

– Nie wiem, o co dokładnie pani chodzi. Może był trochę zły. Naprawdę dokładamy starań, żeby w ciągu najbliższych dwóch tygodni móc się tu przenieść. Ekipa budowlana zakończyła prace tutaj i w moim mieszkaniu. Zostało im kilka drobiazgów, prace kosmetyczne, jak to nazywają, w paru lokalach na wynajem. Jesteśmy gotowi do przeprowadzki.

– Jeśli umówił się z klientem na kawę w tej okolicy, dokąd by poszedł?

– Zwykle spotykamy się w Express. Znajduje się przecznicę stąd na południe.

– Nie odbiera – oznajmił Newton.

– Zostańcie tutaj – poleciła im Eve. – Jeśli oddzwoni do pana, proszę mu powiedzieć, żeby został tam, gdzie jest, i mnie zawiadomić. Peabody.

– Dlaczego nie chce nam pani powiedzieć, co się dzieje? – spytał Newton, nie kryjąc

niezadowolonia. – Jeśli coś jest nie tak z Jakiem, jeśli dzieje się coś złego, powinniśmy o tym wiedzieć.

– Powiem panom, kiedy sama będę wiedziała – odparła i wyszła.

W połowie drogi do samochodu zatrzymała się, odwróciła i spojrzała na drzwi do przyszłego mieszkania Whitestone’a.

– Jezu, czy możliwe, żeby byli aż tak aroganccy? Aż tak bezczelni?

Zawróciła, zeszła po stopniach, spojrzała na Peabody i wyciągnęła broń.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Jest tuż pod bokiem. Cholernie poręcznie. Z całą pewnością nie umówił się z klientem na kawę.

Lewą ręką sięgnęła po klucz uniwersalny i wolno, cicho wsunęła go do zamka. Uniósła w górę trzy palce, dwa, jeden.

Jednocześnie wpadły do środka.

Okazało się, że są aż tak bezczelni. Aż tak aroganccy.

Jake Ingersol leżał na dopiero co ukończonej podłodze, wzrok miał utkwiony w świeżo pomalowany sufit, głowę otaczała kałuża jego własnej krwi.

Eve uniósła rękę do góry.

– Najpierw sprawdzimy pozostałe pomieszczenia.

Nie wierzyła, że zabójca, ukrywa się w jednej z garderób albo siedzi skulony w szafce kuchennej, ale skrupulatnie sprawdziły wszystkie pomieszczenia i dopiero wtedy Eve schowała broń.

– Idź po zestaw podręczny, Peabody. Ja wezwę techników.

– Rozwalił mu głowę młotkiem. – Narzędzie zbrodni, zachłapanie krwią, leżało obok ciała. – Roztrzaskał mu czaszkę. Wszędzie widać krew. Jezu. I spójrz na krew na spodniach. Rozwalił mu też kolana.

– Tak. Zadał sobie nieco trudu. I śmiem twierdzić, że coraz bardziej zaczyna mu się to podobać.

Rozdział 16

Kiedy Peabody wyszła, Eve uważnie przyjrzała się miejscu zbrodni, zwłokom, śladom krwi na świeżo pomalowanych ścianach i lśniącej podłodze.

Przypuszczała, że zabójca uciekł stąd zaledwie przed kilkoma minutami. Gdyby pojawiły się tu pół godziny wcześniej, może nie doszłoby do morderstwa.

Wiedziała, jak to się stało, wiedziała, że popełniono szczególnie brutalne zabójstwo. Żeby się tego domyślić, Eve nie potrzebowała zestawów podręcznych ani żadnych urządzeń pomiarowych.

Skontaktował się telefonicznie. Wysłał wiadomość czy zablokował wyświetlacz? Ona w taki sposób zwabiłaby ofiarę. Krótka informacja, kategoriyczne polecenie. „Pan Alexander chce natychmiast z panem rozmawiać. Spotka się z panem w mieszkaniu w nowym budynku”.

Jeśli ofiara zgłosiła jakieś obiekcje, usłyszała enigmatyczną lub pełną zniecierpliwienia odpowiedź. Pan Alexander powiedział „natychmiast”, to znaczy, że natychmiast.

Być może zabójca zadzwonił z mieszkania, do którego się włamał, albo może Ingersol już mu przekazał nowy szyfr.

– Ofiara przysła tu zaraz po tym, jak odebrała telefon – powiedziała na głos Eve, kiedy wróciła Peabody z zestawami. – Zabójca już tu był. W taki sposób to rozegrał. W gruncie rzeczy jest tchórzem. Zaatakował go od tyłu, urządził zasadzkę. Wiemy, że ma paralizator, posłużył się nim. Ogluszył Ingersola, a potem zatłukł go na śmierć, kiedy tamten nie mógł się bronić. To jego modus operandi.

– Dlaczego nie skręcił mu karku, tak jak Dickenson? Szybko i prosto. Albo go nie udusił jak Parzarriego? Dlaczego narobił takiego bałaganu?

– Bo to sprawa osobista. Poza tym eksperymentuje. Wciągnął się. Nie zabijał nieznanego sobie człowieka. – Wzięła od Peabody zestaw, zaczęła zabezpieczać ręce, buty.

– Czyli nie tylko znał Ingersola, ale... – Tak jak wcześniej Eve, Della przyjrzała się uważnie zwłokom, śladom krwi. – Naprawdę go nie lubił.

– Możliwe. Całkiem możliwe, że Ingersol go kiedyś wkurzył bądź obraził. Albo po prostu nie podobała mu się jego twarz. Znalazł powód... A może sam sobie pozwolił go skatować. W przypadku Dickenson było to bezmyślne, bezlitosne działanie. Zgnieść muchę i zmyć się. Kiedy napadł na nas, wykonywał rozkaz. Chociaż może czuł dreszczyk emocji na myśl o zabiciu dwóch policjantek w miejscu publicznym.

– No i poniósł całkowite fiasko.

– Tak. Alexander pewnie nie był zbyt zadowolony. Może nawet zmył głowę swojemu osiłkowi. – Eve wyjęła mierniki i potwierdziła tożsamość ofiary, określiła przybliżoną godzinę śmierci.

– Osiemnaście minut temu. Nie żyje od osiemnastu minut. – Ogarnął ją gniew, musiała jakoś nad nim zapanować. – Przyjechali tu prosto z tunelu, w którym zabili Parzarriego. Nadal był nakręcony po zamordowaniu księgowego. Czy miał przy sobie młotek? A może znalazł go tutaj?

Znów się rozejrzała, jednak nie zobaczyła żadnych narzędzi, żadnych materiałów budowlanych. Ekipa remontowa zakończyła tu prace.

– Wszystko posprząтали, dlaczego mieliby zostawić młotek? Czy przyniósł go ze sobą? Wstąpił gdzieś, żeby go kupić? Ustalimy to. Tak czy owak, jeden z nich, zabójca albo haker, zadzwonił...

Znów spojrzała na drzwi, coś sobie policzyła, a potem ostrożnie uniosła zwłoki i podciągnęła zakrwawioną koszulę.

– Tak, ślady od paralizatora. Lekarz sądowy musi to potwierdzić, ale uważam, że... – Włożyła mikrogogle, niemal dotknęła nosem klatki piersiowej ofiary. – Na to mi wygląda. Nie zaatakował Ingersola od tyłu. Może nie mógł go zająć od tyłu, a może chciał zobaczyć jego minę, kiedy go zaatakuje. Czyli ofiara wchodzi pospiesznie, gotowa do rozmowy, i zostaje ogłuszona.

Eve na chwilę zamknęła oczy.

– Jeśli był tu młotek, zabójca posłużył się nim, wiedziony impulsem. Ale nie wydaje mi się. Nie tym razem. Poza tym byłby to zbyt duży zbieg okoliczności, gdyby leżał tu pozostawiony przypadkiem młotek. Morderca jest nabuzowany, żądny krwi. Jest chciwy, jak oni wszyscy. Wszyscy oni chcą więcej. Mógł podejść do niego, przyłożyć mu paralizator do szyi i byłoby po wszystkim. Ale wołał zatłuc Ingersola.

– Musiał potem być cały zakrwawiony.

– Jeśli młotek tu leżał i zabójca działał, wiedziony impulsem, owszem. Ale jeśli kupił młotek, kupił też fartuch ochronny. Albo jedno i drugie przyniósł ze sobą. Musimy to ustalić, przyda się do profilu.

Eve przysiadła na piętach.

– Niech ludzie Feeneya sprawdzą zamki, a mundurowi wypytają ludzi w okolicy, czy ktoś nie widział dużego faceta z drugim facetem, wsiadających do samochodu. Może tym razem nam się poszczęści.

– Nie został im już nikt więcej, prawda? Wygląda na to, że w sprawę zamieszani są Alexander, Ingersol i Parzarri. No i haker.

– Może załatwią hakera? To też głupota, ale czemu mieliby teraz przestać? Alexander znajdzie nowych ludzi, którzy poprowadzą to przedsięwzięcie, będą kontynuowali szwindle. I może na razie Alexander skończył z zabójstwami. Ale jeśli ktoś robi coś takiego... – Wskazała głową zwłoki. – To znaczy, że znalazł nową pasję, dającą sporo satysfakcji. Nie zrezygnuje teraz z zabijania.

Kazała Peabody zaczekać na mundurowych i ekipę techniczną, a sama udała się na górę, żeby poinformować współników zamordowanego.

– Wciąż nie odbiera – powiedział jej Newton. – Można tylko przypuszczać, że jego telefon się wyłączył. W przeciwnym razie...

– Nie odbierze telefonu, bo nie żyje.

Powiedziała to beznamiętnie, zimno, chcąc zobaczyć ich reakcję. Dostrzegła falę gniewu na twarzy Newtona, szok u Whitestone'a.

– O czym pani mówi? – powiedział Newton. – To absurdalne. Co próbuje pani osiągnąć, u diabła?

– Chcę panów poinformować, że zamordowano waszego współnika, Jake'a Ingersola. Bardzo mi przykro. A teraz proszę usiąść.

– Dlaczego ktoś miałby zamordować Jake'a? – zdołał wykrztusić Whitestone. – To bez sensu. To szaleństwo. Czy ma to związek z księgowymi? Czy ten szaleniec wziął sobie nas wszystkich na cel? Czy to jakiś niezadowolony klient? Nie rozumiem. Nic nie rozumiem. Przecież Jake był tutaj niespełna godzinę temu.

– Proszę usiąść – powtórzyła łagodniej Eve, dostrzegłszy u obu mieszkanin gniewu

i szoku, pierwsze oznaki przygnębienia.

Newton opadł na stare, składane krzesło. Whitestone kłapnął na podłogę.

– Jak? Jak? – zapytał. – Musi nam pani powiedzieć, co się stało. Był nie tylko naszym wspólnikiem, ale również przyjacielem. Rob. Jezu, Rob.

– Spotkał się z zabójcą w mieszkaniu na dole. W pańskim mieszkaniu, panie Whitestone.

Z twarzy Whitestone'a odpłynęła cała krew. Zrobił się niemal zielony.

– Nie. Nie. Poszedł na kawę z klientem.

– Nie. Sądził, że spotka się z klientem... Z kimś więcej niż klient. Z człowiekiem, z którym prowadził oszukańcze interesy, związane z obrotem nieruchomościami i inwestycjami. Chaz Parzarri był ich księgowym.

Newton zerwał się z krzesła.

– To jakaś bzdura! Oszustwo? Jake nie żyje, a pani próbuje zrobić z niego przestępcę?

– Sam z siebie zrobił przestępcę. Mamy niepodważalne dowody, łączące Ingersola, Parzarriego i jeszcze jedną osobę z kilkoma oszustwami, dotyczącymi obrotem ziemią i nieruchomościami. Nie jest pan zbyt zaskoczony – zwróciła się do Whitestone'a.

– Myślałem, że się wygłupia. Myślałem... Ten zegarek, Rob... Jake twierdził, że kupił go za grosze na wyprzedaży. Za obraz, który nabył kilka miesięcy temu, powiedział, że zapłacił z wielkiej wygranej w Atlantic City. I... Inne rzeczy. O, Boże. – Spuścił głowę.

– Chyba nie wierzysz, że Jake był zamieszany w jakieś oszustwo? – spytał Newton.

– Na litość boską, Brad!

– Nie wiem... – Whitestone przesunął drżącymi dłońmi po twarzy. – Z rok temu poszedłem z Jakiem do klubu. Nieźle się spiliśmy. Ty wyjechałeś z Lissą, więc byliśmy tylko my dwaj. Wyglądało na to, że mogę stracić Breckinridge'a jako klienta. Pamiętasz? Byłem przybity. A Jake przedstawił mi ten cały pomysł zarabiania dużych pieniędzy na obrocie ziemią. Przez zakładanie fikcyjnych firm, przyciąganie grup, sprzedaż większej liczby udziałów, niż się posiada, a potem odkupywanie ziemi. Zawyżając albo obniżając jej wartość. Wszystko wyrysował na serwetkach.

Popatrzył błagalnie na Eve.

– Myślałem, że się wygłupia. Przysięgam, myślałem, że wszystko to wymyślił, by mnie podnieść na duchu. Powiedziałem, że to dobry pomysł, jeśli nie ma się nic przeciwko oszukiwaniu ludzi ani nie boi się trafić za kratki na dwadzieścia lat. Nawet dorzuciłem kilka wskazówek. Jezu, Jezu, Rob, nawet udoskonaliłem kilka rozwiązań. Zapisał to sobie. Traktowałem to jak zabawę, ale wszystko sobie zapisał. Na koniec rzuciłem jeszcze, że wielka szkoda, że jesteśmy uczciwi, wielka szkoda, że przez tyle lat pracowaliśmy, żeby otrzymać koncesję, stworzyć naszą firmę, wyrobić sobie dobre imię, to wszystko, czego nie chcieliśmy stracić. A on powiedział...

– Co powiedział? – zapytała go Eve.

– Że za duże pieniądze można sobie kupić dobre imię. Tylko się roześmiałem, odparłem, że takie gadanie nic nie daje i że teraz on stawia drinka.

– Tak tylko gadał – upierał się Newton. – Nie popełniłby oszustwa ani nie naciągnąłby klienta. Razem stworzyliśmy tę firmę, Brad. We trzech. Rozejrzyj się. To nasze dzieło. Razem tego dokonaliśmy.

– Chodzi o coś więcej niż oszustwo – powiedziała mu Eve. – Chodzi o morderstwo. Uważamy, że Marta Dickenson została zamordowana, bo ktoś się obawiał, że wykryła oszustwo, kiedy sprawdzała księgi, które przejęła po tym, jak Parzarri w wyniku

wypadku trafił do szpitala.

– Chyba nie uważa pani, że Jake miał coś wspólnego ze śmiercią tamtej kobiety? – przerwał jej Newton.

– Ja to wiem. Nie było żadnych śladów włamania, ponieważ dał zabójcy szyfr. Może myślał, że tylko zaborą ją do mieszkania, trochę poturbują, nastraszą, zaborą dokumenty. Nigdy już się tego nie dowiemy. Ale po fakcie wiedział, kto to zrobił. Wiedział, kto ją zabił i dlaczego. Wiedział, że jest współwinny.

– Nigdy w to nie uwierzę. – Newton się odwrócił, lecz Eve zdążyła dostrzec pierwsze oznaki zwątpienia i przerażenia na jego twarzy.

– Ale przecież to nasz budynek – zauważył całkiem rozsądnie Whitestone. – Dlaczego Jake miałby komuś pozwolić wykorzystać go w takim celu? Żeby rzucić podejrzenia na nas?

– Zakładali, że ktoś znajdzie ją dopiero rano. Ani on, ani żaden z nich nie wiedział, że zechce pan wstąpić do mieszkania ze swoją potencjalną klientką. Nie przypuszczali, że policja dokładnie sprawdzi mieszkanie, a jeśli nawet, to że cokolwiek znajdzie. Gdyby wszystko poszło po ich myśli, byłby to tylko przypadkowy adres, tylko smutna historia kobiety, która została napadnięta.

– Nie wierzę, żeby był do tego zdolny – upierał się Newton. – Żeby zrobił coś takiego sobie. Nam.

– Zarówno Parzarri, jak i wasz wspólnik nie żyją, ponieśli śmierć niespełna godzinę jeden po drugim. Czy naprawdę wierzy pan, że to zbieg okoliczności? Może mi pan podać jedno sensowne wytłumaczenie, dlaczego w mieszkaniu na dole leży martwy Jake Ingersol?

– Razem stworzyliśmy tę firmę – powtórzył Newton. – Jeśli nie można sobie wzajemnie wierzyć, nie można ufać partnerowi...

– Rozumiem, ale w tej chwili dowody świadczą, że wasz wspólnik był w to zamieszany. Mógł to być pan – zwróciła się do Whitestone'a. – Pan mógłby już nie żyć.

– O czym pani mówi?

– Gdyby przyszedł pan z Alwą Moonie do swego mieszkania wcześniej, powiedzmy przed pójściem do baru, gdyby zastał pan tam zabójcę i Martę Dickenson, jak pan myśli, co spotkałoby pana i pańską znajomą?

Znów cała krew odpłynęła mu z twarzy, zanim ukrył ją w dłoniach.

– Zarekwirujemy jego sprzęt elektroniczny – powiedziała im Eve. – Wszystko, co jest tutaj, w waszym biurze, w domu. Proszę mi wierzyć, jeśli coś wiecie, cokolwiek, bezwzględnie powinniście to teraz mi powiedzieć. Znają jeden sposób doprowadzania sprawy do końca: morderstwo.

– Uważa pani, że mogą spróbować nas zabić? – Whitestone rzucił spanikowane spojrzenie swojemu wspólnikowi. – Dlaczego? Nie mamy z tym nic wspólnego, nie jesteśmy zamieszani w żadne oszustwa. I z całą pewnością nie jesteśmy zamieszani w morderstwo. Może pani zajrzeć do wszystkich moich dokumentów.

– Brad, nie możemy udostępniać poufnych informacji o naszych klientach... – zaczął Newton.

– Policja i tak uzyska nakaz, a ja nie zamierzam ryzykować życia. Ty chyba też nie.

– Nikt nie ma żadnego powodu, żeby nas zabić.

– Rob – zwróciła się Eve po imieniu do Newtona, mając nadzieję, że w ten sposób zdobędzie jego zaufanie. – Jeśli ja się zastanawiam, co Jake mógł wam powiedzieć albo co mu się niechący wymysknęło, może być pan pewien, że ci, którzy odpowiadają

za jego śmierć, też zadają sobie takie pytania. Zabili Martę Dickenson kilka godzin po tym, jak zyskała dostęp do dokumentów. Wy byliście współnikami Jake'a od lat.

– Proszę pozwolić mi pomyśleć. – Newton zaczął chodzić tam i z powrotem. – Nie mieści mi się to w głowie. To mój współnik, mój przyjaciel. Boże, Jake poznał mnie z Lissą. Razem... Lissa. – Zatrzymał się gwałtownie. – Moja narzeczona. Czy grozi jej niebezpieczeństwo? Czy oni mogą coś jej zrobić?

– Zapewnię jej ochronę. Zapewnię ochronę wam wszystkim. Ale w zamian oczekuję pomocy z waszej strony. Z kim Jake spędzał czas?

– Z nami. – Whitestone uniósł ręce do góry. – Spotyka się z kimś, ale to nic poważnego, oboje umawiają się też z innymi osobami. Lubi chodzić do klubów, lubi nocne życie. Rob wycofał się, odkąd jest z Lissą, a ja, no cóż, przyznaję, że nie mogłem dotrzymać kroku Jake'owi. Przypuszczam, że nawet nie chciałem. Owszem, lubię chodzić do klubów, lubię się zabawić. Ale nie codziennie. Chodził sam albo na krótko wiązał się z kimś.

– Chcę zadzwonić do Lissy – domagał się Newton. – Muszę wiedzieć, czy jest bezpieczna.

– Proszę mi powiedzieć, gdzie się teraz znajduje. Natychmiast wyślę kogoś, żeby jej pilnował.

– Jest w pracy. – Podał Eve szczegóły. Wyraźnie się uspokoił, kiedy kazała tam pojechać dwójce funkcjonariuszy.

– Będzie pan mógł z nią porozmawiać, kiedy tu skończymy – zapewniła go. – No więc, jeśli cokolwiek wiecie...

– Ja nic nie wiem – upierał się Newton. – Od kilku miesięcy Jake podróżował więcej niż zwykle. Do jego zadań należało zdobywanie nowych klientów spoza stanu. Jest w tym dobry.

– Czy ostatnio wyjeżdżał do Miami albo na Kajmany?

– Będę musiał sprawdzić – powiedział Newton – ale ostatni raz był w Miami jakieś dwa tygodnie temu. – Znów opadł na krzesło. – Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Czy możemy go zobaczyć? Powinniśmy... Cokolwiek zrobił, byliśmy współnikami. I przyjaciółmi.

– Z pewnością nie chcielibyście go teraz oglądać. Zrobię, co będę mogła, żebyście później mogli go zobaczyć, jeśli wam na tym zależy.

– Jake nie utrzymuje bliskich kontaktów z rodziną – wyjaśnił jej Whitestone. – Zresztą większość jego krewnych mieszka w Michigan. Chyba razem z Robem zajmujemy się pogrzebem. Powinniśmy go zobaczyć, kiedy to będzie możliwe. W jaki sposób zginął?

Mogła im to teraz powiedzieć albo pozwolić, żeby dowiedzieli się tego, kiedy dziennikarze zaczną o tym trąbić.

– Zatluczono go na śmierć młotkiem.

Newton ukrył twarz w dłoniach.

– Lekarz sądowy musi to potwierdzić, ale przypuszczam, że najpierw zaatakowano go paralizatorem, najprawdopodobniej stracił przytomność. Jeśli tak to przebiegło, nie cierpiał. Niczego nie czuł.

– Jeśli zrobił to, o co go pani podejrzewa... – Whitestone mówił powoli, głos mu drżał. – Jeśli to robił, traktował to jak grę. To była zła gra, ale gra. Lubił grać, lubił być ważny. Popełniał błędy, czasem poważne, ale nie zasłużył sobie na to, żeby przez nie zginąć.

Kiedy Eve wyszła z budynku, zobaczyła, że właściwe służby już przystąpiły do pracy.

Patrzyła, jak ekipa z kostnicy umieszcza worek ze zwłokami w karetce, widziała kręcących się techników, mundurowi nie dopuszczali ciekawskich na miejsce wydarzenia.

– Poleciłam, żeby nie spuszczano z oka pozostałych współników i narzeczonej Newtona.

– Sądziś, że im też może coś grozić?

– Uważam, że zabójca jest nieprzewidywalny, impulsywny i doskonale się bawi. Może nie czekać na rozkazy. Wołę nie ryzykować.

– Ekipa, którą wysłałeś do mieszkania ofiary, już wiezie sprzęt elektroniczny do komendy.

– Czy coś świadczy o tym, że ktoś nas ubiegł?

– Zamierzają obejrzeć zapisy kamer, ale nie stwierdzono śladów włamania.

– Tutaj też nie – powiedziała Eve, kiedy McNab wszedł po schodach i znalazł się na chodniku.

– Ta sama historia – powiedział do nich. – Właściciel zmienił szyfr, ale bez trudu dostali się do środka. Może Ingersol sam otworzył im drzwi.

– Sądzę, że zabójca czekał na niego. Zastawianie pułapki jest bardziej w jego stylu. Zajmij się sprzętem elektronicznym. Wspólnicy nie stwarzają trudności, możesz zabrać wszystko. Tutaj też jest komputer, ale twierdzą, że jeszcze z niego nie korzystali. W ich dawnej siedzibie są jeszcze dwa komputery. A ekipa wiezie to, co Ingersol miał w mieszkaniu.

– Już się tym zajęliśmy – zapewnił ją. – Tym razem zabójca był nadgorliwy. Inaczej niż w przypadku pierwszej ofiary. Nie wygląda to, jakby w obu przypadkach sprawcą była ta sama osoba.

– Jeśli tak jest rzeczywiście, to mamy większy problem. Sprawdź sprzęt elektroniczny, McNab. Znajdź mi te cholerne odciski palców, o których mówiłeś. Chcę dopaść hakera. Mam nadzieję, że uda mi się to, zanim trafi do worka na zwłoki. Peabody, ze mną.

Eve udała, że nie widzi, jak Peabody i McNab pocałowali się za jej plecami. Nie miała teraz czasu ich strofować.

– Przekaż Mirze wstępne dane, zapisy z miejsca zabójstwa Parzarriego i Ingersola. Chcę, żeby się z nimi zapoznała przed spotkaniem ze mną. Ustalmy, gdzie Ingersol się zatrzymał podczas pobytu w Miami. Chcę wiedzieć, dokąd chodził, z kim się spotykał. Nie wiem, czy był powód, żeby Parzarri w tym samym czasie jeździł w te same miejsca, ale musimy to sprawdzić.

– Rozumiem. Myślałam, że wrócimy do komendy.

– I dobrze myślałaś. Ale po drodze chcę zajrzeć do tamtego tunelu. Spróbuję zgadnąć, jaką trasę obrał nasz zabójca. Skąd wziął młotek? Czy kierował się impulsem? Czy zatrzymał się po drodze, żeby go kupić? Czy ma swoją własną małą szopę z narzędziami?

– Technik powiedział, że młotek wyglądał na nowy. Trzeba to jeszcze sprawdzić, ale tak twierdził na miejscu.

– Ja uważam tak samo. Muszę wyliczyć prawdopodobieństwa. Jeśli zamierzali załatwić dwie osoby jednego przedpołudnia, to wybrali najkrótszą, najszybszą drogę z jednego miejsca do drugiego.

– Z całą pewnością nie wstąpili na kawę i pączki – zgodziła się z nią Peabody.

– Może po wykonaniu porannego zlecenia. Więc jeśli młotek był nowy, jeśli zabójca

działał pod wpływem impulsu, wpadł na ten pomysł po drodze, to zatrzymał się i dokonał zakupu. Musiał gdzieś zobaczyć sklep z narzędziami.

– Dobra. Jedna minutka.

– Co robisz? – spytała Eve, kiedy Peabody zaczęła coś wstukiwać w swoim palmtopie.

– Wyznaczam trasę, a potem poszukam jakiegoś sklepu, gdzie mogłabym zaopatrzyć się w młotek.

– Dobre rozumowanie. – Eve jechała, rozglądając się uważnie.

– Mam dwa punkty – poinformowała ją Peabody. – Jeden to...

– Big Apple Hardware. – Zjechała na prawo i znów zaparkowała na pasie ruchu, wywołując niezadowolenie u innych kierowców. Podświetlając napis „Na służbie”, pomyślała, ile „choler” dostało jej się tego przedpołudnia.

Może jest bliska pobicia rekordu.

Weszła do malutkiego sklepiku. Na licznych półkach i wieszakach rozmieszczono najrozmaitsze narzędzia, pojemniki pełne były wkrętów, gwoździ, śrub; obok piętrzyły się stosy plandek, odzieży ochronnej, gogli, zatyczek do uszu. Całe wnętrze wypełniały puszki farb, pędzle, wałki, farby w aerozolu, zębate ostrza pił.

Eve zastanawiała się, jak można cokolwiek zbudować, jeśli czynność ta wymaga tylu narzędzi, których wybór przyprawia o ból głowy.

Krzepki facet siedział na stołku za zagraconą ladą, oglądając na przenośnym telewizorze jakiś film akcji.

– Mogę w czymś pomóc?

– Być może. – Wyciągnęła odznakę.

– Przykro mi, ale nie udzielam rabatu gliniarzom.

– Nie ma sprawy. Szukam mężczyzny z młotkiem. Duży, prawie dwa metry wzrostu, ponad sto kilo wagi. Czy ktoś taki kupił dziś rano u pana młotek?

– Jaki młotek?

– Do przybijania gwoździ.

– Mamy młotki ciesielskie, młotki z noskiem kulistym, młoty dwuręczne, młotki...

– Ciesielski – przerwała jego litanię Peabody.

– Z zagiętymi zębami, prostymi czy płaski?

– Proszę pana – odezwała się Eve. – Czy ktoś o takim rysopisie był u pana dziś rano i kupił jakikolwiek młotek?

– Dobrze już, dobrze. Próbuję tylko poznać szczegóły. No więc parę godzin temu sprzedałem takiemu facetowi trzydziestocentymetrowy młotek ciesielski z zagiętymi zębami, o gładkiej główce, ze stałej wysokowęglowej.

Bingo.

Peabody wybrała jeden młotek spośród wielu innych.

– Taki jak ten?

– Tak jest. Zna się panienka na młotkach.

– Mam brata cieślę, a mój ojciec też trochę się zajmuje ciesielką.

– Mogę dać rabat fachowcom... – zaczął.

– Nie chcemy nic kupić i dziękujemy za rabat – przerwała mu Eve. – Chcemy obejrzeć zdjęcia z monitoringu.

Mężczyzna spojrzał na kamerę.

– Nie ma co oglądać. Nie stać nas na prawdziwą kamerę. To tylko atrapa. Nie, żeby ktoś nas nękał. Gdyby chcieli kogoś okraść, kawałek dalej jest sklep monopolowy.

Ludzie kupują więcej alkoholu niż gwoździ.

– Jak zapłacił?

– Gotówką.

– Przyjrzał mu się pan?

– Wzrok mam w porządku. Stał tu, gdzie pani teraz.

– Musi pan stawić się w komendzie, spotkać się ze specjalistą od portretów pamięciowych.

– Nie mogę zamknąć sklepu, żeby spotykać się z jakimś specjalistami. Muszę zarabiać na życie.

– Przyślę tu kogoś, panie...

– Burnbaum. Ernie. Co ten facet zrobił, rąbnął kogoś młotkiem w głowę?

– Coś w tym rodzaju. Peabody, chcę, żeby Yancy się tym zajął.

– Wezwę go.

– A teraz, Ernie, może opisz mi pan tego faceta od młotka i powie mi pan, o czym rozmawialiście.

– Jak pani powiedziała, kawał z niego chłopca. Biały.

– Włosy? Krótkie, długie, ciemne, jasne?

– Krótkie, bardzo krótkie, ni to ciemne, ni to jasne.

– Jakiego koloru oczy?

– Brązowe. Chyba brązowe. Wydaje mi się, że brązowe.

– Jakies szramy, tatuaże, kolczyki, znaki szczególne?

– Nie zauważyłem nic takiego. Chyba miał kwadratowe szczęki. Wyglądał na twardziela.

Yancy wyciągnie z niego więcej, pomyślała.

– Co powiedział?

– Wszedł i...

– Był sam?

– Tak. Powiedział, że chce kupić młotek. Więc zapytałem: „jaki?”. A on tylko podszedł do stojaka, wziął młotek ciesielski i powiedział: „Ten”. Bez wahania skierował się do stelaża i wziął młotek. Spytałem, czy chce jeszcze coś. Powiedział, że potrzebny mu fartuch. Spytałem, jaki. Chyba trochę się zirytował, ale muszę wiedzieć, czego sobie życzy klient. Pokazałem mu, co mam w rozmiarze XXL. Wybrał przezroczysty, okrywający całe ciało. Zagadnąłem, co zamierza zrobić, a on tylko spytał: „Ile to kosztuje?”. Powiedziałem mu, zapłacił gotówką i wyszedł.

– Ma pan te pieniądze?

– Naturalnie. Myślała pani, że je zjadłem?

– Będą mi potrzebne. Dostanie pan pokwitowanie i otrzyma pan zwrot w pełnej wysokości.

– Yancy już tu jedzie – oznajmiła Peabody.

– Wezwij też kilku techników. Może znajdą jakieś odciski palców na ścianie, na ladzie. Potrzebne mi te pieniądze, Ernie.

– Wszystkie są tu. – Otworzył sejf, trzymany pod ladą, wyjął z niego czerwoną sakiewkę. – Większość ludzi płaci kartą, ale przyjmujemy również gotówkę. Są tu wpłaty wczoraj i z przedwczoraj. Nie wiem, którymi banknotami zapłacił.

– W porządku, przelicz pieniądze. Dam ci pokwitowanie.

– To ponad pięćset dolarów! – Przycisnął woreczek do piersi, jakby to było ukochane dziecko, które Eve chciała mu odebrać.

– Dostanie pan wszystko z powrotem, co do centa. Mężczyzna, który przyszedł tu rano i kupił młotek, podejrzany jest o zabicie dziś przed południem dwóch osób.

Erniemu opadła szczęka.

– Moim młotkiem?

– Jedną z nich. Ernie, pana pieniądze będą bezpieczne. Wystąpię o wypłatę dodatkowych dziesięciu procent za ich użyczenie.

Przestał tak kurczowo ścisnąć woreczek.

– Dziesięć procent?

– Tak. A jeśli pomoże pan specjalście od portretów pamięciowych i dzięki pańskiej pomocy uda nam się aresztować mordercę, dorzucę jeszcze pięćdziesiąt dolców.

– Dostanę stówę?

– Zgadza się.

Oddał jej sakiewkę.

– Ale i tak poproszę o pokwitowanie.

Dwukrotnie dokładnie przeliczył pieniądze, Eve wydrukowała pokwitowanie, dołączyła do niego swoją wizytówkę.

– Co mam zrobić, gdyby wrócił? Może tym razem poprosi o piłę tarczową.

Jezu, Eve miała nadzieję, że nie.

– Nie sądzę, by tu wrócił, ale jeśli się pojawi, proszę mu sprzedać wszystko, czego sobie zażyczy. I skontaktować się ze mną, jak tylko opuści sklep. Czy widział pan, w którą stronę się udał? Czy wsiadł do samochodu?

– Wyszedł drzwiami. Tylko tyle wiem.

– Dziękuję za informacje. – Eve też wyszła drzwiami.

– Podrzucę cię do laboratorium – powiedziała do Peabody, kiedy usiadła za kierownicą. – Chcę, żebyś zaniósła pieniądze prosto do Baraniego Łba. Niech porówna wszystkie odciski palców, jakie znajdzie, z bazą danych wojska, policji, prywatnych firm ochroniarskich. Niech wyeliminuje kobiety, kolorowych i osoby spoza interesującego nas przedziału wiekowego.

– Chcesz, żebym kazała Berensky'emu sprawdzić odciski palców na pięciuset dolarach w drobnych banknotach, które z pewnością przeszły przez wiele rąk, żeby znalazł odciski palców, należące nie wiadomo do kogo?

– Zgadza się. Jeśli uda nam się uzyskać przyzwoity portret pamięciowy, porównamy go ze zdjęciami w bazie danych. Wiemy, że sprawca pracuje dla Alexandra, ale nie jest szefem jego ochrony. Szef ochrony nie pasuje do rysopisu. Uważam, że to jego osobisty goryl, niekoniecznie opłacany przez firmę. Jest ochroniarzem Alexandra, prawdopodobnie podróżuje z nim albo jedzie wcześniej, żeby sprawdzić, czy nic mu nie grozi. Nie znajdziemy go w wykazie pracowników. Już to sprawdziłam. Więc spróbujemy inaczej.

– Będzie się domagał łapówki. Mam na myśli Baraniego Łba.

– Powiedz mu, żeby poszedł do... – Eve się zastanowiła. – Nie, powiedz mu, że dostanie dwa bilety na jutrzejszą premierę. W sektorze dla VIP-ów. Chyba uda mi się to załatwić.

– To dobra łapówka.

– Ale nie wyrwij się z tym, póki nie zaczniesz czegoś się domagać. I niech to wygląda tak, jakbyś musiała ode mnie wydusić te bilety. Pomyśli sobie wtedy, że to coś wyjątkowego. Ja spotkam się z Morrisem, a potem z Mirą. Jeśli dopisze nam szczęście, Yancy bądź Barani Łeb ustalą tożsamość sprawcy i dopadniemy drania. Zanim kupi piłę

tarczową.

– Fúj.

Eve całkowicie się z nią zgadzała.

– Kilka lat temu, zanim tu przyszedł, razem z Feeneyem prowadziliśmy śledztwo w sprawie zabójstwa piłą do metalu. Zanim Feeney dostał wydział przestępstw elektronicznych. Facet zabił żonę, bo groziła mu rozwodem, a to ona miała pieniądze. Więc walnął ją mosiężną figurką syrenki. Kiedy się okazało, że ją zabił, pokroił ją na małe kawałeczki piłą do metalu, którą miał w swoim warsztacie, włożył je do dużych worków na śmieci i wrzucił do rzeki.

– Powtarzam: fúj.

– Nie było to miłe. Mówił wszystkim, że wyjechała do Europy. Niestety, co za pech, jeden z worków zaplątał się w zaczep czyjejś łodzi. Trochę trwało złożenie jej z powrotem w całość, ale szybko dopadliśmy męża. Próbował powoływać się na chwilową niepoczytalność, ograniczoną poczytalność, amnezję i tym podobne. Lecz ponieważ mieliśmy piłę, a eksperci ocenili, że potrzeba było sześciu godzin ciężkiej pracy, żeby pociąć trupa na bardziej poręczne kawałki, sąd mu nie uwierzył.

Peabody przez chwilę milczała.

– Czy prowadzimy ciekawe życie czy obrzydliwe?

– Jedno i drugie. To zależy. Wysiadaj – powiedziała, zatrzymując się przy krawężniku przed laboratorium. – Postaraj się o te odciski.

Rozdział 17

Zastała Morrisa przy sekcji zwłok zatłuczonego na śmierć Ingersola. Z głośników płynęły dudniące dźwięki heavy-rocka. Na sąsiednim stole leżał Parzarri z jeszcze nie zaszytą klatką piersiową.

– Dwa trupy – powiedział Morris, grzebiąc w klatce piersiowej Ingersola. – Szybko się uwinął.

– Założę się, że ofiarom wcale nie było śpieszno tu trafić.

– Z całą pewnością. Twój księgowy naszprycowany był standardową mieszanką środków przeciwbólowych i uspokajających. Był całkiem zadowolony, póki tak gwałtownie nie odcięto mu dopływu powietrza. Zrobił to ktoś z potężną dłonią.

– Żadnych szans na odciski palców?

– Przykro mi, ale nie. Na podstawie siniaków możemy ci podać dość wierny opis wielkości i kształtu jego kciuka i palca wskazującego u prawej ręki, przybliżoną wielkość dłoni. Z dużą dozą pewności można powiedzieć, że to ta sama ręka, która zostawiła siniaki na twarzy pierwszej ofiary.

– Zawsze to coś.

– Druga ofiara miała unieruchomione ręce i nogi. Chociaż była pod wpływem środków przeciwbólowych, wykazała się silnym instynktem przeżycia. Walczyła zaciekle, o czym świadczą otarcia na przegubach rąk i kostkach u nóg. Jeśli chodzi o trzecią ofiarę, nie dano jej szansy bronienia się.

Morris, który dziś związał włosy w długie, gładkie koński ogon, podał Eve mikrogogle.

– Twoje spostrzeżenia na miejscu zabójstwa były słuszne. Na tułowiu widać odbarwienie od paralizatora. Wszystko świadczy o tym, że broń nastawiono na pełną moc. Ofiara nie wiedziała, co nastąpiło potem.

– Chcę wysłuchać opinii Miry, ale nie wydaje mi się, że go ogłuszył, by oszczędzić mu bólu. Tym razem miał do czynienia z silnym mężczyzną w pełni zdrowym, a nie z przywiązaną do noszy ofiarą wypadku nafaszerowaną środkami przeciwbólowymi. Więc pozbawił go przytomności.

– Wolał nie ryzykować? Można powiedzieć, że ostrożny, a do tego tchórz.

– Owszem.

– Ostrożny tchórz, który zgromadził w sobie tyle agresji? Niebezpieczna mieszanka.

– Być może. Tak, agresja, ale poza tym nieźle się bawił. Kolana, krocze – to świadczy, że działał z pobudek osobistych – klatka piersiowa, twarz, głowa, dłonie.

– Z mojej analizy wynika, że dłonie raczej zmiżdżono, niż połamano.

– Zmiżdżono? Czyli raczej rozdeptał je, niż roztrzaskał młotkiem?

– Tak uważam.

– Naprawdę nie lubił tego gościa. Zabrał walizkę Parzarriego, aktówkę, telefon i terminarz Ingersola. Zostawił czterysta dolarów gotówką, jakie miał przy sobie Ingersol, garść kart kredytowych, zegarek wart kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Nawet nie próbował upozorować tego na napad rabunkowy. Po co? Ale pozostawienie gotówki, zegarka... To mi mówi, że najprawdopodobniej haker sam zabrał pieniądze z sejfu w siedzibie firmy Brewstera, a on albo w ogóle nie był w środku, kiedy to się stało, albo jest zbyt delikatny, żeby szukać łupu, brodząc we krwi.

Zahaczyła palce o przednie kieszenie.

– Tu chodzi o pieniądze, o więcej pieniędzy, o chciwość. Ci dwaj zginęli z powodu pieniędzy, ale dla zabójcy nie są one najważniejsze.

– Ci dwaj będą musieli się gęsto tłumaczyć, kiedy staną przed obliczem swoich bogów. O ile staną.

– Tak. Trudno sobie kupić przepustkę do bram raj. Ciekawa jestem, jak ono, on, ona czy kto to jest, prowadzi statystyki.

– Masz na myśli siłę wyższą i zmarłych?

– Tak. No bo pomyśl tylko, z iloma trupami my mamy do czynienia. A jesteśmy tylko dwójką ludzi w jednym mieście. Pomnóż to przez liczbę zbliżoną do nieskończoności. Otrzymasz dużo. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy tam, w górze, jest armia urzędników z rejestrami, odhaczająca poszczególne osoby. Aha, John Smith z Albuquerque miał pecha podczas katastrofy wahadłowca. Proszę podążyć tam, gdzie prowadzi zielona linia, na kurs wprowadzający. A co, jeśli dwóch Johnów Smithów z Albuquerque zginęło w tej samej katastrofie? Mogło się tak zdarzyć. Dużo miejsca na pomyłki.

Morris uśmiechnął się do niej znad trupów.

– Stanowczo za dużo miejsca. Miejmy nadzieję, że cały system jest bardziej wyrafinowany.

– Tak, ale mimo wszystko człowiek snuje różne przypuszczenia.

Odłożyła na bok egzystencjalne rozważania i ruszyła do komendy.

Kiedy zbliżała się do sali wydziału zabójstw, usłyszała salwy śmiechu. Dostrzegła grupkę mundurowych – nie z jej wydziału – tłoczących się w drzwiach.

– Panowie, przestępcy wzięli wolne?

Szybko się rozbiegli, robiąc dla niej przejście.

Zobaczyła, co było powodem tej swobodnej atmosfery – sama Marlo Durn, gwiazda filmowa, ulubienica publiczności, aktorka, która wcieliła się w Eve w „Sprawie Icoverów”.

Odrośły jej już włosy i znów stała się blondynką, co Eve przyjęła z ulgą, bo przestały być tak bardzo do siebie podobne. Przysiadła na biurku Baxtera, najwyraźniej była w nastroju do flirtu, i zabawiała detektywów i mundurowych, którzy aktualnie nic nie robili.

Baxter wyglądał, jak rażony paralizatorem w kształcie serca.

Peabody pierwsza spostrzegła Eve i zdjęła z biurka nogi w różowych kowbojkach.

– Cześć, Dallas. Spójrz, kto nas odwiedził.

– Dallas! – Rozpływając się w uśmiechach, Marlo zeskoczyła z blatu i podbiegła do Eve, żeby ją uścisnąć. – Jak dobrze cię widzieć. Matthew i ja dotarliśmy do Nowego Jorku wczoraj późnym wieczorem, więc zaryzykowałam i przyszłam tutaj w nadziei, że cię spotkam. Wszyscy jesteśmy tak przejęci jutrzejszą premierą.

– Tak. To będzie coś.

– Wolisz szukać zabójcy, niż kroczyć po czerwonym dywanie, ale sama się przekonasz, jak będzie fajnie. Peabody powiedziała, że właśnie prowadzisz śledztwo w sprawie kilku morderstw.

Peabody aż się skuliła, kiedy Eve rzuciła jej kamienne spojrzenie.

– Tak to bywa, kiedy się pracuje w wydziale zabójstw. Prawdę mówiąc, jestem gotowa się założyć, że każdy gliniarz w tej sali ma w tej chwili coś do roboty.

Jej podwładni natychmiast usiedli prosto, otworzyli akta i wzięli do ręki komunikatory.

– Ty też jesteś zajęta. Nie znajdziesz dla mnie choćby kilku minut?

– Kilka może tak. Peabody, jak ci poszło z Baranym Łbem?

– Zajął się tym. Wprawdzie narzekał, ale wziął się do pracy.

Eve skinęła głową i wskazała Marlo drzwi do swojego gabinetu.

– Brakowało mi tego – zaczęła aktorka. – Tego wszystkiego. Wiem, że to były tylko dekoracje, ale brakowało mi atmosfery tego miejsca. I... – Urwała, kiedy zobaczyła tablicę w gabinecie Eve. – Och, akurat prowadzisz kolejne śledztwo. Myślę o K.T. i o wszystkim, co się wydarzyło. Nie rozmawiamy o tym dużo z Matthew, ale wciąż to pamiętamy. Kilka razy rozmawiałam z Julianem. Jest w ośrodku resocjalizacyjnym, wyjdzie z niego na parę dni w związku z premierą, ale zamierza tam wrócić, dokończyć resocjalizację.

Odwróciła się od tablicy.

– Wiem, że panuje przekonanie, że udajemy się do ośrodków resocjalizacji i je opuszczamy, jakby to były butiki, ale naprawdę uważam, że jego stan uległ poprawie. To, co spotkało K.T., i to, że sam omal nie stracił życia, skłoniło go do przewartościowania wszystkiego. To straszne, co powiem, ale cały ten horror to chyba najlepsze, co go mogło spotkać. Sama się jutro przekonasz.

– Cieszę się, że to słyszę. Napijesz się kawy?

– Nie, dziękuję. Proces, skandal, Joel... Wielki producent Joel Steinburger, symbol Hollywood, mordercą? Na wybrzeżu ten temat nadal króluje w mediach, siłą rzeczy uwaga skupia się również na Marlo Durn, Matthew Zanku, Masonie, Connie i całej reszcie. To wielka ulga móc uciec od całej sprawy, chociaż spodziewam się, że tutaj też będziemy mieli z tym do czynienia.

– To minie – zapewniła ją Eve, kiedy Marlo chodziła po jej gabinecie.

– Niewątpliwie. Prawdę mówiąc, chociaż to straszne, ta sprawa w pewien sposób promuje film i samą wytwórnię. To mnie przygnębia, a nie chcę się czuć przygnębiona, ponieważ chcę ci powiedzieć, że zamierzamy z Matthew się pobrać.

– Moje gratulacje. – Eve przypomniała sobie czarującego aktora, który wcielił się w postać McNaba.

– Wiem, że to szybko, wiem, jak to jest odbierane. Aktorzy wiecznie się zakochują i odkochują, szczególnie w innych aktorach. Ale naprawdę świata za nim nie widzę. Powiedzieliśmy o tym tylko garstce osób. Nie chcemy, żeby rozpisywały się o nas media. Po ukończeniu filmu wyjechalśmy na jakiś czas. Dobrze nam to zrobiło, dobrze nam było razem, mieliśmy czas, żeby wszystko przegadać. Kochamy to, co robimy, i mimo całej tej otoczki wyjątkowości żyjemy i pracujemy w świecie pełnym stresów. Rozumiesz, co to świat pełen stresu, i jak ciężko w nim normalnie żyć.

– Chyba tak. Jak wszyscy.

– Chciałam ci to powiedzieć, ponieważ bycie tobą, że się tak wyrażę, pomogło mi zrozumieć wiele rzeczy, przewartościować je, ustalić, co jest najważniejsze. Co jest naprawdę istotne – sumienność we wszystkim, czym się zajmujesz. Ale kiedy spotka się kogoś, tego jednego jedyne, wszystko się zmienia. Człowiek sam się zmienia na lepsze. Mam przyjaciół, którzy też mogą to powiedzieć, którzy to rozumieją, ale nie tak, jak ty. I z tego względu chciałam cię prosić o przystługę.

– Słucham.

– Matthew i ja chcemy wziąć ślub w domu Connie i Masona tu, w Nowym Jorku, pojutrze. Czy zgodzisz się być moim świadkiem?

– Co?

– Przyjdiesz z Roarkiem i zostaniesz moim świadkiem? Jeśli będziesz mogła. Jeśli nie

będziesz pracowała.

– Marlo, z pewnością masz przyjaciółki, z którymi jesteś bardziej związana, kogoś, kto...

– Mam i myślałam o tym. – Marlo wyciągnęła rękę, żeby ująć dłoń Eve i rzuciła jej szeroki uśmiech. – Chcę, żebyś ty była moim świadkiem, jeśli się zgodzisz, jeśli będziesz mogła. Składając przysięgę Matthew, chcę mieć przy sobie kogoś, kto naprawdę rozumie, jak ważne są jej słowa. Postanowiliśmy wziąć cichy ślub. Później, po powrocie do domu, wydamy wielkie, szalone przyjęcie, ale podczas składania przysięgi nie chcemy mieć za świadków całego świata.

Eve przypomniała sobie, kiedy zrozumiała, naprawdę zrozumiała, co to znaczy małżeństwo. Złożenie przysięgi i jej dotrzymanie.

– W porządku. Jasne, o ile...

– Wiem, co się kryje za tym „o ile”. – Marlo znów spojrzała na tablicę. – I jeśli to „o ile” stanie ci na przeszkodzie, trudno. Bardzo ci dziękuję. – Ucisnęła dłoń Eve. – Strasznie się denerwowałam, jak przyjmiesz moją prośbę. Teraz czuję się znacznie lepiej. Jeśli ty kiedyś będziesz ode mnie czegoś potrzebowała, wystarczy, jak mnie o to poprosisz.

– Przydałyby mi się dwa bilety w sektorze dla VIP-ów na jutro. Muszę kogoś przekupić.

– Zajmę się tym. Tylko daj mi... O, witam. – Na twarzy Marlo znów pojawił się kokieterystyczny uśmiech, kiedy na progu stanął Roarke. Podeszła do niego i cmoknęła go przyjaźnie. – Nie przypuszczałam, że spotkam was oboje, kiedy tu będę. To dodatkowa premia.

– Jak się masz, Marlo?

– Świetnie. Dallas wszystko ci powie, bo już na wystarczająco długo oderwałam ją od pracy. Nie możemy się doczekać jutrzejszego przyjęcia po premierze. Będzie wtedy dość czasu na rozmowy.

– Przepraszam, że wam przeszkodziłam. Marlo! Jak miło cię widzieć.

Kiedy weszła Mira, Eve pomyślała sobie: „Kto następny? Orkiestra dęta?”

Teraz musiała przeczekać wszystkie te „jak się masz”, „wyglądasz cudownie” i tym podobne, a tłum ludzi, zebranych w gabinecie, zabierał jej tlen.

Roarke posłał Eve rozbawione spojrzenie nad głowę Miry.

– Marlo – odezwał się. – Właśnie się wybieram do wydziału przestępstw elektronicznych. Masz ochotę iść ze mną, rozejrzeć się nieco?

– Zrobię to z największą przyjemnością, a przy okazji sama ci powiem, co u mnie nowego. Do zobaczenia jutro – zwróciła się do Eve i Miry. – I jeszcze raz dziękuję, Dallas. Postaram się o te bilety.

– Dzięki.

Kiedy Roarke wyszedł razem z Marlo i cicho zamknął za sobą drzwi, Eve westchnęła głęboko.

– Boże! Dlaczego na świecie jest tyle ludzi?

– Wygląda na szczęśliwą – zauważyła Mira. – A ty na zniecierpliwioną.

– Jesteś bardzo spozstrzegawcza. Wybierałam się do ciebie po uaktualnieniu tablicy i uzupełnieniu książki sprawy.

– Przeczytałam raporty, uważnie obejrzałam nagrania, przysłane mi przez Peabody, i postanowiłam niezwłocznie z tobą porozmawiać. On ewoluuje, Eve.

– Sama się zorientowałam.

Konsultantka pokręciła głową.

– Uaktualnij swoją tablicę. Umieść na niej informacje o dwóch zamordowanych dziś rano osobach.

– Dobrze. – Eve podeszła do komputera, żeby wydrukować zapisy z rekordera.

– Zaprogramuję kawę – powiedziała Mira.

– Gdzieś tu mam herbatkę, którą lubisz.

– Mam ochotę na kawę. – Kiedy Eve pracowała, Mira zaprogramowała dwie filiżanki kawy.

– Spójrz na pierwszą ofiarę – zaczęła Mira. – Czyste, szybkie zabójstwo, próba upozorowania napadu rabunkowego.

– To było zlecenie. Nie znał ofiary. Sprawa czysto zawodowa.

– Zgadzam się. Rozmawialiśmy o tym wcześniej. Drugie zabójstwo jest niepotrzebnie okrutne, sprawiło cierpienie, sprawca i ofiara znaleźli się twarzą w twarz.

– Bardziej osobiste. Zorientowałam się – powtórzyła Eve. – Znał faceta, trochę się rozsmakował w zabijaniu.

– Twarzą w twarz – powiedziała Mira. – Ale ofiara była pod działaniem środków przeciwbólowych, poza tym ją skrępował. Uważasz, że zabójca jest silnym, rosnym mężczyzną, a jednak skrępował drobniejszego od siebie, słabszego człowieka.

– Bo w gruncie rzeczy jest tchórzem.

– Owszem. A teraz trzecia ofiara. Odebrał jej życie niemal tuż po drugim zabójstwie. Szybka robota i wyjątkowe okrucieństwo. Uważasz, że nim zatłukł ofiarę na śmierć, oszołomił ją paralizatorem.

– Morris to potwierdził.

– I że się zaczął, zwabił ofiarę, unieszkodliwił ją, a następnie brutalnie zatłukł. To bardzo szybka eskalacja. Być może eksperymentuje z nowymi metodami, ale jeśli tak szybko doszło do takiej eskalacji, to raczej przejaw owej agresji, która zawsze w nim drzemała. Rosły, silny mężczyzna, zdolny do skręcenia kobiecie karku zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. A jednak tchórz, a tchórzostwo w jeszcze większym stopniu niż siła i agresywność czynią z niego bardzo niebezpiecznego przeciwnika.

– Bo zastawia pułapki, atakuje od tyłu.

– Tu chodzi o coś więcej. Chociaż pierwsze zlecenie było stosunkowo łatwe, nie wykonał go dobrze. Policja nie dała się nabrać na to, że ofiara zginęła w wyniku napadu rabunkowego, a zleceniodawca mordercy znalazł się w kręgu podejrzanych. Jaka była jego reakcja?

– Spróbował wyeliminować mnie i Peabody.

– No właśnie. Pod wpływem impulsu, nie zważając na to, że mogą ucierpieć niewinni ludzie. I wyraźnie zdradził się ze swoim tchórzostwem, posługując się dzieckiem w charakterze tarczy i broni. Wszystko to trafiło do mediów. Znów poniósł porażkę, na dokładkę publicznie obwołano go tchórzem i potworem, a ciebie okrzyknięto bohaterką.

– Tylko złapałam tego dzieciaka – powiedziała Eve. – Nie było to żadne bohaterstwo, jedynie szybki refleks.

– Nie zgadzam się, podobnie jak wszyscy, którzy się o tym wypowiadają. Ale chodzi o to, że jego uznano za tchórze, a ciebie za bohaterkę.

– Rozumiem. Mogło go to wkurzyć.

– Uważasz, że zleceniodawca polecił mu, żeby zabił dwie kolejne ofiary z większym okrucieństwem? I w żaden sposób nie próbując tego zamaskować?

Eve pokręciła głową.

– Prawdopodobnie nie. Przypuszczam, że powiedział mu jedynie: „Zajmij się tym”. Nie podejrzewam Alexandra, by poświęcał więcej czasu na przemyślenie spraw niż jego osiłek.

– Masz rację. Niczym nieskrępowane impulsywność, nonszalancja, tchórzostwo, brutalność. Wielce prawdopodobne, że nie zaczeka na kolejne rozkazy, tylko sam z siebie postanowi kogoś zabić. Uważa swoje dwa ostatnie morderstwa za sukces. Popełnił je po swojemu, dając upust agresji, którą w sobie tłumził. Spodobało mu się to. Znowu będzie chciał poczuć to samo, tę satysfakcję, będzie chciał dać upust agresji. A jego pierwsze zabójstwo zakończyło się niepowodzeniem przez ciebie i przez Peabody. Podobnie jak jego drugi czyn, napad na ciebie i Peabody.

– Czyli będzie chciał naprawić ten błąd. – Eve przysiadła na skraju biurka i się zamyśliła. – Rozumiem.

– Musi naprawić ten błąd. Stracił twarz, jego poczucie dumy zostało narażone na szwank, kiedy w mediach i w internecie pojawiły się nagrania, jak łapiesz to dziecko. Mógł sobie to zrekompensować dwoma kolejnymi, polechtać własną próżność odniesionym sukcesem, poczuć się spełniony. Do tego przyniosło mu to zadowolenie. Coraz bardziej go to kręci. Czy jego zleceniodawca każe mu to zrobić, czy też nie, morderca odczuwa potrzebę kolejnego zmierzenia się z tobą. A ty teraz rozważasz, jak możesz to wykorzystać.

Nie darmo Mira cieszyła się opinią najlepszej psycholog w wydziale, pomyślała Eve.

– Jeśli nie uda mi się to, jeśli nie wymyślę sposobu, jak przechytryć i powstrzymać tego drania, to powinnam zmienić pracę. Przypuszczam, że jeśli jest ambitny, w następnej kolejności zabije hakera.

– Całkiem możliwe. Lecz w tej chwili jest zadowolony z siebie. Jediną drobnostką, która psuje mu humor, jesteś ty. Przez ciebie wszyscy zobaczyli w nim tchórze. Musi cię wykończyć, żeby udowodnić, że to nieprawda.

– Czyli nie spocznie na laurach. Nie zechce zbyt długo z tym zwlekać. Alexander może uważać, że rozwiązał swoje problemy. Doprowadził sprawę do końca, czyli jego goryl na razie nie ma nic do roboty. Jeśli zabije hakera, będzie musiał się tłumaczyć, dlaczego to zrobił. Lecz jeśli dopadnie mnie, będzie to jedynie oznaczało wyrównanie dawnych porachunków. Dam sobie z tym radę.

– Nikt nie zdoła go kontrolować. Nie będzie postępował zgodnie z logiką. Jest brutalny i bezwzględny i nie będzie zważał na to, kto jeszcze może ucierpieć podczas jego ataku na ciebie.

– W takim razie to ja wybiorę porę, miejsce i okoliczności. Nie mogę jak gdyby nigdy nic chodzić po mieście, mając nadzieję, że wykona kolejny ruch. Muszę za niego przygotować plan działania. I chyba wiem, jak powinien wyglądać. Ale może uda nam się dziś ustalić jego tożsamość, wtedy wszystkie te nasze rozważania okażą się niepotrzebne.

– Nie lekceważ go, Eve. Jego impulsywność i nieprzewidywalność mogą działać na jego korzyść.

Być może, pomyślała Eve, kiedy została sama. Ale wierzyła, że przebiegłość, doświadczenie i odrobina manipulacji będą działać na jej korzyść.

Skontaktowała się z Nadine Furst.

– Gotowa na jutrzejszy wieczór? – spytała ją dziennikarka.

– Właśnie dlatego do ciebie dzwonię.

Nadine zmrużyła swoje zielone, kocie oczy.

– Tylko nie próbuj ze mną grać kartą „Jestem zbyt zajęta prowadzeniem śledztwa w sprawie morderstwa”.

– Jestem zajęta prowadzeniem śledztwa w sprawie morderstwa. A właściwie morderstw.

Przyjaciółce nawet nie drgnęła powieka.

– Te dwa, które popełniono dziś przed południem, są ze sobą powiązane? – spytała rzeczowym tonem. – I z zabójstwem bratowej sędzi Yung?

– Wszystko zaczyna się układać w całość. Jak to możliwe, że nikt ze mną nie przeprowadził wywiadu przed jutrzejszą premierą?

– Czy to podchwytliwe pytanie? – Nadine znów zmrużyła oczy. – Co ci chodzi po głowie?

– Rozważam ściągnięcie na premierę jeszcze jednej osoby.

– Czyli?

– Zabójcy. Przyjedź tu z kamerzystą, wystosujemy zaproszenie.

Eve rozłączyła się i rozparła w fotelu. To się może udać. Jasne, że pomysł jest ryzykowny, ale całkiem realny. Już sięgała po telefon, by wezwać do siebie Peabody, kiedy w otwartych drzwiach pojawił się Roarke.

– Znów jesteś sama.

– Już nie. Dzięki za uwolnienie mnie od Marlo.

– Nie było to takie trudne, bo i tak chciałem porozmawiać z Feeneyem i McNabem. Jest przeszczęśliwa i nieskończenie ci wdzięczna, że zgodziłaś się być świadkiem na jej ślubie.

– Nie wiedziałam, jak się od tego wykręcić.

– Nie miałaś serca, żeby poszukać jakiegoś pretekstu. – Ujął ją pod brodę, a potem postawił na biurku kubek z automatu.

– Co to takiego?

– Zupa, bo przypuszczam, że od śniadania nic nie jadłaś.

– Byłam trochę zajęta.

– Słyszałem. – Podeszedł do tablicy. – Już nie jest zimny i opanowany, tylko okrutny i brutalny. To znaczy, że pies zerwał się z łańcucha?

– Być może. Mira tak przypuszcza. Uważa, że rozsmakował się w zabijaniu i okrucieństwie. Zgadzam się z nią. Uważa go za tchórza. Ja też. Jest coraz zuchwalszy, podoba mu się to, co robi. Ale według Miry wszystko to sprawia, że jest coraz niebezpieczniejszy. Być może ona ma rację.

– Przestraszone zwierzę gryzie równie dotkliwie, co rozzuchwalone, ale to drugie jest mniej przewidywalne.

– Tak można streścić jej opinię. Uważa, że jestem tą drobnostką, która mu psuje nastrój.

– Humor.

– Jedno i to samo. Nie udało mu się mnie wyeliminować, więc musi to naprawić, żeby odzyskać dobre samopoczucie. Poza tym te w kółko puszczane filmy z lecącym w powietrzu dzieckiem zaszkoziły jego dobremu mniemaniu o sobie.

– Ma nadzieję, że zwabi cię w jakąś pułapkę albo zasadzkę. – Roarke nie był czołowym psychologiem w wydziale, ale znał swoją żonę. – I teraz ty chcesz zastawić na niego sidła ze sobą w roli przynęty.

– W tym wypadku nie nazwałabym siebie przynętą. Raczej... Zachętą. Jeżeli

wcześniej uda nam się ustalić jego tożsamość, zgarniemy go. Jeśli nie, mam pewien pomysł. O ile sporządzony przez Mirę profil psychologiczny jest trafny, morderca nie oprze się pokusie.

Roarke wyjął z kieszeni dyskietkę.

– Uważam, że znajdziesz tu wszystko, co konieczne, żeby aresztować Sterlinga Alexandra pod zarzutem oszustwa, defraudacji i sprzeniewierzenia powierzonych mu funduszy, a na dokładkę unikania płacenia podatków.

– Udało ci się to ustalić?

– Było to dość proste, kiedy poszczególne kostki domina zaczęły się przewracać. Dość łatwo też powiązać go z kilkoma innymi firmami, niektóre to tylko atrapy, i z ludźmi, którzy też dopuścili się oszustw.

– Czy jest tu coś, co go wiąże z trzema morderstwami i próbą zabicia dwóch funkcjonariuszy policji?

– Łatwo powiązać jego firmę i pozostałe z zamordowanym ostatnio księgowym oraz równie martwym specem od pieniędzy. Gdyby żyli, musieliby odpowiedzieć na wiele pytań.

– Czyli można powiedzieć, że Alexander kazał ich zabić, żeby nie mogli odpowiedzieć na żadne pytania. Lecz bez zabójcy niczego nie możemy mu udowodnić. Aresztujemy go za oszustwa i za współudział w morderstwie, ale może się upierać, że nie ma z tym nic wspólnego, że nic mu o tym nie wiadomo. – Eve wyciągnęła rękę po dyskietkę. – Pójdę z tym do komendanta i prokuratora. Poproszę ich, żeby dali mi parę dni na udowodnienie mu zabójstw. Dobra robota, Roarke. Dziękuję.

– Skąd wiesz? Nawet na to nie rzuciłaś okiem.

– Wiem, bo to twoje dzieło.

Pstryknął ją w głowę.

– Próbujesz mi się podlizywać, żeby nie sprzeciwił się temu, byś została... Zachęta dla mordercy.

– Nawet jeśli, nic a nic nie skłamałam.

Usiadł w jej potwornie niewygodnym fotelu dla gości.

– Chyba najlepiej będzie, jak zjesz zupę i powiesz mi, co takiego wymyśliłaś.

Eve zdjęła pokrywkę i powąchała zawartość kubka.

– Co to za zupa?

– Podobno minestrone, ale kupiłem ją w automacie.

– Nie będzie zbyt smaczna. – Spróbowała. – Ale nie jest też najgorsza. No więc niebawem pojawi się tu Nadine, żeby przeprowadzić ze mną krótki wywiad na temat ni mniej, ni więcej, tylko tego, cóż to będzie za wspaniałe widowisko jutrzejsza premiera. Premiera filmu, opowiadającego o śledztwie, które było moim sukcesem. Chociaż skromność nie pozwala mi bębnić o tym na prawo i lewo...

– Trąbić o tym na prawo i lewo.

– Co za różnica? Jedno i drugie robi dużo hałasu.

– Przyznaję ci rację. – Próbując usiąść wygodniej w fotelu, Roarke wyciągnął nogi.

– Chcesz doprowadzić do konfrontacji z niebezpiecznym zabójcą na imprezie publicznej?

– Chcę nakłonić zabójcę do ujawnienia się na imprezie, na której obecność będzie stanowiła dla niego wielką pokusę, bo nie tylko się na niej pojawię, lecz również doniosą o tym wszystkie media. A nastąpi to tuż po tym, jak te same media go upokorzyły, pokazując tego dzieciaka, lecącego w powietrzu.

– I nie widzisz nic złego w tym, że teraz sprowokują mordercę.

– Wprost przeciwnie, bardzo mi to na rękę. Posłuchaj – ciągnęła, znając jego zastrzeżenia. – W jaki sposób zwabi mnie w pułapkę? Może spróbuje mnie dopaść, kiedy będę jechała do domu albo do komendy, albo kiedy razem z Peabody będziemy w terenie? Możemy zachować środki ostrożności, tylko jak długo? Albo najpierw napadnie na Peabody, kiedy będzie szła na stację metra lub do sklepu, by kupić sobie chipsy.

– Zgoda, nie da się tego przewidzieć.

– No właśnie. A w ten sposób zawężymy mu pole działania. Jutro wieczorem, kiedy uwaga wszystkich będzie skupiona na mnie, pokaże mi... Pokaże wszystkim, a przede wszystkim sobie, jeśli Mira go dobrze ocenia... Że stać go na to.

Nie mógł nic zarzucić jej logice ani jej pomysłowi zastawienia pułapki na amatora zastawiania pułapek.

– Na imprezie będą gliniarze. I jako goście, i jako obstawa.

– Masa gliniarzy – zapewniła go. – A do tego czasu powinniśmy mieć pełniejszy jego rysopis. Możliwe, że uda nam się wcześniej go dopaść, ale jeśli nie, jutro zarzucimy na niego sieć.

A ja będę przy tobie od początku do końca, pomyślał Roarke.

– Kiedy go dopadniesz, wierzysz, że uda ci się nakłonić go do wydania Alexandra?

– Już moja w tym głowa, żeby go wsypał. I obaj trafią za kratki.

– No cóż, w takim razie zapowiada się bardzo ciekawy wieczór.

– Muszę to omówić z Whitneyem, zwołać odprawę.

– I możesz dopracować szczegóły, wprowadzić niezbędne korekty, jeszcze raz wszystko przemyśleć, kiedy jutro wieczorem Trina będzie cię czesała i malowała.

– Co? Co? Dlaczego?

– Pani porucznik, ktoś tak inteligentny, jak ty, naprawdę powinien wiedzieć, że tego nie da się uniknąć.

– Sama umiem się wypacykować.

– Mavis i Peabody zapewnią ci moralne wsparcie. Nie mam z tym nic wspólnego – dodał, unosząc ręce w górę. – I naprawdę, najdroższa, jeśli nie brak ci odwagi, żeby stanąć oko w oko z zabójcą, jakoś przetrzymasz zabiegi upiększające w obecności przyjaciółek.

– Kolejna pułapka – mruknęła. – Jacy przyjaciele zastawiają na człowieka pułapkę?

– Tacy, jak ty. I pomyśl tylko, o ile bardziej atrakcyjnym celem będziesz dla tego, kto na ciebie poluje, kiedy poddasz się zabiegom upiększającym.

Otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła. Chrząknęła.

– Nie wynagrodzi mi to mojego poświęcenia, ale może masz rację.

Spojrzała na drzwi, słysząc zbliżające się kroki.

– Taneczny chód. McNab – powiedziała na chwilę przedtem, nim ukochany Peabody pojawił się na progu.

– Pani porucznik, chyba mam hakera – zameldował.

Zapomniała o czekających ją mękach, kiedy Trina będzie ją czesała i malowała.

– Kto to taki? Gdzie jest?

– Nazywa się Milo Easton, ksywa Kret. Kret Milo jest dobrze znany w kręgu hakerów.

Słyszałeś o nim? – zwrócił się do Roarke'a.

– Szczerze mówiąc, tak. Jest młody, prawda? Nie skończył jeszcze dwudziestu pięciu lat. To on włamał się do głównego komputera Krajowej Agencji Bezpieczeństwa. Był

wtedy jeszcze nastolatkiem. Ogołocił konto bankowe magnata internetowego, którego uważał za swojego konkurenta, majstrował przy tabelach zakładów przed Kentucky Derby.

– To wszystko robota Milo – potwierdził McNab. – Tylko raz wpadł i to na samym początku. Miał wtedy czternaście lat, więc potraktowano go łagodnie. I to był wielki błąd, bo przestał to robić dla zabawy, a zaczął dla pieniędzy. Ukrywa się – powiedział do Eve. – I z tym, co robi. Dlatego tak trudno go wytropić. Stracił dobrą opinię w środowisku, kiedy się wydało, że włamał się na konta emerytów. Okradanie wielkich firm i bogaczy to jedno. Ale wyciąganie forsy od biedaków? Żaden powód do chwały. Znalazłem jego odciski na komputerze pierwszej ofiary i na sejfie w biurze rachunkowym. Jestem tego pewien.

– Gdzie go można znaleźć?

– Zaszył się – powtórzył McNab. – Jeśli wpisać jego nazwisko, otrzymuje się szereg informacji. Jeśli wpisać je ponownie, otrzymuje się zupełnie inne informacje. Wszystkie fałszywe. Pracuję nad tym, ale jeszcze nie udało mi się ustalić miejsca jego pobytu.

– Chyba będę mógł ci pomóc. – Roarke uśmiechnął się do Eve. – To znów kwestia znajomości pewnych ludzi, którzy znają innych ludzi. Poza tym są przelewy. – Roarke wskazał głową dyskietkę na biurku Eve. – Zapłacono mu. Bez względu na to, gdzie przekaże pieniądze, bez względu na to, przez ile kont je przepuści, ten proces zawsze ma swój początek i koniec. – Uśmiechnął się do McNaba. – Czyż szukanie ich nie będzie świetną zabawą?

– Znaleźć Kreta Milo? – Na urodziwej twarzy McNaba pojawiło się prawdziwe szczęście. – To nie tylko świetna zabawa. Jeśli tego dokonamy, zostanę królem hakerów, cesarzem wydziału przestępstw elektronicznych.

– W takim razie chodźmy zdobyć te korony dla ciebie. – Roarke wstał, podszedł do Eve i pocałował ją we włosy. – Będę się bawił z moimi przyjaciółmi.

A ona niech dobrze rozegra wszystko ze swoimi, jeśli można tak powiedzieć. Zadzwoiła do sekretarki Whitneya, żeby ją umówiła na spotkanie z szefem.

Zanim udała się do niego, zdążyła w ogólnych zarysach przygotować założenia swojej operacji. Dopracuje szczegóły później, pomyślała, wchodząc do gabinetu komendanta.

– Witam, pani porucznik.

– Panie komendancie, chciałam złożyć raport. Detektyw Yancy pracuje ze świadkiem, sprzedał poszukiwanemu przez nas zabójcy młotek, którym zabito Jake’a Ingersola. Nasi informatycy na czele z McNabem ustalili tożsamość hakera, który, jak uważamy, włamał się do biurowego komputera Dickenson, systemu ochrony budynku i systemu łączności szpitala.

– Kto to taki?

– Znany jest jako Kret Milo. Dla maniaków komputerowych to imię wiele znaczy. Starają się teraz znaleźć jego kryjówkę. Korzystając z portretu pamięciowego, sporządzonego przez Yancy’ego, spróbujemy zidentyfikować zabójcę. Jeśli uda nam się dopaść ich obu albo jednego z nich, skłonimy ich do wspaniania Alexandra.

– Dzisiaj po południu idę na pogrzeb Marty Dickenson. Sędzia Yung z pewnością zada mi wiele pytań.

Nieprzyjemna sytuacja, pomyślała Eve, na szczęście nie ona będzie się musiała pocić.

– Nie wiem, ile zdecyduje się pan jej ujawnić, ale Roarke zgromadził dość dowodów, analizując dokumenty firmy Alexander i Pope, skopiowane przez Martę Dickenson.

Możemy oskarżyć Alexandra o liczne oszustwa i sprzeniewierzenie funduszy, a także unikanie płacenia podatków. Do tego dochodzi również pranie pieniędzy.

– Aresztowaliście go?

– Jeszcze nie zweryfikowałam osobiście tych informacji, ale...

– Skoro Roarke je zweryfikował, to znaczy, że są bez zarzutu – dokończył za nią Whitney.

– Przedstawię ich kopie panu i biegłemu księgowemu, ale wiem, panie komendancie, że Roarke'owi można zaufać. Powinno nam się udać przeanalizować te dane i jeśli zabójcy i hakerowi wypłacono pieniądze z któregoś z tych kont, będziemy mogli rozszerzyć zarzuty o zlecenie zabójstwa i współudział w przygotowaniu zabójstwa. Ponieważ w grę wchodzi oszustwa podatkowe oraz unikanie płacenia podatków, przypuszczam, że agenci federalni zainteresują się działalnością Sterlinga Alexandra i jego firmy.

Whitney rozsiadł się w fotelu.

– A pani wolałaby opóźnić poinformowanie o tym władz federalnych.

– Nie żyją trzy osoby. Poza tym próbowano zabić dwie funkcjonariuszki nowojorskiej policji. Wolałabym, żeby sprawca odpowiedział za te czyny, nim zostanie oskarżony o przestępstwa finansowe.

– Ile potrzebujecie czasu?

– Maksymalnie trzydzieści sześć godzin. Jeśli uda nam się ustalić tożsamość i miejsce pobytu zabójcy i hakera, możemy ich aresztować. A jeśli nam się to nie uda, mam w zanadrzu plan zapasowy.

Whitney splótł palce.

– Mów.

– Nowojorska premiera Sprawy Icové'ów wzbudziła spore zainteresowanie mediów. Powszechnie wiadomo, że ja i Peabody będziemy na niej obecne. Jestem przekonana, panie komendancie, opierając się na wzorcu postępowania sprawcy, portrecie psychologicznym, sporządzonym przez doktor Mirę, oraz prawdopodobieństwie, wynoszącym dziewięćdziesiąt sześć przecinek sześć procent, że sprawca również postara się zjawić na premierze, żeby osiągnąć to, czego nie udało mu się osiągnąć wczoraj.

– Uważacie, że spróbuje dopaść was i Peabody podczas premiery, na którą przybędą tłumy? Z której relacje będą oglądały tysiące widzów? Pomimo kamer i obecności ochroniarzy?

– Uważam, że właśnie dlatego tam się pojawi. Poprzednio mu się nie udało, doznał upokorzenia, i to na oczach wielu ludzi, oglądających wielokrotnie powtarzane nagranie, jak złapałam tamtego dzieciaka.

– Robiło to duże wrażenie – przyznał Whitney.

– Dziękuję, panie komendancie. Fakt, że swoje dzisiejsze ofiary zabił w sposób bardziej okrutny, że potraktował to jak osobiste wyzwanie, dowodzi, że rozsmakował się w zabijaniu, czego nie można powiedzieć o sposobie, w jaki pozbawił życia Dickenson. Jest tchórzem, panie komendancie, który musi teraz dowieść swoich możliwości, swojej siły. Za każdym razem zastawiał pułapkę na swoje ofiary. Tym razem będzie inaczej.

– My zastawimy pułapkę na niego?

– Panie komendancie, udzielając wywiadu Nadine Furst, mogę zwabić go w pułapkę, nagłaśniając mój udział w premierze i ujawniając, jaka jestem tym przejęta.

Na ustach Whitneya pojawiło się coś w rodzaju znaczącego uśmiechu.

– Jest pani aż tak dobrą aktorką, porucznik Dallas?

– Spróbuję. Zobaczy cały ten blichtr, nie pułapkę. Co więcej, jeśli wcześniej nie zamkniemy śledztwa, Alexander też będzie obecny na premierze. Zabójca dokończy swoje dzieło na oczach wszystkich widzów i swojego zleceniodawcy. Panie komendancie, jestem przekonana, że jeśli wcześniej nie zamkniemy śledztwa, zdecyduje się na ten krok. Chcę być na to przygotowana. Dziś w ciągu niespełna godziny zabił dwoje ludzi. Jest nabuzowany, a do tej pory tylko raz mu się nie udało osiągnąć celu. Musi naprawić swój błąd.

– Są łatwiejsze sposoby zabicia gliniarza.

– Ale żaden nie jest tak dobry, żaden lepiej nie pasuje do jego impulsywnego charakteru. Zabije dwie policjantki wtedy, kiedy będą najbardziej bezbronne. Wystrojone, paradujące dumnie jak pawie. I wszyscy ci ludzie, którzy oglądali w telewizji i internecie film o jego tchórzostwie i niepowodzeniu, teraz zobaczą jego triumf. Panie komendancie, jeśli go nie aresztujemy, jutro wieczorem wykona swój ruch.

– Też się ku temu skłaniam. No dobrze, pani porucznik, proszę przedstawić swój plan.

Rozdział 18

Nadal wymaga to dopracowania, myślała Eve, wracając do siebie. Mimo cennych uwag komendanta musiała jeszcze poświęcić trochę czasu na dopieszczenie szczegółów operacji.

Zastanawiając się na słabymi punktami i ślepych uliczkami, weszła do sali ogólnej wydziału.

– Nadine czeka na ciebie w gabinecie! – zawołała do niej Peabody. – Powiedziała, że ją poprosiłaś o spotkanie.

– Owszem. – Rozejrzała się po sali. – Chcę, żeby wszyscy, którzy nie mają teraz nic do roboty w terenie, zbrali się w sali konferencyjnej, którą uda się załatwić Peabody. Za godzinę. Peabody, potrzebny mi rozkład pomieszczeń Five Star Theater.

Udając, że nie słyszy szmeru za swoimi plecami, poszła do gabinetu.

Nadine chodziła tam i z powrotem po małym pokoiku. Miała na nogach szpilki koloru kiwi, takiego samego, jak wcięty w pasie żakiet, który włożyła na czarną, skórzaną sukienkę. Zasypywała kogoś pytaniami przez telefon i udzielała wyjaśnień. Dotyczyły programu i rezerwacji na ósmą. Kamerzysta siedział w fotelu dla gości i sądząc po dźwiękach, dobiegających z jego palmtopa, skracał sobie czas, grając w jakąś grę komputerową.

Kiedy Nadine dała Eve znak, że za minutkę się nią zajmie, Eve zwróciła się do kamerzysty:

– Proszę na kilka minut zostawić nas same.

– Jasne. – Podniósł się, wziął kamerę, torbę i nie przerywając gry, wyszedł z pokoju.

– Jeśli chce to skrócić do dwustu czterdziestu trzech, niech Derrick dokona cięć. Nie, to musi być Derrick. Dam ci znać, kiedy tu skończę. Gdybym wiedziała, powiedziałabym ci teraz, prawda? Przesuń to na ósmą trzydzieści. Zrób to, Maxie.

Najwyraźniej nabuzowana, wyjęła słuchawkę z ucha.

– Niech to będzie coś ważnego – zwróciła się do Eve. – Mam urwanie głowy w związku ze skierowaniem do postprodukcji specjalnego wydania programu, a moja asystentka w tym tygodniu nie potrafi składnie skleić dwóch zdań i jeszcze czeka mnie ostatnia przymiarka sukni na jutrzejszy wieczór.

– Nie wiem, czy to jest równie ważne, jak przymiarka sukni.

– Nie bądź taka dowcipna. Jutro jest bardzo ważny dzień i chcę wyglądać jak najlepiej. – Przystanęła i obrzuciła Eve zimnym, surowym wzrokiem. – Chyba nie ściągnęłaś mnie tu, by mi oznajmić, że nie przyjdiesz na premierę?

– Wprost przeciwnie. Chcę, żebyś przeprowadziła ze mną wywiad na temat jutrzejszej premiery, i to w taki sposób, żeby wzbudzić sensację.

– Czy ty ostatnio nie doznałaś urazu głowy? Z tego, co widziałam w internecie, kiedy złapałaś to dziecko, wyładowałaś na tyłku. Ale z drugiej strony...

– Zachowuj się tak dalej, a za dziesięć sekund poproszę tu innego reportera.

– Inny reporter nie stanie na wysokości zadania i nie zrobi tego, na czym ci zależy. – Nadine usiadła i założyła nogę na nogę. – O co ci chodzi?

– O zainteresowanie mediów tym konkretnym wydarzeniem. Będziesz miała swoich własnych kamerzystów, obsługujących całą uroczystość, tak?

– Jasne.

– Jeśli mój plan się powiedzie, zdobędziesz niesamowity materiał.

Nadine rzuciła okiem na tablicę, a potem znów utkwiała wzrok w Eve.

– Co jutrzejsza premiera ma wspólnego z tymi trzema zabójstwami?

– Mamy kilka tropów i być może przed premierą uda nam się zamknąć śledztwo.

Jeśli nie, zrobimy to na premierze.

Nadine zacisnęła usta, a w jej oczach pojawił się błysk.

– Jak?

– „Jak” to sprawa moja i nowojorskiej policji. A ty masz zwabić ptaszka. Już raz próbował zabić mnie i Peabody. Uważam, że spróbuje ponownie, więc sama chcę wyznaczyć czas i miejsce.

– Jutro wieczorem w Five Star Theater.

– Bardzo możliwe, że wie, że tam będę. Chcę mu o tym przypomnieć, rzucić mu to w twarz, nadać temu dodatkowy blask, by nie mógł się oprzeć pokusie zaatakowania mnie właśnie tam.

– Mówisz o blasku, blichtrze, prestiżu? – Nadine przechyliła głowę i powątpiewająco przyjrzała się Eve. – To do ciebie niepodobne.

– Twoja w tym głowa, żeby wszystko wypadło jak należy. Ja już się nie mogę doczekać, kiedy film, opowiadający o śledztwie, którym kierowałam, trafi na ekrany kin. Możesz zapytać...

– Hoła, hoła... – Nadine pogroziła jej palcem. – Jeśli ja mam przeprowadzić ten wywiad, musimy się trzymać zasad. Nie mogę we wszystkim cię wyręczyć, przeciwyczyć, co ja mam powiedzieć, co ty masz powiedzieć. To ma być wywiad czy nie?

– Dobrze. Masz rację.

– I jeśli pomoże ci ująć zabójcę, wystąpisz w moim programie. – Nadine uniosła dłoń, nie dając Eve dojść do głosu. – Tak będzie uczciwie. Będę musiała się nieźle nagimnastykować, żeby dziś wieczorem wyemitować ten nasz wywiad.

– Dobra. Zgoda.

Nie trwało to długo. Nadine ustawiła Eve pod oknem w taki sposób, że jej klitka na ekranie wydała się większa, a w tle widać było miasto.

– Porucznik Dallas – zaczęła Nadine. – Co pani sądzi o jutrzejszej premierze filmu Sprawa Icové'ów?

– Już się nie mogę doczekać. To było trudne, drobiazgowo śledztwo. Z rodzaju tych, których się zapomina. Jestem bardzo ciekawa, jak zostanie przedstawiona historia, która przecież wydarzyła się naprawdę.

– Na swoją własną prośbę bardzo mało się pani angażowała w produkcję filmu.

– Uznałam, że tacy ludzie, jak Mason Roundtree, nie będą mi mówić, jak prowadzić śledztwo, a ja nie będę im mówić, jak kręcić film. Ale ciekawa jestem, jak to wypadnie na ekranie. W książce wszystko zostało wiernie ukazane. Jestem prawie pewna, że film, który powstał w oparciu o nią, też będzie dobry.

– Dziękuję. W przeszłości brała pani udział w różnych prestiżowych uroczystościach jako żona Roarke'a. Ale tym razem to pani będzie najważniejsza.

– Nie ja, tylko śledztwo – sprostowała Eve, najwyraźniej speszona.

– Którym pani kierowała. Jakie jest pani zdanie na temat paradowania po czerwonym dywanie razem z innymi sławami, komentarzy reporterów na temat strojów obecnych osób?

Wiedziała, że nikt nie uwierzy, że jest przejęta czy zainteresowana strojami czy

blichtrzem.

Więc powiedziała to, co myśli.

– O ile się orientuję, aktorzy to zwykli ludzie, którzy wykonują swój zawód. Z tego, co widziałam podczas wizyt na planie filmu, dobrze się wywiązali ze swojego zadania. Prawdę mówiąc, rozmawiałam dziś z Marlo Durn i chętnie spotkam się jutro wieczorem z nią, a także z pozostałymi aktorami oraz całą ekipą techniczną.

– Krążą plotki, że wystąpi pani w sukni, zaprojektowanej specjalnie dla pani na tę okazję przez pani ulubionego projektanta, Leonardo. Czy może pani zdradzić naszym widzom jakieś szczegóły, dotyczące pani kreacji?

Eve była niemal pewna, że Nadine mogłaby przytknąć jej paralizator do szyi, a i tak nie potrafiłaby opisać sukienki.

– Powiem tylko, że nie bez powodu Leonardo jest moim ulubionym projektantem. Zawsze ma doskonałe wyczucie, więc mnie pozostaje jedynie włożyć to, co uszył. Jutro... No cóż, to coś jak bajka, prawda? Eleganckie stroje, eleganccy goście, czerwony dywan, sala kinowa, ważny film. To wytchnienie od tego, czym się zajmuję na co dzień, okazja, żeby na jeden wieczór wkroczyć w świat fantazji, zanim wrócę do rzeczywistości kolejnego śledztwa.

Nadine zadała jej jeszcze kilka pytań, sfilmowała ją pod innym kątem i zakończyła wywiad.

– Uda się. Nieźle, Dallas.

– Im bardziej to nagłośnisz, tym lepiej.

– Zrobię, co będę mogła.

Usatysfakcjonowana tym Eve zebrała wszystko, co jej było potrzebne na odprawę, i zajrzała do Peabody.

– Jest coś z wydziału przestępstw elektronicznych albo od Yancy'ego?

– Jeszcze nie.

– Przygotujmy się.

– Ale właściwie do czego?

– Zaraz się dowiesz. – Kiedy wyszły na korytarz, Eve sięgnęła do kieszeni po żetony.

– Masz, kup mi puszkę pepsi, a dla siebie to, co chcesz.

– Naprawdę znów bojkotujesz automaty z napojami?

– Tak będzie lepiej dla wszystkich. Jeśli dostaniemy informacje o hakerze i mordercy, konkretne, takie, które nas do nich zaprowadzą, ta odprawa będzie tylko ćwiczeniem. – Wzięła pepsi, którą podała jej Peabody i otworzyła puszkę, kiedy skierowały się do sali konferencyjnej.

– W przeciwnym razie, zdaniem Miry, z którą się zgadzam, znów spróbuje nas dopaść. Ciebie i mnie.

– Cóż, to nie najlepsza wiadomość.

– Wprost przeciwnie, bo możemy ją wykorzystać. Zdobyłaś dla mnie plan kina?

– Mam go tutaj. Nie byłam pewna, czy chciałaś go mieć w komputerze, czy wydrukowany.

Eve wzięła dyskietkę.

– Na razie wystarczy. Rozmieść wszystko na tablicy zgodnie z tym, co ustaliśmy do tej pory.

W tym czasie sama wgrała zawartość dyskietki do komputera i wyświetliła na ekranie plan kina. Kiedy Peabody zajęta była przygotowaniem tablicy, Eve przedstawiła w ogólnych zarysach swój plan działania.

– Na premierze? – przerwała jej partnerka. – Naprawdę?

– Nie jęć z tego powodu.

– Sprawiałam sobie nową sukienkę. I buty. Wydałam więcej na buty niż na sukienkę.

A Trina wpadła na pomysł nowej fryzury dla mnie i ma nową paletę cieni do oczu... – Delia urwała, odchrząknęła i skupiła całą uwagę na tablicy.

– Wiem o Trinie. Ty suko!

Peabody skuliła się i ostrożnie przypięła podobiznę mordercy.

– To wyjątkowy wieczór. Będziesz naprawdę bardzo dobrze wyglądała i nie będziesz musiała sama tego wszystkiego robić. Przecież chyba nie chcemy, żeby policja nowojorska okazała się gorsza od gości z Hollywood, no nie? W grę wchodzi duma zawodowa!

– Akurat.

– Naprawdę, Dallas, będzie fajnie, będzie wyjątkowo, będziemy wyglądały cudownie po tym, jak... – Znów urwała, ale twarz jej się rozpromieniła. – Będziemy wyglądały cudownie. I jeśli uda nam się aresztować zabójcę na premierze, w obecności tylu fotoreporterów, relacje o tym ukażą się wszędzie, jak o tym bobasie, lecącym w powietrzu. I będziemy się prezentowały wspaniale.

– Bardzo dobrze, pani detektyw, że wie pani, co jest najważniejsze.

– Zajmujemy się łapaniem zabójców. Ale jeśli trzeba to zrobić na ważnej imprezie, nie ma powodu, żebyśmy nie wyglądały jak najlepiej. Dlatego zaprosiłaś Nadine z kamerzystą. Chciałaś to rozgłosić.

– Pokaże mnie w telewizji, jak mówię o premierze. Są szanse, że go to zainspiruje, by spróbował nas dopaść właśnie podczas tej gali. Bo tak czy inaczej zabójca spróbuje nas dopaść. O ile wcześniej go nie aresztujemy. Muszę wszystko przygotować – ciągnęła, przyglądając się planowi kina. – Kto rozwija dywan, ustala trasę i tym podobne rzeczy?

– Mają swojego rzecznika prasowego, współpracującego z rzecznikiem prasowym kina. – Peabody wzięła laserową wskazówkę i podeszła do ekranu. – Stąd dotąd ulica będzie zamknięta dla ruchu samochodowego. Tu i tu będą barierki dla przechodniów. Posiadacze przepustek mogą...

– Skąd to wszystko wiesz? – przerwała jej Eve.

– No cóż, spytałam, czy mogę dostać kopię scenariusza całej uroczystości. Żeby móc się przygotować, trochę poćwiczyć. To mój pierwszy raz.

– Gdyby te informacje nie były tak użyteczne, współczułabym ci. Opowiedz mi o wszystkim.

– Dobrze. Przepuszczą naszą limuzynę tutaj, żebyśmy mogły dojechać do głównego wejścia. Ciekawscy, łowcy autografów będą odgradzeni barierkami. Rzecznik prasowy uważa, że zgromadzą się tłumy z uwagi na to, że w filmie grają czołowi aktorzy, rzecz dzieje się w Nowym Jorku, jesteśmy w Nowym Jorku, no i podczas kręcenia filmu zamordowano K.T. Harris. Na widowni nie będzie wolnych miejsc. Wstęp za zaproszeniami, ale przygotowano sporo biletów dla VIP-ów. Ochroniarzy zapewnią wytwórnia i kino, będą też osobici goryle. No i policja nowojorska.

– Będzie jej więcej, niż przypuszczają – mruknęła Eve.

– Czyli wysiadziemy z limuzyny tutaj, czerwony dywan sięga do samego krawężnika. W tym miejscu akredytowani dziennikarze mogą kręcić migawki, robić zdjęcia, zadawać pytania, przeprowadzać króciutkie wywiady. Aż do holu kinowego.

– Jest spory – zauważyła Eve, studiując plan.

– Tak. Posłaliśmy tam z McNabem dwa tygodnie temu, żeby mu się przyjrzeć. To nie jest zwyczajne kino. Przypomina pałac. Są dwa bary, mała kafejka...

– Jeszcze do tego wrócimy.

– W holu też będą dziennikarze. Zgodnie z planem uroczystości powinniśmy się pojawić kwadrans po siódmej, żeby przejść po czerwonym dywanie, porozmawiać z dziennikarzami, przywitać się z innymi gośćmi. Potem zaprowadzą nas na nasze miejsca. Siedzimy z samego przodu, ponieważ jesteśmy super VIP-ami.

– Ochroniarze mają być we wszystkich wejściach? I w każdej sekcji widowni?

– Nie pytałam o to, nie wiedząc, że ktoś może dybać na moje życie. Ale należy przypuszczać, że tak. Nie chcą, żeby ktoś niepowołany wślizgnął się do sali. A ponieważ trzeba założyć, że komuś zachce się siusiu, z pewnością i na korytarzu będą się kręcić ochroniarze. Dla dziennikarzy przewidziano mniejszą salę projekcyjną. Na wypadek gdyby komuś przyszła ochota na coś do picia lub przegryzienia, przy każdym fotelu zainstalowano urządzenie do składania zamówień. Wstukujesz, czego sobie życzysz, i zaraz ci to dostarczają. Nie musimy za nic płacić, ponieważ jesteśmy...

– Super VIP-ami. A co się stanie po zakończeniu projekcji?

– Zostaniemy wyprowadzeni z kina. Albo do głównego wyjścia, jeśli sobie tego zażyczymy, albo do jednego z tylnych.

– Rozumiem. Rozumiem.

Powtarzała to sobie w myślach, chodząc tam i z powrotem przed ekranem.

– Nie będzie czekał, aż będzie po wszystkim, ponieważ nie wie, którym wyjściem opuścimy budynek. Zresztą nie zechce czekać. Może się wmieszać w tłum za barierkami, ale jeśli nie posiada groźniejszej broni od stunnera, z takiej odległości nie zrobi nam żadnej krzywdy. Tym razem musi się znaleźć bliżej nas. Wśród ochroniarzy albo fotoreporterów. Łatwiej mu będzie wmieszać się między ochroniarzy.

Przyglądała się planom na ekranie, wyświetlając je pod różnymi kątami, powiększała obraz i zmniejszała.

– Dokończ rozmieszczanie informacji na tablicy – poleciała Delii. – Muszę się nad tym zastanowić.

– Jeśli dopadnie nas na ulicy, stanie się to na oczach tłumów – zwróciła jej uwagę Peabody. – Zyska liczną publiczność.

– Tak, to kuszące. Ale w środku ma większą szansę podejść do nas bliżej, i to od tyłu. Mniejsza przestrzeń. Wszyscy goście i VIP-y będą tu stłoczeni, będą sięgali po drinki, wdzięczyli się do kamer.

Poleciała, żeby komputer wyświetlił plan tej części budynku i przyjrzała mu się uważnie, starając się ustalić najbardziej prawdopodobną drogę ucieczki. Z kina w ogóle i z tego miejsca.

Zaznaczyła najkrótszą trasę, a później tę, którą uznała za optymalną. Sprawdziła prawdopodobieństwa, ale przecucie jej mówiło, że zabójca wybierze najkrótszą drogę. Uważała, że nie jest wystarczająco sprytny, by dostrzec zalety dłuższej, nieco okrężnej trasy.

Kiedy zaczęła widzieć w myślach główne zarysy swojej operacji, wyświetliła na jednym ekranie wnętrze kina, a na drugim – jego widok z zewnątrz.

Zaznaczyła potencjalne trasy ucieczki, pomieszczenia techniczne, biura, pomieszczenia ochrony i część dla pracowników. Przyjrzała się planowi – rozmieszczeniu toalet, sal projekcyjnych, barów, kawiarni, automatów z napojami i słodyczami, kas biletowych, kiosków z jedzeniem.

W myślach rozmieściła gliniarzy w poszczególnych sektorach niczym pionki na szachownicy.

Obejrzała się, kiedy otworzyły się drzwi. Odwróciła się, widząc detektywa Yancy'ego.

– Pani porucznik, Baxter powiedział, że zastanę tu panią. Mam portret pamięciowy. Przepraszam, że tak długo to trwało. Niektórzy świadkowie potrzebują więcej czasu. – Podał jej dyskietkę i wydruk.

Eve przyjrzała się uważnie rysunkowi: szeroka twarz, kwadratowe szczęki; krótkie, brązowe włosy, na czubku głowy ostrzyżone maszynką; brązowe oczy o ciężkich powiekach, lekko haczykowany nos, wydatna górna warga.

– Na ile oceniasz podobieństwo?

– Uważam, że jest duże.

Yancy włożył ręce do kieszeni znoszonych džinsów.

– Pierwsze wrażenie: duży, gburowaty gość. Ale później właściciel sklepu zaczął sobie przypominać szczegóły. Na portrecie wygląda jak oprych – dodał – bo tak go widział świadek. Ale uważam, że podobieństwo jest spore.

– W takim razie musi nam to wystarczyć. Dziękuję.

– Nie ma sprawy. – Kiedy spojrział na tablicę, jego młoda, urodziwa twarz spoważniała na widok zdjęcia zamordowanego Jake'a Ingersola. – Trzeba być oprychem, żeby zrobić coś takiego.

– Tak. Przypuszczam, że ma problemy z panowaniem nad gniewem.

Yancy pokręcił głową, uśmiechając się.

– Słyszałem, że na Omedze opracowali skuteczne terapie dla osób z takimi zaburzeniami.

– Dołożymy wszelkich starań, żeby tam się znalazł.

– Proszę mnie zawiadomić, jeśli będę jeszcze do czegoś potrzebny. Do zobaczenia, Peabody.

– Raz mi się przyśnił, uprawialiśmy seks – powiedziała Peabody, kiedy zostały same.

– O, mój Boże!

– To było, zanim poznałam McNaba. Zanim związałam się z McNabem. Jest taki słodki... Znaczący się, Yancy. McNab też, ale...

– Przestań.

– To był naprawdę bardzo fajny sen – mruknęła pod nosem Peabody. – Skoro już o tym mowa... – dodała, kiedy Roarke wszedł do sali.

– Jeszcze jedno słowo, a wezmę młotek, będący dowodem rzeczowym, i rozbiję ci nim język na płasko. Dotarliście do hakera? – zwróciła się do Roarke'a.

– Ian już prawie go ma. Pyta, czy zwolnisz go z obecności na odprawie, póki nie skończy.

– Dobrze. Nie powinien się odrywać. A dlaczego ty tu jesteś?

– Ponieważ jest już bliski celu – odparł Roarke. – I chciałem się dowiedzieć, co planujesz, bo jestem żywotnie tym zainteresowany. – Uśmiechnął się do Peabody. – I to z dwóch powodów – dodał, a Delia aż pokraśniała z zadowolenia.

– Ach.

– Peabody.

– „Ach” to nie słowo. To dźwięk.

– W takim razie przestań wydawać dźwięki. Mamy jego portret pamięciowy. Yancy jest pewien, że dość wiernie oddaje podobieństwo. Spróbuję go porównać z bazą zdjęć byłych wojskowych i sportowców. Jeśli prawidłowo rozumiem, zyskamy na czasie

i może uda nam się wcześniej go dopaść.

Roarke wziął rysunek, by mu się uważnie przyjrzeć.

– Uważasz, że jeśli spróbuje się dostać do środka, to jako ochroniarz?

– Spójrz na tę twarz.

– Tak, to najbardziej logiczne. – Odwrócił się w stronę ekranów, popatrzył na nie. –

To duży budynek, ma liczne wejścia i wyjścia na obu poziomach, do tego jeszcze w pomieszczeniach technicznych i magazynach. System zabezpieczeń jest dobry, ale nie idealny. Za bardzo nie ma tam co ukraść, są tylko standardowe alarmy w wejściach, włączane podczas seansów filmowych, żeby nikt nie próbował się wślizgnąć i obejrzeć filmu za darmo.

– Skąd wiesz?

– Po tym, jak mi powiedziałaś, jaki masz plan, ściągnąłem trochę informacji.

– Nie sądzę, że się zakradnie. Spróbuje się wmieszać w tłum. Haker może mu wyprodukować przepustkę, odznakę, wszystko, co będzie potrzebne. Albo może obrać sobie za cel prawdziwego ochroniarza i się pod niego podszyć. Ochrona ma za zadanie nie dopuścić do tego, żeby widzowie za bardzo się spoufalali z celebrytami, żeby ludzie weszli do kina. To niezbyt trudne zadanie. Może kogoś przekupić, ale prawdopodobnie po prostu kogoś zabije. Rozsmakował się w tym.

– Musi się znaleźć blisko ciebie.

– Zgadza się. Musi znaleźć się blisko mnie, żeby mnie zabić, i musi się znaleźć blisko mnie, żebym mogła go powstrzymać i aresztować. Pamiętaj o tym.

Roarke spojrział jej prosto w oczy i pogładził ją po włosach.

– To coś, o czym na pewno nie zapomnę.

Odsunęła się od niego, bo w sali zaczęli się pojawiać gliniarze.

Podszedł do nich Feeney.

– Chłopak niemal ustalił miejsce pobytu hakera. Poprosiłem Callendar, żeby zostawiła to, czym się akurat zajmuje, i mu pomogła.

– Jeśli mu się to uda, być może przez najbliższe pół godziny niepotrzebnie będę zwracała ludziom głowy.

Feeney spojrział na ekrany i zaczął skubać dolną wargę, przyglądając im się uważnie. Domyślił się, co będzie tematem tej odprawy.

– Kurczę. Moja żona naprawdę nie może się doczekać tej fety.

– Może zapewnimy jej coś w rodzaju dwóch atrakcji w cenie jednej. Jednak najlepiej, żebyśmy uporali się z tym szybko i po cichu. Żeby nikt niczego nie zauważył.

– Ktoś zawsze coś zauważy – powiedział Feeney, lecz usiadł, żeby wysłuchać Eve.

Zamierzała włożyć do czytnika dyskietkę z zarysem operacji, ale Roarke wziął ją od niej.

– Ja się tym zajmę.

Więc zostawiła to jemu, policzyła obecnych. Potrzebowała więcej gliniarzy, ale знаła swoich ludzi, wiedziała, że przeprowadzą operację tak, jak należy.

– Proszę o uwagę – zawołała. – Marta Dickenson. Chaz Parzarri. Jake Ingersol. Uważamy, że ten człowiek... – zaczęła, aż Roarke wyświetlił portret pamięciowy sprawcy na ekranie – ...zabił tych troje. Postępuje coraz brutalniej. Wczoraj próbował zabić dwie funkcjonariuszki policji.

– Była pani świetna, pani porucznik – wtrącił Jenkinson, czym sprowokował oklaski obecnych.

Eve uniosła ręce w górę i poruszyła palcami.

– Mam wiele talentów. Spróbujemy na podstawie portretu pamięciowego ustalić tożsamość zabójcy, rzucającego dzieciakami. Oto, co na tę chwilę o nim wiemy.

Szybko acz dokładnie zreferowała, co ustalono do tej pory. Chciała, żeby jej ludzie wiedzieli, że mają do czynienia z groźnym przeciwnikiem, którego nie należy lekceważyć.

– Wprawdzie jeszcze nie ustaliliśmy jego tożsamości, ale opierając się na sporządzonym przez doktor Mirę profilu psychologicznym sprawcy i na zebranych dowodach, spodziewamy się, że przy najbliższej nadarzającej się okazji jeszcze raz spróbuje zaatakować dwie funkcjonariuszki nowojorskiej policji, o ile go nie powstrzymamy. A jutro wieczorem podamy mu okazję na srebrnej tacy.

Odwróciła się w stronę ekranów.

– Five Star Theater.

Zapoznała ich z programem uroczystości, planem kina, podświetlając kolejne sektory, w miarę jak przydziałała konkretnym funkcjonariuszom konkretne zadania.

– Każdy z was otrzyma portret pamięciowy podejrzanego. Będzie uzbrojony. Jak tylko ktoś go wypatrzy, zablokujemy mu drogę ucieczki, odizolujemy od obecnych na premierze gości. Jak tylko ktoś go wypatrzy, przejdę do najmniej zatłoczonej części kina. Nie możemy jednak wykluczyć, że będzie czekał przed budynkiem.

Przedstawiła im plan działania, wyjaśniła, co zrobić, żeby zatrzymać mordercę w foyer w budynku kina.

Kiedy uznała, że powiedziała wszystko, uwzględniła wszystko, co można było przewidzieć, znów umilkła.

– Jakież pytania?

Baxter podniósł palec w górę.

– Ja mam jedno. Czy mogę przyjść z osobą towarzyszącą?

– Jasne – powiedziała Eve, kiedy rozległy się parsknięcia. – Weź ze sobą Truehearta. Razem stanowicie naprawdę bardzo fajną parę. Jeśli zapadnie decyzja o przeprowadzeniu tej operacji, spotkamy się tutaj jutro o osiemnastej zero zero. W strojach odpowiednich do przydzielonego zadania. Chcę, żeby ci, którzy zostali przydzieleni do ochrony czy do personelu, o osiemnastej trzydzieści zajęli wyznaczone miejsca. Nie później.

Wskazała tablicę.

– Przypatrzcie się, do czego jest zdolny ten dupek. Bądźcie czujni. Rozejść się.

– Jedną chwileczkę, pani porucznik, jeśli można. – Roarke, do tej pory stojący przy bocznej ścianie, przeszedł na środek sali. – Po premierze w „Around the Park” odbędzie się impreza. Kiedy rzeczony dupek znajdzie się tam, gdzie jego miejsce, wszystkich tu obecnych serdecznie zapraszam. O ile, naturalnie, pani porucznik nie ma nic przeciwko temu.

Nie mogła mieć nic przeciwko temu, bo postawił ją przed faktem dokonanym.

– To twoja impreza – powiedziała, a potem mruknęła coś o rozpuszczaniu gliniarzy, kiedy obecni na sali zaczęli gwizdać i klaskać.

– Uspokójcie się. I wracajcie do pracy. Chcecie się zabawić? To nie schrańcie roboty!

Kiedy gliniarze ruszyli do wyjścia, do sali wpadł McNab.

– Mam go! – Uniósł w górę zaciśniętą pięść i posłał Roarke’owi szeroki uśmiech. – Musiałem prześledzić trasowanie, tak jak mówiliśmy – zaczął. – Wskaźnik najpierw gwałtownie podskoczył do góry, a potem zaczął oscylować. Ale kiedy odfiltrowaliśmy...

– McNab – przerwała mu Eve. – Przejdź do konkluzji.

– Tak jest, pani porucznik. Tribeca. Cholernie zamożna dzielnica. Kiedy ustaliłem

lokalizację, ściągnąłem obraz satelitarny i uzyskałem widok z lotu ptaka. To wielgachna kamienica z piaskowca. Wygląda na to, jakby w całości należała do niego. Od piwnic po dach. Sprawdziłem listę lokatorów, otrzymałem tylko jedno nazwisko. Posługuje się nazwiskiem James T. Kirk.

Roarke parsknął śmiechem, a McNab znów uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Tak, wiem. Całkiem niezłe.

– Co? – spytała Eve. – Co jest całkiem niezłe?

– Tak się nazywa kapitan ze „Star Trek” – wyjaśnił jej Roarke. – Klasycznego, starego filmu i serialu. Klasycznego filmu scene fiction. Haker z poczuciem humoru i dobrym smakiem.

– Tak, chociaż uważam, że powinien się raczej zdecydować na Chekova. Był oficerem nawigacji i komputerowcem. Albo Sulu. To sternik, ale...

– Wariaci – mruknęła Eve. – Peabody, potrzebna mi ośmioosobowa ekipa, w tym tych dwóch wariatów. McNab, chcę zobaczyć na ekranie zdjęcie satelitarne.

– Tak jest. Kurde! – zwrócił się do Roarke’a. – Przypuścimy atak na statek „Enterprise”.

Rozdział 19

Eve przyglądała się zdjęciu satelitarnemu kamienicy.

– Dużo wejść i wyjść. Musimy ustalić, czy jest w środku.

– Zabezpieczył się przed wszelkiego rodzaju urządzeniami sprawdzającymi – powiedział jej Roarke.

– Z całą pewnością – przytaknął McNab, stojący obok Roarke'a. – Jakikolwiek mierniki, skanery czy urządzenia szpiegujące z pewnością uruchomią alarm.

– I prawdopodobnie przekażą nieprawdziwe informacje. Piractwo komputerowe to jego konik – wyjaśnił Roarke. – Opracował system, który blokuje i udaremnia wszelkie próby włamania się do jego komputera. Jest w tym dobry. Poświęcił dość czasu i pieniędzy na solidne zablokowanie wszystkich wejść, zabezpieczenie okien.

– Jest lepszy od ciebie?

Roarke odwrócił wzrok.

– Jeśli myślisz, że coś ci pomoże branie mnie pod włos, mylisz się. Takie są fakty.

– Taka jest prawda, Dallas. – McNab wsadził rękę do jednej z licznych kieszeni i czymś zadzwonił. – Najlepsi hakerzy są szaleńcami, ponieważ wiedzą, że nie ma rzeczy niemożliwych. Jeśli spróbujemy dostać się do niego, będzie o tym wiedział.

– I najprawdopodobniej ma jakąś kryjówkę, w której się zaszyje – dodał Roarke. – Jeśli jest u siebie, nie dotrzesz do niego, posługując się konwencjonalnymi metodami. Chyba że mielibyśmy dużo czasu. Wtedy w końcu udałoby nam się jakoś obejść jego zabezpieczenia. Nie ma rzeczy niemożliwych – zwrócił się do McNaba, który uśmiechnął się jak dzieciak w bożonarodzeniowy poranek.

– Czyżby to było realne? Włamać się do Kreta. Możemy przeprowadzić analizę jego systemu w oparciu o to, co o nim wiemy.

– Tak. Potem dokonać ekstrapolacji, sprawdzić warstwy wyższe i niższe. Rozdzielić i wyselekcjonować.

– Kurde, ale kocham tę robotę. – McNab zakręcił biodrami, unosząc ręce.

Roarke, wyraźnie zadowolony, stanął na piętach, przyglądając się obrazowi.

– Mamy próbki, mamy odciski palców i widok budynku z zewnątrz. Z całą pewnością da się to zrobić.

– Jak długo to potrwa? – spytała rzeczowo Eve.

– Och, przy odrobinie szczęścia i z pomocą jeszcze dwojga fachowców, może tydzień. Jeśli będziemy mieli więcej szczęścia, trzy dni.

– Kurde. Uważasz, że mamy tyle czasu? – Cofnęła się o kilka kroków, znów do nich podeszła. – Mam do dyspozycji cały wydział informatyków, a także największego, najsprytniejszego, najbardziej przebiegłego maniaka komputerowego na Ziemi i poza nią...

– Dziękuję, moja droga.

– I potrzebujecie całego tygodnia, żeby przechytryć jakiegoś hakera, który nadał sobie ksywę Kret?

Roarke tylko się do niej uśmiechnął.

– Na to wygląda.

– Dallas, to jak „Enterprise” – przypomniał jej McNab. – Musisz zrozumieć złożoność,

zabezpieczenia...

– Nie rozumiem tego. – Wycełowała w niego palec. – Ty to rozumiesz. – Znów wycełowała w niego palec, kiedy zaczął się tłumaczyć.

– Mam!

Eve gwałtownie odwróciła się w stronę Peabody.

– Co?

Jej partnerka triumfująco zamachała palmtopem.

– Dzięki Kirkowi, dzięki „Enterprise”. Przypomniałam sobie, że natknęłam się na to nazwisko, kiedy szukałam furgonetki.. Cargo. Rozbawiło mnie. Chodzi o Tony’ego Starka.

– Och, moja mała. – McNab postąpił jej całusa obiema rękami. – Jesteś genialna.

– Chyba się nie myłę? – spytała Peabody McNaba. – To w jego stylu.

– Kim, u diabła, jest Tony Stark? – spytała Eve.

– Iron Man – wyjaśnił jej Roarke. – Superheros, geniusz, pomysłowy wynalazca, miliarder, playboy.

– Iron Man? Mówisz o bohaterze komiksu?

– Powieści graficznej – jednocześnie poprawili ją Roarke i McNab.

– O co się założysz, że to on, Dallas? – spytała Peabody. – Bohaterowie klasyki literatury i filmu. Wszystko pasuje. Posłużyli się jego furgonetką. Furgonetką Milo.

– Być może. No dobrze, sądząc po waszych minach, prawdopodobnie tak. Wykorzystamy to, jak go dopadniemy, ale najpierw musimy go dopaść. Niech pomyślę.

Zacząła chodzić tam i z powrotem. Wykluczone, by teraz, kiedy jest tak blisko, uległa jakiemuś dupkowi-informatykowi, wykorzystującemu w charakterze pseudonimów nazwiska fikcyjnych bohaterów komiksów i filmów science fiction.

Maniak komputerowy, pomyślała. Taki, który lubi uważać się za bohatera, osobę przebiegłą. Miliarder-playboy? Czyli lubi zdobywać kobiety.

– Nie możecie dorównać jego nowoczesnej technologii, posługując się własną nowoczesną technologią, więc uciekniemy się do tradycyjnych metod. Peabody, zdejmuj marynarkę.

– Marynarkę?

– Tak. Zdejmij ją.

– Dobrze.

Delia wykonała polecenie, a Eve podparła się pod boki i przyjrzała jej uważnie.

– Rozepnij bluzkę.

Gdy Peabody to usłyszała, oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki.

– Słucham?

– Dwa... Nie, trzy guziki. Jezu, Peabody! – Eve podeszła do niej, by samej to zrobić.

– Wszyscy widzieliśmy cycki. – Uniosła brwi na widok koronkowej bielizny, którą Peabody miała pod bluzką. Halka była prawie takiego samego koloru, jak rumieńce, które wystąpiły na policzki Delii. – W każdej chwili może nas spotkać coś nieprzewidzianego. Nie będzie ci głupio, jak ludzie zobaczą, że nowojorska policjantka nosi na służbie coś takiego?

– Nie zakładałam, że dziś przytrafi mi się coś złego. Ani że moja partnerka zechce mnie rozebrać. – Podniosła dłoń, żeby zakryć dekollet. Eve chwyciła ją za rękę.

– Wypchnij je w górę – poleciła swojej partnerce.

– Co?

– Wypchnij je w górę!

– Ja to zrobię.

– Daj spokój, McNab – powiedziała delikatnie Eve. – Wiesz, o co mi chodzi. Trochę je podciągnij.

Kiedy Eve próbowała jej pomóc, Peabody odskoczyła jak oparzona.

– Sama dam radę, dziękuję. – Mrucząc coś pod nosem, odwróciła się tyłem. Widzeli, jak poruszała ramionami. Potem odwróciła się przodem do nich, czerwona jak piwonia.

– Mmm, moja boska Peabody.

Udając, że nie słyszała uwagi McNaba, Eve okrążyła swoją partnerkę.

– Uda się.

– Klasyczna metoda – powiedział Roarke.

– Co ma się udać? O jakiej klasycznej metodzie mówicie? Oddaj mi marynarkę!

– Wykluczone. Pojawisz się na progu domu Kreta Milo, a on otworzy ci drzwi.

– Ja? Mnie?

– Dama w opałach, prawda? – zwróciła się Eve do Roarke'a.

– Bardzo pojętna dama. Bardzo sprytnie, moja pani porucznik.

– Aha. Rozumiem. Mam wyglądać, jakbym miała kłopoty... Całkiem sama, bez broni. Niegroźna. Do tego dziewczyna. Otworzy drzwi, żeby się przekonać, o co chodzi. Ty powinnaś tam pójść – powiedziała Peabody do Eve.

– Ty masz cycki. Faceci na widok cycków tracą głowę.

– Ostre słowa – zauważył Roarke. – Ale na ogół prawdziwe.

– Poza tym najwyraźniej masz w sobie coś, co pociąga chudych informatyków.

– O, tak – potwierdził McNab. – Absolutnie.

– Może krótka spódniczka i buty na wysokim obcasie. Ktoś tu na pewno je ma. Jedyne, co zobaczy, to półnągą kobietę z dużymi cyckami, pukającą do jego drzwi.

Kiedy całą uwagę skupi na twoich cyckach, aresztujemy go.

– McNab, poszukaj minispódniczki i butów. Peabody, wypacykuj się, nastrosz włosy. Nie próbuj mi wmawiać, że nie umiesz. Ja postaram się o nakaz i wszystko zorganizuję. No dalej, ruszcie się.

Kiedy wyszli, żeby wykonać polecenia, Eve sięgnęła po telefon, by załatwić nakaz.

– Wiesz, w jaki sposób myślą tacy faceci – zwróciła się do Roarke'a. – Pomóż mi to wszystko zorganizować.

– Z największą przyjemnością.

Nim minęła godzina, Eve siedziała w furgonetce wydziału przestępstw elektronicznych dwie przecznice od domu Kreta.

– Nie wiemy, czy jest u siebie. – Nienawidziła niepewności. – Jeśli nie nabierze się na numer z Peabody, wkroczymy. Wejdziemy do środka, sprawdzimy wszystkie pomieszczenia.

– Potrzebujemy półtorej, dwie minuty – przypomniał jej Roarke – żeby sprawdzić, czy nie ma bomb-pułapek albo materiałów wybuchowych. Bardzo prawdopodobne, że przygotował kilka zasadzek i urządzeń samoniszczących, na wypadek gdyby ktoś niepożądany wtargnął do jego domu.

– Damy ci czas, ale wejdziemy do środka.

– Stawiam na Peabody. – McNab wyostrzył obraz na monitorze. – Wygląda super.

– Na podstawie tego, co o nim wiemy, można przypuszczać, że ma taki sam gust,

jak ty – powiedziała McNabowi. – Albo ty – zwróciła się do Roarke’a. – Na razie spróbujemy klasycznej metody. Z chwilą kiedy otworzą się drzwi, wkroczymy. Roarke i McNab sprawdzą, czy nie ma pułapek. Peabody, słyszysz mnie?

– Tak.

– Baxter?

– Jestem na posterunku.

– Ruszaj.

– Ojej! – zawołała Peabody, Eve usłyszała głośny warkot silnika. – Baxter ma cudowny wóz.

– Przestań mieć taką zadowoloną minę.

– Spoko. Uronię kilka łez, bo mój chłopak jest dla mnie niedobry.

Baxter zameldował rozbawionym głosem:

– Skracamy na skrzyżowaniu. Widzimy interesujący nas budynek.

– Wszyscy dajcie jej trochę miejsca – poleciła Eve. – Dajcie jej czas. McNab, podjedźmy bliżej.

Dał znak kierowcy, furgonetka włączyła się do ruchu.

Przed samym domem Milo Eastona Baxter zjechał do krawężnika. Wykrzywił twarz na wypadek, gdyby Milo monitorował ulicę.

– Jak tylko się zatrzymamy – powiedział, kiedy Peabody też spojrzała na niego gniewnie i wydeła usta.

– Zróbcie dla niego przedstawienie – poleciła Eve.

– Wybacz, Peabody.

Złapał ją, a ona spróbowała mu się wyrwać. Przez kilka chwil szamotali się na przednich siedzeniach. Peabody zamarkowała siarczysty policzek.

– Wybacz, Baxter.

Wściekła, z oczami błyszczącymi od łez, wysiadła z auta. Objęła się rękami i stała, dygocząc – bez płaszcza, bez torebki.

– Jesteś skończonym kutasem z małym fiutkiem – krzyknęła.

Baxter wysunął rękę przez okno, pokazał jej środkowy palec i odjechał z piskiem opon.

Zgodnie z ustaleniami, Delia pobiegła kilka kroków za samochodem, chwiejąc się w butach na wysokich obcasach.

– Wracaj, ty popaprańcu! W wozie jest moja torba. I komórka!

Udała, że skręciła sobie nogę w kostce i kulejąc zawróciła.

– Bardzo dobrze – powiedziała Eve, kiedy jej partnerka pojawiła się na monitorze. – Wkurzona, ale trochę przestraszona. Co ja, biedna, teraz zrobię? Dobrze, zauważyłaś dom. Potrzebujesz czyjejs pomocy.

Serce waliło jej z podniecenia i trochę ze strachu. Nie schrzań tego, nakazała sobie Peabody. Nie schrzań tego.

Nacisnęła guzik dzwonka, udała, że szuka interkomu.

– Halo! – zawołała, starając się mówić ochryłym, zmysłowym głosem. – Czy jest ktoś w domu? Halo? Mam kłopot. Czy ktoś może mi pomóc? – Nachyliła się do kamery, pokazując piersi, i spróbowała uronić kilka łez. – Halo? Czy mogę skorzystać z telefonu? Bardzo proszę!

Znów zadygotała. Nie musiała tego udawać. Czuła, jak jej sterczą sutki. Ale może Kreta wcale nie ma w domu. Może niepotrzebnie tak się wysiła.

– Jest tak zimno. Nawet nie mam płaszcza. Mój chłopak zostawił mnie bez niczego.

Czy ktoś może mi pomóc?

– Wykluczone, żeby się temu oparł – oświadczył McNab. – Widocznie go nie ma w domu.

– Wstrzymajmy się jeszcze chwilę. – Jeszcze jedna minuta, pomyślała Eve, a potem pozwoli Roarke'owi i McNabowi sprawdzić budynek.

– Aha. Widzisz to, Ian?

– Tak. – Skinął głową do Roarke'a. – Jest w domu.

– Skąd to wiecie? – spytała Eve.

– Sprawdza ją. – McNab stuknął w swój monitor. – Chce się upewnić.

– Czy może nas namierzyć?

– Nie ma mowy.

– Nie może bez końca dzwonić i wołać. Peabody, zachowaj się tak, jakbyś zrezygnowała. Odwróć się, a potem usiądź na stopniu i trochę sobie popłacz.

– Co ja teraz zrobię? – Pociągając nosem, Delia otarła łzę. – Nie wiem, co robić. – Zaczęła się odwracać i wtedy usłyszała coś: ledwo słyszalny szum z interkomu. Zmusiła się do zachowania obojętności, zrobiła jeszcze krok.

– Co się dzieje?

– Och, Bogu niech będą dzięki! – Znów doskoczyła do drzwi, pamiętając, żeby lekko utykać. – Halo! Halo! Czy może mi pan pomóc? Mój chłopak mnie zostawił. Zabrał mi torebkę. Mam w niej pieniądze i komórkę, wszystko. Tak zimno na dworze. Czy mogę wejść na chwilę? Czy mogę skorzystać z telefonu? Zadzwonię do Shelly. Może po mnie przyjedzie.

– Kim pani jest?

– Och. Mam na imię Dolly. Dolly Darling. Tańczę w Kitty Kat, przy Harrison. Zna pan to miejsce? Bardzo tam miło. Z klasą, no wie pan. Shelly pracuje na tę zmianę. Może się urwie i po mnie przyjedzie. Proszę mnie tylko wpuścić do środka. Zabrał mój płaszcz. Tak mi zimno.

– Pokłóciliście się?

– Dowiedziałam się, że mnie zdradza z moją byłą najlepszą przyjaciółką. Dlaczego to robi? Dlaczego jest dla mnie taki podły? – Kokieteryjnie wydeła usta i mocno wciągnęła powietrze, żeby maksymalnie pokazać piersi. – Byłam dla niego taka miła. Robiłam wszystko, o co mnie poprosił. Kotku, błagam! Tak strasznie mi zimno. Może chociaż pożyczysz mi płaszcz albo jakieś okrycie. Odwdzięczę się. Może pozwolę ci się przelecieć za darmo. Mam licencję. Nie przy sobie, bo Mickey zabrał mi torebkę.

Naprawdę zmarzłam na kość, pomyślała Peabody, i zmusiła się do uronienia kilku wielkich łez.

Usłyszała kliknięcia odblokowywanych zamków i po chwili w drzwiach pojawiła się jego głowa.

– Otworzyłeś mi? Och, dziękuję! Dziękuję. Jestem ci naprawdę ogromnie zobowiązana.

Drzwi uchyliły się lekko i Peabody – a z nią reszta – mogła po raz pierwszy z bliska przyjrzeć się Kretowi Milo.

Wyglądał trochę inaczej niż na swoim ostatnim zdjęciu. Zrobił sobie operację plastyczną podbródka, zauważyła Eve, który podkreślał teraz wąski, poziomy pasek jasnego zarostu. Nie mógł oderwać zielonych oczu od obfitego biustu Peabody. Na głowie miał długie dredy we wszystkich kolorach tęczy, ubrany był w typowe dla maniaków komputerowych, zdaniem Eve, workowate spodnie koloru dyni i żółtą,

bawełnianą koszulkę, za dużą dla takiego chudzielca jak on.

– Cześć. – Peabody powiedziała to załotnie, uśmiechając się do tych niesamowitych, zielonych oczu, słysząc w słuchawkach polecenie, żeby do niego podejść. – Jestem Dolly. Podobają mi się twoje włosy. Są niesamowite. Mogę wejść do środka dosłownie na dwie minuty? Przemarzałam do szpiku kości. Sam się przekonaj.

Wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni do góry, żeby zobaczył, że nic w niej nie ukrywa. Potem wzięła jeszcze jeden głęboki wdech, gdy Kret utkwiał spojrzenie w jej biuście.

– Och, jesteś taki ciepły. I miłutki. Mogę wejść i skorzystać z telefonu? Obiecuję, że nie będę gryzła. Chyba że sam o to poprosisz.

– Jasne. Ustalimy, jak mi to wynagrodzisz.

Kiedy szerzej otworzył drzwi, Peabody postąpiła jeden krok do przodu i zatrzymała się na progu, nie pozwalając mu ich zamknąć.

– Och! Skręciłam sobie nogę w kostce, kiedy biegłam za tym kutasem.

– Może powinnaś się położyć.

Zachichotała i żartobliwie szturchnęła go w bok.

– Może mógłbyś... Mnie nieco rozgrzać, zanim skorzystam z twojego telefonu.

– Zacznę od razu. – Wyciągnął rękę i ujął lewą pierś Deli. Peabody uśmiechnęła się do niego, podeszła ciut bliżej.

A potem błyskawicznie przycisnęła go twarzą do ściany.

– Masz ochotę na ostrą zabawę? – zapytał.

– Koniec zabawy – powiedziała Eve, podchodząc do nich. Skuła Kretowi ręce na plecach. – Milo Easton, aresztuję cię. Mamy do ciebie wiele pytań. Peabody, odczytaj przysługujące mu prawa, a ja wpuszczę naszych informatyków, żeby trochę się tu rozejrzeli.

– Nie możecie wejść do środka jak gdyby nigdy nic! Nie możecie ruszać moich rzeczy! Nie możecie...

– Możemy i to zrobimy – przerwała mu Eve. – Dałeś się nabrać, Milo. Biercie się do roboty – poleciła McNabowi.

– Już się nie mogę doczekać. – Ale najpierw zarzucił Deli płaszcz na ramiona.

– Niech mundurowi zabiorą go na komendę – zwróciła się Eve do Peabody. – Pozwolimy mu trochę się napocić, zanim weźmiemy go w obroty.

Patrzyła, jak jej partnerka wyprowadza aresztowanego, a potem uśmiechnęła się do Roarke'a.

– Wszystko dla pary cycków.

– Są wyjątkowo ładne.

Tylko pokręciła głową.

– Mężczyźni. Założę się, że chcesz tu zostać, by wziąć udział w tej hucznej imprezie maniaków komputerowych.

– Nie odwiodłabyś mnie od tego nawet najładniejszymi cycuszkami.

– Założę się, że tak – odpowiedziała i wyszła.

Włączyła ogrzewanie w samochodzie, więc kiedy Peabody wsiadła, owionęła ją fala ciepła.

– O, mój Boże! Ale przyjemnie. Naprawdę mało nie odmroziłam sobie cycków.

– Dobrze się spisałaś, Dolly Darling.

– Wymyśliłam tę historyjkę, żeby być bardziej wiarygodna.

– Udając licencjonowaną prostytutkę i striptizerkę, którą zdradził jej chłopak, Mickey.

– Tak. Faceci uważają, że mają większe szanse na bara-bara z licencjonowaną prostytutką. Bo jej zawód polega na spaniu z mężczyznami. A ten pomysł ze striptizerką? Pomyślałam sobie, że faceci zawsze snują fantazje na temat rozbierających się kobiet, więc to była podwójna pokusa. Och, a Dolly Darling to mój pseudonim artystyczny. Byłam przygotowana, gdyby chciał poznać więcej szczegółów. Czy dostanę premię za to, że pozwoliłam mu się złapać za pierś?

– Twoja pierś, jak cała ty, należy do policji nowojorskiej. Poza tym McNab przeleci cię, gdy tylko będzie miał okazję. Potraktuj to jak premię.

– Mówisz o seksie i McNabie!

– Ten jeden raz. To też swego rodzaju premia.

– W domu mam strój, który nosiłaby Dolly. Dziś wieczorem włożę go i...

– Nie zasłużyłaś sobie na tak wielką premię. Milo zażąda adwokata. Zaskoczyliśmy go, zbiliśmy go z tropu, więc nie zaczął od razu się go domagać. Ale jak ochłonie, poprosi o adwokata.

– Mamy przeciwko niemu dość dowodów, by poszedł na ugodę.

– Tak. Chciałabym z tym trochę poczekać. Może powiadom prokuraturę, że już go mamy i wkrótce weźmiemy w obroty. Chcę, żeby zidentyfikowano osiłka. Wtedy nie będzie trzeba iść na żadne układy.

– Jest coraz mniej czasu, wkrótce będziemy musieli zawiadomić federalnych.

– Jutro wieczorem wszystko się rozstrzygnie. Jutro wieczorem zakończymy śledztwo... Albo poinformujemy federalnych.

Tak bardzo chciała zamknąć to śledztwo. Myślała o tym, idąc do Milo, czekającego w sali przesłuchań B. Naprawdę bardzo jej na tym zależało.

Weszła do środka razem z Peabody, która z powrotem włożyła marynarkę i zapięła bluzkę pod samą szyję.

– Porucznik Eve Dallas i detektyw Delia Peabody przystępują do przesłuchania Milo Eastona. Jak leci, Milo?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Czy to znaczy, że przeczytano ci przysługujące ci prawa i je zrozumiałeś?

– Znam swoje prawa. Domagam się adwokata. Nie powiem ani słowa przed przybyciem adwokata.

– Świetnie, nie ma sprawy. Mam tylko jedną radę. Chodzą słuchy, że twój... Nazwijmy go klientem... Nadal robi porządki. Jesteś następny w kolejce, Milo, więc przemyśl sobie dobrze, którego adwokata chcesz wezwać. Jeśli ma jakieś powiązania z rzeczoną klientem, będzie to znaczyło, że tylko zmarnowaliśmy czas, ratując dziś twój chudy tyłek.

– Ratując mój tyłek? Uważacie mnie za durnia?

– Powiedziano mi, że jesteś naprawdę inteligentny, znasz się na komputerach. Nie wiem, jak dobrze znasz się na ludziach. Jesteś ostatnią nitką, którą musi przerwać. Możesz się ukrywać w tej swojej elektronicznej fortecy, ale wcześniej czy później cię dopadnie. Nam się to udało bez większego trudu.

Milo rozsiadł się i uśmiechnął szyderczo.

– Domagam się adwokata.

– W porządku. Peabody, skontaktuj się z prokuratorem, powiedz mu, że zatrzymany

chce skorzystać z prawa do adwokata, więc nie ma potrzeby przygotowywania żadnej ugody. Pozwól Milo skorzystać z telefonu, a potem umieść go w osobnej celi, monitorowanej na okrągło. Nie chcemy, żeby ktoś nam zarzucił, że nie zrobiliśmy wszystkiego, co w naszej mocy, żeby był bezpieczny, kiedy znajdował się pod naszą opieką.

Wstając, Eve gotowa była przysiąc, że słyszy, jak pracują szare komórki Kreta – w jego przypadku raczej obwody skalone.

– Możesz zatrudnić całą armię prawników, Milo, lecz i tak nic ci to nie pomoże. Mamy dość dowodów, żeby cię zamknąć na dwadzieścia lat bez możliwości dostępu do komputera. A mówię tylko o tych, które znajdziemy w twoim domu. Jeśli dodać do tego zarzut oszustwa, unikanie płacenia podatków, pranie pieniędzy, fałszowanie ksiąg, defraudację... Kiedy wyjdiesz na wolność, będziesz starcem.

– Nic nie macie. Niczego nie znajdziecie w moim sprzęcie elektronicznym, a oszustwo i cała ta reszta? To lipa.

– Może jednak nie jesteś wcale taki inteligentny, jak mówią. Nic nie znajdziemy? Jezus, Milo, znaleźliśmy cię, prawda? I założę się, że połowa, a nawet więcej sprzętu, który zgromadziłeś w swoim rajku komputerowca, została zaprojektowana, wyprodukowana i sprzedana przez Roarke Industries. A on sam właśnie teraz rozkłada twoje zabawki na czynniki pierwsze.

Poczuła pewną satysfakcję, widząc, jak Milo przelityka ślinę, gdy padło nazwisko Roarke'a.

– Myślisz, że jesteś najlepszy? Daj spokój. Nie jesteś nawet w połowie tak dobry, jak on. Więc wezwij tego swojego adwokata, Milo, i jeśli dożyjesz do procesu, co w tej chwili jest cholernie wątpliwe, przypuszczam, że najbliższe osiemdziesiąt lat spędzisz zupełnie sam, roztrząsając to wszystko i mając do dyspozycji jedynie palmtop.

– Żadnych układów.

Eve skierowała się do wyjścia.

– Chwileczkę.

– Milo, mam dużo pracy.

– Chcę wiedzieć, co proponujecie, zanim podejmę decyzję.

– Och, chcesz, żebym odkryła karty, ale sam nie chcesz mi nic ujawnić? Zapomnij o tym. – Sięgnęła do klamki.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie jakaś gra?

– Milo, złapaliśmy cię. Nie muszę grać.

– To dlaczego chcecie się układać?

– Ja wolałabym nie, ale prokurator ma inne zdanie. Chce zaoszczędzić pieniędzy podatników. Ty jesteś stosunkowo najmniej umoczony, więc zgodziłby się zawrzeć z tobą układ w zamian za konkretne informacje. Alexandrowi nie jesteś już potrzebny, Milo, a za dużo wiesz. Ale możesz próbować szczęścia.

– Proszę mnie wysłuchać. Oszustwo, defraudacja i cała ta reszta mnie nie dotyczą. Zatrudnił mnie jedynie, żebym się włamał do kilku plików z uwagi na ten audyt. Kurczę, to jego firma, no nie? Jeśli chce oszukiwać swoją własną firmę, to jego sprawa.

– Domagasz się adwokata czy nie, Milo?

– Najpierw wyjaśnijmy to sobie. Jeszcze nie potrzebuję adwokata.

– To twoja decyzja. Oszukiwanie własnej firmy – to znaczy sprzeniewieranie funduszy, pranie pieniędzy, wyłudzenie pieniędzy od innych, wszystko to czyny zakazane przez prawo, Milo. A ponieważ zatrudnił cię, zapłacił ci, pracowałeś dla niego,

jesteś współwinną. Znalazłeś się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

– W takim razie powiem wam, co mi wiadomo na ten temat.

– Zamieniam się w słuch.

– Mam zasadę wszystko kopiować i zapisywać. Mam kopie wszystkich plików, które kazał mi zniszczyć. A ponieważ lubię wiedzieć, co jest grane, włamałem się do jego systemu. Mam nazwiska, adresy, umowy. Rozpracowałem jego finanse. Wszystko się potwierdza.

– A gdzie trzymasz te informacje?

Milo zaczął się wiercić na krześle.

– Co z tego będę miał? Najpierw chcę wiedzieć, co za to dostanę.

– Jeśli dostarczysz mi niepodważalne dowody, które pozwolą aresztować i skazać Sterlinga Alexandra za zabójstwo, stan Nowy Jork odstąpi od postawienia ci zarzutów oszustwa, sprzeniewierzenia pieniędzy i ich prania oraz współudziału w tych przestępstwach.

– A co z oskarżeniami o przestępstwa komputerowe, o to, czego się dowiecie o mojej działalności, przeszukując mój dom?

– Stajesz się zachłanny. Dopiero co podarowałam ci z pięćdziesiąt lat życia na wolności.

– Słuchajcie, mogę wam podać Alexandra na półmisku. I wszystkie jego przestępstwa. Działa wszędzie. Fikcyjne firmy, oszustwa z wykorzystaniem Internetu, przekręty w obrocie ziemią. To będzie proces stulecia. Pomogę wam, będę zeznawał przeciwko niemu, a potem zniknę. Zwyczajnie... – Rozłożył ręce, powiedział „puf”.

– Nic z tego. – Eve wzruszyła ramionami. – Może uda mi się nakłonić prokuratorę, żeby nie potraktowała cię zbyt surowo.

– Alexander to gruba ryba – wtrąciła Peabody. – Może uda nam się coś wytargować, Dallas. Na przykład od pięciu do dziesięciu lat aresztu domowego?

– Jezu, Peabody. – Jakby zdęgowana, Eve przesunęła ręką po włosach. – Równie dobrze możemy puścić go wolno.

– Okaż nam zaufanie – zwróciła się do Milo Peabody. – Masz niepodważalne dowody przeciwko Alexandrowi. Oszczędzisz nam czasu, zachodu, pieniędzy. Powiedz nam chociaż część tego, co wiesz. Prokuratura od razu łaskawiej na ciebie spojrzy.

– Tak, tak, jasne. Cholera. – Eve wzięła głęboki oddech. – Spróbuję uzyskać od pięciu do dziesięciu lat aresztu domowego – zwróciła się do Milo. – Za włamanie do sieci, za to, co znajdziemy u ciebie w domu, poza tym materiałem dotyczącym Alexandra. Daj mi coś, z czym mogę pójść do prokuratury.

– Mam skarbiec. W podziemiach, w pełni zabezpieczony. Żeby się do niego dostać, trzeba posłużyć się moim odciskiem dłoni, obrazem siatkówki, zapisem głosu. Musicie mnie zabrać z powrotem do mojego domu, żebym mógł was tam wpuścić.

Eve pomyślała o Roarke’u i uśmiechnęła się leciutko.

– Zobaczmy, co się da zrobić. Peabody!

– Zaraz się tym zajmę.

– Detektyw Delia Peabody opuszcza salę przesłuchań – powiedziała Eve. – No dobrze, Milo. Teraz, kiedy mamy to z głowy, porozmawiajmy o zabójstwie.

– Słucham?

Rozdział 20

Dała mu minutę na oswojenie się z tym. Siedział z rozdziawioną gębą, więc wąski pasek zarostu na brodzie wyglądał jak nóżka szerokiej, szklanej misy.

– O zabójstwie, Milo. No wiesz, o czynie zabronionym przez prawo, o pozbawieniu życia człowieka. Na przykład Marty Dickenson.

– Nie zabiłem jej. Nikogo nie zabiłem. Włamałem się do jej komputera. Przyznałem się do tego. Doszliśmy do porozumienia w tej kwestii.

– Zgadza się. Teraz rozmawiamy o tym. – Wyciągnęła zdjęcie z miejsca zabójstwa i podsunęła mu je pod nos.

– Nie zrobiłem tego. – Odsunął zdjęcie. – Nawet jej nie tknąłem. Jeśli próbujecie mnie w to zrobić, nie powiem ani słowa więcej.

– Twoja decyzja. – Wzruszyła ramionami. – Obowiązują pewne zasady. Nie mogę ci pomóc wykręcić się od tego, jeśli przestaniesz mówić. Albo zaczniesz kłamać. A jak spróbujesz mi wmawiać, że cię tam nie było, że nic o tym nie wiesz, przerwiemy naszą rozmowę. I wrócimy do niej po konfrontacji.

– O czym pani mówi? Po jakiej konfrontacji?

– Podczas której sprowadzimy świadka, który widział ciebie i twojego kumpla w furgonetce... Twojej furgonetce Cargo... Przed mieszkaniem Whitestone'a tego wieczoru, kiedy zamordowano Martę Dickenson. Jezu, Milo, sądzisz, że wyciągnęliśmy twoje nazwisko z kapelusza? Mamy świadka.

Znów zaczął się wiercić, otarł usta wierzchem dłoni.

– Nikogo nie zabiłem.

– Przyznałeś się, że pracowałeś dla Alexandra, że włamałeś się do komputera Marty Dickenson i zniszczyłeś pliki, na których pracowała. Ciebie i twoją furgonetkę widziano na miejscu zbrodni w chwili zabójstwa. Jeśli chcesz się skontaktować z adwokatem, Milo, zapewniam cię, że potwierdzi, że masz poważne kłopoty.

– Nikogo nie zabiłem! Dobra, przyznaję, to moja furgonetka, ale byłem jedynie kierowcą.

– Byłeś jedynie kierowcą? – powtórzyła Eve i pomyślała sobie: Mam cię, dupku.

– Tak. Siedziałem za kierownicą. Nie wiedziałem, że zabiją tę kobietę. Siedziałem za kierownicą i miałem wyłączyć alarm, gdyby kody okazały się niewystarczające do otwarcia drzwi.

– Jakie kody?

– Kody do mieszkania. Dostaliśmy je od Jake'a Ingersola. Alexander wynajął mnie, żebym przyjechał furgonetką i otworzył drzwi, gdyby się okazało, że Ingersol wcisnął nam jakiś kit. To wszystko.

– Dobra, rozumiem. Ale cofnijmy się nieco w przeszłość. W jaki sposób Alexander cię zatrudnił? Jak się z tobą skontaktował?

– Przez Ingersola. Już wcześniej pracowałem dla Ingersola. Pracuję tylko dla osób poleconych. Trzeba zachować ostrożność.

– Ja myślę. Czyli Ingersol skontaktował cię z Alexandrem?

– Tak. Robili jakiś niezły przekręt, ale Alexander chciał coś ulepszyć, żeby zyskać większy kawałek tortu. Byłem mu do tego potrzebny. Wyszukiwał sobie potencjalną

ofiarę lub grupę inwestorów. Ja zbierałem o nich informacje: o finansach, innych inwestycjach, na co wydają pieniądze... Na kogo wydają pieniądze. Czy coś kręcą na boku, czy mają jakieś swoje dziwactwa.

Eve dostrzegła tu pewną sprzeczność, bo wcześniej Milo utrzymywał, że nie miał nic wspólnego z oszustwami. Postanowiła trochę go podpuścić.

– W celu szantażu?

– Nikogo nie szantażowałem. – Milo uniósł ręce do góry. – Nie zajmuję się czymś takim. Ja tylko dostarczam zamówione informacje. Nie obchodzi mnie, co klient później z nimi robi.

– Rozumiem. Ale ponieważ jesteś dokładny, sprawdziłeś, jak Alexander wykorzystuje dane. Na wszelki wypadek.

– Jak powiedziałem, trzeba zachować ostrożność. Z pewnością posłużył się tymi danymi, żeby mocniej przycisnąć swoje ofiary. Mógł je szantażować, gdyby zaczęły podskakiwać albo próbowały się wycofać. Mniejsza o to. Strasznie chciwy z niego drań. Nawet próbował targować się ze mną o stawki.

– Proszę, proszę.

– Słowo daję. Ale dostaje się taki towar, za jaki się zapłaciło, no nie? A dzięki mnie nieźle się wzbogacił.

– Nie wątpię. Od jak dawna dla niego pracujesz?

– Od sześciu miesięcy. Od czasu do czasu dostarczałem mu informacje.

– Czyli jednak byłeś zamieszany w jego oszustwa.

Milo zamrugał powiekami i poprawił się na krześle.

– Nie jestem zamieszany w żadne oszustwo. Ja tylko włamywałem się do systemów, żeby uzyskać informacje. Ale dobrze to zamaskowałem.

– Rozumiem. Czyli zbierałeś w sposób nielegalny informacje i pomagałeś Alexandrowi się wzbogacić. Ale potem zaczęły się problemy. Nie mógł się wykręcić od tego audytu.

– Nie powinno być żadnych problemów i nie byłoby, gdyby Parzarri nie miał tego wypadku i nie został odsunięty od audytu, zanim zdążył sfałszować zapisy w księgach. Mówię wszystko, co wiem, nic nie ukrywam. – Wyraźnie uspokojony, Milo nachylił się nieco. – Alexander powiedział mi, żebym się włamał do komputera tej nowej księgowej i do jej telefonu, by móc podsłuchiwać rozmowy, by móc ją zgarnąć, jak tylko wyjdzie z biura. Zanim zacznę głębiej kopać w księgach. Uważałem, że zależy im jedynie na dokumentach, że chcą ją tylko nastraszyć, by nie puściła pary z gęby. Może jej zapłacą, chociaż, jak powiedziałem, straszny z niego chytrus. Tylko założyłem podsłuch w jej telefonach.

– I kierowałaś furgonetką.

– Tak jest. Alexander nie lubi płacić, więc zleca mi różne rzeczy. Nie przeszkadza mi to, bo dzięki temu mam stały dopływ pieniędzy. Zawiozłem jego oprycha do biura rachunkowego, a kiedy dopadł księgową, zabrałem ich do mieszkania. Ponieważ nie było problemu z otwarciem drzwi, zaczekałem w furgonetce. Nawet nie tknąłem tej Dickenson palcem. Byłem w samochodzie.

– No dobrze, to nawet trzyma się kupy. No więc jak się to odbyło?

– Po tym, jak zaszedł ją od tyłu, facetka próbowała podnieść krzyk. Wtedy trochę jej przyłożył. Przykro mi z tego powodu, ale zdarzają się takie rzeczy. Nic na to nie poradzę.

– Rozumiem.

– Ja tylko prowadziłem wóz, a potem rozkodowałem alarm, zamki. Weszliśmy

do środka i wróciłem do furgonetki. Wcale nie tak długo kazał na siebie czekać. Nie wiem, coś robiłem na przenośnym komputerze, więc mi się nie nudziło. Potem wsiadł.

– I? – spytała Eve po chwili.

– To wszystko. Facet nie jest zbyt rozmowny. Odwiozłem go do siedziby firmy Alexander i Pope, jak mi kazał, pojechałem furgonetką do garażu, gdzie ją parkuję, i złapałem taksówkę, żeby wrócić do domu.

– Kim jest ten oprych?

– Nie wiem.

– Milo!

– Mówię prawdę. – Uniósł prawą dłoń jak do przysięgi. – Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Można się go przestraszyć. Pomyślałem sobie, że jak zacznę węszyć, może się to nieprzyjemnie zakończyć. Nie podoba mi się to, że nas razem przydzielają do różnych rzeczy. Wcześniej widziałem go tylko parę razy, a po tym, co zrobił, nie chcę go nigdy więcej widzieć na oczy.

Eve wierzyła mu. Później jeszcze go przycisnie. Nachyliła się do niego.

– Nic nie mówił o Dickenson?

– W ogóle nic nie powiedział poza tym, żeby go zawieźć z powrotem do biura. Miał jej teczkę. I płaszcz, co wydało mi się dziwne. Pomyślałem sobie, że dał jej nauczkę, kazał jej wrócić do domu bez płaszcza. Tamtej nocy było okropnie zimno. Potem zobaczyłem w wiadomościach, że ktoś ją zabił. Mówili, że był to napad, ale...

– Ty wiedziałeś swoje.

– Mógł to być napad, ale pomyślałem sobie, że coś poszło nie tak. Nie zadawałem żadnych pytań. Jak człowiek zaczyna pytać, sam prosi się o kłopoty.

– Więc nie zadawałeś żadnych pytań, kiedy Alexander kazał ci się włamać do budynku, gdzie się mieści firma Brewera, do biura, do komputera Dickenson, do sejfu, zabrać bądź zniszczyć pliki?

– Taką mam pracę. – Milo rozłożył ręce, jakby te słowa wszystko tłumaczyły. – Jasne, że musi pani zadawać pytania, ale to było po prostu zlecenie. Próbowałem mu powiedzieć, że mogłem wcześniej zabrać pliki. Nie chciał mi zapłacić, ale w końcu i tak musiał. Skąpiradło.

– Czy zadawałeś pytania, kiedy kazał ci się włamać do systemu łączności i zabezpieczeń w szpitalu?

– Mają standardowy system, więc mogłem to zaprogramować. I było tak, jak poprzednio. Nie wiedziałem, że zamierzają zabić Parzarriego. Chodzi mi o to, że to nie miało sensu. Facet znał się na swojej robocie.

– Co sobie pomyślałeś?

– Że Alexander chce nastraszyć Parzarriego, upewnić się, że tamten niczym się nie zdradził, nikomu nic nie powiedział. Przez kilka dni był odcięty od świata, jednak Alexander zaczął się bać. Szczególnie po spotkaniu z panią. Rany, ale był nabuzowany.

– Naprawdę?

– Maksymalnie. No dobra, powiem wszystko, nic nie będę ukrywał. Chciał, żebym się włamał do pani sprzętu – w komendzie, w domu, komórek. Muszę przyznać, że są zabezpieczone super. Nie miałem czasu tym się zajmować, więc włamałem się do telefonów tej drugiej policjantki, tej, która wyszła.

– Detektyw Peabody?

– Tak. Policja nowojorska ma przyzwoite zabezpieczenia, ale da się je pokonać. I dlatego ten oprych wiedział, gdzie będziecie.

– I nie zadawałeś żadnych pytań.

– Pomyślałem sobie, że chce was trochę nastraszyć. Uważałem, że to głupota. Jeśli by to zrobił, zaczęłaby się pani wszystkiego domyślać. Ale nie płacą mi za dobre rady. Cisnąć tym dzieciakiem... To było niesamowite. A propos, wykazała się pani niezłym refleksem.

– Dziękuję. Wróćmy na chwilę do Parzarriego, chcę poznać wszystkie szczegóły. Włamałeś się do systemu, dowiedziałeś się, którym wahadłowcem przyleci, komu zlecono jego odbiór z lotniska, sporządziłeś fałszywe identyfikatory, zmieniłeś dyspozycje.

– Tak, właśnie to mi zlecono.

– I prowadziłeś karetkę.

– Niezła zabawa. – Uśmiechnął się szeroko. – Światła, syreny. Adrenalina.

– Ale kiedy kierowałeś tą karetką, Milo, kiedy tak świetnie się bawiłeś, Parzarri został uduszony.

– Nie wiedziałem o tym. Serio. Kiedy się prowadzi ambulans, trzeba bardzo uważać.

– Powiedz mi, co sobie pomyślałeś, kiedy porzuciłeś w tunelu karetkę z Parzarriem w środku, i przesiadłeś się do drugiego wozu?

– To samo, co wcześniej. – Odwrócił wzrok. – Że trochę go nastraszył.

Łziesz teraz, pomyślała Eve. Łziesz, ty mała gnido.

– Nastraszył go, zostawiając bez pomocy. Nie wiedziałeś, że Parzarri nie żyje. Zostawiliście człowieka, rannego w wypadku. Zabraliście jego walizkę i odjechaliście.

– Płacą mi za włamania do komputerów i za prowadzenie samochodu. Za nic więcej. Nie zamierzałem odezwać się ani słówkiem do oprycha. Sprawił wrażenie... Nabuzowanego. Miałem złe przeczucia. Mielśmy pojechać do budynku WIN Group, żeby oprych mógł porozmawiać z Ingersolem.

– Tylko porozmawiać.

– Tylko tyle wiem. Zadzwoiłem do Ingersola, powiedziałem mu, że Alexander chce omówić kilka szczegółów. Że to ważne, że spotkają się w mieszkaniu Whitestone'a. Ale po drodze oprych kazał mi się zatrzymać. Nie było tego w planie, ale robię to, co mi każą. Nie dyskutuję z facetem. Wszedł do małego, zapyziałego sklepu z narzędziami. Miałem robić kółka, co przy takim ruchu nie jest wcale łatwe. Czekał na mnie, kiedy wróciłem. Miał torbę ze sklepu. Nie wiedziałem, co w niej jest. O ile mi wiadomo, potrzebował jakiegoś narzędzia.

– Logiczne przypuszczenie.

– Jasne.

Eve odczekała chwilę.

– A potem?

– No cóż, po tym, co się wydarzyło, Whitestone zmienił szyfr, ale miałem wzór i znałem system, więc bez większego trudu otworzyłem drzwi. Potem zaparkowałem kawałek dalej, poszedłem na kawę, usiadłem i trochę popracowałem, póki nie zadzwonił, żebym po niego przyjechał.

Milo urwał, obliżał wargi.

– Tym razem trochę się przestraszyłem. Facet wyglądał... Sam nie wiem... Bardziej niż napompowany. Może jakby mu trochę odbiło. Wydawało mi się, że czuję zapach krwi. Nie byłem tego pewien, ale byłem pewien, że pragnąłem jedynie odwieźć go do firmy, zostawić wóz w garażu i wrócić do domu. Już postanowiłem, że odmówię udziału we wszelkich zadaniach z jego udziałem. Nie zgodzę się za żadne pieniądze. Gra niewarta

Świeczki.

– Trochę za późno, Milo.

– Włamuję się do komputerów. Nikomu nie robię żadnej krzywdy. Owszem, wyszukuję informacje, i owszem, może przelewam pieniądze na swoje konto, ale nie param się przemocą.

– Ty tylko sprzedajesz informacje tym, którzy parają się przemocą.

– Nie ponoszę odpowiedzialności za to, co ludzie robią z informacjami.

– Cóż, Milo, mylisz się. Prawo inaczej to widzi. Dlatego aresztuję cię za współudział w trzech morderstwach.

– Nie może pani tego zrobić. Tylko kierowałem furgonetką.

Eve przypuszczała, że do końca swego nędznego życia będzie to stanowiło jego okrzyk wojenny.

– Dlatego określa się to mianem współwiny, Milo, możesz sprawdzić. Tylko kierowałeś furgonetką tego wieczoru, kiedy porwano i zamordowano Martę Dickenson. A propos, o to też zostaniesz oskarżony.

– Ale... Co... – Urwał, kompletnie ogłupiały.

– Być może, powtarzam: być może twój adwokat będzie utrzymywał, że wtedy nie wiedziałeś, że zaplanowano morderstwo. Ale przyznanie się, że wiedziałeś o jej zamordowaniu, jest równoznaczne z poplecznictwem. Zamiast zgłosić się na policję, przyjąłeś kolejne zlecenie od tych samych osób, a potem jeszcze jedno. Nikt nie uwierzy, że byłeś na tyle głupi, by nie wiedzieć, w czym bierzesz udział. Ciągłe wracałeś do studni, Milo, wiedząc, że woda jest zatruta. I trzy osoby nie żyją.

Eve zobaczyła, jak w kącikach oczu zbierają mu się łzy.

– Zgodziłem się na współpracę z policją. Wszystko powiedziałem.

– Tak. Wielkie dzięki. – Wstała.

– Okłamała mnie pani. Oszukała... Zastawiła pani na mnie pułapkę.

– Nie, tak, nie. Wolno mi kłamać podczas przesłuchania, ale tym razem nie musiałam.

Gdybyśmy cię nie odszukali i nie zatrzymali, Alexander kazałby swojemu oprychowi zlikwidować teraz ciebie. Nie ma co do tego cienia wątpliwości, Milo. Stan Nowy Jork nie oskarży cię o oszustwa. Ale nie mam żadnej kontroli nad tym, co zadecydują federalni, a jestem niemal pewna, że zgłoszą się po ciebie.

– Nikomu nic nie zrobiłem.

– Boże, naprawdę w to wierzysz! – Eve zastanawiała się, czy powinna mu współczuć, ale nie potrafiła się na to zdobyć. – Poproszę też prokuratora, żeby rozważył areszt domowy za włamania do komputerów. Naturalnie areszt domowy zacznie się po tym, jak odsiedzisz wyrok za morderstwa i oszustwa, o ile dożyjesz tego dnia. Ale wstawię się za tobą, Milo.

Łzy napłynęły mu do oczu, głos zrobił się ochryply.

– Pieprzona dziwka.

– Wielkie dzięki. – Otworzyła drzwi i dała znak mundurowym. – Zabierzcie go na dołek. – Wymieniła wszystkie zarzuty, kiedy Milo domagał się adwokata. – I pozwólcie mu się skontaktować z adwokatem, skoro tak bardzo chce. Ma siedzieć w osobnej celi, pod żadnym pozorem nie może mieć dostępu do jakichkolwiek urządzeń elektronicznych. Kiedy pojawi się adwokat, o ile się pojawi, należy to odnotować w aktach. I żadnego sprzętu elektronicznego w sali widzeń.

Podeszła do niej Peabody.

– Złapałaś właściwy rytm, więc nie wchodziłam, bo nie chciałam go rozpraszać.

Przeglądałam się wam z pomieszczenia do obserwacji. Uznałam, że nie potrzebna ci informacja, którą dopiero co otrzymałam. Dostali się do jego kryjówki. Sprawdzają sprzęt i dokumenty, które tam trzyma.

– Szybko się uwinęli – powiedziała, kiedy mundurowi wyprowadzali Milo z sali przesłuchań.

– Najwyraźniej nasza ekipa jest lepsza od Kreta. – Uśmiechnęła się do niego, kiedy ją mijał, a potem znów spoważniała. – On naprawdę tego nie rozumie, Dallas. On tylko kierował furgonetką, tylko zdobywał informacje, więc nie odpowiada za to, co się stało.

– Za bardzo lubi władzę i pieniądze, żeby uważać co innego. Chciwość, adrenalina i głupota. To nimi kierowało. Powinnam chyba porozmawiać z prokuraturą.

– Reo przyszła do sali obserwacji, kiedy wodziłaś Milo za nos. Rozmawia teraz ze swoim szefem.

– To dobrze. Chcę z nią pogadać. Kurde, potrzebna mi ta identyfikacja na podstawie portretu pamięciowego. Musimy dopaść zbira, pracującego dla Alexandra, zanim aresztujemy jego samego.

– Alexander wszystko zwali na swojego goryla. Zakabluje na niego, żeby tylko coś w zamian wytargować.

– Nie chcę się z nim układać. Ale boję się czegoś innego. Kiedy aresztujemy Alexandra, zabójca rozplynie się we mgle. To nie ulega wątpliwości. Musimy spróbować wpłynąć na media, by nie nagłośniły aresztowania Milo, a może w ogóle zachowały to w tajemnicy. Jeśli jeden z pozostałych się przestraszy, możemy stracić ich obu. Niech dwóch ludzi obserwuje Alexandra. Jeśli się okaże, że próbuje uciec, zatrzymamy go.

– Zajmę się tym. Uważasz, że Milo mówił prawdę? Rzeczywiście nie wie, jak się nazywa ten bandzior?

– Uważam, że facet budził w nim lęk. I uważam, że nie chciał wiedzieć, jak tamten się nazywa, żeby móc twierdzić i prawdopodobnie wierzyć w to, co nam w kółko powtarzał: nie wiedział, więc nie ponosi odpowiedzialności.

– Teraz będzie mógł do końca życia myśleć o tym, jak bardzo się mylił. – Podeszła do nich Cher Reo, drobna blondynka. – Koncertowo go załatwiłyście.

– Zna się na komputerach. Nie ma bladego pojęcia o ludziach.

– Częściowo mnie wyręczyłaś. To my negocjujemy warunki ugody.

– Potrafię robić więcej niż jedną rzecz na raz.

– Cóż, w tym wypadku szef w pełni się z tobą zgadza. Pozwolimy federalnym zarzucić mu oszustwa, jeśli będą chcieli, żeby dostał wyższy wyrok. Najprawdopodobniej przymkną na to oko, o ile zgodzi się zeznawać przeciwko Alexandrowi. Kiedy zamierzasz go aresztować?

– Jeszcze trochę się z tym wstrzymam. Najpierw muszę dopaść zabójcę, który działał na jego zlecenie. Pracuję nad tym.

– Dallas, federalni mogą darować hakerowi oszustwa, ale założę się o wszystko, że nie popuszczą tak grubej rybie, jak Sterling Alexander. Nie zawahają się, żeby przebić atutem twoje trzy morderstwa.

– Pracuję nad tym – powtórzyła Eve. – I jeśli do jutra nie uda mi się oskarżyć o te zabójstwa jego człowieka od brudnej roboty, mam plan awaryjny.

– Zamieniam się w słuch.

– Chodźmy do mojego gabinetu. Chcę sprawdzić, czy udało się zidentyfikować sprawcę na podstawie portretu pamięciowego.

– Jesteś gotowa na jutro? – spytała Reo, kiedy szły.

- Przecież już ci powiedziałam, że mam plan awaryjny.
- Miałam na myśli premierę. Nawet ty nie możesz pracować na okrągło.
- Nie do końca się z tobą zgadzam. Dlatego ten plan awaryjny.

W gabinecie Eve pokrótce przedstawiła jej swoje zamiary. Reo słuchała, popijając wodę z butelki, którą wyjęła z przepastnej torby.

- Naprawdę sądzisz, że spróbuje cię zabić podczas takiej imprezy?

– Uważam, że jest przekonany, że tam będę. Wierzy też, że nie będę się miała na baczości, pławiąc się w blasku chwały i uznania.

– Chyba cię nie zna. Zawsze masz się na baczości i nigdy się nie pławisz w blasku chwały i uznania.

– Wierzy w to, co widzi. A co widzi? Wszystkie te doniesienia w mediach o dziecku, szybującym w powietrzu, wywiad Nadine ze mną, cały ten szum wokół premiery filmu. Mira jest przekonana, że zabójca musi mnie zlikwidować, by zyskać satysfakcję z wykonanego zadania, a także dlatego, że każde zabójstwo sprawia mu coraz większą przyjemność i skłania go do coraz większego okrucieństwa. Nie mogę jej odmówić racji.

- Wiesz, że nie można wykluczyć jakiegoś potknięcia, Dallas.

– Jak zawsze. Ale to on się potknie. Zatrzymamy go, a potem Alexandra. I otrzymasz cały pakiet: współudział w przygotowaniu morderstwa, oszustwo na wielką skalę, sprzeniewierzenie funduszy. Będziecie mogli wybierać i przebierać razem z agentami federalnymi.

– Ci, którzy oszukiwali razem z nim, się rozpierzchną, ale wierzę, że federalni do nich dotrą.

– Powinny im w tym pomóc informacje zgromadzone przez Milo. Podamy federalnym na tacy niezły pasztet. Będą naszymi dłużnikami.

– Chyba tak. Nie zawsze tak to się kończy, ale to nie tylko świetna sprawa, to również coś, co możemy w przyszłości wykorzystać do naszych celów.

Spojrzała na monitor Eve. Pół ekranu zajmował portret pamięciowy, sporządzony przez Yancy'ego, a na drugiej połowie przesuwali się zdjęcia z bazy danych.

- To ten facet?

– Tylko tym dysponujemy. Yancy uważa, że portret pamięciowy jest dobry, od wielu godzin próbujemy na jego podstawie ustalić tożsamość zabójcy. Na razie bez powodzenia.

– Życzę szczęścia. Mam nadzieję, że wkrótce go zidentyfikujecie, bo będę się o wiele lepiej jutro bawiła, jeśli nie będę się bała, że jakiś wynajęty zabójca, który czuje do ciebie urazę, w każdej chwili może cię zaatakować.

- No nie wiem. To doda całej tej gali... Pieprzyku.

– Chyba tylko w twoim mniemaniu – odparła ze śmiechem Reo i wstała. – Pójdę sprawdzić, czy Milo doczekał się na swojego adwokata, a potem...

- Urwała, kiedy komputer Eve piknął.

Program rozpoznawania twarzy dopasował podobiznę z prawdopodobieństwem dziewięćdziesiąt pięć i osiem dziesiątych procent.

– Kurde! Przyniosłaś mi dziś szczęście. Jak się będę wybierała do Vegas, zabiorę cię ze sobą w charakterze maskotki.

– To on – zgodziła się z nią zastępczyni prokuratora, przyglądając się nad ramieniem Eve zdjęciu. – Clinton Rosco Frye.

– Więk trzydzieści trzy lata, osobisty ochroniarz pracujący na własny rachunek. Wszystko pasuje. Nie wykazuje Alexandra jako swojego pracodawcy. – Przewinęła

dane. – Wiedziałaś. Widzisz? Półprofesjonalny piłkarz. Ośiem lat temu, w ostatniej lidze, ale wiedziałaś. Dwa lata w wojsku, cztery lata w paramilitarnej organizacji Montana Patriots.

– Prosto po szkole poszedł do wojska, a z wojska do Montana Patriots. Organizacja ta – co sprawdziłam – powiedziała Reo, stukając w swój palmtop – ma trzy i pół punktu na czterostopniowej skali, oceniającej skrajnie szalone stowarzyszenia. Grał trochę w piłkę... Jak po czymś takim zostaje się prywatnym ochroniarzem, a później zabójcą?

– Nie możesz się dostać do wyższej ligi, nie udaje ci się zostać zawodowcem. Więc rzucasz sport, ale wykorzystujesz swoją sprawność fizyczną, żeby pracować jako ochroniarz i zarabiać więcej pieniędzy. Trafiasz na właściwego szefa – dobrze płaci, zatrudnia cię jako swojego człowieka od załatwiania porachunków. Przybiera to coraz poważniejsze rozmiary. Patrz, ma kilka grzeszków na sumieniu, wszystkie związane z użyciem przemocy. Napad, pobicie, zniszczenie czyjejś własności. Nigdy nie trafił za kratki, płacił grzywnę, chodził na zajęcia uczące, jak panować nad gniewem i agresją, pracował na rzecz społeczności lokalnej. Żadnych narkotyków ani nadużywania alkoholu. Stara się utrzymać dobrą formę. I zgodnie z jego oficjalnymi zeznaniami podatkowymi, doskonale zarabia, będąc niezależnym ochroniarzem. Z pewnością część dochodów ukrywa, lecz zgłasza również spore kwoty, płacąc od nich podatki. Jest spragniony sukcesu.

– Mamy tu jego adres. To niedaleko od miejsca popełnienia pierwszego przestępstwa, prawda?

– Zgadza się. I niedaleko od siedziby firmy Alexander i Pope. Wygodnie jest mieszkać blisko miejsca zatrudnienia. – Eve wstała i wzięła płaszcz.

– Wygląda na to, że jutro wieczorem będziesz podziwiała moje błyszczące pantofle – powiedziała Reo. – Są niesamowite. Postaram się o nakaz. Jeśli mnie tu nie będzie, kiedy go doprowadzisz do komendy, zadzwoń. Dziś sumienna praca, żeby jutro móc się bawić do upadłego.

– Być może. – Idąc do sali swojego wydziału, Eve wkładała płaszcz. – Peabody, Carmichael, Franks, Baxter, Trueheart, przygotujcie się. Zidentyfikowaliśmy naszego podejrzanego – to niejaki Clinton Rosco Frye. Złożymy mu niezapowiedzianą wizytę.

*

Zaplanowała wszystko jak najprościej. Poprosiła, żeby Callendar z wydziału przestępstw elektronicznych ustaliła, czy podejrzany jest u siebie, zajęła się obserwacją i nasłuchem. Sama zastanawiała się, w jaki sposób najlepiej dopaść Frye'a w jego narożnym mieszkaniu na ostatnim piętrze.

– Jest u siebie czy nie? – zwróciła się do Callendar, czekając na ulicy.

– Sprawdzam. Brak źródeł ciepła. Nie ma też zabezpieczeń. Nie ma go w domu, Dallas.

– Kurde.

– Mogę się podłączyć do kamer w budynku, pokazać ci, jak wygląda korytarz przed jego mieszkaniem, windy, klatki schodowe.

– Zrób to.

– Czy zostaniemy tu, Dallas? – zapytała Peabody. – Zaczekamy na jego powrót?

Niewykluczone, że przyjdzie im tu sterczeć dłużej, pomyślała Eve.

– Najpierw się przekonajmy, czy uda nam się zdobyć jakieś informacje. Czy jest ktoś w mieszkaniu po drugiej stronie korytarza?

– Jedną chwileczkę. Tak – potwierdziła Callendar. – Dorosły i albo dziecko, albo karzeł.

– Dobrze. Peabody, pójdziemy porozmawiać z sąsiadem. Reszta zostanie tutaj. Jeśli go zobaczycie, nie spłoszcie go. Drań potrafi biegać.

Przemknęła przez ulicę, rozglądając się wokół. Przyjemna okolica. Można iść na spacer, wpaść do sklepu, zjeść późny lunch w delikatesach. Nie chciała, żeby Frye ją zobaczył, wracając do domu.

– Może być w pracy – odezwała się Peabody, kiedy Eve otworzyła drzwi wejściowe kluczem uniwersalnym.

– Nie sądzę, by Alexander kazał mu siedzieć w firmie. Wyróżnia się w tłumie. Po co ma się tam kręcić ktoś, kto zwraca na siebie uwagę? Może ma gdzieś swoje biuro. Albo zwyczajnie wyszedł z domu. Albo właśnie kogoś morduje na zlecenie Alexandra lub działając na własną rękę.

– Kto mu pozostał?

– Alexander zyskałby większą część tortu i pozbył się człowieka, który go irytuje, gdyby jego przyrodniego brata spotkał jakiś tragiczny koniec.

– Kazałby zabić Pope'a, kiedy prowadzimy śledztwo w sprawie trzech innych morderstw, z nim związanych?

– Niewykluczone, że jest aż tak bezczelny. Ale przecucie i rachunek prawdopodobieństwa mówią mi, że odczeka kilka miesięcy. Ale, tak samo jak Frye, dobrze wychodzi na zabójstwach. Czemu nie spróbować kolejny raz?

Na ósmym piętrze wysiadły z windy i zapukały do drzwi naprzeciwko mieszkania Frye'a.

– Dobre zabezpieczenia, lecz nie przesadnie wymyślne, z tego, co widać – zauważyła Eve, przyglądając się drzwiom do mieszkania Frye'a.

Kiedy otworzyły się drzwi po drugiej stronie korytarza, Eve zobaczyła przed sobą trzydziestokilkuletnią potarganą kobietę o udreńczonym wzroku. Miała na sobie pomięte ubranie.

– Kim pani jest?

– Porucznik Dallas z policji nowojorskiej. – Eve pokazała swoją odznakę.

– Nie możecie mnie aresztować za to, że pomyślałam o kupnie kajdanek, żeby przykuć mojego syna do łóżka na czas drzemki, prawda?

– Prawdopodobnie nie należy dzielić się takimi pomysłami z gliniarzem.

– Już mi wszystko jedno. Nie rozumiem logicznie. Mój syn jest trzeci dzień chory. Dlaczego, dlaczego lekarze nie potrafią wyleczyć zwykłego przeziębienia? Oddam wszystko za lek na przeziębienie!

Wskazała w głąb mieszkania, gdzie na podłodze siedział sześciolatek chłopczyk, otoczony mnóstwem zabawek. Miał czerwony nosek i podpuchnięte oczy, ale jego mina świadczyła, że matka nie ma z nim lekkiego życia.

– Czuję się lepiej, na moje nieszczęście.

– Chcę loda! – zawołał chłopczyk, wałąc piętami w podłogę. – Chcę loda!

– Nic nie dostaniesz przed drzemką.

W odpowiedzi zaczął przeraźliwie krzyczeć.

– Zabierzcie mnie. – Kobieta wyciągnęła przed siebie ręce. – Aresztujcie. Uratujcie mnie. Nie przyjmą go do szkoły wcześniej niż jutro, i to też tylko wtedy, jeśli przysięgnę

na wszystkie świętości, na co jestem gotowa, że już nie zaraża innych. Jego ojciec wyjechał w podróż służbową. Szczęściarz.

– Przykro mi, ale...

– Loda!

Krzyczący chłopczyk rzucił w nie zabawką, którą miał pod ręką. Eve się uchyliła, a kaczuszka omal nie trafiła jego matki.

– Dosyć tego. – Kobieta odwróciła się gwałtownie. – Przebrała się miarka. Baileyu Andrew Landonie, obojętne mi, czy jesteś chory czy nie, twoja pupa za chwilę będzie równie czerwona, jak twój nos.

Chociaż Eve uważała to za rozsądną reakcję, położyła dłoń na ramieniu kobiety.

– Mały. – Rozchyliła płaszcz tak, że można było zobaczyć jej broń. – Właśnie naruszyłeś paragraf osiemdziesiąt dwa siedemdziesiąt sześć B kodeksu. Masz do wyboru: albo położyć się spać, albo iść do więzienia. W więzieniu nie ma lodów. Ani zabawek, ani kreskówek, ani telewizji. Są tylko cele.

Chłopczyk zrobił wielkie oczy.

– Mamusiu!

– Nic nie mogę zrobić, skarbie. Pani jest z policji. Bardzo proszę, pani porucznik. – Matka odwróciła się do Eve, złożyła dłonie jak do modlitwy, usta rozciągnęła w niemal szalonym uśmiechu. – Proszę mu dać jeszcze jedną szansę. To dobry chłopiec. Tylko jest zmęczony i nie najlepiej się czuje.

– Prawo rzecz święta. – Eve spojrzała na chłopca twardym zimnym wzrokiem. – Drzemka albo więzienie.

– Pójdę się zdrzemnąć! – Wstał i pobiegł, jakby go ścigały diabły. Eve usłyszała trzaśnięcie drzwi.

– Zaraz do ciebie przyjdę, synku – zawołała za nim kobieta, a potem znów zwróciła się do Eve. – Jeśli zdejmie pani buty, ucałuję pani nogi. Zrobię pani pedicure. Przygotuję kolację.

– Proszę tylko odpowiedzieć na kilka pytań i będziemy kwita.

– Nigdy pani tego nie wynagrodzę, ale słucham, co chce pani wiedzieć?

– Clinton Frye. – Eve wskazała drzwi naprzeciwko. – Kiedy ostatni raz go pani widziała?

– Wczoraj koło piątej. Zamówiłam coś do jedzenia z dostawą do domu, bo nie mogę wychodzić z Baileyem. Akurat gdzieś się wybierał.

– Powiedział gdzie?

– Nigdy nic nie mówi. Mieszkam tu od pięciu lat i ani razu z nim nie rozmawiałam. Nie można go nazwać życzliwym sąsiadem.

– Sprawia jakieś kłopoty?

– Nie. Ale wcale się nie dziwię, że policja mnie o niego wypytuje. Wysyła... Złe fluidy. Nigdy nie widziałam, żeby ktokolwiek go odwiedzał, nigdy go nie widziałam z żadnym znajomym czy przyjaciółką.

– I o ile pani wiadomo, od wczoraj nie ma go w domu?

– Zgadza się. Niósł dwie walizki, więc uznałam, że dokąś wyjeżdża.

– Dwie walizki?

– Tak. Gdyby to był ktoś inny, spytałabym: Och, wyjeżdża pan? Ale do niego wolę się nie odzywać.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Jest pani pewna, że nic więcej nie mogę dla pani zrobić? Może upiec ciasto? Nigdy

nie piekłam ciasta, ale spróbuję.

– Nie, dziękuję. I dziękuję za poświęcony nam czas.

– To naprawdę dobre dziecko. Tylko od kilku dni jest taki nieznośny. Chyba oboje się zdrzemniemy i mam nadzieję, że obudzimy się w lepszych humorach.

– Powodzenia. – Eve cofnęła się i spojrzała na drzwi po przeciwnej stronie korytarza.

– Sądzisz, że zwiął? – spytała Peabody.

– Sądzę, że się domyślił, że możemy go tu próbować znaleźć. Niemowlę, szybujące w powietrzu – powiedziała. – Wszystkie te nagrania. Nie mógł mieć pewności, czy ktoś nie zarejestrował jego twarzy i czy nie spróbujemy go zidentyfikować na tej podstawie. Więc spakował to, co mu potrzebne, i się wyniósł. Ale nie opuścił miasta, nie zniknął na dobre.

Wyjęła komunikator, poleciła, żeby wypytano pozostałych lokatorów budynku, sprawdzono, czy pod ten adres nie zamówiono taksówki. Poprosiła Callendar, żeby wjechała na górę i sprawdziła sprzęt elektroniczny, który Frye zostawił w mieszkaniu.

– Przekonajmy się, co my tu mamy – powiedziała, wyjmując klucz uniwersalny.

– A propos, doskonale sobie poradziłaś z tym dzieciakiem – pochwaliła ją Peabody. – Nastraszyłaś go, że zabierzesz go do więzienia.

– Kto powiedział, że nie zrobiłabym tego naprawdę? – odparowała Eve i otworzyła drzwi.

Rozdział 21

Pierwsze, co uderzyło Eve, to wrażenie pustki. Pokój dzienny wyglądał tak, jakby lokator wyjechał kilka tygodni temu, a nie zaledwie wczoraj.

Ogromna kanapa, ogromny ekran na ścianie, dwa stoliki i fotel sprawiały, że przestronny salon wydawał się niezamieszkały. Brakowało w nim obrazów, kolorów, jakichkolwiek osobistych drobiazgów. Nawet szary dywan wywoływał apatię.

Czy przesiadywał tu, pomyślała, wielki facet na wielkiej kanapie, wpatrzony w wielki ekran? Czy przesiadywał tu zupełnie sam, w milczeniu, kiedy na ekranie przesuwają się pełne ruchu obrazy z życia innych ludzi?

– To minimalizm w skrajnej postaci – zauważyła Peabody.

Eve nic nie powiedziała, tylko przeszła do kuchni z lśniącymi szafkami. Otworzyła lodówkę; znalazła tam piwo, zapas wody butelkowanej i napoje energetyczne. W szafce były batoniki i chipsy sojowe. Komplet czterech talerzy, czterech kubków, czterech miseczek.

Mnóstwo niewykorzystanego miejsca, pomyślała, i podeszła do przeszklonej ściany.

Ale mógł tu stać, wyglądać przez okno. Obserwować. Jakby oglądał film na wielkim ekranie telewizora.

Wysunęła kilka szuflad. Cztery noże, cztery widelce, cztery łyżki, dwie przypominajki, których nigdy nie używano.

– Żadnych szpargałów – powiedziała. – Nic, co wrzuca się do szuflady albo odkłada na półkę, żeby później się tym zająć. Żadnego marnotrawstwa. Ale to wszystko przykład marnotrawstwa. Tyle tu miejsca, wszystko lśni, a on nie wiedział, co z tym zrobić.

Razem z Peabody przeszła do sypialni.

Na stelażu leżał materac, brązowa narzuta była mocno naciągnięta. Eve gotowa była się założyć, że gdyby rzuciła na łóżko żeton, odbiłby się.

Jedno krzesło, duża komoda, stanowisko komputerowe bez komputera.

– Sprawdź komodę, biurko – poleciała swojej partnerce i skierowała się do garderoby.

Również była przestronna, miała kilka wbudowanych półek i szuflad. I była zupełnie pusta.

– Nie zostawił nawet pyłku kurzu.

– Tu też nie. – Peabody wsunęła szufladę.

Łazienka była również pusta, łącznie z koszem na pranie.

– Zabrał nawet brudne gacie, zakładając, że miał takie. Wyszorował umywalkę. Wziął wszystko, co potrzebne – a zmieściło mu się to w dwóch walizkach – i posprzątał po sobie.

– Dlaczego? – zastanowiła się na głos Peabody. – Skoro tu jesteśmy, wiemy, kim jest. Niepotrzebne nam jego odciski palców albo próbki DNA.

– Nie wiem. Sprawdźmy drugi pokój.

W drugiej sypialni znalazły ślady Clintona Frye'a.

– Nie zmieściło mu się do walizki – oświadczyła Eve.

Urządził tu sobie własną siłownię – z atlasami, sztangami, workiem bokserskim, gruszką bokserską, przeszkloną szafą chłodniczą, pełną wody butelkowanej i napojów

energetycznych. Białe ręczniki tworzyły równiutki stos.

Zaintrygowana Eve podeszła, żeby sprawdzić ciężar sztangi.

– Ustawiona na sto pięćdziesiąt kilogramów. Tak, silny z ciebie drań, Frye. Spędzał tu wiele godzin, ćwicząc i trenując. Założę się, że zapisywał wyniki, czasy. Przeglądał się w lustrach, żeby się upewnić, w jakiej jest formie. To dla niego ważne. Tutaj spędzał większość czasu.

Ujęła się pod boki i przemaszerowała po pomieszczeniu.

– Ekipa skrupulatnie wszystko przeszuka, ale na pewno nic po sobie nie zostawił. Jest na swój sposób dokładny. To nie jest nowy sprzęt, ale i tak możemy spróbować ustalić źródło jego pochodzenia. Trzeba sprawdzić, gdzie robił zakupy spożywcze, gdzie jadł, gdzie kupował ciuchy, gdzie oddawał je do prania. Spróbujmy ustalić, co zwykle porabiał.

– Żadnego sprzętu dla naszych komputerowców.

– Jest sprzęt sportowy – poprawiła ją Eve. – Są tu zapisane programy, z których korzystał, więc widać, jak zazwyczaj przebiegał jego trening. Musimy się zadowolić tym, co mamy. Nie zależy mu na pieniądzach – myślała na głos. – Chodzi mu o samą robotę, o zlecenie. Wcześniej tylko to znał. A teraz odkrył, jakie to uczucie zabijać.

– Ale w jakimś celu, prawda? Nie zabija dla samego zabijania, nie chodzi mu o to, żeby rąbnąć przypadkowego przechodnia na ulicy. Traktuje morderstwa jak pracę.

Eve skinęła głową i z aprobatą spojrzała na Peabody.

– Masz rację. Miło powinien być zadowolony, że zamknęliśmy go w areszcie, bo bez względu na to, czy Alexander by zlecił jego zabójstwo, czy nie, stanowi kolejny cel. Praca. Robienie porządków. Tak, jak tu posprzątał.

– Mógł się udać do Alexandra.

– Owszem, mógł. I wielce prawdopodobne, że to zrobił. Zdarza się, że pies gryzie własnego pana. Ale jeszcze nie teraz – rozważała Eve na głos. – Najpierw musi dokończyć porachunki z nami. Pojadę do domu i tam popracuję. Chcę, żeby dwóch mundurowych odwiozło cię do mieszkania. Odprowadziło do samych drzwi.

– Myślisz, że spróbuje mnie dopaść na progu?

– Uważam, że szykuje się na jutrzejszy wieczór, ale po co ryzykować.

W domu czeka dużo pracy, pomyślała Eve, kiedy w końcu wsiadła do swojego wozu.
Postanowiła, że zacznie od razu, i zadzwoniła do Miry.

Kiedy sekretarka powiedziała jej, jak zajęta jest pani doktor i oświadczyła, że ona sama właśnie szykuje się do wyjścia, Eve uruchomiła odtwarzacz.

Gdy Mira pojawiła się na wyświetlaczu, Eve z miejsca przystąpiła do rzeczy.

– Chcę, żebyś rzuciła na coś okiem, powiedziała mi, co o tym sądzisz.

– Nie ma sprawy.

– To mieszkanie Clintona Frye'a. Dostałaś wiadomość, że udało nam się ustalić tożsamość sprawcy?

– Tak. I zapoznałam się z jego danymi.

– To dobrze. Opuścił mieszkanie wczoraj wczesnym wieczorem. Sąsiadka powiedziała, że wzięł ze sobą dwie walizki.

– Uciekł?

– Nie wydaje mi się. Uważam, że tylko zmienił adres zamieszkania. Spójrz na to.

Odtworzyła nagranie, na którym był salon, kuchnia i prywatna sialownia Frye'a.

– Samotnik – stwierdziła Mira. – Nie chodzi tylko o brak własnego stylu czy skromne wyposazenie, lecz o brak emocji i jakichkolwiek wiezi. Naturalnie mógł spakowaó wszystkie przedmioty osobiste razem z ubraniami i sprzëtem elektronicznym, ale w dwóch walizkach niewiele by pomieócił.

– Nic nie ówiadczy, że miał jakieó przedmioty osobiste. Óadnych jasnych plam na ócianach tam, gdzie na przykłąd mogly wisieó obrazy. I odnosi się wrazenie, że właónie tak żył. Samotnie, niezwiázany z kimkolwiek.

– Wyjãtek stanowi sialownia – zwróciła jej uwagë Mira. – W pełni wyposazona, starannie utrzymana i zorganizowana. To go przede wszystkim krëci. Co nie powinno nas dziwió, bo zarówno óluyó w wojsku, jak i zawodowo uprawiał sport.

– Póózawodowo – poprawiła ją Eve.

– Tak, sãdzë, że to istotne. Nigdy nie był wystarczajãco dobry, wystarczajãco inteligentny, wystarczajãco bystry. Można powiedzieó, że nigdy nie był najlepszy.

Aż do tej pory, pomyólała Eve.

– W szafkach nocnych nie ma szuflad, póók ani drzewiczek. To dwa proste stoliki. Óadnego miejsca na wspomagacze czy zabezpieczenia podczas uprawiania seksu. Mógł to trzymaó gdzie indziej, ale sãsiadka zeznała, że nigdy nie widziała, by ktokolwiek go odwiedzał, by ktokolwiek poza nim opuszczał mieszkanie. Przesluchanie pozostałych lokatorów budynku to potwierdzió. Ludzie go zapamiëтали, jest potëżnie zbudowany. Ale go nie znają.

– Znów ten brak wiezi, towarzystwa. Chociaż w przeszłości grał i pracował w zespołach. Uprawiał sport, óluyó w wojsku.

– Tak. Zamierzam trochë poszperaó, przekonaó się, dlaczego zrezygnował. Może go wyrzucili. W mieszkaniu panował porzãdek – dodała Eve. – Idealny porzãdek. Nawet powycierał kurz w szufladach. Zasłał łóóko. Samotnie mieszkajãcy facet, który opuócił mieszkanie, nie zamierzajãc do niego nigdy wiëcej wróció, posłał łóóko jak prycë na obozie dla rekrutów.

– Tak. Trening ma dla niego duże znaczenie. Trening fizyczny i utrzymanie swojego miejsca w porzãdku. Gdybyó znalazła jakieó ubrania, bylyby schludnie poskåadane i pogrupowane. Zwykłe, wygodne, bez óadnych ekstrawagancji. Dobrej jakoóci. Jego naczynia pasujã do siebie. Niewãtpliwie kupił cały komplet i zachował w komplecie. Fakt, że zabrał wszystko, co mógł, ówiadczy, że był bardzo nieszczęóliwy, muszãc zostawió sprzët gimnastyczny. Przywiãzał się do niego. Naturalnie może kupió nowy, ale tamten stanowił jego właónoó, korzystał z niego, sprawiało mu to przyjemnoó. Dzięki temu wiedział, że jest silny, że jest kimó. Uważa, że przez ciebie musiał się wynieó.

– Dodatkowy powód, żeby spróbować mnie dopaóó. I robi to jutro. To jedyne rozsãdne wyjócie, jakie mu zostało. A sãdzãc po tym, jak siebie postrzega, w jakiej roli czuje się bezpieczny, podszyje się pod ochroniarza. To jedyne logiczne wybó.

– Zgadzam się. Ale, jak już wiemy, nie potrafi dobrze planowaó. Może wcale nie postëpowãc logicznie. Może kierowaó się impulsem.

Eve zastanowiła się nad tym, przejeżdżajãc przez bramë.

– Jeóli uda mu się zdobyó bilet i pojawi się jako goóó albo jako ktoó z obslugi, teó go zauwaóymy.

– Nie zblióy się bezpoórednio do ciebie. Jeóli uda mu się poznaó zabezpieczenia, bëdzie wiedział, jakie sã ich ółabe punkty.

– Tak. Ale ja teó to wiem. Dzięki. Do zobaczenia jutro.

– Zaplanuj wszystko starannie – przestrzegła ją Mira. – Jeśli się zdecyduje, będzie działał brutalnie.

– Mam obstawę – przypomniała jej Eve i się rozłączyła.

Postanowiła, że najpierw przez godzinę poćwiczy. Zmęczy ciało, pozbędzie się wszelkich myśli.

Miała szczerą nadzieję, że nie dojdzie do fizycznej konfrontacji między nią a facetem, który potrafi wycisnąć sto pięćdziesiąt kilogramów, lecz na wszelki wypadek wolała być na to przygotowana.

Już sobie obmyśliła uszczypliwą uwagę dla Summerseta, bo wiedziała, że majordomus jakoś skomentuje fakt, że wcześniej wróciła do domu. Powie, że to Dzień Przedsiębiorcy Pogrzebowego, więc na jego cześć wyrwała się z pracy wcześniej.

Zwiąże i na temat.

Kiedy jednak weszła do domu, nie czaił się w holu. Może dokąś się wybrał, pomyślała. Zbiera grzyby w jakiejś zimnej i wilgotnej piwnicy albo złożył wizytę przyjacielowi-upiorowi.

Ucieszywszy się na myśl, że ma cały dom do swojej wyłącznej dyspozycji, wbiegła na górę. I kiedy skierowała się do sypialni, mało nie zapiszczała jak dziewczynka, kiedy nagle z niej wyszedł.

– Co, do jasnej cholery! – powiedziała.

– Musiałem odłożyć na miejsce wyprane rzeczy – wyjaśnił spokojnie. – Nawet te szmaty, które nazywa pani T-shirtami.

Gdy uświadomiła sobie, że Summerset zajmuje się jej garderobą, aż jej odebrało mowę. Więc nie mogła mu nic odpowiedzieć, kiedy jak gdyby nigdy nic ruszył korytarzem.

Jedyne, na co się zdobyła, to na mruknięcie pod nosem „kurde”, gdy wchodziła do środka. I znów niemal zapiszczała, kiedy kot wyskoczył spod kanapy.

– To już drugi raz – powiedziała do siebie, wypuszczając powietrze z płuc. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest taka napięta.

Zdecydowanie pora poćwiczyć, wypocić się, odzyskać formę.

Utwierdziła się w tym postanowieniu, obejrawszy w lustrze swoją pupę. Żółte siniaki już nie przypominały żadnego znanego jej kontynentu, raczej jakąś konstelację gwiazd.

Cycki też w niezłym stanie, doszła do wniosku. Szturchnęła się w mostek. Żadnego bólu, nawet kiedy poruszyła ramieniem.

Czyli wyćwiczy mięśnie, przypomni im, że czeka je poważne zadanie.

Przebrała się w sportowy stanik i szorty, po bardzo krótkim namyśle nie wzięła z szuflady ani jednej z równiutko poskładanych i wcale niepodartych koszulek.

Nagle coś ją olśniło. Wzięła płytę z rozkładem pomieszczeń kina i zjechała windą do siłowni.

Zajął jej to trochę czasu – nigdy nie była biegła w elektronice – ale udało jej się zaprogramować trzy scenariusze, wykorzystując pomieszczenia kina. Pomyślała sobie, że pobiega na ruchomej bieżni i przy okazji zapozna się z rozkładem sal w kinie.

Ustawiła szybkie tempo. Jeśli przyjdzie jej biec, nie będzie czasu na rozgrzewkę. Do foyer, schodami w górę, w dół, na poziom z pomieszczeniami technicznymi, za ekran, przez główną salę, znów w górę, znów w dół.

Jest szybki, pomyślała. Ona będzie szybsza.

Jest silny. Ona będzie przebiegła.

Kiedy wszedł Roarke, już zdążyła nieźle się spocić.

Przyjrzał się ekranowi i uniósł brwi.

– Sama to zaprogramowałaś?

– Tak – wysapała, nie przerywając biegu. – Trochę się na tym znam.

– Ile czasu ci to zajęło?

– Zamknij się.

– Przekonajmy się, czy uda mi się cię dogonić.

– Mam... Dwadzieścia sześć minut przewagi nad tobą i zamierzam wybiec na ulicę.

Nigdy nic nie wiadomo.

– Racja. – Włączył ruchomą bieżnię, stojącą obok i po kilku sekundach zaczął biec w takim samym tempie, jak Eve.

Chciała go zapytać, co znalazł u Milo, czego nowego się dowiedział, ale uświadomiła sobie, że aby biec, musi oddychać.

Unikała ludzi i samochodów, których pojawianie się zaprogramowała. Kiedy zrobiła ostatnie okrążenie, żeby jeszcze raz przebiec przez kino, pot łał się z niej strumieniami.

– Dobra. Dobra. – Zwolniła do chodu, wciągnęła powietrze i napiła się wody. – Dobra.

– Ciekawe scenariusze – stwierdził Roarke. – Tym bardziej, jak kogoś ścigasz albo przed kimś uciekasz. Wymieszać to, zrobić z tego zawody.

– Ty to zrób.

Zeszła z bieżni, położyła się na plecach i obiecała sobie, że za chwilę wróci do ćwiczeń. A na razie poleży i popatrzy, jak on się męczy.

Boże, ale miał zgrabny tyłek. Chętnie by go poklepała. I może zamiast godziny poćwiczy dziewięćdziesiąt minut.

Czy jest lepszy sposób na poprawę humoru?

Przeglądała mu się, rozciągając ściągna podkolanowe, mięśnie czterogłowe, tak twarde po długim biegu, że mało jej się nie rozerwały. I wpadła na kolejny pomysł.

– Chyba coś sobie naciągnęłam. – Usiadła, pochyliła głowę i zaczęła masować łydkę.

– Co?

– Nic. Tylko... – Syknęła cicho.

– Pokaż no. – Wyłączył bieżnię, podszedł do Eve i klęknął obok niej. – Co naciągnęłaś?

– Twoje majtki – powiedziała, przyciągając go do siebie.

– Uważasz, że jesteś bardzo sprytna, co?

– Przecież cię nabrałam, no nie? – Objęła go nogami i obróciła się tak, że Roarke znalazł się pod nią. – I mam cię tam, gdzie chciałam mieć.

– Czy ten scenariusz też sobie zaprogramowałaś?

– Nie, improwuję. Jesteśmy spoceni. – Nachyliła się, by lekko ugryźć go w brodę. – Zmachani i mokrzy. Czemu nie wykorzystać okazji?

– Doceniam twój zmysł praktyczny. – Przesunął ręką po jej biodrze i udzie. – Wciąż masz napięte mięśnie.

– To może je rozluźnisz?

Znów zaczęła się nachylać, ale tym razem Roarke odwrócił się tak, że znalazła się pod nim, przywarł spoconym ciałem do jej spoconego ciała, wpił się ustami w jej wargi z takim pożądaniem, że aż wstrząsnął nią dreszcz.

Odpowiedziała żarliwością na jego żarliwość.

Zawładnęła nią pasja, zuchwałość i pragnienie.

Zdarła z niego koszulę, drapiąc go krótko obcięzonymi paznokciami, wbiła palce w jego

ciało. Rozkoszowała się nim, jego ciężarem, kształtnym ciałem, cudownym uczuciem, jakie wywoływał kontakt z jego skórą.

Po chwili znów zabrakło jej tchu, mięśnie drżały, serce waliło. Zanim zdołała głębiej odetchnąć, Roarke dłońmi i ustami rozpałił jej zmysły.

Poczuł, że osiągnęła orgazm, poczuł ten dreszcz, potem gwałtownie zaczerpnęła powietrza, a na koniec usłyszał jej cichy jęk.

Ale jeszcze obojgu było za mało.

Ściągnął jej stanik. Wiedział, że ma szorstkie dłonie, ale nie przejmował się tym. Chciał, żeby oszalała z pożądania, chciał, żeby go pragnęła, chciał... Musiał pociągnąć ją za sobą na sam szczyt.

Podążyła za nim ochoczo. Zapomnieli o delikatności, o czułości. Tym razem czuli jedynie pilną, nagłą potrzebę, którą należało zaspokoić. Jakby w amoku, nie zważając na nic, zdzierali z siebie ubranie. Roarke wszedł w nią głęboko, uniósł w górę jej nogi, pragnąc do końca się z nią zespolić.

Był cały jej.

Krzyknęła, gdy rozkosz szarpała jej ciało. Chwyciła go za biodra i przycisnęła z całych sił do siebie.

Szybko. Coraz szybciej, aż z ust Eve wyrwał się jęk, gdy osiągnęła orgazm. Jej ręce osunęły się bezładnie na podłogę.

Roarke zdławionym głosem wymówił jej imię.

Miała świszczący oddech. Dziwiła się, że serce nie wyskoczyło jej z piersi i nie zaczęło tańczyć dookoła nich dwojga.

– Jezu! – udało jej się wychrypieć.

– Cóż, nie tego się spodziewałem. – Opadł na nią bez sił. Chciał się zsunąć na bok, żeby mogła zaczerpnąć powietrza. I zrobi to. Za dzień lub dwa.

– Tym razem naprawdę mogłam sobie coś naciągnąć.

– Drugi raz nie dam się nabrać. Wyeksploatowałeś mnie do cna.

– To dobrze, bo chyba nie dam rady ruszyć ręką ani nogą.

Z wyraźnym wysiłkiem zsunął się z niej i leżąc na wznak, gapił się w sufit, tak jak Eve.

– Możemy tu zostać.

– Na zawsze?

– Czemu nie.

– Przestępcy zawładną miastem, świat finansów się zawali. Nie możemy być tacy nieodpowiedzialni.

– Chyba masz rację. Tak czy owak muszę się napić. Może kubeł wody mi wystarczy.

– Drugi możesz wylać na mnie.

Wstał, uświadamiając sobie, że czuje się, jakby był na lekkim rauszu. Całkiem miłe wrażenie, doszedł do wniosku, wyciągając dwie butelki wody. Wracając, napił się z jednej, a potem, uśmiechając się do Eve – oczy miała zamknięte, twarz zaróżowioną – przechylił butelkę tak, że zimna woda pociekła na jej brzuch.

– Ej!

– Zgodnie z życzeniem. – Usiadł obok Eve i podał jej butelkę.

Wypiła połowę i westchnęła.

– Uznałam, że dobrze byłoby trochę poćwiczyć, oczyścić umysł. Zadanie wykonane i to z dużym nadatkiem. – Położyła dłoń na jego ręce. – To będzie jutro wieczorem.

– Chyba masz rację.

– Będziemy gotowi. Czy znalazłeś u Milo coś, co może mi się przydać?

– Och, znaleźliśmy całkiem dużo. Z całą pewnością więcej niż trzeba, żeby kilka osób – w tym Alexandra – na dość długo wsadzić za kratki. Milo prowadzi szczegółowe archiwum i cechuje go nienasycona ciekawość hakera. Alexander, zatrudniając go, otworzył własną puszkę Pandory.

– Jest coś o Frye’u? Dostałeś notatkę o Frye’u?

– Owszem. Nie wymienia go z nazwiska. Nazywa Frye’a Wykidajką albo W, ale są udokumentowane zlecenia łącznie z nazwiskami. Marta Dickenson, godzina, miejsce, suma. Parzarri, Ingersol tak samo. Pewny siebie sukinsyn z tego Milo. Zapisywał wszystko, sporządził własne, tajne archiwum, najwyraźniej przekonany, że nikt nie jest na tyle sprytny czy dobry, żeby do niego dotrzeć i złamać zabezpieczenia.

– Ale ty okazałeś się wystarczająco sprytny i dobry, żeby tego dokonać.

– Nie działałem w pojedynkę. A jeśli chodzi o Frye’a, wstrzymaj się nieco. Nawet dla nas to trochę za dużo siedzieć tu nago i rozprawiać o mordercach. Opowiesz mi wszystko, jak będziemy pływać w basenie.

Eve pomyślała sobie, że nie jest tego zbyt wiele, ale z przyjemnością zanurzyła się w chłodnej wodzie i zdała mu relację z ostatnich ustaleń.

– Muszę zadzwonić do kilku osób – powiedziała, kiedy się wytarli i ubrali. – Chcę porozmawiać z dowódcą Frye’a, zorientować się, jaki był w wojsku. I z jego trenerem, kiedy grał w piłkę. Powinam zadzwonić do Reo, zapytać, na jakim etapie są rozmowy z Milo. I zastanowić się, co zrobić, żeby odsunąć od tej sprawy agentów federalnych jeszcze na dwadzieścia cztery godziny.

– Mogłabyś już wsadzić Alexandra za kratki, ale chcesz, żeby był na premierze.

– Tak. Myśli, że udało mu się wywinąć od kary. Będzie zadowolony z siebie, będzie krążył napuszony, bratając się z celebrytami z Hollywood. Ale ma krew na rękach. Poza drobną satysfakcją, jaką mi sprawi aresztowanie go w miejscu publicznym, zyskamy czas na skoordynowanie działań, dotarcie do jego współników. Jeśli agenci federalni lub lokalna policja zbyt wcześnie ich zgarną, ktoś może ostrzec Alexandra. A kiedy jego zgarniemy za wcześnie, będzie to dla nich ostrzeżeniem. Naprawdę chciałabym dopaść wszystkich.

– Napijmy się i zjedzmy coś. Po szalonym seksie jestem głodny. I sądzę, że dysponując danymi, zgromadzonymi przez Milo, oraz tymi, które sam zebrałem, będziesz miała całkiem dużą miotłę, by zrobić porządek.

*

Rzeczywiście to cholernie duża miotła, pomyślała Eve, czytając akta. Matka wszystkich mioteł. Krajowa, międzynarodowa i globalna. Informacje, zgromadzone przez Kreta Milo i Roarke’a, zawierały szczegóły nielegalnych operacji Sterlina Alexandra. Nazwiska, miejsca, kwoty. Jeśli dodać do tego wyniki audytu, to prawdziwa żyła złota.

Agenci federalni posikają się ze szczęścia. Ale w przypadku federalnych minusem były skomplikowane procedury. Nie miała teraz czasu na pokonywanie kolejnych biurokratycznych przeszkód.

Lecz miała szanowaną panią sędzię, komendanta policji nowojorskiej i szefa policji, żeby się tym zajęli.

– Czy możesz zorganizować holokonferencję?

– Naturalnie. Z czym udziałem?

– Sędzi Yung, Whitneya i Tibble'a. Mają znajomości, a także siłę przebiecia. Jeśli federalni chcą dostać Alexandra, nie tylko muszą grać zgodnie z naszymi regułami, lecz również dostosować się do naszego harmonogramu działań. Uważam, że dysponując takimi dowodami, uwzględniającymi skalę przestępczego procederu, uda nam się nakłonić ich do współpracy. Zapowiada się sensacyjny proces. Jeśli przystaną na nasze warunki, zgodzą się oskarżyć Alexandra za oszustwa, a nam pozwolą postawić zarzuty o morderstwa, obie strony na tym zyskają.

– A jeśli okażą się zachłanni?

– Nie mogą nic zrobić Alexandrowi, póki nie otrzymają informacji od nas. – Mój as w rękawie, pomyślała. – A nie uda im się wyrwać od nas informacji, jeśli nie uruchomią całej maszyny biurokratycznej. Do tego czasu dopadniemy go. Jeżeli przyjmą nasze warunki, cała chwała spadnie na nich. W przeciwnym razie będą tylko statystami.

– To może się udać.

– Może. – Musiała teraz zrobić wszystko, żeby się udało. – Zaproszę na holokonferencję Reo. Ty też będziesz mi potrzebny.

– Myślałem, że jasno dałaś to do zrozumienia w siłowni.

– Bardzo śmieszne. Potrzebny mi jesteś jako ekspert komputerowy, na wypadek gdyby trzeba było wyjaśnić informacje i sposób ich uzyskania. Kurde, powinniśmy też zaprosić Feeneya i może McNaba. A jeśli pominę Peabody, będzie się dąsała.

– Ty zadzwoń, do kogo trzeba. Ja zajmę się stroną techniczną.

Spojrzała na swoją koszulkę.

– Czy to szmata?

– W jakiej skali?

– Och, daj spokój.

– To wygodny strój po domu, całkowicie do przyjęcia.

– Zgadza się. – Wcelowała w niego palec. – Zajmij się stroną techniczną.

Ponad dwie godziny zajęło jej przedstawianie szczegółów. Nieraz miała ochotę na kawę, ale uznała, że nie wypada pić kawy, zdając raport przełożonym. Słusznie zrobiła, prosząc Roarke'a o udział w konferencji. Feeney i McNab potrafili wyjaśnić sens swoich działań, ale Roarke umiał przedstawić sprawy szybciej i bardziej zwięźle.

– Nie chcę odgadywać pani zamiarów, pani porucznik – powiedziała Yung. – Chcę zapytać, czy dokładnie zastanowiła się pani nad tym, jakiego ptaszka ma w garści. Dysponując tymi dowodami, może pani jeszcze dziś aresztować Alexandra. Można zlecić lokalnym władzom ujęcie jego współników, a przynajmniej większości z nich.

– Przy operacji na taką skalę, pani sędzio, nie unikniemy przecieków. Nie zamierzam dać Frye'owi żadnych powodów odwołania tego, co sobie zaplanował. Jeśli nam zwieje, nie wiem, kiedy go znajdziemy ani kiedy może zechcieć spróbować zakończyć sprawę tak, jak to uważa za stosowne. Przepraszam za szczerość, pani sędzio, ale chociaż to Alexander zlecił zamordowanie pani bratowej i musi za to zapłacić, przecież Clinton Frye skręcił jej kark. Nie tylko musi ponieść karę za to i dwa pozostałe morderstwa, ale również trzeba go powstrzymać, zanim znów kogoś zabije.

– Zgoda. Mam pewne możliwości nacisku i jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, wspólnie z prokuraturą mogę przedstawić w pełni prawomocną strategię, na którą według mnie przystaną władze federalne.

– Biuro prokuratora gotowe jest do jak najdalej posuniętej współpracy – zapewniła ją Reo. – I na osłodę dołożymy Milo Eastona.

– Niezwłocznie przystąpimy do akcji. – Tibble skinął głową do Dallas. – Dobra robota, pani porucznik, detektyw Peabody, wy wszyscy. Dobra robota. My zajmiemy się polityką.

– Kiedy wszystko będzie przyklepane, damy wam znać – powiedział jej Whitney. – A na razie działajcie zgodnie z planem. I też przyznaję, że wykonałście kawał dobrej roboty.

Kiedy Roarke zakończył konferencję, Eve rzuciła się na kawę.

– Boże, cieszę się, że mam to za sobą. Gadanie, gadanie, gadanie.

– Interesy to piekło.

– A ty ubóstwiasz siedzieć w piekle w pierwszym rzędzie. No dobra. Pora na dopracowanie szczegółów. Gdzie, do diabła, mam schować broń w tej cholerniej sukni?

– Pomyślałem o tym. Prawdę mówiąc, zamierzałem ci dać ten drobiazg na Gwiazdkę. Ale możesz go otrzymać teraz.

Poszedł do swojego gabinetu i wrócił z pudełkiem.

– Co to takiego?

Rzucił jej spojrzenie pełne rozbawienia i irytacji.

– Dlaczego zawsze zadajesz to pytanie, kiedy wystarczy, żebyś zajrzała do środka?

Eve nie miała żadnej rozsądnej odpowiedzi na to pytanie, więc otworzyła pudełko.

– Och, to coś w sam raz. – Wyjęła zgrabną kaburę.

– Nosi się ją na udzie. Przyznaję, że niełatwo sięgnąć po broń, ale będziesz uzbrojona, o czym nikt nie będzie wiedział.

Żeby ją wypróbować, Eve ściągnęła spodnie i przypięła kaburę.

– Kto by pomyślał, że sobie też sprawię prezent? Co za widok, moja pani porucznik.

– Nada się do paralizatora. W sam raz. – Przeszła się po pokoju, żeby zobaczyć, czy kabura nie krępuje ruchów. – Tak, w sam raz. Dziękuję.

– Och nie, w tym wypadku to ja dziękuję tobie.

– Wyeksploatowałam cię do cna, zapomniałeś?

– Ale o dziwo, patrząc, jak moja żona paraduje z gołą pupą, z kaburą na udzie, odzyskuję siły. A propos, twoje siniaki na tej części ciała dziś wieczorem bardziej przypominają wypłowiałą mapę Meksyku. Olé.

Eve roześmiała się, odpięła kaburę i wciągnęła spodnie.

– To naprawdę trafiony prezent.

– Wesołych świąt.

– Jutro wypróbuję to z moim paralizatorem. O osiemnastej zero zero muszę być w komendzie.

– Rozumiem. Trina się dostosuje.

– Nie! – Ogarnęło ją przerażenie. – Nie, nie, nie! Nie mam czasu na takie bzdury.

– Zaoszczędzisz czas na czesanie i makijaż, będziesz mogła omówić szczegóły operacji z Peabody i zanim udasz się do komendy, będziesz gotowa. Racjonalne wykorzystanie czasu.

– Mam w nosie taką racjonalność – odparła ponuro.

– Bądź dzielna, moja droga – powiedział, klepiąc ją po pupie. – Zanim się spostrzeżesz, będzie po wszystkim.

Nieprawda, pomyślała. Ale najgorsze, że miał rację; jeśli to przecierpi, zyska więcej czasu na przygotowanie się do tego, co najważniejsze.

Do jakich poświęceń jest zdolna w imię obowiązków zawodowych!

Rozdział 22

Spędziła wiele godzin, ślęcząc nad kopiami planu kina, zatykając dziury tam, gdzie je znalazła, wielokrotnie sprawdzając możliwe trasy, możliwe miejsca dostania się do środka.

Jeśli Frye tam wejdzie, już mu się nie uda wyjść.

A jeśli się nie pojawi, roześlę listy gończe i jego portret pamięciowy, zdjęcie i rysopis do każdej firmy przewozu osób w mieście. Chociaż poszukiwany nie miał ważnego prawa jazdy, powiadomiła także wszystkie agencje wynajmu samochodów.

Mógł kupić samochód, pomyślała. Mógł też wziąć jeden ze służbowych wozów Alexandra. Ale nie mogła odciąć Nowego Jorku od świata, zablokować wszystkich mostów i tuneli, ścigając jednego człowieka.

Rozważała, jakie miał możliwości, kierując się własnym przeczuciem i profilem sporządzonym przez Mirę.

Pojawi się, żeby ją dopaść.

Już się nie mogła tego doczekać. Rozmyślenia o konfrontacji, o ujęciu zabójcy sprawiły, że prawie przestała się przejmować czekającą ją sesją z Triną.

Pocieszała się, że do tych tortur zostały jeszcze godziny, a potem tyle czasu zajęły jej telekonferencje, koordynowanie działań policji nowojorskiej i ochrony kina, a także lektura wiadomości od komendanta, że straciła poczucie czasu.

Kiedy Peabody pojawiła się w jej gabinecie, Eve nie dało to nic do myślenia. Poprosiła swoją partnerkę, żeby przyszła do niej wcześniej, by móc ją o wszystkim poinformować.

– Przepraszam za spóźnienie.

Eve gwałtownie uniosła głowę.

– Za spóźnienie? – Spojrzała na zegarek. – Rzeczywiście się spóźniłaś. Dlaczego?

– Są gigantyczne korki. Pomyśleliśmy sobie, że ponieważ musimy wziąć ze sobą nasze superciuchy, pojedziemy taksówką, a nie metrem. I natykaliśmy się na korek za korkiem. Wciąż mamy czas, zanim pojawi się tu Trina, śledziłam też wszystkie wiadomości, krążące między tobą i komendantem oraz tobą i szefem ochrony kina. Oraz tobą i całą resztą. Poświęciłaś temu cały dzień.

– Musimy myśleć o cywilach i tych przeklętych dziennikarzach. Musimy być przygotowani na zatrzymanie go, kiedy się pojawi, bo nie chcemy, żeby cywile i dziennikarze byli świadkami, jak dwie policjantki zostają zabite lub ranione, ani paniki, jaka wybuchłaby w następstwie tego.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

– Nie chcemy również, żeby coś złego stało się cywilom, żeby nasz podejrzany uciekł ani żeby media rozgłosiły wszem wobec, że policja nowojorska schrząniła robotę.

– Też jestem za.

– Czyli najlepiej by było, gdybyśmy szybko i cicho go ujęli, jak go tylko wypatrzymy.

– Eve kilka razy poruszyła głowę, bo kark jej zeszywniał od wielu godzin ślęczenia nad pracą. – Co jest bardzo mało prawdopodobne.

– Dlaczego? Wszystko przewidziałas, masz plany, poczynając na planie A, kończąc na Z. Jesteśmy przygotowani.

- A on jest duży, szybki i zdolny cisnąć dzieciakiem jak piłką.
- Nie wydaje mi się, żeby na premierze były jakieś dzieciaki.
- Wyciska sto pięćdziesiąt kilogramów – przypomniała jej Eve. – Może złapać nas obie, nie zwalniając kroku.
- Posłuchaj, Dallas, jeśli uważasz, że nam się nie uda, to może należy odwołać całą operację. I nie pojawić się na premierze.
- Nie powiedziałam, że się nie uda. Dopadniemy go, ale nie spodziewam się, że nastąpi to szybko i dyskretnie. Nie chcę jednak dopuścić, żeby ucierpieli cywile ani żeby się stratowali, gdyby wybuchła panika.
- To da się zrobić.
- I to zrobimy – poprawiła ją Eve. – Jest przyzwyczajony do hierarchii służbowej. Wojsko, organizacja paramilitarna, sport półzawodowy. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że najpierw zaatakuję mnie. Ale to wcale nie znaczy, że nie spróbuje dopaść ciebie, jeśli nadarzy się okazja. Gdzie masz broń?
- Razem ze wszystkimi kłopotami. Zanieśliśmy nasze rzeczy do pokoju gościnnego, przydzielonego nam przez Summerseta. Zamierałam wziąć paralizator. Mam naprawdę ładną torebkę z zamknięciem ze sztucznego rubinu, którą kupiłam na wyprzedaży w...
- Peabody.
- Pasuje do sukienki – powiedziała z uporem Peabody. – I jest wystarczająco duża. Ale potem przeprowadziłam burzę mózgów.
- Jaką znowu burzę mózgów?
- No więc sukienka ma przymarszczoną spódnicę. Rozprułam boczny szew i zrobiłam tam rozcięcie. – Pokazała to, kładąc rękę nisko na biodrze. – I uszyłam kaburę na udo.
- Zrobiłaś kaburę?
- To coś w rodzaju wzmocnionej podwiązki, niezbyt ładnie się prezentuje. Nie miałam czasu na jej upiększenie. Zrobiłam ją wczoraj w nocy z tego, co miałam pod ręką. Ale pomieści broń. Żeby ją wyjąć, wystarczy, jak wsunę rękę w rozcięcie.
- Zrobiłaś kaburę! – powtórzyła Eve, zarówno zaskoczona, jak i pod wrażeniem. – Wiem, że umiesz robić różne rzeczy, bo wychowałaś się wśród zwolenników ruchu Wolnego Wieku. Ale kabura? To kłóci się z tym, co głoszą ich zasady. Lecz pasuje do Zaradnej Policjantki.
- Zaradna Policjantka! – Peabody zaświeciły się oczy. – Mogę zaprojektować całą linię produktów pod tą nazwą, zaopatrywać policjantki w chałupniczo wytwarzane rzeczy. Widziałam projekt twojej sukni. Gdzie schowasz broń?
- W kaburze na udzie, mam taką w sam raz na mój paralizator. Nie zrobiłam jej sama – dodała. – Też mogłabym wpaść na pomysł rozprucia jednego szwu.
- Nie sądzę, by dało się zrobić rozcięcie w twojej sukni. Rozcięcie zrujnowałoby fason.
- Akurat bardzo się tym przejmuję. – Ale najważniejsze, pomyślała Eve, że będą miały przy sobie broń. – Powtórzmy wszystko jeszcze raz.
- Czy mogę najpierw dostać kawy? Domyślam się, że ponieważ właściwie jesteśmy na służbie, wino jest wykluczone. A szkoda, bo nadal lekko się denerwuję całą tą uroczystością.
- Bardziej przejmuję się tym, że może cię zaatakować były piłkarz-półzawodowiec, który jest od ciebie cięższy o ponad pięćdziesiąt kilo.
- Tym też się denerwuję.
- Napiwszy się kawy, jeszcze raz przeanalizowały dokładnie plan operacji.
- Wystarczy, uznała Eve i chwilę później usłyszała charakterystyczny śmiech Mavis.

Może Trina trafi na te same korki uliczne, które prześladowały Peabody. Może utknęła w gigantycznym zatorze i nie uda się go rozładować przez wiele dni. Może...

Ale potem obok różowej i złotej Mavis pojawiła się ciemnowłosa Trina.

– Ej! Jesteście gotowe, żeby się zabawić? – spytała Mavis i zrobiła dwa szybkie obroty. Zatrzymała się wystarczająco blisko, żeby zobaczyć ekrany, plany pomieszczeń kina, zarys operacji na monitorze. – Pracujecie? Dlaczego pracujecie?

– Bo przestępcy nigdy nie śpią? – spróbowała Eve.

– Tylko mi nie mówcie, że nie idziecie. – Mavis wskazała palcami Eve i Peabody. – To będzie niezwykły wieczór. To twój film, w którym zadebiutowaliśmy my obie, Peabody i ja.

– Idziemy. – Eve ostrożnie przeniosła spojrzenie na Trinę, która stała i przyglądała jej się tak, jakby była preparatem na szkiełku w laboratorium Baraniego Łba. – Idziemy, ale będziemy pracowały.

– I bawiły się – dodała Peabody.

– A przy tym będziecie naprawdę dobrze wyglądały, kiedy z wami skończę. – Trina, z upiętymi wysoko czerwono-złotymi lokami, które przywiodły Eve na myśl płonąca wież, okrążyła ją, a potem uszczypnęła w policzek, czym zupełnie zaskoczyła Eve.

– Cera w porządku. Dbasz o nią.

– Dbam... Być może. – Owszem, smarowała się mazidłami, które tamta jej wcisnęła. Nie dlatego, że aż tak bardzo bała się Triny, ale ponieważ było to całkiem przyjemne. – Uszczypnij mnie jeszcze raz, a rozgniotę cię jak pluskwę.

– Odpręż się. Obu wam zaaplikuję zabieg nawilżający. Dzięki temu wasza cera będzie rozświetlona.

– Nie potrzebuję...

– Krótko trwa i jest odprężający. – Trina nic sobie nie robiła z protestów Eve. – Zaraz wszystko przygotuję. A potem zrobię wam makijaż. Zaczynamy.

– Muszę poinformować Mavis, co nas czeka dziś wieczorem.

– Możesz to robić, kiedy twoja skóra będzie chłoneła wodę. Mavis już zaliczyła ten zabieg. Wszystko czeka w sypialni.

– Już?

– Czy kiedykolwiek pomalowałam cię jak dziwkę? Sprawiałam, że wyglądałaś zwyczajnie i byle jak? – zapytała Trina.

– Wytatuowałaś mnie bez mojej wiedzy ani zezwolenia.

Trina tylko wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

– Dzisiaj tego nie zrobię.

– Może mnie przydałby się tatuaż. Moja suknia jest ozdobiona w tali pączkami róż – wyjaśniła Peabody. – Mały tatuaż w kształcie pączka róży wyglądałby słodko.

– Zobaczymy. Chodźmy – powiedziała Trina. – Zmieniłaś godzinę, trzymajmy się nowego harmonogramu.

Nie ulegało to wątpliwości, pomyślała Eve. Pora się z tym pogodzić.

– Gdzie pozostali? – spytała, kiedy szły do sypialni.

– McNab i Roarke analizują operację od strony informatycznej – wyjaśniła jej Peabody.

– Operację? Jest jakaś operacja?

Eve klepnęła Mavis po ramieniu.

– Wszystko ci wyjaśnię. Gdzie Leonardo?

– Jeszcze w domu z Bellą. Spotka się z nami w komendzie, bo powiedziałaś, że

stamtąd musimy wyruszyć. Nie chcieliśmy aż tak długo zostawiać Belli z opiekunką. Wprawdzie Carly jest wspaniała, strasznie słodka, Bellamina za nią przepada, ale upłynie dobrych parę godzin, nim wrócimy do domu.

– Mają na jej punkcie bzika – wtrąciła Trina. – Ale Bella jest taka cudowna, że wszyscy dostają bzika na jej punkcie.

– Rzeczywiście wszyscy za nią przepadają – przyznała jej rację Mavis. – Jeśli jest jakaś operacja, to znaczy, że jest jakiś złoczyńca, a twoi złoczyńcy zabijają ludzi. Obejrzymy to na filmie, Dallas. W żaden sposób nie można uniknąć tego w realu?

– Inny zabójca, inna sztuka. – Eve spojrzała na dwa przenośne fotele do zabiegów kosmetycznych. Żałowała, że nie może być teraz gdzieś daleko stąd.

– Najpierw ty i Peabody – zwróciła się Trina do Eve. – Dzięki temu podczas zabiegu będziecie mogły powiedzieć nam, co to za historia z tym złoczyńcą. Mavis, możesz nam przynieść trochę tych bąbelków, o których wspomniał Roarke.

– Ja pracuję – przypomniała jej Eve.

– Ja też, ale się napiję.

Trina otworzyła jedną ze swoich kasetek.

No i się zaczęło.

Godzinę później – a może upłynęły dni? – Dallas miała nawilżoną, wymasowaną, odżywioną i pomalowaną twarz. Zapoznanie Mavis z najważniejszymi informacjami trochę pomogło Eve to wszystko przetrwać, ale kiedy przyszła kolej na włosy, wpadła w panikę.

– Tylko bez żadnych ekstrawagancji.

– Powiedz, co uważasz za ekstrawagancję.

– Spójrz w lustro.

– Cha, cha. Dodam im tylko nieco blasku, trochę uniosę. Byłam kilka razy na planie filmu, więc wiem, jak Marlo Durn czesała się do swojej roli, bo tak samo czeszę ciebie. Nie chcę zbyt zmienić twojej fryzury, tylko nadać jej bardziej odświeżony charakter.

– Mnie bardzo się podoba moja fryzura! – Wyraźnie zachwycona, Peabody odwróciła się od lustra, przed którym siedziała.

Zdecydowała się na kopę, jak to w myślach określała Eve. Nie była to wieża, jak u Triny, tylko kok, a na odsłoniętym karku mała różyczka.

– Zaraz włożę sukienkę, żebyście mogły ocenić całość.

– Nie zapomnij o broni! – zawołała Eve, kiedy jej partnerka tanecznym krokiem wybiegła z pokoju.

– Naprawdę sądzisz, że ten dupek spróbuje was zabić na premierze?

– Nie tylko sądzę – powiedziała Eve do Mavis. – Mam taką nadzieję. Jesteśmy gotowi.

– Cóż, jeśli cię zabije, będziesz ślicznym trupem. – Trina cofnęła się kilka kroków, krytycznie przyjrzała się swojemu dziełu, skinęła głową. – Jestem niezrównana. – Dała Eve znak, żeby wstała, a potem pchnęła ją lekko w stronę lustra.

Eve uznała, że jej włosy wyglądają prawie tak, jak zwykle. Były bardziej nastroszone, ale w dobrym znaczeniu tego słowa. Prawdopodobnie tak powinny wyglądać. Miała umalowane oczy – wiedziała o tym, bo patrzyła, jak Trina miesza cienie i nakłada je na powieki. Ale oczy jedynie wydawały się większe, a jej spojrzenie nabrało głębi. Prawdopodobnie zawsze tak powinny wyglądać.

Nie dostrzegła żadnych tatuaży.

– Dobra, może być.

– Wyglądasz niezwykle ponętnie – zawyrokowała Mavis. – Pójdziemy pobawić się

z Peabody, kiedy będziesz się ubierała. Potem Trina może się mną zająć. Spotkamy się w komendzie.

– Myślałam, że jesteś już umalowana i uczesana.

Mavis wybuchnęła śmiechem, dotykając swoich jasnych łoków z różowymi końcówkami.

– To moja zwykła fryzura. Dziś wieczorem muszę wyglądać odlatowo.

Eve naprawdę brakowało wyobraźni, by spróbować zgadnąć, co w ustach Mavis znaczy określenie „odlatowo”. Odetchnęła z ulgą, kiedy została w sypialni sama.

Operacja czy nie, uważała, że najgorsze ma już za sobą.

Kiedy wszedł Roarke, była w sukni, w półprzysiadzie, jedną rękę miała wsuniętą pod lekko uniesiony rąbek sukienki. W mgnieniu oka uniosła rękę do góry, wycelowała paralizator, przyjęła pozycję strzelecką.

– Zrób to jeszcze raz. Bardzo chciałbym móc to nagrać tylko dla siebie.

– Nie jest tak źle, jak myślałam. Trochę poćwiczyłam.

– Włóż broń do kabury, zrób obrót. Przyjrzyjmy się temu.

Zadarła sukienkę, przewróciła oczami, kiedy gwizdnął z podziwem. Wygładziła spódnice.

Czy zdaje sobie sprawę, jak promienieje w tej sukni? Wątpił. Jak na niezwykle spostrzegawczą kobietę, wiele uchodziło jej uwagi, jeśli chodzi o Eve Dallas. Spojrzał na wysoką, szczupłą postać żony. Wiedział, że nigdy się nie rozstaje z wielkim brylantem, który jej podarował. Przesunął wzrok na jej nogi.

– Muszę poćwiczyć sięganie po broń w tych szpilkach. – Pantofle, w tym samym intensywnym kolorze, co sukienka, lśniły jak brylant na jej szyi. – Ale da się to zrobić.

– Prawdziwy ze mnie szczęściarz.

– To się rozumie samo przez się.

– Zawsze będę to powtarzał. Wyglądasz oszałamiająco. Włóż to. – Wyjął z kieszeni małe etui, otworzył je. W środku były długie kolczyki z brylantów i rubinów.

– Nowe?

Rozśmieszył go jej oskarżycielski ton.

– Nie. Wybrałem je, bo pasują do tej sukni. Zastanawiałem się też nad naszyjnikami, ale uznałem, że wystarczy łańcuch Olbrzyma. Poza tym mam do niej słabość. Będę gotów za minutę.

– To niesprawiedliwe, bo tobie wystarczy minuta, a ja musiałam poświęcić masę czasu, żeby wyglądać tak, jak wyglądam.

– Ale nie był to czas zmarnowany. A propos, McNab, ja... I Feeney... Jesteśmy gotowi.

– To dobrze. – Eve znów odwróciła się do lustra, znów sięgnęła po broń.

Ona też była gotowa.

*

Zniosła okrzyk Baxtera, rumieniec Truehearta i uniesione brwi Santiago, udając, że tego nie widzi i nie słyszy. Ponieważ uznała, że to pomoże rozładować napięcie, pozwoliła Peabody przemaszerować jak na wybiegu i kilka razy się obrócić, czemu towarzyszyły głośne gwizdy.

Kiedy doszła do wniosku, że dość tych wygłupów, przedstawiła im plan działania,

wyznaczyła, co kto ma robić, jaką zająć pozycję.

– Jeśli są pytania czy wątpliwości, chcę je usłyszeć teraz.

– Czy możemy wrzucić prażoną kukurydzę w koszy? – chciał wiedzieć Baxter.

– Nie. I żadnego pojadania kukurydzy. Nie chcę, żebyście mieli śliskie palce. Ci z was, którzy będą wspomagać ochronę kina albo personel, niech jadą na miejsce akcji. Ci, którzy są gośćmi, niech poczekają dwadzieścia minut. Co kwadrans meldować, jak się przedstawia sytuacja.

Rozejrzała się po sali.

– Chodźmy obejrzyć ten film.

Dzięki temu, że towarzyszyła im Mavis, w drodze do kina panowała lekka atmosfera. Jej „coś wyjątkowego” przybrało formę kaskady błyszczących blond loków, ozdobionych masą cienkich, fioletowych warkoczyków w takim samym odcieniu, jak jej sukienka. Każdy warkoczyk związany był szmaragdowozieloną wstążeczką – w kolorze butów. Leonardo miał na sobie szmaragdowozielony smoking, fioletową koszulę i krawat.

– Szkoda, że nie napiłaś się trochę tych bąbelków.

– Później – powiedziała jej Eve.

– Nawet się nie boisz.

– Boję się tylko, że się potknę w tych przeklętych szpilkach.

– Te szpilki są megafajne, Dallas. Wszyscy wyglądamy niesamowicie.

– Boję się, że dostanę mdłości. – Ubrana na złoto Peabody przycisnęła rękę do brzucha.

Leonardo wyjął małe, srebrne pudełeczko, otworzył je.

– Miętówki. Pomagają. Kiedy pierwszy raz kroczyłem po czerwonym dywanie, naprawdę mnie zemdlilo. Pamiętasz, Mavis?

– Moje biedactwo – zwróciła się do niego pieszczotliwie. – Ledwo zdążył dobiec do kibelka, nim zwymiotował.

– Nie będziesz miała mdłości. – McNab pomasaował jej plecy. – Będziesz się świetnie bawiła.

Miał na sobie coś, co zdaniem Eve można byłoby nazwać smokingiem, gdyby nie to, że przy najmniejszym ruchu tkanina połyskiwała na czerwono, niebiesko i żółto.

Trochę jej się od tego kręciło w głowie.

Odwróciła wzrok, sprawdzając, co porabia reszta ekipy.

– Wszyscy są na swoich miejscach. Ani śladu podejrzanego. Reineke donosi, że na ulicy zebrał się większy tłum gapiów, niż przewidywano. – Już prawie dojechali, pomyślała Eve. – Mavis, Leonardo, nie macie nic przeciwko temu, żeby wysiąść pierwsi?

– Nie ma sprawy – zapewniła ją przyjaciółka.

– Chcę, żebyście wysiedli i nam nie przeszkadzali.

– Nie martw się. – Leonardo położył swoją wielką dłoń na ramieniu Mavis. – Zaopekuję się nią.

– Och, misiaczku.

– Żadnego migdalenia się, zaraz się zatrzymamy. Wmieszajcie się w tłum gości i nie chcę, żebyście się do mnie zbliżali, póki to się nie zakończy.

– Nie przejmuj się nami. I tak trzymaj – poradziła Mavis i krótko uściśnęła Eve. – A ty bierz przykład ze mnie – zwróciła się do Peabody. – Znaczy się, słuchaj Dallas podczas akcji, ale mnie podczas gali. Zapamiętałaś, co ci mówiłam?

– Uśmiechać się i zachowywać naturalnie. Ramiona prosto, nie garbić się. Można machać do tłumów. Podczas pozowania do zdjęć przenieść ciężar ciała na nogę z tyłu. I najbardziej korzystnie się wychodzi, kiedy się spogląda przez ramię.

– Świetnie. – Mavis poklepała Peabody po ramieniu. – No, wybiła godzina zero. Złapcie szybko tego drania, żebyśmy później mogli się zabawić.

Szofer, jeden z osobistych ochroniarzy Roarke’a, otworzył drzwi. Usłyszeli nawoływania, krzyki, pstrykanie tanich aparatów fotograficznych, szum amatorskich kamer.

Leonardo wysiadł pierwszy i podał rękę Mavis. Kiedy ukazała się na czerwonym dywanie, zapanowała jeszcze większa wrzawa. Mimo okoliczności, mimo napięcia, Eve ucieszyła się, słysząc, jak tłum skanduje imię jej przyjaciółki.

– Stanowi swego rodzaju sensację – zauważyła Eve. Po chwili spoważniała. – Wsiadam z samochodu, Peabody za mną.

Skinęła głową Roarke’owi, który wysiadł, a potem podał rękę Eve. Powitały ich okrzyki i błyski fleszy. Twarze, światła, jaskrawoczerwona wstęga dywanu.

Dallas rozglądała się, wypatrując swoich ludzi, a tłum wykrzykiwał jej imię i Roarke’a.

Stwierdziła, że jest tak, jak jej powiedziała Peabody: dywan wiódł prosto do wejścia, a potem rozlewał się w ocean czerwieni. Mężczyźni w smokingach i eleganckich garniturach, kobiety w błyszczących kreacjach, obwieszone biżuterią. Wszyscy się uśmiechali, śmiali, pozowali do zdjęć.

Frye’a wśród nich nie było.

Jeszcze.

– Porucznik Dallas jest kolejną ozdobą wieczoru – zauważył Roarke.

– Dziwnie się czuję. I przechodzą mnie ciarki. Ruszamy – dodała, gdy znaleźli się na czerwonym dywanie.

Zrobiło się jeszcze dziwniej, kiedy zaczęto wykrzykiwać do niej pytania, podtykać jej mikrofon pod nos. Reporterzy nie kryli entuzjazmu, a tłumy, zgromadzone za barierkami, były na wpół oszalałe z przejęcia.

Z jakiego powodu? – zastanawiała się. Niemal codziennie przemierzała te ulice, wielce prawdopodobne, że zatrzymała przynajmniej jedną osobę z tego wiwatującego, machającego rękami, wykrzykującego jej imię tłumy.

Takie szalone podniecenie, żeby móc zobaczyć gliniarza? Było jej wstyd za mieszkańców Nowego Jorku.

Kiedy szeptem powiedziała to Roarke’owi, roześmiał się. A potem ją pocałował, czym jeszcze bardziej zawstydził Eve.

Natomiast tłum oszalał.

– Przestań!

– Mógłbym się oprzeć – powiedział, unosząc jej dłoń do swych ust – gdybyś przestała mnie zachwycać.

– Popracuję nad tym.

To tylko część całej operacji, powiedziała sobie, kiedy otoczył ją rój reporterów. Część pułapki.

Wielki wieczór, już nie mogła się doczekać, bla, bla, bla, tak, tak, sukienkę zaprojektował Leonardo. Czyje to buty? Moje.

Z jakiegoś powodu rozśmieszyło to jakiegoś wygadanego dziennikarza, zajmującego się modą.

Czuła się, jakby była na ścieżce zdrowia. Rozmawiała, uśmiechała się, rozglądała,

słuchała raportów w słuchawce – jeszcze ani śladu Frye’a – nie spuszczać z oka Mavis i Peabody. Potem zobaczyła Nadine w kreacji ze srebrnej, leżącej się tkaniny i Mirę w powłóczystej, koralowej sukni. Dennis Mira sprawiał wrażenie speszzonego i oszołomionego. Boże, był taki słodki. Komendant wyglądał władczo obok swej małżonki, budzącej lekki strach.

Usłyszała, jak ktoś woła jej imię, obejrzała się i zobaczyła biegnących w jej stronę Marlo i Matthew, którzy trzymali się za rękę.

– Dallas! Jednak jesteś! Bałam się, że będziesz musiała ścigać jakiegoś mordercę i nie przyjdiesz. Bardzo się cieszę, że was widzę. I już się nie mogę doczekać jutra.

– My też. – Roarke wyciągnął rękę. – Cieszę się, że cię widzę, Matthew.

– Wspaniale być znów w Nowym Jorku.

Ponieważ rozlegały się prośby o zdjęcie, Marlo przybrała odpowiednią pozę i objęła Eve w tali.

Za blisko, pomyślała Eve, a potem zganiła samą siebie. Nakazała sobie spokój. Nikt nie weźmie Marlo, z długimi włosami blond za nią.

– Musimy wejść do środka – mruknęła Marlo prosto do jej ucha, nie przestając pozować. – Mimo promienników ciepła zimno tu, a tamci nie pozwolą nam odejść.

– Świetny pomysł. I odpowiednia chwila. – Eve spojrzała na Peabody, dając jej znak.

Naturalnie rozległy się kolejne powitania i wyrazy zachwytu, zrobiono im kolejne zdjęcia.

– Zmarzaś – zauważył Roarke i zaprowadził ich wszystkich do foyer.

Tu też królował czerwony dywan. Tłok i hałas się zmniejszył, towarzystwo było bardziej wytworne.

A oto i Sterling Alexander. Jak zwykle pewny siebie, sącył koktajl, osaczywszy reżysera, Masona Roundtreego.

Dostrzegła Bidena, Young-Sachsa. Nie przestawała się rozglądać.

Alva Moonie, której towarzyszyła jej gospodyni, stała nieco na uboczu, trzymając za obie dłonie Whitestone’a. Na jej twarzy malowało się współczucie.

W drugim końcu foyer Candida, w niemal przezroczystej białej kreacji, zabawiła grupę reporterów.

– Ciekawa byłam, czy przyjdą – mruknęła Eve do Roarke’a. – Whitestone, Newton i jego narzeczona.

Roarke podążył za jej wzrokiem.

– Widać, że mocno to przeżyli.

– Po co tu przyszli? Wiedzieli, jak będzie.

– Niektórym potrzebna jest obecność ludzi, gwar, coś, co pozwoli im na chwilę zapomnieć o żałobie. Inni wolą samotność i ciszę. Jedno i drugie przynosi pocieszenie – powiedział, patrząc, jak Alva obejmuje Whitestone’a.

– Chyba masz rację.

Eve odszukała wzrokiem swoich ludzi, rozstawionych w całym foyer. Baxter wyglądał, jakby się urodził w smokingu. Sprawiał wrażenie, jakby beztrąsko gawędził z Carmichael, która bardzo ładnie się prezentowała.

Ale widziała w ich wzroku, że są gliniarzami, że mają się na baczności.

Zobaczyła, jak Feeney szarpie węzeł krawata. Chciała zamienić kilka słów ze swoim dawnym mentorem, ale przeszkodził jej Julian Cross.

Złapał ją za rękę, spoglądając na nią oczami, które nie do końca były tak niebieskie

i szelmowskie, jak oczy Roarke'a. Uniósł jej dłonie do ust.

– Czekałem na panią.

W kilku scenach filmu, w których go widziała, mówił z irlandzkim akcentem, ale teraz nie został po nim żaden ślad.

– Chciałem jeszcze raz podziękować za uratowanie mi życia.

– Nadine uratowała panu życie.

– To prawda. Nie pozwoliła mi umrzeć. Ale to pani się domyśliła, że Joel zabił K.T., a potem próbował mnie wrobić, gotów był mnie zabić. Co więcej, dzięki pani zyskałem odwagę, żeby coś zmienić w swoim życiu. Nie piję i nie zamierzam pić.

– To dobrze. Bardzo się cieszę.

Nachylił się, żeby cmoknąć ją w policzek, a potem spojrział na Roarke'a.

– Szczęściarz z pana.

– Też tak uważam. Cieszę się, że nie pijesz, Julianie.

– Dobrze się z tym czuję. Dziękuję – powtórzył. – Wam obojgu. Muszę porozmawiać z Connie. Wiem, że chciałyby spotkać się z wami przed jutrzejszą... Uroczystością – powiedział z wrodzonym sobie urokiem osobistym. – Mason zamierza wygłosić krótką mowę, zanim wejdziemy do sali. Chyba, że uda wam się wymknąć i uniknąć słuchania. Będziemy mieli więcej czasu na rozmowę na przyjęciu po premierze i jutro.

– Czasami nie tylko ratujesz ludziom życie – powiedział Roarke, kiedy Julian się oddalił. – Czasami dzięki tobie się zmieniają.

– On sam zmienił swoje życie.

W miarę jak opróżniano kolejne kieliszki, robiło się coraz gwarniej. Słychać było śmiech, wszyscy się ściskali albo przesyłali sobie całusy.

Coś poczuła, delikatne łaskotanie na karku. Odwróciła się od niechcenia. Usłyszała meldunek na kilka sekund przed tym, zanim dostrzegła Frye'a. Rozmyślnie nie zatrzymała na nim wzroku.

– Słyszałem. Widzę. – Roarke musnął jej ramię koniuszkami palców.

– Ma plaketkę ochroniarza, czyli wolno mu wchodzić do tych pomieszczeń. Za dużo tu ludzi. Mamy większe szanse ujęcia go dyskretnie i bez narażania życia cywilów, jeśli zrobimy to w sali projekcyjnej. Idę tam. Ruszy za mną. Mam tam ludzi – przypomniawszy Roarke'owi. – I jestem uzbrojona. Działamy zgodnie z planem.

– Rozumiem. A ty wiedz, że wejdę za nim.

– Tylko nie działaj pochopnie. Baxter, jak tylko przekroczę próg sali projekcyjnej dyskretnie aresztuj Alexandra. McNab, daj federalnym zielone światło, jeśli chodzi o ujęcie współników. Przystępujemy do operacji Wielkie Porządki.

Rzuciła Roarke'owi uśmiech i wolnym krokiem skierowała się do wejścia na widownię. Kiedy ktoś wołał ją po imieniu, udawała, że nie słyszy albo machała ręką. Czuła na sobie wzrok zabójcy. Wiedziała, że Frye musi się znaleźć bliżej niej. Nie mógł ryzykować, że znów mu się nie uda, jak poprzednio, więc musiał znaleźć się bliżej niej.

Paralizator, nóż. Może jedno i drugie.

Rozważając wszelkie możliwości, wsunęła się do kapiącej od złota sali projekcyjnej.

Nigdy wcześniej w niej nie była, ale znała każdy centymetr kwadratowy, każdy kącik, wszystkie wyjścia.

Idąc w głąb sali, wyciągnęła broń. Skierowała się w lewo. Musiała zmusić tamtego, żeby podążył za nią do miejsca, z którego nie będzie mu łatwo uciec.

Dwoje jej ludzi podejdzie do drzwi, gdy tylko będzie to możliwe, i je zablokuje. Frye

znajdzie się w potrzasku.

Zrobiła jeszcze kilka kroków, specjalnie odwróciła się tyłem do drzwi.

Teraz inni go obserwowali. Ufała im. Zresztą usłyszy go, poczuje jego obecność.

I rzeczywiście usłyszała i poczuła jego obecność, kiedy drzwi cichutko się otworzyły.

Blżej, myślała, słuchając głosów w słuchawce, kierując się własnym przeczuciem.

Jeszcze odrobinę blżej.

Odwróciła się z wycelowaną bronią. Zachował kamienną twarz, ale dłoń, w której trzymał paralizator, drgnęła mu gwałtownie.

– Może uda ci się wystrzelić przede mną, ale wierz mi, jeśli ja chybię, czterech innych gliniarzy nie chybi. Lepiej opuść broń, Frye, albo dosięgnie cię kilka strumieni energii. To cholernie bolesne.

Zobaczyła, jak szybko spojrzał w lewo, w prawo, stanął na palcach.

– Nie masz dokąd uciec – powiedziała. – Już po wszystkim.

Jeszcze nie skończyła mówić, kiedy otworzyły się drzwi.

– Eve Dallas! – Candida, najwyraźniej pijana, weszła chwiejnym krokiem do sali. – Muszę ci coś powiedzieć, ty suko.

Frye nie tylko szybko biegał, ale też szybko działał. Złapał kobietę, obrócił ją, uniemożliwiając oddanie jakiegokolwiek strzału w jego kierunku, a potem z całych sił pchnął ją w kierunku Eve.

Candida z krzykiem wpadła na nią, uderzając ją łokciem prosto w oko.

– Tu suko! – wrzasnęła, kopiąc i wymachując rękami. – Podarłaś mi sukienkę!

Eve, przeklinając głośno, odepchnęła Candidę, starając się odzyskać równowagę. Frye, strzelając na oślep, biegł zygzakiem przez salę. Eve jeszcze raz zakląła, zrzuciła przekłete pantofle i ruszyła za nim.

Jest szybki, myślała, ale do jasnej cholery, ona będzie szybsza. Prawe oko jej łzawiło, więc nie widziała wyraźnie. Poza tym bolało ją jak zepsuty ząb.

Odsunął się od drzwi, kiedy Eve i któryś z jej ludzi wysłali strumień energii tuż nad jego ramieniem. Znów strzelił na oślep, a potem skoczył na scenę jak łapacz, przymierzający się do przechwycenia długiej piłki. Dała susa tuż za nim, wycelowawszy, strzeliła.

Trafiła go w sam środek pleców. Nie tyle się potknął, ile zachwiał, nie tyle go wyrzuciło w górę, ile drgnął.

Odwrócił się z wycelowanym paralizatorem, na jego twarzy malowały się strach i wściekłość. Wkoło rozbrzmiewały okrzyki „Rzuć broń”, Eve też się do nich dołączyła. Frye ani na chwilę nie oderwał gniewnego spojrzenia od jej twarzy.

Z tej odległości nie może chybić, stwierdziła. Ona też nie. Pomyślała sobie: A co mi tam, przygotowała się do strzału, napięła mięśnie, gotowa na jego odpowiedź.

Roarke przeleciał nad sceną niczym pantera. Uderzył zabójcę nisko, w kolana, obaj poszybowali w powietrzu, a potem zwalli się na ziemię.

– Kajdanki! – krzyknęła Eve, podbiegając do męża. Ale nim znalazła się obok niego, zamierzył się i walnął Frye’a pięścią w twarz.

Dwa razy.

– Dobrze już, dobrze. Podejrzany ujęty.

– Pani porucznik. – Jenkinson rzucił jej kajdanki i wykrzywił się, wchodząc na scenę.

– Coś cię boli? Trafił cię?

– Nie, tylko trochę osmalił. Mam kamizelkę. Ale i tak czuje się kopnięcie.

– Wiem. Usiądź, odetchnij głęboko. Ty też – powiedziała do Roarke’a, lecz ten już

klęczał obok ogłuszonego Frye'a.

Kiedy zabójca spróbował się podnieść, Eve wycelowała broń prosto w jego twarz.

– Już po tobie – powtórzyła. – Na twarz. Połóż się na brzuchu, ręce na kark.

Frye sięgnął do kieszeni, a wtedy Roarke wymierzył mu porządnego kuksańca w bok.

– Szukasz tego, chłopcze? – Podniósł w górę nóż, tak że błysnęło ostrze. –

Wyciągnąłem ci go z kieszeni, zanim grzmotnąłeś o ziemię. Spróbuj tknąć moją żonę, a sam się przekonasz, jaki jest ostry.

Jedyne, co mogła zrobić Eve, to posłać mu ostrzegawcze spojrzenie i pokręcić głową.

– Jenkinson, zabezpiecz nóż, z łaski swojej. A pozostali niech mi pomogą przekręcić tego drania na brzuch.

Frye szamotał się, walił nogami w podłogę. Eve przypomniał się chory malec, który dostał napadu złości.

– Jezu, złapaliśmy cię! – Musiała rozsunąć kajdanki, by mu je włożyć, i odczuwała szczerą, nieklamana wdzięczność, że nie doszło do bezpośredniej konfrontacji między nimi obojgiem. – Clintonie Rosco Frye, aresztuję cię za współudział w przygotowaniu morderstwa i zamordowanie Marty Dickenson, Chaza Parzarriego i Jake'a Ingersola. Postawimy ci więcej zarzutów, między innymi, ty draniu, napaść na funkcjonariuszy policji. I to dwukrotnie. Wyprowadźcie go... Tylnymi drzwiami. Spiszcie go. Przyjadę do komendy niebawem.

Przysiadła na piętach, kiedy jej podwładni podnosili Frye'a z podłogi, spojrzała na Roarke'a. Z ust zabójcy nie padło ani jedno słowo, ale potrzeba było czterech gliniarzy, żeby wyprowadzić go za drzwi.

Roarke wskazał głową podbite oko Eve.

– To robota tego łobuza?

– Bardzo źle wygląda? – Dotknęła palcami policzka i oka, czując pulsujący ból. – Kurde. Kurde. Nie, to nie jego robota. Przynajmniej nie bezpośrednio. Pchnął na mnie tę idiotkę Candidę. Trafiła mnie pięścią... Przynajmniej tak sędzę.

– Najpierw dziecko, teraz pijana idiotka.

– Cóż, jest konsekwentny. – Obejrzała się i zobaczyła ludzi, tłoczących się w głębi sali. Peabody, Baxter oraz pozostali próbowali ich nakłonić, by się cofnęli. Uśmiechnęła się blade do Roarke'a. – Przykro mi, ale zdaje się, że ominie mnie premiera. Muszę załatwić tę sprawę do końca.

– Mnie też ominie. Pojadę z tobą.

– Nie musisz... – Urwała, wzruszyła ramionami. To oczywiste, że nie pozwoli jej pojechać samej. – À propos, nieźle go zablokowałeś.

– Jako chłopak spędziłem trochę czasu na boisku.

– Na... Och, tak, grając w futbol irlandzki. Masz do tego dryg.

– Czuję to w każdej kości – powiedział i zacisnął otarte do krwi dłonie. – Zupełnie jakbym uderzył w betonowy mur...

Ujęła jego rękę, przyjrzała się otarciom na kostkach.

– Wygląda na to, że jeszcze komuś przydadzą się okłady z lodu.

– Wolę lód w szklaneczce, zalany whisky.

– Nie dziwię się. No cóż, chyba tak czy owak daliśmy niezły popis.

– Niewątpliwie. I później uczcimy to, urządzając przyjęcie. – Wstał i wyciągnął rękę, żeby pomóc Eve wstać, a potem skaleczonymi palcami dotknął jej sinego policzka. Uśmiechnęli się do siebie.

– Dallas! – Podbiegła Peabody, trzymając w ręku błyszczące pantofle Eve. – Aj! Nieźle oberwałaś. Nic ci nie jest? Nic wam nie jest?

– Bywało gorzej. Wyjdziemy tylnym wyjściem. Muszę dokończyć sprawę z Frye’em.

– Pojadę z tobą.

– Musisz zostać tutaj, zapanować nad sytuacją, uspokoić wszystkich, upewnić się, czy tej skończonej idiotce Candidzie nic się nie stało.

– Ale...

– Dam sobie radę z Frye’em, tylko się nie rozerwę. Potrzebna mi jesteś tutaj. Przejmujesz dowództwo. Zadzwoń do ciebie, kiedy skończę z Frye’em. Może uda nam się przyjść na imprezę, a reszta może poczekać do poniedziałku.

– No dobrze.

– Alexander?

– Baxter i Trueheart się nim zajęli. Ale był wkurzony!

– Żałuję, że tego nie widziałam.

– Ach, co za wieczór.

– Co za wieczór – zgodziła się z nią Eve. Przytrzymała się zdrową ręką Roarke’a i wcisnęła pantofle na nogi. – Właściwie wszystko przebiegło zgodnie z planem.

Roześmiał się i uściskał jej dłoń.

– Mniej więcej.

Wyszli, wspierając się na sobie nawzajem.

EPILOG

Eve siedziała naprzeciwko Frye'a w sali przesłuchań. Założyli mu mocniejsze kajdanki, które przymocowali do łańcuchów, umocowanych w podłodze.

Dowiedziała się od Reinekego, że przez całą drogę stawiał opór.

– Alexander wszystko zwał na ciebie – powiedziała zabójcy. – Oświadczył, że działałeś na własną rękę, groziłeś mu, zmusiłeś go do współpracy. Co masz mi do powiedzenia?

Nie miał jej nic do powiedzenia.

– Pozwolisz, żeby wszystko uszło mu na sucho? – Oczywiście była to bzdura, bo mieli niepodważalne dowody przeciwko Alexandrowi, o czym poinformowała jego samego i jego czterech adwokatów. Do końca życia będzie gnął w więzieniu. – Nie chcesz mi przedstawić swojej wersji wydarzeń?

Kiedy nadal milczał, rozsiadła się wygodniej.

– W porządku. Powiem ci, co wiem, co mogę dowieść, co wystarczy, żeby cię wsadzić za kratki do końca twoich dni. Z pomocą Milo Eastona i na polecenie Sterlinga Alexandra porwałeś Martę Dickenson. Zaciągnąłeś ją do pustego mieszkania w budynku, gdzie mieszczą się nowe biura firmy WIN Group, wypytywałeś ją, kilkakrotnie uderzyłeś, sterroryzowałeś, a na koniec skręciłeś jej kark. Teraz Alexander próbuje nam wmówić, że sam wpadłeś na pomysł skręcenia jej karku, a Easton utrzymuje, że nie miał pojęcia, co się działo. Co ty na to?

Milczenie.

– Tak samo mogę ci przedstawić szczegóły dwóch pozostałych morderstw, o których Alexander, jeśli wierzyć jego słowom, nic nie wiedział, Milo był niczego nieświadom, a ty działałeś na własną rękę. Jeśli mi nie przedstawisz swojej wersji wydarzeń, odpowiesz za wszystko, a oni jedynie za oszustwa. Czy jesteś aż takim głupcem?

W jego wzroku dostrzegła wściekłość.

– Proszę nie nazywać mnie głupcem.

Uświadomiła sobie, że to pierwsze słowa, jakie wymówił w jej obecności. I zarazem zdradził jej swój słaby punkt.

– Tylko pytam, czy jesteś głupcem. Jeśli zamierzasz nadstawić karku i wziąć całą winę na siebie, pozwalając, żeby Alexander zrobił z ciebie kozła ofiarnego, odpowiedź na nie jest twierdząca. Wiem, że cię zatrudnił. Wiem, że ci zapłacił. Wiem, że ci powiedział, co masz zrobić. Udowodnij mi, że nie jesteś głupcem. Pokaż, że nie zamierzasz tu siedzieć i pozwolić, żeby wszystko zwał na ciebie.

Nachyliła się do niego.

– Nie ma prawa robić z ciebie kozła ofiarnego. Uważa cię za głupca, ale obydwoje wiemy, że to on wydawał polecenia. Ty tylko robiłeś, co do ciebie należy. Ty tylko wykonałeś jego rozkazy.

– Powiedział: „Dopadnij tę kobietę, dowiedz się, co wie, co zrobiła. Odbierz jej to, co będzie miała przy sobie, a potem ucisz ją na dobre. Pozbądź się jej”. Sam miałem zadecydować, jak.

– Rozumiem. – Z obojętną miną znów usiadła prosto. – Rozumiem, że sam

decydujesz, jak masz postąpić. Ile ci zapłacił za jej porwanie, wypytanie, zabicie?

– Dwadzieścia pięć tysięcy. Gotówką. Próbował się targować. Jak zwykle. Powiedziałem: gotówka z góry. Nie jestem głupi.

– Racja. – Półgłówek. – Jak zwykle? Czy zlecał ci już wcześniej pozbycie się kogoś? Kiedy nic nie powiedział, delikatnie go zachęciła.

– Widzisz? To jego sposób postępowania. Sposób Alexandra. Wyłącza się innymi, stara się jak najmniej im zapłacić, uważając, że jest od nich znacznie sprytniejszy.

– Płacił mi za to, żebym ich trochę nastraszył, sprawił im manto, może złamał rękę.

– Czyli Dickenson była pierwszą osobą, za której zamordowanie zapłacił ci Alexander.

– To więcej kosztuje. Dwa razy więcej. Powiedziałem mu to. Potem zabrałem jej rzeczy, jej płaszcz. Ładny płaszcz. Czyli to był napad. Nie domyśliłaby się pani, że to nie napad, gdyby ten dupek Milo pani nie powiedział.

– Postarałeś się, żeby wyglądało to jak napad, i dobrze to sobie wymyśliłeś. Lecz okazali się głupcami, Frye, każąc ci to zrobić w miejscu, które łatwo dało się powiązać z Alexandrem. Ale to nie twoja wina. Potem był Parzarri. Jak to się odbyło?

– Powiedział...

– Kto?

– Alexander, a któż by inny? Powiedział, że księgowy musi zniknąć. Że schrzanił robotę, że jest... Odpowiedzialny. Powiedział: „Zorientuj się, czy coś wygadał, a potem pozbądź się go”. Odparłem, że to będzie więcej kosztowało. Jest mężczyzną, nie będzie z nim tak łatwo, jak z kobietą, więc to drożej kosztuje.

Skinęła głową, jakby pełna podziwu dla jego przedsiębiorczości.

– Ty wykonujesz robotę, ty ustalasz cenę. Ile tym razem?

– Trzydzieści tysięcy. Nie chciał zapłacić, ale taka była moja cena, więc musiał się zgodzić. A ja sam obmyśliłem, jak zdobyć karetkę pogotowia i całą resztę. Więc powiedziałem mu, że potrzebny mi będzie Milo, a to oznacza dodatkowe koszty. Ale zapłacił. On tylko mówił: „zrób to i to”, a ja obmyślałem, jak to zrobić.

– Tak samo było w przypadku Ingersola?

– Traktował mnie jak śmiecia, uważał, że jest kimś lepszym ode mnie. Nazywał mnie Bubba. Nie mam na imię Bubba. – Na jego szerokiej twarzy pojawiły się rumieńce gniewu. – Nie pracowałem dla niego, a zachowywał się, jakbym dla niego pracował, jakby mógł mi mówić, co mam robić. Alexander powiedział, że on też ponosi odpowiedzialność, więc mam się go pozbyć. Zażądałem trzydziestu tysięcy, ale zrobiłbym to za mniej. Sprawilo mi to przyjemność. Ingersol wyśmiewał się ze mnie, traktował mnie jak głupka. Nie jestem głupi.

– Sterling Alexander wynajął cię, zapłacił ci dwadzieścia pięć tysięcy za zabicie Dickenson, trzydzieści za zabicie Parzarriego i trzydzieści za zabicie Ingersola.

– Już to pani powiedziałem. Polecił „pozbyć się ich”, ja powiedziałem, ile to kosztuje.

– Rozumiem. Dlaczego próbowałaś zabić mnie i moją partnerkę?

– Alexandrowi nie podobało się, że nachodziłyście go, zadawałyście pytania. Powiedział, że jesteście wścibskimi sukami. Szczególnie pani, bo poślubiła pani bogacza i teraz uważa się pani za równą jemu. Powiedział, żeby pozbyć się was obu i to szybko. Oświadczyłem, że za dwójkę gliniarzy biorę sześćdziesiąt tysięcy. A on na to, że za podwójne zlecenie cena powinna być niższa. Zaproponował pięćdziesiąt tysięcy. Pomyślałam sobie, że pięćdziesiąt tysięcy to niezła sumka. Nie padła pani trupem. A powinna. Ale jestem szybki. Zawsze byłem szybki.

Nie poruszyła sprawy dziecka, nie miało to sensu w tej chwili.

– Nie wywiązałeś się ze zlecenia.

– Zażądał zwrotu pieniędzy, ale powiedziałem, że jeszcze nie skończyłem roboty.

Nie spodobało mi się to, jak na mnie spojrział. Pomyślałem sobie, że może kogoś na mnie naśle. Albo może ktoś mnie widział i mnie pani dopadnie. Musiałem się wyprowadzić. Lubiłem swoje mieszkanie, ale musiałem sobie znaleźć nowe. I dokończyć dzieła. Jak się coś zaczyna, to trzeba dokończyć. Po prostu.

– Frye, zamierzał pan dziś wieczorem zabić mnie i moją partnerkę?

– Powinienem był to zrobić. Ale przez Milo mi się to nie udało. Za dużo pani wypapłał.

– Właściwie nie. Sama się tego domyśliłam. Jestem sprytniejsza od ciebie. I nie jestem tchórzem. Napadłeś na bezbronną kobietę, udusiłeś mężczyznę, poważnie rannego w wypadku, uprzednio przywiązawszy go pasami do noszy, zatłukłeś na śmierć mężczyznę, którego najpierw ogłuszyłeś paralizatorem. Próbowaleś zaatakować mnie od tyłu. Jesteś tchórzem, jesteś zabójcą i jesteś ugotowany.

Zerwał się i próbował ją złapać, ale nie pozwoliły mu na to łańcuchy, którymi był skuty.

– Zabiję cię. Wyjdę i cię zabiję.

– Nie zrobisz ani jednego, ani drugiego, ale może pewną satysfakcję sprawi ci świadomość, że Alexander do końca życia będzie gnął w więzieniu razem z tobą, a Milo jako trzeci. A ci wszyscy, którzy dla niego oszukiwali, kradli, rujnowali ludziom życie, też za to zapłacą. Nie będziesz osamotniony.

Wstała.

– Koniec przesłuchania – powiedziała i podeszła do drzwi. – Wyprowadźcie go.

Weszło czterech krzepkich mundurowych, a Eve ruszyła do swojego gabinetu. Zatrzymała się zaskoczona na widok Pope'a, siedzącego na ławce w korytarzu. Wstał.

– Pani porucznik, chciałem...

– Co pan tu robi?

– Chodzi o Sterlinga... Jego prawnik powiedział, że nie chce się ze mną widzieć.

– A dlaczego chce się pan z nim zobaczyć?

– Jest moim bratem. Bez względu na to, co zrobił, jest moim bratem.

– Wiedział pan przynajmniej trochę, prawda?

– Nie wiedziałem o zabójstwach. Przysięgam. Dopiero po śmierci Jake'a pomyślałem sobie... Rozważałem to, ale uznałem, że to niemożliwe. Wiedziałem... Podejrzewałem, domyślałem się? Naprawdę nie wiem. Że sprzeniewierzył pieniądze. Pomógłbym mu. Przynajmniej spróbowałbym. Zawsze mnie odsuwał od siebie. Wiecznie próbowałem się do niego zbliżyć. – Do oczu napłynęły mu łzy. – Ale on zawsze mnie odpychał.

– Nie może mu pan pomóc, panie Pope. Jednak wasza firma będzie potrzebowała pomocy i to znacznej. Pańska matka pomogła stworzyć tę firmę. Chyba jedyne, co mógłby pan zrobić, to zadbać teraz o nią, naprawić to, co zepsuto.

– Nie potrzebował pieniędzy. Naprawdę. Nie musiał robić tego wszystkiego.

– Czasami nie chodzi o to, co komu potrzebne, tylko czego się chce. Przykro mi, że się pan tu fatygował, panie Pope. Proszę wrócić do domu, do rodziny. To najlepsze, co może pan teraz zrobić.

– Tak. Będzie pani musiała jeszcze ze mną porozmawiać.

– Porozmawiam, agenci federalni też. Tylko nie teraz.

– Dobrze, wrócę do domu. Ale... Jeśli zmieni zdanie, jeśli poprosi o widzenie ze mną...

– Poinformujmy pana.

Eve spoglądała za nim, jak szedł, zgarbiony, korytarzem.

– To przykre. – Roarke stał w sali ogólnej wydziału. – Jest lojalny wobec kogoś, kto na to nie zasługuje. Wie o tym, ale nie potrafi nie być lojalny.

– Mam nadzieję, że się z tego otrząśnie. Jego nic nie wart, chciwy brat przyrodni uda się na długo bardzo daleko stąd.

– Uzyskałaś to, czego chciałaś, od Frye'a?

– Tak, kiedy w końcu zdecydował się mówić. Jest... Trochę nienormalny. Może za wiele razy oberwał w głowę na boisku, a może już taki się urodził. Jego były trener powiedział, że nie był w stanie śledzić gry, nie mógł albo nie chciał nikogo słuchać. Więc się go pozbyli. Ale potrafi odróżnić dobro od zła, wie, co zrobił, jest dumny, że za każdym razem sam obmyślił plan działania, że negocjował cenę. Nie jest szalony, nie jest upośledzony umysłowo. Po prostu jest głupi.

Podszedł do Eve, delikatnie dotknął ustami jej podbitego oka.

– Przyłożmy do niego lód.

– Nie jest tak źle.

– Zobaczmy. – Wyjął swój palmtop, coś do niego wstukał. – To coś, co w kółko pokazują media i internet. – Odwrócił palmtop tak, żeby Eve zobaczyła ekran. A na nim siebie, z podbitym okiem, jak uśmiecha się do Roarke'a, a on do niej, dotykając podrapaną dłońią jej policzka.

– Kurde. Zrobili nam zdjęcia? Robili zdjęcia, kiedy rozprawialiśmy się z zabójcą?

– Podoba mi się to.

Już chciała prychnąć ze złością, ale spojrzała jeszcze raz.

– Wiesz co? Masz rację. To my. Tacy, jacy jesteśmy naprawdę. I też mi się podoba to zdjęcie. Oprawię je w ramki i postawię na biurku.

– Tutaj?

– Na biurku w domu – uściśliła. – Ale tak. To my. Właśnie tacy jesteśmy. I podoba mi się to, że tacy jesteśmy.

– Mnie też. Lód na oko.

– I na twoje dłonie.

– Zgoda – ustąpił jej Roarke. – Zajmiemy się sobą nawzajem w samochodzie. Jedziemy do domu czy na przyjęcie?

Pomyślała o swoim podbitym oku, o późnej porze. Przypomniała sobie ich zdjęcie. To, kim są.

– A co tam. Jedźmy się zabawić.